

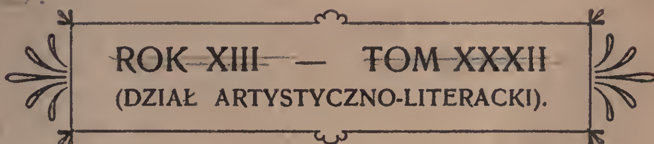

UNIVERSITY OF TORONTO
VELUT ARBOR ÆVO

KRYTYKA

MIESIĘCZNIK

POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, NAUCE I SZTUCE

POD REDAKCYĄ
WILHELMA FELDMANA.



ROK XIII — TOM XXXII
(DZIAŁ ARTYSTYCZNO-LITERACKI).

KRAKÓW.
NAKŁADEM REDAKCYI. — Z DRUKARNI LITERACKIEJ
POD ZARZĄDEM L. K. GÓRSKIEGO.
1911.

I. Poezya.

II. Filozofia.

III. Sztuka plastyczna.

IV. Literatura.

Strona

VI. Kwestye społeczne.

VII. Historya.

VIII. Przegląd.

IX. Sprawozdania.



„NARÓD SIĘ ZGUBIŁ“.

(f). Wielki duch, który straszne te słowa rzucił, był na tyle szczęśliwy, że nie dożył dzisiejszych ich potwierdzeń. Miłości i nienawiści wzrokiem przebijał jednak powłokę społeczeństwa, wiedział, co jest i co nadchodzi. Sam „niewolnik wielkiej myśli jednej“, czuł rozpaczną samotność swoją, bo był człowiekiem-Polską. „Czy jesteś Polsko — tylko ze mną“? pytać musiał, ta Polska wolna i samorządna, jaką jedynie znał i uznawał, jaką z niebios marzeń chciał ściągnąć w sferę faktu. „Z tej ziemi PAŃSTWO wskrzeszę“ — wołał, odrazu ująwszy treść duszy w cel twardy i silny, będący nie poezyą — ją przeklinał, o ile nie tworzyła życia — lecz miarą i źródłem wszechrzeczy. „Naród ma jedynie prawo być, jako PAŃSTWO“ — a naród, który nie chce, nie dąży, nie realizuje tego prawa? Ten „naród się zgubił“...

Zrozpaczony zeszedł ostatni prorok, a „czasów nikczemność“ staje się z dniem każdym nikczemniejsza. Z dniem każdym przynosi coraz ohydniejsze obrazy zatraty tej „myśli jednej“, zatraty najważniejszych instynktów i dróg tego celu wielkiego.

* * *

Nie całe trzy lata dzielą od siebie dwie mowy oficyalnych przedstawicieli narodu.

Jako prezes Koła polskiego w Petersburgu p. Dmowski wyrzekł był historyczny frazes, iż przyłącza się do kursu neosłowiańskiego — „bez zastrzeżeń“. Nie było chyba i niema człowieka tak naiwnego, by nie wiedział, iż ruch neosłowiański jest jedną z form imperyalizmu rosyjskiego; nie było i niema na świecie możności wykazania, że w tej formie zmieści się idea polska w jedynej swej niesfałszowanej postaci: niepodległości. I bez zastrzeżeń zgubił się naród dzięki jednemu ze swoich premierów.

Niedawno znowu drugi premier, dla odmiany we Wiedniu, oświadcza: „W sprawach zagranicznych będziemy popierali politykę sojuszów naszego urzędu spraw zewnętrznych“. Bez ogródek, bez zastrzeżeń — bo i na cóż, gdy ten urząd spraw zagranicznych jest „nasz“, obsadzany jeśli nie przez powszechne głosowanie delegatów trzech zaborów, to przynajmniej, myślałby kto, przez lwowskie Koło sejmowe...

O bezmyślnej mowie, wygłoszonej niedawno w parlamencie berlińskim przez reprezentanta tamtejszego Koła polskiego w dyskusyi nad polityką zagraniczną, wspominać nie warto.

Zgubił się naród, zgubił się ostatecznie najprostszy jego instynkt, odrębności swojego ja w stosunku do świata zewnętrznego. Wykreślamy się dobrowolnie z listy narodów politycznych; jagnięta robią kierownikiem interesów najżywotniejszych — wilka. Mamy trzy Koła polskie poto, by prześcigały się w lokajstwie wobec rządów i w usypianiu myśli i akcyi politycznej społeczeństwa. Dopóki tych „Kół“ nie było, społeczeństwo wiedziało, że ma czuwać i posiadało reprezentacye polityczne: Hotel Lambert zwracał się do gabinetów, delegacye demokratyczne i rewolucyjne — do ludów. Dziś jesteśmy nieobecni.

Albo może istotnie nie mamy interesów w stosunku do Europy, do mocarstw, do odbywających się i przygotowywanych działań na arenie świata? Szczęśliwi! mamy o jedną troskę mniej, niż każdy inny naród; możemy zamknąć księgę dziejów i spać.

Tylko, że gdy my śpimy, księgę tę zapisują — inni. Naszą krwią — kosztem ostatków naszej przyszłości.

*
* *

Staliśmy się nędzarzami, którzy głowy nie podnoszą z jarzma codziennych kłopotów i trosk, zajęci są liczeniem miedziaków i rozmyślaniem, coby zwarzyć, jak spędzić dzień. I to — najlepsi, bo ogromna większość i o tem nie myśli. Gdzie mamy cokolwiek do gadania: w państwie austryackiem, używamy tego wpływu także do załatwiania bieżących, drobiazgowych interesów — wielkie sprawy państwa i państw pozostawiając magnatom i politykom innych narodów. Dziadowską jest nasza polityka we wszystkich zaborach — jakoby za nią nie stał naród o wiekowych tradycyach państwowych, naród liczący 22½ miliona, naród dający samej Austryi przeszło czwartą część jej żołnierza.

Bo też ten naród w odwodzie nie stoi — polityki narodowej polskiej dzisiaj też nie ma.

Gesty jej małpiarskie widzimy od czasu do czasu, rojenia chorobliwe, bo z żadną rzeczywistością nieskoordynowane, nie zaś myśl twórczą, działającą na podstawie realnych stosunków, z jasnym celem finalnym.

Zobaczmy, co w obecnej chwili jest treścią naszej myśli politycznej, w tych organach prasy, które myśl bodaj rudymentarną mają.

Tworzenie potęgi we wszystkich jej formach, począwszy od zorganizowanej opinii publicznej i od środków materyalnych, zdolnych imponować i przemawiać do przekonania obcym — to powinno być celem wszystkich czynników, chcących być współtwórcami przyszłości narodowej, w pierwszym rzędzie — działaczy publicznych, posłów, dziennikarstwa.

Dokonywują się w tej chwili głębokie przewroty w stosunkach międzynarodowych Europy. Dzisiaj już wiadomo, iż w lipcu b. r. wojna między Francyą-Anglią a Niemcami była prawie postanowioną. Niemcy są obecnie więcej niż kiedykolwiek na przyjaźń Austro-Węgier skazane; mimo to zdradzają tę Austryę, szukając reasekuracyi w stosunkach z Rosyą. Dla nas wszelkie zacieśnienie się stosunków tych z Rosyą jest groźnem: czy o tem pomyślała nasza reprezentacya? i czy pomyślała o pomocy dla zaboru pruskiego? Ba, nietylko wiedeńskie, ale berlińskie Koło polskie jest bez zastrzeżeń biernem w rękach ministra spraw zagranicznych i wojny narzędziem. Co najwyżej mają żądania — w sprawie praktyk religijnych żołnierzy. I jakże owe państwa mają liczyć się ze sprawą polską.

Tendencye przewrotowe w stosunkach międzynarodowych podsyca także Austrya, w której od kilku lat obudził się animusz wojenny i apetyt zaborczy. Widzi to każdy obserwator zmian, zachodzących w wojskowości, każdy wyczuwający wypadki nadchodzące. I czy dzieje się cokolwiek dla zabezpieczenia naszych interesów? Żadne państwo nie lekceważyło nigdy nastroju obywateli w sprawie wojny i pokoju, dopieroż państwo współczesne. Czy Austrya czuje, że wielki odłam jego państwa pragnie przesunięcia granic ku północy, połączenia z Warszawą? Przeciwnie, czuje coś wręcz przeciwnego. Widzi, że wielkie stronnictwa, a nawet władze galicyjskie do niedawna tworzyły w kraju pogranicznym, po części dzisiaj jeszcze tworzą, (namiestnictwo grozi

nieurzędownie, że zacznie znów tworzyć) narodowość rosyjską, tj. więc nietylko nie prowadzą Austryi przeciwko Rosyi, lecz Rosyę wprowadzają do nas. Widzi dalej patryotyzm czarno-żółty, prący państwo ku Salonikom, choć droga ta jest zabójcza dla nadziei, sięgających ku Warszawie. Widzi bezwolę, oddanie się na łaskę i niełaskę urzędu spraw zagranicznych — i to ma być wyrazem żywego narodu...

Inny widok.

Dokonywa się w tej chwili delikatną ręką rzeźniczą caratu potworna operacya: oderwanie Chełmszczyzny od Królestwa — więc uszczuplenie granic naszych — nowy podział Polski. Zatraciliśmy tak dalece zmysł solidarności, odczucie nienaruszalności ojczyzny, iż nowy podział Polski dokonywa się w naszych oczach bez protestu poważnego — nietylko w parlamentach, ale nawet w opinii publicznej. Zbrodnia pierwszego lepszego Ronikiera, sztuczydło teatralne pierwszego lepszego błazna, nieskończenie więcej rozpala umysły, niż ta zbrodnia, popełniona na setkach tysięcy, na całości kraju.

Naród się zgubił....

* * *

Natomiast jakie idee są obecnie na porządku dziennym prasy „poważnej"?

Galicya wpatrzona jest w kinematograf wiedeński, gdzie się zmieniają ministrowie z taką szybkością, iż fotograf ledwie jest w stanie uwiecznić ich na swem szkle. Wyrastają ministrowie przecież tak dziwnie i szybko, jak cudowne dzieci, lub cudowne źródła naftowe. Co ci panowie myślą o sprawie polskiej? — nie przyjdzie nawet do głowy komuś zapytać.

Jeszcze ważniejsze sprawy ma na oku wielka prasa narodowa w Warszawie.

Gloryfikuje „prawa siły" i ekspanzyę państwową. To właśnie jest oznaką naszej choroby, iż nie mamy normalnych tkanek, a mamy narośle, nie posiadamy zdrowych uczuć narodowych, a mamy nacyonalizm. Gloryfikowanie prawa siły, bez względu na jej podkład etyczny, prowadzi w prostej linii do gloryfikowania zaborczości — i jest hołdem, wyrażanym przez polityków polskich Katarzynie, Fryderykowi, Murawiewom i Bismarkom. Rozstaliśmy się wszyscy już z sentymentalizmem i umiemy cenić

cnoty wojenne: dla obrony, dla ratowania tego, co swoje; taka siła jest prawem — to prawo nasze powinno stać się jak najprędzej siłą; publicysta polski, wielbiący siłę, jako prawo samo w sobie, jako uświęconą potrzebę tęgich organizmów do rozlewności, do ekspanzyi, np. do zaboru Tripolisu przez Włochów — publicysta taki nietylko nie ma prawa oburzać się na wcielenie Chełmszczyzny do Rosyi, ale wogóle przy całym pseudo-realizmie jest zupełnie oderwany od rzeczywistości naszej, bo gdyby w nią się wpatrywał — złamałby pióro.

Ale prawda. Małpiarze nacyonalizmów obcych mają pole działania: podbój wewnętrzny. Moskale tchórzliwi i nędzni wobec nieprzyjaciela na polu bitwy, są bohaterami w „podboju wewnętrznym“, wobec inorodców wszelkiej kategoryi, i odnoszą walne zwycięstwa nad Finlandyą, Chełmszczyzną itd. Polscy nacyonaliści, tchórzliwi wobec nieprzyjaciela zewnętrznego, nie organizując zgoła walki i nie rozgrzewając walki z caratem, przeciwnie, upadlając się wobec niego stanowiskiem swem w Dumie, są bohaterami w zapasach z Żydami, Rusinami.

Orgie antysemickie, urządzane przez prasę nacyonalistyczną polską w dobie obecnej, rumieniec wstydu wywołują na czoło każdego człowieka, który się nauczył szanować mowę polską. W krótkim czasie zdołało kilka niesumiennych jednostek ciemną rzucić plamę na wielką, wiekową kulturę polską, zbrukać patryotyzm polski, narzucając mu tendencye czarnosecinne, gdy inni zbrudzili postępowość i wolnomyślność, rozpuszczając w niej wyroby klasztorne najobskurniejszych mnichów.

„Krytyka“ nieraz sprawę tę omawiała; wobec złej woli pewnej części przeciwników trzeba jeszcze raz idee redakcyi podkreślić.

Rozpaczliwem byłoby położenie, gdybyśmy widzieli antagonizm między ideałami ogólno-ludzkimi a narodowymi. Ogólnoludzkie: to wielkość, swoboda, potęga człowieka, przezwyciężającego smutne z natury warunki ludzkiego bytowania, w życie, poświęcone wspaniałej twórczości duchowej i materyalnej. Nie ma jednak mowy o realizacyi tych celów, póki na świecie istnieje niewola narodu, klasy, jednostki. Zniesienie niewoli, umożliwienie każdemu narodowi, jako też człowiekowi każdemu, by w swobodzie wyzwolił wszystkie władze swego ducha, całą zróżniczkowaną wpływami kultury piękność — to najważniejsza droga do ideałów ogólno-ludzkich.

Każdemu przeto osobnikowi, zbiorowemu i jednostkowemu, przyznajemy prawo do życia i rozwoju; zaprzeczenie tego prawa — to najwyższa niesprawiedliwość społeczna.

Przedewszystkiem leży to nam na sercu, co najbliższe, własne, i najbardziej umiłowane. Warunki najwyższego rozwoju radzibyśmy osiągnąć dla Polski. Gwarancyą tych warunków może być tylko niepodległość nasza państwowa. Zgodnie jednakowoż z naczelnemi naszemi ideami, przyznajemy w jej obrębie możność swobodnego współżycia i innym kategoryom ludzi, którzy uznają, iż dla broniącej ich i karmiącej ziemi mają obowiązki. („Państwo jest w stanie pomieścić wszystkich, jakichkolwiek, we wspólnej gminie". „Wyzwolenie", rozmowa z maską 15).

Zastosowanie tych idei do żydów?

Są żydzi i żydzi. Ci z pośród nich, którzy świadomie wymawiają się od obowiązków, przedewszystkiem od współpracy w zdobyciu niepodległości, muszą być traktowani, jak wszyscy członkowie i pomocnicy najezdców. Przeważna część żydów jest jednak w naszem pojęciu — materyałem. Żądać od chałatowców i wczorajszych litwaków asymilacyi narodowej, tj. kulturalno-duchowej w ciągu 24 godzin, i to pod batem moskiewskim, który temu procesowi przeszkadza — to absurd, lub szukanie zaczepki. Musimy się niestety, pogodzić nawet z myślą, że pewna ich część wogóle nie podda się asymilacyi narodowej w głębszem słowa znaczeniu, tj. nie przejmie się duszą i kulturą polską, gdyż dzięki rozmaitym przyczynom zachowuje własną indywidualność plemienną. Przygotowani jednak jesteśmy, że w Polsce, jak w każdem prawie państwie, będą istnieć rozmaite elementy. Patryotyzm nasz nie jest zoologicznym, skazującym na pożarcie każdego odmiennego. Chodzi tylko o to, by ów odmienny nie był ziemi, którą zamieszkuje, pasożytem i szkodnikiem. Od obywateli żydowskich żądamy przedewszystkiem uczłowieczenia mas ciemnych, wyzyskiwanych i fanatyzowanych przez ich kler obskurny, obrócenia ich w użytecznych pracowników; następnie — pełnienia obowiązków politycznych. Pewna część materyału żydowskiego z Polski emigruje, pozostałą zaś — łatwo, naszem zdaniem, do obowiązków powyższych wychować i nakłonić, jak wychowuje się i nakłania do tego inne warstwy ludności krajowej, będące do niedawna także tylko materyałem na obywateli. Zadanie to wobec żydów tem łatwiejsze, że front walki naszej skierowany jest głównie przeciw Rosyi. Wystarczy cokolwiek tylko rozpatrzeć się w stosunkach,

by dostrzedz, jak łatwo w Królestwie rozpalić wśród żydów patryotyzm państwowy polski w przeciwstawieniu do rosyjskiego. I trzeba zaiste bezsumienności nietylko ogólno-ludzkiej, lecz czysto narodowej, by masy żydowskie ku państwowości polskiej zniechęcać. Uważamy, że Polska żyje i z czasem coraz więcej żyć będzie w stanie wojny z Rosyą. Żadne państwo w czasie wojny nie jątrzy jednych obywateli przeciw drugim, tylko u nas to się czyni, sposobami wprost zbrodniczymi. I grożąc żydom na każdym kroku pałką — równocześnie żąda się od nich asymilacyi. Historya uczy, że asymilacya narodowa jest możliwa, jako proces powolny wsiąkania pod wpływami kultury i jako żywiołowe stapianie się w ogniu podniosłych uczuć, wspólnych idei, walk wspólnych. Gdyby społeczeństwo polskie istotnie było teraz rozgrzane ideałem zbiorowym, promieniejącym, jak np. w latach 1861—3, zobaczylibyśmy, ile tysięcy porwałoby za sobą żydów. I porywałoby ich, gdyby szło naprzód pod sztandarem wielkiej kultury, sztuki, nauki — jak znowu nieraz byliśmy tego świadkami. Tych prądów jednak wśród nas niema; rzecz charakterystyczna, że antysemici są zarazem wrogami potężnej, idealistycznej, porywającej sztuki; lenistwo zaś duchowe i barbarzyństwo — atrakcyą, siłą asymilacyjną nigdy nie było.

Mamy tedy wojnę domową, wojnę zbrodniczą — pod hasłem podboju wewnętrznego. Osłabia nas ona pod każdym względem, podobnie jak zdaniem myślącego obserwatora, Rosyę osłabia jej nacyonalizm; nic bowiem gorszego nad zatracenie właściwej oryentacyi życiowej, a naszą główną oryentacyą powinno być organizowanie wszystkich sił dla walki o wyzwolenie z wampirowego ucisku caratu — wychowanie wszystkich mieszkańców Polski na obrońców jej interesów terytoryalnych, jej niezawisłości politycznej.

*
* *

Kilka ilustracyj powyższych z rozmaitych dziedzin świadczy o jednem: o braku wspólnej, świadomej, celowej woli.

A wola — to dusza.

Dlatego naród się zgubił.

I odnajdzie się tylko po rozbudzeniu tej siły zasadniczej, siły nad siłami: zbiorowej woli.

Woli—myślącej, skoncentrowanej, przejawiającej się czynem.

Trzeba pewnego wysiłku, by chcieć i myśleć — politycznie.

Stworzyć z kwestyi niepodległości, z idei państwowości polskiej, kryteryum sądów i działań wszystkich. Podporządkować tej sprawie wszystkie inne — z poświęceniem spraw drugorzędnych.

Większość do takiej celowości nie była nigdy i nie jest zdolna.

Tem większa wina spada na mniejszość.

Mamy bowiem w Polsce garść, wcale niemałą, która te idee rozumie i kocha. Ale rozbita ona egoizmem partyjnym lub osobistym, lub przez oportunizm życiowy pozbawiona władczej mocy rewolucyonizującej, albo przez rozgoryczenie usunięta w samotnię bezczynu.

Historyę zawsze robi mniejszość — na tę mniejszość główna też i u nas spada odpowiedzialność.

Ona powinna porozumieć się, różnemi maszerując drogami — do jednakiego planowo iść celu. Różniąc się w środkach — wspólne rozniecić ognisko: jednej, świadomej woli.

Na linii tej woli — naród się znajdzie.

Wówczas — wszystko się znajdzie.

Z BADAŃ SOCYOLOGICZNO-STATYSTYCZNYCH.

PRZESTĘPSTWA W ŚWIETLE CYFR.

Ukazała się niedawno książka, stanowiąca, niestety, rzadkość w literaturze polskiej, książka, poświęcona statystyce kryminalnej społeczeństwa w Królestwie Polskiem w zestawieniu ze społeczeństwami zaborów pozostałych i innych krajów [1]).

Ze względu na ubóstwo literatury polskiej w dziedzinie socyologii, specyalnie zaś — statystyki, książka zasługuje na uwagę specyalną, jakkolwiek ze względów zasadniczych wiele by jej zarzucić było można.

Przedewszystkiem sam tytuł: „Stan moralny społeczeństwa na zasadzie danych statystyki kryminalnej".

---

[1]) Józef Konczyński. Stan moralny społeczeństwa polskiego na podstawie danych statystyki kryminalnej. Z zapomogi Kasy pomocy dla osób, pracujących na polu naukowem imienia Dra med. Józefa Mianowskiego. Warszawa. 1911. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. Cena rs. 1 k. 30.

O jakiejże to moralności pragnie p. Konczyński sądzić? Czy o tej, którą dyktują przepisy katechizmu katolickiego, czy, co gorsza, o tej, którą dyktują przepisy kodeksowe?

Czyż przestępność jest dziś identyczną z niemoralnością, a pożycie zgodne z prawem miałoby świadczyć o moralności?

Czy raczej przepis prawny nie jest normą przymusową, narzuconą przez silnych świata słabszym? Czy nie jest on w dodatniem równocześnie znaczeniu chyba tylko kresem, postawionym samowoli mocnych w sprawie ucisku słabych?

Czy przeto względnie niewielka lub względnie znaczna przestępczość nie oznacza raczej mniejszego lub większego stopnia przystosowania norm prawodawczych do warunków i potrzeb chwili bieżącej wśród najszerszych warstw społecznych, najbardziej wydziedziczonych, a zatem i najbardziej oddalonych od wszelkich pojęć i wynikających z nich poczuć prawa i bezprawia?

Jeżeli dużo jest kradzieży, to znaczy nie to, że ludzie są „źli". Tak mówiono przed stu laty; tak jednak już w tym czasie mówić przestawano. Choć dziś jeszcze z ambony kościelnej, owej twierdzy wszelkiego wstecznictwa, słyszeć się daje to samo.

Socyolog dzisiejszy, konstatując fakt częstych kradzieży, nie będzie wnioskował z nich o „niemoralnym" stanie społeczeństwa, lecz raczej o jego nędzy. Konstatując fakt znacznej ilości przestępstw przeciw osobom, nie będziemy mówili dzisiaj o specyalnej jakiejś krwiożerczości pewnych narodów, a o „wysokiem poczuciu moralnem" innych, lecz raczej przyczyn tych krwiożerczych przejawów w pewnym kraju doszukiwać się będziemy w czynnikach natury materyalnej, w klimacie kraju, w temperamencie ludu, w stosunkach społecznych, ekonomicznych, politycznych, kulturalnych i t. d.

Rozpatrując przestępstwa polityczne i wogóle państwowe, nie będziemy z nich sądzili o stopniu uobywatelenia obywateli, o ich poczuciu obowiązków wobec społeczności; lecz raczej z liczby i jakości tych przestępstw sądzić będziemy mogli o wadach, o niedorozwoju form prawno-politycznych.

Zasadnicze przeto stanowisko autora pracy statystyczno-socyologicznej jest niewspółczesne, nie odpowiada dzisiejszemu poziomowi umiejętności społecznych.

Stanowisko to kładzie piętno na całej pracy, w której autor uwzględnia wprawdzie i analizuje przyczyny przestępczości; rozpatruje jej różnorakość i różną ilość; doszukuje się jej związku z całokształtem życia; ale pomimo to nie jest w stanie wyzbyć się

swego stanowiska połowicznego, które, jak szydło z worka, w samym tytule wylazło.

O stronach dodatnich pracy za wiele jest do mówienia, by chwilę jeszcze na jej innej ujemnej stronie się nie zatrzymać. Mianowicie Polaka kulturalnego razić w niej musi zła polszczyzna; książka cała naszpikowana jest mnóstwem rusycyzmów, sprawiających wielką przykrość czytelnikowi.

Poza tem zresztą oczytanie autora z dziełami treści prawno-kryminalnej, a nawet psychologicznej, głębokie, szczere poczucie obywatelskie, humanitaryzm, miłość dla ludu, tendencya do wzbudzenia w czytelniku uczuć wyrozumiałości dla przestępców — wszystko to nie może całkowicie zastąpić braków zasadniczych, polegających na wierze autora w jakiś fetysz, w jakieś „poczucie moralne“, tkwiące w tym lub innym stopniu w danym narodzie, w grupie społecznej, czy też zawodowej. Pomieszanie pojęć przyczyny i skutku stoi tu w związku bezpośrednim z tą wadliwością.

To też książce zarzuciłbym w formie najogólniejszej, że nosi piętno Warszawy współczesnej, murem chińskim od Europy oddzielonej, czerpiącej swą kulturę albo z siebie samej, albo ze Wschodu. Jest w książce praca sumienna; jest analiza mniej lub więcej udatna; jest wiele spostrzegawczości; ale w poglądach — brak rozmachu i śmiałości, brak szerokiego i głębokiego ujęcia kwestyi; autor, jak inni królewiacy, którzy zagranicą mało byli lub też mało przesiąkli europejskim demokratyzmem, nie przejrzał jeszcze całkowicie, pozostał na połowie drogi. Zbyt oślepiającym wydaje mu się blask wielkich myśli, a zwłaszcza potęga konsekwencyi tych myśli, by miał rozumowanie swe do końca doprowadzić. I dlatego zatrzymuje się na połowie drogi, wskazuje nieraz na słuszne szczegóły, ale jądra rzeczy — nie tyka.

Pod tym względem autor nosi piętno doboru państwowego rosyjskiego; i pod tym też względem doczuć się można harmonii pomiędzy stroną zewnętrzną pracy — jej językiem, a stroną wewnętrzną — brakiem zasadniczości.

Dobór państwowy w Rosyi, specyalnie zaś w Królestwie Polskiem, nad społeczeństwem rozciąga gęstą sieć; nikt poza tę sieć wyjrzeć nie jest w stanie; kto wyrośnie ponad nią—ten ginie: czy to w katordze, czy na wygnaniu, czy na emigracyi. Wzrastać można do czasu, do pewnej miary; za dalszym wzrostem następuje podcięcie zbyt wybujałych umysłów.

Pozostają karzełki, pozostają zresztą i domorosłe wielkości,

nadto pozostaje zwłaszcza praca, praca sumienna, pożyteczna i, jak każda praca, szlachetna i uszlachetniająca.

Właśnie do płodów tej pracy zaliczam omawianą książkę.

Autor w części II podaje sam materyał liczbowy, na którego zasadzie wywody swe w części I umieścił.

A wywody te są czemś w rodzaju pionierstwa w niebywale ubogiej literaturze socyologicznej polskiej, rozpatrującej zagadnienia przestępczości.

Jakich bowiem autor ma poprzedników?

Wymienia ich; a więc: w r. 1874 nakładem „Biblioteki Warszawskiej“ wydana została praca Romana Buczyńskiego pod tytułem: „Stan moralny społeczeństwa naszego na podstawie wykazów statystycznych karnych“; w roku 1886 tegoż autora „Zarysy stanu moralnego naszego społeczeństwa“ wydała „Biblioteka umiejętności prawnych“. Obie te rzeczy, zdaniem p. Konczyńskiego, są przestarzałe, „przeładowane rozumowaniami pseudo-filozoficznemi“. Nadto z wydawnictw urzędowych w r. 1907 ukazał się paszkwil pseudonaukowy profesora Uniwersytetu Warszawskiego, Jesipowa, umieszczony w XXXI tomiku „Prac komitetu statystycznego Warszawskiego“ p. t. „Moralność ludowa w 10-ciu guberniach Królestwa Polskiego“ („Narodnaja nrawstwiennost’ w 10 gubernjach carstwa polskawo“).

Oto wszystko, jeśli nie liczyć rosyjskiej pracy Tarnowskiego, traktującej przestępczość Królestwa Polskiego porównawczo z przestępczością Rosyi w dwudziestoletnim okresie 1874—1894, p. t.: „Itogi russkoj ugołownoj statistiki 1874—1894“ (Rezultaty statystyki kryminalnej rosyjskiej w okresie 1874—1894).

Wywody swe Konczyński opiera na danych statystyki kryminalnej z okresu 1877—1906. W rozpatrywanem trzydziestoleciu autor rozróżnia 3 okresy 10-letnie i dowodzi, że, o ile przestępczość ogólna w Królestwie Polskiem aż do r. 1894 wzrastała lub też wogóle miała tendencyę do wzrostu, o tyle od tego czasu przestępczość w Królestwie Polskiem się zmniejsza. Autor zmianę w tej tendencyi przestępczości łączy ze zmianą osoby panującego, z pewnem złagodnieniem kursu nacyonalistyczno-reakcyjnego po śmierci Aleksandra III.

Mianowicie na 100 tysięcy ludności wypadało w Królestwie Polskiem przeciętnie na rok osób przez sądy skazanych:

w dziesięcioleciu 1877—1886 — 194 osoby
„ 1887—1896 — 214 „
„ 1897—1906 — 151 „

Liczby to bardzo wymowne, świadczące bez wątpienia o poważnych zmianach, zaszłych w stosunkach Królestwa Polskiego w okresie ostatnim. Zmniejszenia się przestępczości tak znacznego niepodobna przypisać wyłącznie tylko zmianie kursu rządowego, tem bardziej, że liczba 151 osób skazanych na 100 tysięcy ludzi obliczona jest dla ludności w roku 1897 (ludność według spisu jednodniowego z r. 1897 wynosiła w Królestwie Polskiem 9,402.000); tymczasem w r. 1905 ludność Królestwa Polskiego wynosiła znacznie więcej (11,300.000 według danych Komitetu Statystycznego Warszawskiego), i, jeśli w stosunku do tej ludności obliczyć liczbę skazanych przez sądy na 100 tysięcy ludzi, to okaże się, że skazanych tych nie było 151, a tylko 126.

Do przyczyn tego zmniejszenia się przestępczości Konczyński zalicza nadzwyczajny wzrost przemysłu i związanego z nim dobrobytu, zniesienie szynków i karczem, a wprowadzenie monopolu rządowego wódczanego, osłabienie systemu represyjnego rządowego i pewne folgowanie społeczeństwu większe, aniżeli dawniej, w sprawach oświatowych i kulturalnych. W r. 1897 analfabeci w Królestwie Polskiem stanowili 70% ludności; dziś coprawda niewiele mniejszą część ludności stanowią.

Zestawiając dane, dotyczące przestępczości Królestwa Polskiego i Rosyi, Konczyński słuszne czyni zastrzeżenie, że w Rosyi istnieją sądy przysięgłych, których w Królestwie Polskiem niema; że sądy te są daleko skłonniejsze do uniewinniania ludzi od sądów koronnych. Np. w okresie 1897—1906 w Królestwie Polskiem zaledwie 30% podsądnych zostało uniewinnionych, gdy w Rosyi—35%. Specyalnie dla kobiet sądy przysięgłych są bardziej wyrozumiałe: w Rosyi w okresie rozpatrywanym 39% podsądnych kobiet zostało uniewinnionych, gdy tymczasem w Królestwie Polskiem — zaledwie 28%.

Naogół zaś na 100 tysięcy ludności było w Rosyi skazanych przez sądy w dziesięcioleciu 1897—1906 — tylko 91 osób. Jak widzimy, różnica w porównaniu z Królestwem Polskiem ogromna; zważyć jednak należy, że w Rosyi nie ulegają rejestracyi statystycznej przestępstwa osądzone przez sądy „wołostne“, że przeto różnica znacznie jest mniejsza.

Charakterystycznem i ciekawem jest w Królestwie Polskiem zmniejszanie się przestępczości małoletnich. Mianowicie na 100 tysięcy ludności, skazanych zostało przez sądy przeciętnie w jednym roku:

w dziesięcioleciu 1877—1886 — 16 małoletnich
„ 1887—1896 — 15 „
„ 1897—1906 — 11 „

Objaw to tem ciekawszy, że równocześnie w innych krajach przestępczość nieletnich kolosalnie wzrasta. Według Tarde'a, we Francyi liczba przeciętna zabójców w wieku od 16 do 21 lat wynosiła w okresie:

1856—1860 — 20 osób rocznie
1876—1880 — 30 „ „
1890—1894 — 39 „ „

W Niemczech, według Meyera, przestępczość wśród niepełnoletnich również wzrasta: gdy bowiem w ciągu 6 lat od r. 1888 do 1893 ogólna liczba wszystkich skazanych podniosła się o 21%, to równocześnie liczba przestępców nieletnich (poniżej 18 lat) wzrosła aż o 32%. W Anglii liczba przestępców nieletnich również się nie zmniejsza, a raczej wzrasta. Skazano nieletnich w Anglii:

w roku 1864—1868 przeciętnie po 11.064 rocznie
„ 1884—1893 „ „ 13.803 „
„ 1894 13.710 „

Zmniejszenie się liczby przestępców nieletnich pozostaje w związku z innym faktem, mniej pocieszającym, a kładącym wyraźne piętno na smutnych urządzeniach Królestwa Polskiego, mianowicie: największa ilość przestępców wypada właśnie na okres życia młodociany; na 100 tysięcy ludności każdego wieku wypadało przeciętnie na rok w ciągu dziesięciolecia 1897—1906:

wśród dzieci w wieku poniżej 14 lat — 3 dzieci;
wśród osób w wieku 14—20 lat — 302 przestępców
„ „ „ „ 20—30 lat — 271 „
„ „ „ „ 30—40 lat — 275 „
„ „ „ „ 40—50 lat — 262 „
„ „ „ „ 50—60 lat — 160 „
„ „ „ powyżej 60 lat — 79 „

W powyższem zestawieniu tkwi wymowny wyrok na urządzenia społeczne Królestwa Polskiego. Dzieci niemal — w wieku 14—20 lat dostarczają tam największej liczby przestępców. Młodociani ci przestępcy chowają się w rynsztokach ulicznych i na tar-

gach wiejskich i małomiasteczkowych; obyci z rozpustą i zepsuciem, raczej się niemi szczycą, niż niemi gardzą. I nic w tem dziwnego; w braku szkół i ochron nauki szukają na drodze najmniejszego oporu; na silny opór ich nie stać; zbyt są bowiem słabi, jako młodzi. W innych krajach, choćby np. w Rosyi, w Niemczech, największa przestępczość wypada na wiek 20—30 lat; mniej przeto obciążać musi sumienie publiczne ta okoliczność, aniżeli monstrualne stosunki w Królestwie Polskiem panujące. Nieznaczna przeto poprawa tych stosunków przestępczości; o której powyżej wzmiankowałem, jak widzimy, nie załatwia kwestyi, przeciwnie, Królestwo Polskie w dalszym ciągu celuje wśród innych krajów pod względem liczby przestępców młodocianych.

Przestępczość kobiet znacznie jest mniejsza od przestępczości mężczyzn. Na 100 tysięcy mężczyzn w dziesięcioleciu 1897—1906 wypadało 247 przestępców rocznie, gdy tymczasem na 100 tysięcy kobiet—zaledwie 54 przestępczynie; przestępczość mężczyzn w Królestwie jest przeto $4^1/_2$ razy większą od przestępczości kobiet. W Rosyi różnica jeszcze jest większa, i stosunek obu przestępczości ma się do siebie, jak 21 do 153; przestępczość przeto mężczyzn jest 7·2 razy większa od przestępczości kobiet. Pozostaje to w związku z większą samodzielnością kobiet w Królestwie Polskiem, gdzie spis ludności z r. 1897 wykazał aż $14^0/_0$ samodzielnie zarobkujących kobiet, gdy tymczasem w Rosyi wśród ogółu kobiet samodzielnie zarobkujące stanowiły zaledwie $10^0/_0$; nadto wzmiankowana już powyżej większa względność sądów przysięgłych względem kobiet jest tu też czynnikiem, poważnie zmniejszającym przestępczość kobiet w Rosyi.

W Niemczech przestępczość mężczyzn jest 5·5 razy większa od przestępczości kobiet.

Wybitnie pod względem przestępczości wyróżniają się od okresu poprzedzającego lata 1904—1906. W trzyleciu tem wzrasta liczba przestępstw przeciw państwu i przeciw osobom; zmniejsza się za to i to znacznie liczba przestępstw przeciwko własności. Tak np. było skazanych za kradzież w Królestwie Polskiem przez sądy ogólne:

w roku 1903	—	2.044	osób
„ 1904	—	2.381	„
„ 1905	—	1.160	„
„ 1906	—	1.624	„

Ten nagły spadek kradzieży jest w znacznej mierze wynikiem

tego, że w okresie rewolucyjnym nie wydawano złodziei władzom państwowym, że działały sławetne samosądy; z drugiej jednak strony fakt ten pozostaje w niewątpliwym związku z podniesieniem się w epoce rewolucyjnej nastroju i uczuć najszerszych mas ludowych. Słusznie na tę okoliczność zwraca uwagę p. Konczyński. Wzrosło „samopoczucie" mas szerokich; ludzie poczuli się ludźmi w całem słowa znaczeniu, bojownikami, a nie złodziejami. Skurczyła się również liczba przestępstw przeciw obyczajowości. Pamiętne są w Warszawie burzenia domów publicznych wiosną 1905 r. Barbarzyńskie te postępki nieuświadomionych politycznie mas stanowiły zemstę na nieszczęśliwych ofiarach ucisku, zemstę ślepą, nie będącą w stanie z poza tych ofiar dopatrzyć się ich przyczyny właściwej; odruch ludu warszawskiego skierowany przeciw prostytucyi wybornie jednak charakteryzuje podniosłość uczuć najszerszych warstw warszawskich w okresie rewolucyi.

Zresztą zmniejszanie się przestępstw przeciw własności jest w całym rozpatrywanym trzydziestoletnim okresie zjawiskiem stałem. Skazywano mianowicie za kradzież na 100 tysięcy ludności:

w dziesięcioleciu	1877—1886	. . 39	osób rocznie
„	1887—1896	. . 33	„ „
„	1897—1900	19—22	„ „

W liczbach powyższych tkwi prawda niezaprzeczona: zmniejsza się liczba przestępstw przeciw własności; natomiast zwiększa się liczba przestępstw o charakterze gwałtownym, jak uszkodzenie cielesne; wzrasta również liczba przestępstw politycznych i przeciwko porządkowi społecznemu.

Ogółem jednak przestępstwa przeciw własności stanowią blizko $^2/_3$ liczby ogólnej przestępstw, bo aż 57·4$^0/_0$; przestępstwa przeciw państwu — 26·4$^0/_0$, przeciw osobom — 16·1$^0/_0$.

Przestępstwa przeciw własności są w olbrzymiej większości wypadków wynikiem nędzy. Dane w tym względzie przytacza między innemi statystyka austryacka z r. 1906 (Österreichische Statistik. Die Ergebnisse der Strafrechtspflege). Okazuje się, że z pośród 9.461 osób, skazanych w r. 1906 w Austryi za przestępstwa (Vergehen), spełnione w wieku powyżej 20 lat, było osób:

nie posiadających żadnego majątku	6.699
posiadających bardzo niedostateczny majątek .	2.681
zamożnych	81

W Galicyi specyalnie skazano w r. 1906 ogółem 3.830 osób dorosłych, a z tej liczby było: bez majątku — 3.778 osób.

Liczby powyższe świadczą, że przestępstwa są przedewszystkiem wynikiem nędzy. Ludzie zamożni w zupełnie tylko wyjątkowych wypadkach stają się przestępcami.

W przestępstwach przeciwko państwu, porządkowi publicznemu, w przestępstwach oporu władzom, Królestwo Polskie znacznie przewyższa Rosyę, a pozostaje to w prostym związku z wyjątkowem położeniem politycznem kraju.

Wśród przestępstw przeciw osobom zwraca uwagę w Królestwie Polskiem nieznaczna liczba przestępstw przeciw obyczajowości. Jest to zresztą właściwością wszystkich ludów słowiańskich w przeciwieństwie do Niemiec, gdzie przestępstwa przeciw obyczajowości są daleko częstsze. W 10-leciu 1897—1906 w Królestwie Polskiem przeciętnie rocznie skazywano za przestępstwa przeciw obyczajowości na 100 tysięcy ludności zaledwie 1·5 ludzi; tymczasem w Austryi w r. 1906 odnośny stosunek wyniósł aż 19·3 na 100 tysięcy; w Galicyi Zachodniej zaledwie — 11·6; we Wschodniej — tylko 9·2, we Francyi — 14·5; w Niemczech — aż 22·2, gdy tymczasem w W. Księstwie Poznańskiem—zaledwie 11·1 przestępców na 100 tysięcy ludności.

Znaczna różnica pomiędzy przestępczością przeciw obyczajowości w Królestwie Polskiem z jednej strony, a w Galicyi i Poznańskiem z drugiej, jest bez wątpienia wynikiem mniej ścisłych dochodzeń w tej sprawie sądów rosyjskich, niż sądów w Niemczech i w Galicyi; z drugiej jednak strony znaczna różnica pomiędzy tym rodzajem przestępczości w krajach polskich i w krajach obcych wykazuje z pewnością odmienne usposobienie Polaków w trzech zaborach, ich bardziej umiarkowany temperament.

Z zestawienia przestępczości ludności polskiej z przestępczością ludności Austryi i Niemiec wynika również, że ludność polska odznacza się mniejszą przestępczością i w dziedzinie oszustw, sprzeniewierzeń, oporu władzom, że wreszcie mniej jest w Polsce samobójstw, niż na Zachodzie.

Zato przeważają w Polsce w stosunku do innych krajów zabójstwa, przedewszystkiem zaś — uszkodzenia cielesne i kradzieże.

Skazano mianowicie za rozmyślne zabójstwo na 100 tysięcy ludności:

w Galicyi w r. 1906	1·8	przestępców
we Francyi w r. 1906	1·6	„
w Austryi bez Galicyi w r. 1906	1·3	„

w Królestwie Polskiem przeciętnie rocznie
w okresie 1897—1900 . . . . 1,2 przestępców
w Rosyi . . . . 1,1 „
w W. Księstwie Poznańskiem 1907. . . . 1,1 „
w Niemczech. . . . . 0,6 „

Jak widzimy, zabójstwa rozmyślne są 3 razy częstsze w Galicyi, 2 razy częstsze w Królestwie, niż w Niemczech.

Decydującą o rozmiarach przestępczości jest przewaga przestępstw przeciw własności i drobnych uszkodzeń cielesnych w Polsce w stosunku z innymi krajami. Przewaga ta jest ogromną i stwarza sytuacyę następującą:

na 100 tysięcy ludności skazano w r. 1907
w Niemczech . . . . . 904 osoby
w W. Ks. Poznańskiem . 1.036 „

w r. 1906 skazano:
w Austryi — 326 osób
w Galicyi — 500 „

Widzimy, że każdy z trzech zaborów polskich wykazuje większą przestępczość od państwa zaborczego. Rzecz to zrozumiała: zabór—kraj upośledzony i wyzyskiwany—musi wydawać większą liczbę wykolejeńców i nieszczęśników od państwa zaborczego.

Prócz powyższych rozpatrywań, p. Konczyński analizuje wpływ wykształcenia, stanu rodzinnego, zawodu, na przestępczość; analizuje przestępczość wsi i miasta, przestępczość poszczególnych gubernii Królestwa Polskiego, wreszcie recydywę wśród przestępców. Odsyłając ciekawych do samej pracy, ograniczam się tu do najogólniejszych wniosków.

Rzecz prosta, że oświata wpływa na zmniejszanie się przestępstw. W okresie 1897—1906 było skazanych przez sądy przeciętnie rocznie: na 100 tysięcy osób z wykształceniem szkolnem— 105 osób; na tyleż ludności bez wykształcenia szkolnego, ale umiejących czytać i pisać — 120 osób; na takąż liczbę analfabetów — aż 165 przestępców!

Liczby wymowne, nakazujące karać nie przestępców, lecz tych, którzy rozwój szkolnictwa tamują, pieniędzy na nie żałując.

Wśród ludzi niewykształconych przeważają przestępstwa przeciw własności: kradzieże, rabunki, nadto — przeciw ustawie celnej i akcyzie. Wśród ludzi wykształconych natomiast przeważa bardziej wyszukany rodzaj przestępstw: przestępstwa służbowe, przeciw państwu, porządkowi publicznemu, wreszcie — przeciw obyczajowości.

Kawalerowie i panny odznaczają się, rzecz prosta, większą przestępczością od żonatych i zamężnych. Rzecz to znana — „umoralniający“, ściślej — uspakajający wpływ życia rodzinnego.

Niezmiernie ciekawą mogłaby być statystyka przestępczości zawodów. Niestety, brak odpowiedniego materyału nie pozwolił autorowi postawić tego działu pracy na stopie, odpowiadającej wymaganiom współczesnym. Do zawodów, największy popęd do przestępstwa ujawniających, należą przedewszystkiem prostytutki, potem zaś dopiero przekupnie drobni, kramikarze, kupcy wędrowni; po nich — ludzie bez zajęcia lub zajęcia niewiadomego, żebracy. Następnie idą robotnicy budowlani: malarze, zduni; potem — najemnicy i służba domowa. Co jednak statystyka pod „najemnikami“ pojmuje — niewiadomo; w dalszym ciągu idą dorożkarze, woźnice, a dalej urzędnicy, odznaczający się daleko większą przestępczością w Królestwie Polskiem od zawodów wyzwolonych, od kupców, restauratorów, rolników, fabrykantów i t. d. Stosunki te liczbowo przedstawiają się w sposób następujący dla zawodów najbardziej przestępczych.

Na 100 tysięcy ludności każdego poszczególnego zawodu wypadało przeciętnie co rok w dziesięcioleciu 1897—1906:

wśród prostytutek	3.264	przestępczyń
„ drobnych przekupniów . . .	1.770	przestępców
„ ludzi bez określonego zajęcia .	1.488	„
„ robotników budowlanych . .	823	„
„ najemników i służby domowej	720	„
„ dorożkarzy, woźniców . . .	573	„

Jak widzimy, prostytutki odznaczają się prawie dwa razy większą przestępczością od najbardziej przestępnych drobnych przekupniów.

Ludność miast odznacza się większą przestępczością od ludności wiejskiej; rzecz to znana. Warunki częstego współżycia ludzi wywołują starcia i przestępstwa. Życie stwarza tu grunt dla przestępstwa urodzajny. Czemu jednak p. Konczyński większą przestępczość miasta przypisuje jakiemuś przeobrażaniu się tej przestępczości ze stanu potencyalnego na wsi do stanu cynetycznego w mieście, jak gdyby przestępczość była czemś, co istnieje poza kodeksem, poza stosunkami ludzkimi, jak gdyby w ludziach tkwiła, w ich skłonnościach i umysłach — nie pojmuję. Czyż przeciwnie, wszystkie wywody autora nie świadczą wyraźnie, że przestępczość

rodzi się wskutek warunków społecznych i ogólnych, w każdym razie nazewnątrz, poza jednostką się znajdujących?!

Wreszcie rozdział ostatni swych wywodów autor poświęca recydywistom. Liczba ich niezmiernie wzrasta. W r. 1865 zaledwie 8·9$^0/_0$ ogółu skazanych przez sądy byli to recydywiści; w r. 1874 stanowili oni już 11·6$^0/_0$, w okresie zaś 1897—1906 przeciętna roczna liczba recydywistów stanowiła 16·8$^0/_0$ ogółu przestępców. Wzrost recydywy tem okaże się większy, że, stosownie do ustalonej w prawodawstwie rosyjskiem definicyi pojęcia recydywy, statystyka kryminalna rejestruje dziś tylko tych recydywistów, którzy spełnili ponowne przestępstwo, identyczne z poprzedniem, lub podobne do poprzedniego; tymczasem liczba recydywistów z r. 1874 wykazuje wszystkich recydywistów, skazanych poprzednio za jakiekolwiek przestępstwa.

Wzrost recydywistów daje się zauważyć na całym Zachodzie. W Niemczech stanowili oni w r. 1883 zaledwie 24·1$^0/_0$ ogółu przestępców, w r. 1894. — już 30·9$^0/_0$, a w r. 1907 aż 44·3$^0/_0$! (w Poznańskiem tylko 33$^0/_0$). We Francyi recydywiści wśród ogółu przestępców stanowili w r. 1885 — 43$^0/_0$, w r. 1894 — 46$^0/_0$.

W Austryi, jeśli uwzględniać tylko zbrodnie, zauważyć się daje nieznaczne zmniejszenie recydywy; lecz, jeśli przyjąć pod uwagę i skazanych za przestępstwa i przekroczenia, to i tu liczba recydywistów wzrasta: w r. 1874 stanowili 45·3$^0/_0$ przestępców, w r. 1893 — 52·2$^0/_0$.

W krajach polskich naogół recydywa jest jednak jeszcze dziś zjawiskiem znacznie rzadszem, niż na Zachodzie. Jest jednak w fazie wzrostu. Wytwarzają się przestępcy zawodowi.

Słusznie zwie ich Konczyński burzycielami porządku społecznego; stanowią oni jednak tylko aryergardę armii burzycieli. Cały lud przestępców, wszyscy ci nieszczęśnicy i wykolejeńcy, nie dorośli do poziomu społecznego; znajdują się poniżej normy, obowiązującej wolnych obywateli. Ludzie ci wpadli w matnię i z matni tej w ustroju dzisiejszym wyjść nie są w stanie. Wzrastająca ich liczba jest wymowną miarą tego, jak zgangrenowanem jest współczesne społeczeństwo mieszczańskie, jak silnie jest przez robactwo toczone. Na zgangrenowanie to wskazują ci, którzy ponad normę społeczną wyrośli. I jedni i drudzy: ci, którzy nie dorośli, i ci, którzy przerośli normę tego, co wolno, co przystoi, są prześladowani, tępieni, węszeni. To też bratnią dłoń sobie podają! zarówno katorżnik-skazaniec polityczny w kopalniach syberyjskich z analfa-

betą Iwanem-włóczęgą, z nim razem karę odsiadującym; jak i z drugiej strony w „cywilizowanej“ Europie trybun ludowy, znienawidzony i wyszydzany przez wszystkich możnych świata, z nieszczęsnym złodziejem kieszonkowym, który kradł, bo był głodny, lub ze zwyrodniałym przez dziedziczne upośledzenie, nędzę i przeżyte nieszczęścia — zabójcą, odsiadującym karę za zbrodnię, jakiej dopuściła się nań społeczność, otaczając go, zamiast urządzeniami kulturalnemi—kałem i brudem, które go w otchłań rozpaczy wpędziły.

Edward Grabowski.

SPRAWA CHEŁMSKA.

W najbliższym czasie nastąpi obcięcie Królestwa — wyodrębnienie Chełmszczyzny. Cios dawno przygotowany — uderzy; dziś już nie da się powstrzymać. Odsłoni się nowa karta w dziejach kraju tego — nowa kartka w stosunkach polsko-rosyjskich, przepełniona gwałtami nad nami i krwią, jak tyle innych uprzednich.

Myśl rusyfikacyi specyalnej Chełmszczyzny nie nowa. Jeszcze członek Komitetu urządzającego, Rusin Kulisz, przedstawiał władzom petersburskim potrzebę wbicia klina między Polskę etnograficzną a Ruś, usuwał język polski ze szkół ludowych Chełmszczyzny i zaprowadzał — rosyjski. W 1874 r. przyszło nawracanie Chełmszczyzny na prawosławie drogą gwałtu: powtórzenie tego, co w 1859 r. dokonanem zostało na Litwie i Rusi. Towarzyszyły temu barbarzyńskie okrucieństwa, opisy których czytano w parlamencie angielskim w 1877 r. W tym samym czasie z powodu okrucieństw w Chełmszczyźnie wniesioną została interpelacya w Sejmie węgierskim. Odpowiedź rządu na tę interpelacyę, że nie dotyczy ona Węgier, wywołała była artykuł w „Czasie“, pióra Józefa Szujskiego, dowodzący, że mylną jest ta odpowiedź, gdyż każdy katolik, przeobrażony w prawosławnego u granic sąsiedniej z Węgrami Galicyi, każdy Polak, przeobrażony tam w Rosyanina, zwiększa pęd Rosyi ku Austryi i Węgrom.

Tak jest. Chełmszczyzna jest pierwszej wagi posterunkiem w walce między Rosyą a Austro-Węgrami. Fakt ten podniecał — lecz czasami nawet wstrzymywał rusyfikacyjne zapędy. Np. gdy w 1894 roku z inicyatywy świątobliwego Synodu wszedł był pod obrady komitetu ministrów projekt odbierania opornie trzymających

się katolicyzmu rodzicom unickim ich dzieci dla oddawania ich prawosławnym, wystąpił przeciw wnioskowi minister wojny: nie życzący sobie, aby ludność kraju tak ważnego pod względem strategicznym, do rozpaczy była doprowadzana. Do opinii tej, będącej opinią mniejszości, przyłączył się był Aleksander III.

Historyczna walka między Polską a Rosyą, między cywilizacyą zachodu a wschodu, nigdzie bardziej nie kojarzy się z walką prawosławia z katolicyzmem, jak tutaj. Pierwsze jest historycznie skojarzone z rosyjskością, drugi z polskością. Dlatego to prawosławie popiera tam siłami wszelkich środków nihilistyczna pod względem religijnym biurokracya rosyjska, a katolicyzmu broniła wolnomyślna inteligencya polska. Brak zmysłu politycznego wśród inteligencyi polskiej mógłby tu w wielu wypadkach wywoływać występne zaniechanie—pomimo tego robiono i zrobiono dużo w ciągu lat trzydziestu (1875—1905) dla ułatwienia unitom zaspakajania ich potrzeb religijnych. Wszystko bowiem, co jest szlachetniejszego, musi stanąć po stronie ofiar gwałtu, a gwałt zadawany sumieniu, jest jednym z najdotkliwiej odczuwanych.

Stałą tradycyjną linią polityczną Rosyi względem krajów dawniej unickich przez nią ujarzmionych i przywracanych na prawosławie jest polityka ucisku religijnego. Linia ta chwilowo przełamała się w 1905 r., gdy 17 kwietnia został wydany manifest tolerancyjny. Czując się pod wpływem klęsk wojennych nader niepopularnym, carat usiłował wyzbyć się wiele z tego, co go obciążało w oczach znacznej części ludności, aby zachować się nadal w charakterze dominującego czynnika. Dano tedy wolność religijną ludności, z czego skorzystali byli unici i masami poprzechodzili na katolicyzm. Zdawało się, że bankructwo systemu stało się widoczne, że powrót do dawnego systemu ucisku religijnego będzie już niemożliwym. Lecz oto po bezskutecznym akcie wyborskim, po rozwiązaniu pierwszej Dumy, po rozkonspirowaniu się i rozbiciu organizacyi rewolucyjnych przez prowokatorów, rząd zainicyował system bezwzględnej reakcyi. Dla zgładzenia pamięci porażek i wrażenia mów rewolucyjnych z 1905 r. zajął on uwagę społeczeństwa rosyjskiego walką z innoplemieńcami: Finlandczykami, Polakami, Żydami i t. d. Nacyonalistycznym był manifest carski, zmieniający ordynacyę wyborczą do trzeciej Dumy; „Duma powinna być rosyjska" i nierosyjskie narodowości mogą w niej mieć przedstawicieli w ilości, nie dającej im możności wpływania na sprawy Rosyi", pisał manifest. Nacyonalistyczną koncesyą było zaprowa-

dzenie posłów od rosyjskiej ludności: Warszawy, Wilna, wschodnich powiatów Królestwa i Kaukazu. Ci posłowie od rosyjskiej ludności nierosyjskich krajów, więc od przedstawicieli rusyfikatorów — to organy obrony rusyfikacyi i inicyatorzy w zarządzeniach rusyfikacyjnych. Okazało się, że Rosya nie ma programu dla swego rdzenia, a tylko program rusyfikacyi i podbojów rosyjskich na kresach. Państwo to, wytworzone z podbojów, rozwijające się i utrzymujące podbojami, dzisiaj będąc za słabe dla akcyi zewnętrznej, dla nowych podbojów, symuluje podboje przez obkrajanie Królestwa, przez projektowane obkrojenie Finlandyi.

Rosyjska biurokracya ma tak olbrzymią władzę, że może i zdobywała się na bardzo energiczną walkę z polskością w tych powiatach gub. Lubelskiej i Siedleckiej, które dziś mają stanowić gub. Chełmską. Były one terenem wzmocnionej rusyfikacyi, nie dopuszczano tam prywatnych szkół polskich ani języka polskiego do instytucyi nawet prywatnych. Rząd rosyjski potrzebuje wyodrębnienia jako symulacyi zdobyczy terytoryalnych. Nie ulega jednak wątpliwości, że wyodrębnienie Chełmszczyzny, kreowanie nowej gubernii w celach rusyfikatorskich uczyni akcyę rusyfikacyjną w niej bardziej systematyczną i wszechstronną.

Tworzy się nowe próbne pole rusyfikacyi dla nowych eksperymentów rusyfikacyjnych. W nowej gubernii rząd zamierza zaprowadzić dodatkowe nabożeństwo w kościele katolickim w języku rosyjskim. Kurya rzymska może się na to zgodzić, gdyż częstokroć łudzi się nadziejami, że po wprowadzeniu rosyjskiego pierwiastku do katolicyzmu ułatwi jego upowszechnienie się w Rosyi. Ignorując organiczny związek między rosyjskiem samowładztwem i prawosławiem, nie rozumie, że katolicyzm, ogołocony z historycznie z nim związanych pierwiastków polskich nie wytrzyma w walce o byt z prawosławiem na terenie państwa rosyjskiego. Rosya miała więzienia klasztorne dla odstępujących od prawosławia. Otóż takiem wielkiem więzieniem klasztornem stanie się nowa gubernia. Żadne instytucye kulturalne polskie nie zostaną tam dopuszczone (chyba będą istnieć drogą tajemną, nielegalnie). Kolonizacya z innych polskich gubernii zostanie powstrzymana. Polak utraci prawo kupowania ziemi od niepolaka. Stanowiąc olbrzymią większość w kraju — w organie lokalnego samorządu — w ziemstwie, ludność polska będzie ograniczona w ten sam sposób, jak to uczyniono dla Litwy i Rusi. Walka z polskością, postawiona jako główne zadanie administracyi w nowej gubernii, da pole przeróżnym zdzierstwom, nadużyciom

i samowoli. Wszystko to spadnie na ludność, podniecona kilkudziesięcioletniem prześladowaniem religijnem, wspomnieniem chwili tryumfu z 1905 r. Jeżeli się ugnie — skapituluje — zrusyfikuje ta ludność, zostanie wbity klin między części Galicyi i Królestwa, zostanie wskazana dalsza droga polityce rusyfikacyjnej na ziemiach polskich. Sprawa tej ludności — to nasza sprawa; ona to korpus zaatakowany a ważny dla kampanii. Danie im posiłków to nasz obowiązek.

Obcięcie Królestwa — to nowa stronica w życiu tego kraju: musi ona być wypełniona i będzie! — walką czynną.

Rząd rosyjski pragnie stworzyć więzienie klasztorne, lecz może stworzyć Macedonię. *Wł. Studnicki.*

ZOOLOGIA DZIENNIKARSKA.

W pierwszych dniach listopada 1911 roku obchodzono w Paryżu pięćdziesięciolecie pracy literackiej i publicystycznej głośnego autora stu, dawno zapomnianych powieści, dziennikarza — niezmordowanego felietonisty „Temps“, — wreszcie od lat trzydziestu dyrektora Komedyi Francuskiej, pana Jules Claretie. Bankiet wyprawiało Stowarzyszenie dziennikarzy republikańskich i na zakończenie śniadania, dziękując za hołdy, mówił jubilat: „Dziennikarstwo jest wielką siłą, jest szkołą polityki i życia, i jeżeli mężowie stanu, którzy dobrze rządzili Francyą, nauczyli się zabiegać koło sprawy publicznej w walce codziennej interesów i idei, zawdzięczają tę umiejętność walkom, toczonym na szpaltach dzienników, zawdzięczają ją zwycięstwom na nich odniesionym — i ranom. Znałem dziennikarstwo w czasach, kiedy było rzeczą niebezpieczną uprawiać ten zawód, za cesarstwa, kiedy za kilka kropel atramentu można było odpowiadać wolnością. Byłem dziennikarzem i pozostanę nim aż do końca życia. I w olbrzymiej ilości kartek, napisanych przezemnie, niema ani jednej, którejby potrzebował się wstydzić młody dziennikarz, którym byłem, dziennikarz stary, którym jestem“....

Starość, jak wiadomo, widzi zawsze przeszłość przez mgłę różową. Być może zresztą, że za młodych dni Claretie, za dni cesarstwa prasa walczyła i w tej walce hartowały się dusze, urabiały charaktery. Oczywiście prasa pewnego rodzaju, prasa republikańska. W zastosowaniu do francuskiej prasy współczesnej słowa powyższe wydają się co najmniej ironią. „Szkoła życia“! Kto codziennie, z potrzeby, latami urobionej,

sięga po rozpowszechnioną gazetę, „najlepiej poinformowaną“, po „Matin'a“ albo „Journal“, zgorszony jest jej treścią, a raczej brakiem w niej treści, do której przyzwyczajony jest polski czytelnik. I ten sam czytelnik, który to wychował się w niezadowoleniu z prasy polskiej, który ją wciąż smagał „Europą“ — tęskni do „Nowej Reformy“ i miłosnym niemal szeptem wspomina „Kuryer Warszawski“.... Informacyi, których szuka, nie znajduje. Ważne wypadki, jeżeli tylko nie trącą skandalem — pominięto milczeniem; wspomina się o najważniejszych w trzech wierszach petitu, rzuconych w ogonie pisma. Wiadomości te i o ile im towarzyszy przelew krwi, pojedynek, awantura — mogą być podniesione do poziomu depeszy stylizowanej. Mógłby kto mniemać, że w tem pomijaniu życia pozafrancuskiego, znajduje sobie wyraz wyłączność Francuza, który nie tylko „nie zna geografii“, ale mało posiada ciekawości dla wszystkiego, co się dzieje poza jego ojczyzną. I to przypuszczenie byłoby tylko w części prawdziwem: w tych wielkich dziennikach porannych nawet sprawy wewnętrzne Francyi traktowane są ze stanowiska skandalu, albo interesu osobistego. Dziennik nie jest bynajmniej obrazem tego życia, tak bogatego pod każdym względem w nowe wzory, tak niespokojnego, wypełnionego walką, tęsknotą, często marzeniami. Któżby tam zajmował się kształceniem opinii politycznej, albo społecznej! To są rzeczy nudne i na to mamy szkołę. Zamordowano przy ulicy „Czterech Wiatrów“, albo „Pięciu Dyamentów“ dziewczynę. Inną wyrzucono oknem z wagonu kolei żelaznej. Tu mąż zamordował żonę wiarołomną, ówdzie minister rozchodzi się z żoną; znaleziono trupa niewiadomego mężczyzny albo tylko nogę męską, albo ucho niewieście — cała pierwsza strona wielkiego dziennika zajęta jest opisem — nieraz pięknie, po literacku skreślonym — szczegółów zbrodni, domniemań, podejrzeń, nadziei, wskazówek dla policyi. Policya, „idąc za naszemi wskazówkami“ — pisze „Matin“ — znalazła drugie ucho owej nieszczęśliwej kobiety, marynarkę owego mężczyzny, którego jednej nogi złoczyńcy nie zdążyli ukryć — (a „Journal“ nazajutrz powie: „une sale feuille du *matin*“, ośmieliła się twierdzić, jakoby to jego informacyom policya zawdzięczała, i t. d.). Tak z powodu jednego zabójstwa trzy dni z rzędu naczelne szpalty dziennika, bijącego pół miliona egzemplarzy, żyją obrazami, akcesoryami, terminologią zbrodni. Podaje się te szczegóły w literackim sosie, przybrane we festony lirycznej frazeologii. Kryminalistyka nieraz ostrzegała, że nieletni zbrodniarze uczą się rzemiosła na dokładnych opisach, znajdowanych w dziennikach. Nieraz zapisywano książki całe skargami na prasę stołeczną, jako na źródło zarazy moralnej. I nawet sam „Matin“ albo „Journal“, w miesiącach kanikuły, gdy wysychają całe grupy Gej-

zerów skandalu (Izba deputowanych, całe życie polityczne, ministerya, administracya, teatr), w ankietach moralnych, piórami profesorów, albo tych samych dziennikarzy, przemawiają za reformą prasy codziennej... aż do nowej wielkiej zbrodni. Kto pamięta sprawę pani Steinheil, pani Humbert — ten nie obroni się wrażeniu, że staraniem dziennikarza francuskiego te smutne postacie wyrastały na bohaterki, godne podziwu, jeżeli nie szacunku.

Dziennikarz paryski typu t. zw. redaktora „Matin'a" albo „Journal'a" [1]) zajmuje się nietylko opisywaniem zbrodni już popełnionych. Nietylko smakuje i delektuje się czynem dokonanym. Jest to człowiek obdarzony fantazyą. Słyszy, jak trawa rośnie. Dla miłości prawdy, rycerz prawa i sprawiedliwości piętnuje czyny, których się domyśla. Ostrzega przed ludźmi, którzy mu się wydają podejrzani, nieczyści... Któżby wątpił, że ma prawo; któżby śmiał podawać w wątpliwość, że ma zgoła obowiązek piętnować, ostrzegać? Któż to uczyni, jeżeli nie on właśnie, obrońca porządku społecznego? Jeżeli się myli, czy poda kto w wątpliwość dobrą jego wolę i wiarę najlepszą?

W tym samym czasie, w tym samym niemal dniu, gdzie szlachetni koledzy obchodzili jubileusz Jules Claretie'go, na szpaltach „Journalu" znakomita profesorka Sorbonny pani Curie-Skłodowska, została znieważona przez dziennikarza. Została oskarżona o to, że... uwiodła profesora „Collége de France" pana Langevin'a! Redaktor „Journal'u" prowadzi nas do Fontenay sous Roses, do willi, gdzie znajdujemy żonę i teściową pana Langevin'a. Matka, pani Langevin, trzyma na kolanach dwuletnią zaledwie cudowną dziewczynkę. Skarży się na okrutny los córki. Pomyśl pan: życie pełne uroku, sześcioro dzieci, taka żona.... Poemat ten został strza-

---

[1]) Zaznaczmy, że na drabinie wartości, te dzienniki bynajmniej nie zajmują szczebla ostatniego. „Petit Journal", Petit Parisien" (milion, czy półtora miliona egzemplarzy!) stoją jeszcze niżej. Mówi się ze wzgardą, że pisma te czytają konsjerżki paryskie. Czytają je miliony ludzi w całej Francyi. One, kosztem setek tysięcy urządzają loty awiatorów ku chwale... Francyi i... postępu. One największą i najskuteczniejszą czynią reklamę wszystkim przedsięwzięciom finansowym. One „finansują" pożyczki. Z tego źródła największe czerpią dochody. Francya żywi pieniądzmi swemi państwa świata całego. Dała Rosyi 13 miliardów franków. Ileż milionów tytułem opłaty za namowę do lokaty oszczędności, a ileż za ... milczenie otrzymała prasa francuska! Nikt ich nie obliczy. Z tych źródeł czerpią nietylko „Petit Journal" i „Petit Parisien". Czerpią i wielkie dzienniki. Czerpią redaktorzy, czerpią indywidualni dziennikarze. Wymienia się takich niekiedy z imienia. Protestują. Pozywają do sądów. Wyzywają na rękę. Sprawy nie przychodzą do skutku. Pojedynki bywają powikłane. Dziennikarze śmieją się.

skany. Pan Langevin był współpracownikiem pana Curie, nauczyciela swego, później został współpracownikiem i przyjacielem jego wdowy, wreszcie porzucił żonę i dzieci i teściową, i nie wiadomo, gdzie się podział. Ale serce połowicy odgadło drogę, wyczuło manowce wiarołomstwa. Odruch serca zresztą poparty dowodem niezbitym zdrady małżeńskiej. Szlachetny reporter wzruszony tą opowieścią oddaje się smutnym medytacyom na temat trójkątów małżeńskich. I dodaje sentencyonalnie: „fakt jest niezbity, że pani Curie jest również introuvable“... Nazajutrz znalazła się p. Curie-Skłodowska dla „Journal'a“; tegoż jeszcze wieczoru „Temps“ przyniósł telefoniczną z nią rozmowę z Brukselli, gdzie od dwu tygodni z gronem międzynarodowem fizyków bawiła na konferencyi naukowej, zwoływanej przez Solvay'a. Ktokolwiek tam był, a dowiedział się o nikczemnej napaści, protestował: Emil Borel, Poincaré — że wymienimy i u nas popularne nazwiska. Im uczciwszy człowiek, im lepiej znający Francuzów — tem protestował, oburzał się, złorzeczył goręcej. Rozumiał każdy, ile krzywdy niecofnionej, nie do naprawienia wyrządzić może oszczerstwo kobiecie, w szczególności zajmującej tak wybitne, jedyne stanowisko w urzędowym świecie profesorskim francuskim. Ile — ponadto cudzoziemiec, samotnie odosobniony w zwartej koteryi obłudników akademickich, ich pustych żon i ciotek, w zazdrosnym kurniku chantecler'owych perliczek i bażancic. Ile — wreszcie — wśród niezliczonego tłumu zazdrośników w uniwersytecie, w Akademii francuskiej, do której niedawno przecie wpuścić jej nie chciano. *Calumniare audiacter, semper aliquid haeret* — niejeden z tych uczciwych i rozumnych ludzi w Brukseli zgromadzonych, pamiętając o własnej rodzinie, o filistrach domowych, o niechętnych, o zazdrosnych z trwogą powtarzał sobie starą maksymę łacińską. Niejeden z członków Instytutu, z liczby tych, którzy zarzekali się, aby pani Currie do fotelu Nieśmiertelnej nie dopuścić, zacierał już ręce z radości i powtarzał: „jak to dobrze, żeśmy jej nie wpuścili“....

Gdyby w tej prasie, o której tak pięknie i z takim pietyzmem wspomina jubileuszowo nastrojony pan Claretie — był ślad jakiego sumienia, jakiego poczucia odpowiedzialności za słowa i czyny, jakiżby orkan oburzenia powinien się zerwać, aby powalić huligana, aby łotra wyświecić i zaświadczyć, że dziennikarz nie koniecznie musi posiadać uczciwość galernika.

Ucieszył się „Matin“ z nieszczęścia współzawodnika, interview'wował kogo się dało w Brukselli, usłyszeliśmy zwykły zwrot o *une sale petite feuille du matin*. Ktoś inny, wzruszywszy ramionami, zauważył, że nie darmo nazywa się „Journal“ od nazwiska redaktora naczelnego

La Maison Tellier, nosząc nazwę dobrze znaną czytelnikom Maupassanta.... Tymczasem nadeszły skandale w administracyi prochowni francuskich, prezydent ministrów deklamował trzy godziny przed wyborcami w St. Calais, szukają zabójcy z Laval, zawarto wreszcie traktat marokański z Niemcami i zjechała znowu do Paryża po długiej nieobecności Sarah Bernhardt. Rozpoczęły też obrady swoje Izby prawodawcze. Któżby wobec tego nawału materyału bieżącego, myślał jeszcze o onegdajszej zbrodni, o czci człowieka, o godności kobiety [1])? Dziennikarz paryski? [2])

Paryż, 7 listopada. *Stanisław Posner.*

Z RELIGII WOLNYCH DUSZ.

Forma zabijająca ducha przybrała w ostatnich czasach charakter dwóch systemów: materyalizmu kościelnego i materyalizmu pseudo-wolnomyślicielskiego. Jeden i drugi przemienił się w organizacyę wyznaniową, z papieżami, świętymi, dogmatami i inkwizycyą; jeden i drugi jest kościołem wiernych bez religijności. Rozumie się, że wolna myśl ma zawsze dodatnie znaczenie, o ile jest myślą krytyczną; w dziedzinie postępu oryentuje i ułatwia

---

[1]) Na skutek interwencyi dwu asystentów pani Curie dziennikarz zamieścił list, przepraszający panią C. W wyrazach, pełnych uniżenia i smutku przysięgał, że działał w dobrej wierze, że padł ofiarą podejścia, że nigdy więcej tą sprawą zajmować się nie będzie. Jednocześnie dzienniki przyniosły wiadomość, że 10 grudnia Akademia szwedzka przyznała pani Curie wielką nagrodę Nobla, która w roku bieżącym wynosiła około dwustu tysięcy franków. (Przypisek autora dodany w korekcie).

[2]) Szanowny nasz współpracownik oburza się, zupełnie zresztą słusznie, na dziennikarstwo i dziennikarzy Francyi. Przeoczył jednak kraj, w którym wszystko — inaczej, inaczej, inaczej... U nas w Polsce potwarze i kłamstwa leją się nie z pod pióra brukowych dziennikarzy, lecz z pod piór, mających pretensye figurowania w dziejach literatury. Rozwydrzenie huligańskie ma swoich przedstawicieli w osobach, które pretendują do miana świeczników narodowych. W rynsztoki przemieniono u nas czasopisma, mające służyć celom rzekomo idealnym. We Francyi — człowiek pokrzywdzony znajduje swojego Zolę, satysfakcyę publiczną. U nas inaczej.

Dla p. Curie-Skłodowskiej przykrość doznana zmienia się rychło w tryumf. Czas, aby i Polska przypomniała sobie o wielkiej swej córce. Wyrażamy na tem miejscu nadzieję, iż na najbliższem dorocznem posiedzeniu naszej Akademii Umiejętności p. Curie-Skłodowska zostanie zamianowaną członkiem tego ciała naukowego. Bez związku z kampaniami dziennikarskiemi: zaszczyt ten należy się naszej uczonej i powinien jej być jak najprędzej przyznanym. Red.

życie, ale tutaj też jego granica — przynajmniej u narodów mniej kulturalnych, które nie mając umysłowości prawdziwie swobodnej, przesiąknięte zabobonnością wczorajszą, z której należycie otrząsnąć się nie zdołały, przechodzą z pod jednego jarzma w drugie. I jestto zupełnie zrozumiałe: narody te tak długo myślały kategoryami wyznaniowemi, iż wyzwoliwszy się pod wpływem interesów życiowych z pod suggestyi dotychczasowych przewodników — powierzają się nowym, zachowując jednak dawne nałogi myślenia i formy kultu.

Przeciwne te sobie twarde mury dogmatyczne tak ścisnęły w ostatnich czasach istotę religijności, że groziła jej śmierć z uduszenia. Że czyni to kościół oficyalny — wiemy dobrze, i ruch „modernistyczny“ jest przeciw temu wymownym protestem. A że czyni to kościół wolnomyślicielski — aż nadto wyraźny mamy dowód w ostatniem wystąpieniu Ernesta Haeckla, który przyjmując hołd kongresu monistów, gorąco upominał swych wyznawców, by pielęgnowali ducha religijnego; widocznie bardzo przeciw temu grzeszono.

P. Andrzej Niemojewski, papież kościoła pseudo-wolnomyślicielskiego w Polsce, rzetelnie w ostatnich kilku latach się przyczynił do stłumienia wśród swych czytelników ducha religijnego. Spotykał się w swej pracy z polemiką pisarzy katolickich, ale ich walka była tylko konkurencyą kupców z przeciwnego sklepu i myślący ludzie słusznie ją ignorowali. W imieniu sympatyi, jaką się winno pisarzowi, demaskującemu klerykalizm i nawołującemu do krytycyzmu, przebaczało się długo p. Niemojewskiemu wszystkie indywidualne jego przywary i umysłowe wykroczenia, kładąc je na karb rozmachu agitacyjnego. Miarka się jednak przebrała.

T a d e u s z M i c i ń s k i wystąpił przeciw rozwydrzonemu demagogowi, zabijającemu w imieniu formy — ducha, w osobnej książce [1]). Niewielu ludzi miało tyle prawa to uczynić, co autor „Nietoty“, który w szeregu widzeń o niesamowitej sile przedstawił konieczność oderwania się Polski od Rzymu. Odrzucając łańcuch wieków, czyniący go więźniem Watykanu, tem swobodniej oddycha Miciński powietrzem wyżyn, gdzie najlepiej właśnie czuje pełnię życia religijnego. („Życie religijne jestto rzucenie się we wszystkie otchłanie bytu z tą myślą i z tem przeświadczeniem, że wszędzie odnajdziemy się w Nim — Nieśmiertelnym“, str. 1; więc dążenie

---

[1]) Tadeusz Miciński: Walka o Chrystusa. Warszawa, nakład S. Sadowskiego. Str. 139.

do przebóstwienia się człowieka). Bolem i oburzeniem przejęła go próba, podjęta przez autora książki: „Bóg Jezus“ wygnania z tego życia — postaci Chrystusa; stąd obecna odpowiedź [1]).

Oburzenie podyktowało p. Micińskiemu ustępy polemiczne, o wielkiej miejscami potędze satyrycznej. Zadużo czyni nimi redaktorowi „Myśli Niepodległej“ honoru. Żaden z głębszych wolnomyślicieli polskich, począwszy od przezacnego Ign. Radlińskiego, przy p. Niemojewskim nie stoi, on sam zaś spełnia na śmietniku klerykalizmu i zabobonu rolę miotły, której od czasu do czasu można wyrazić nawet uznanie, ale zbytnio dotykać się jej nie należy. Chodzi tylko o skontrolowanie, czy „Bóg Jezus“ może mieć wartość poważną.

Przed kilkoma laty propagował p. Niemojewski namiętnie tłómaczonego przez siebie Renana. Obecnie przyszedł do przekonania, że Renan jest przestarzały, gdyż Chrystus wrzekomo nigdy nie istniał, a myty o nim są odmianami mytów astralnych ludów ówczesnych. Już ta łatwość, z jaką p. Niemojewski zmienia swoje zdanie i tworzy systemy, jest uderzającą. Ktokolwiek zajmuje się nauką, wie dobrze, jak olbrzymiem jest pole wiedzy współczesnej o religii: p. N. w krótkim czasie opanował to, co cała plejada uczonych po dziesiątkach lat fachowych studyów podaje w takiem np. dziele, jak Schielego: „Die Religion in Geschichte und Gegenwart“, nadto zdołał skonstruować własną teoryę. Barnuma godny sposób, w jaki p. N. swoje dzieło obwozi i poleca publiczności zagranicznej, odbiera doń resztę zaufania. Mimo to Miciński analizuje to dzieło poważnie, uzbroiwszy się w bogatą erudycyę; bez pretensyi do własnych dociekań naukowych, z cytowaniem zawodowych uczonych europejskiej miary.

Analizuje tedy teoryę mitów astralnych Dupuisa, będącego głównym skarbcem mądrości Niemojewskiego. „Dupuis — powiada — niewątpliwie słusznie wykazuje moment stopienia się kultu słońca z kultem Chrystusa. Kult chrześcijański, rozrastając się na gruncie niesłychanie użyźnionym przez kult Mitry, Heliosa, bogów rzymskich, Izydy, Tamura i in., przyjął mnóstwo symboliki i wiele z rytuału dawnych religij“. System ów Dupuisa jest jednak zastosowaniem do studyów nad religiami, jak mówi Reville, systemu apriorycznego, a p. Niemojewski doprowadził go do absurdu. Miciński

---

[1]) O książce p. Niemojewskiego pisał p. Jan Grabowski w „Krytyce“ (V 1910) pt. „Pogromca bogów“.

zgadza się z uczonymi, którzy bezwarunkowo przyjmują historyczność Jezusa; doprowadzają go do tego — źródła, dalej dowód psychologiczny („wymyśleć życie Jezusa mógłby tylko geniusz równy jemu“), nareszcie analiza teoryi mytów astralnych; teorya ta stara, rzucająca bezwarunkowo światło na formowanie się pojęć i obrzędów chrześcijańskich, stosowana mechanicznie, popada w nierozwiązalne sprzeczności; zresztą „możnaby Piasta też wytłomaczyć ...nad Gopłem: kołodziej — oczywisty krąg słońca, aniołowie — więc gwiazdy, Rzepicha — to astralna dziewica“.

Ostatecznie o co chodzi Micińskiemu?

„Ani w klerykalizmie i bigoteryi — woła — wytrwać Polakom niepodobna, ani niepodobna znosić rządu takich wolnomyślnych gubernatorów, jak p. Niemojewski. Jak chętnie przyznalibyśmy mu zasługi, że idzie za postępem, gdyby jednocześnie nie wniósł dżumy!“ „Trzeba naukowo badać wierzenia, lecz nie zakrywać oczu w imię „nauki“ na niezmierne rozszerzenie dzisiejszych religijnych i psychicznych horyzontów. Trzeba walczyć z żydami, o ile reprezentują zgubne zasady Talmudu i Szulchan Aruchu. Trzeba wymagać od księży, aby zamiast walczyć z postępem i wyklinać go — zrozumieli, że Chrystus zwyciężył tylko w imię Postępu i Ewolucyi, że tylko szczerością, pogłębieniem, brakiem kompromisów i prawdą, widzącą wszystkie otchłanie — możemy dalej iść. Nie możemy zamknąć się w tych wiadomościach o świecie, które ma Summa św. Tomasza: była na swój wiek wysoka, jak kolońska wieża; dziś jest arcydziełem historycznem, jest współczynnikiem, nie zaś miarą i granicą rozwijającej się wiedzy. Jak nie jest miarą i granicą dla wiedzy naszej — Dante. Ale nie możemy już znieść, aby pod pozorem postępu intelektualnego — przewodziło nam wstecznictwo duchowe. Wszakże p. Niemojewski z pisma swego zrobił jakiś kresowy folwarczek starego autoramentu, gdzie rządzi się z bizunem w ręce!“

W rezultacie chodzi Micińskiemu o uratowanie Chrystusa — zarówno przed nierozumiejącym go klerem, jak i przed Niemojewskimi. Dla Micińskiego Chrystus historyczny istniał, a żywy w duchu istnieje i dzisiaj. Widząc w religijności pierwiastek, zlewający człowieka z nieśmiertelnością, wielbi w Chrystusie symbol samej Nieśmiertelności.

Ostatecznie więc rozchodzi się o t e g o Chrystusa, którego Miciński w powodzi tęcz, mgieł i widm ewangelij c h c e widzieć: o symbol się rozchodzi.

Spór o historyczność Chrystusa jest zagadnieniem o bohatera. Zasadniczo ważnem jest zagadnienie żywe, Chrystus obecny, chrześcijaństwo.

„Dla nas — pisze Jan Hempel w śmiałej i bogatej swej książce [4]) — których zajmuje Chrystus przedewszystkiem jako. postać... na życie oddziaływująca, kwestya jego historyczności nie przedstawia wielkiego interesu". „Założenie, rozwój i charakter chrystyanizmu jest zupełnie niezależny od historyczności postaci Chrystusa; podobnie jak charakter i rozwój buddyzmu bynajmniej nie jest uwarunkowany historycznie jakiegoś tam Buddy istnieniem. Przeciwnie, raczej postać taka, mitycznego religii założyciela, urabiała się potem jako odbicie, jako artystyczna krystalizacya rozproszonych i ściśle jeszcze nie wyrażonych etycznych i kosmozoficznych poglądów".

Temu historycznemu chrześcijaństwu Hempel przeciwstawia się bezwzględnie.

Czyni to drogą analizy i syntezy. Punktem wyjścia Hempla— fanatyczne ukochanie wolności. Filozofia jego jest metafizyką wolności. Człowiek dotąd był niewolnikiem, nad nim był Pan, ten zmieniał historycznie swój charakter, funkcye, z despoty azyatyckiego stał się abstrakcyą, ale zawsze ciąży na woli człowieka: zupełna emancypacya z zależności jest warunkiem godności i twórczości człowieka. Rozbiera Hempel punkt po punkcie „Kazanie na górze", uznawane za najbardziej essencyonalną treść nauki i etyki chrześcijańskiej: Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest królestwo niebieskie. — Błogosławieni, którzy się smęcą, albowiem pocieszeni będą — Błogosławieni cisi, albowiem oni odziedziczą ziemię — Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni nasyceni będą itd. itd. — Tym wszystkim poglądom przeciwstawia autor tendencye woluntarystyczne człowieka nowoczesnego, który, uzbrojony w dumę i siłę, sam swe losy stwarza. Syntezą ma być Piast-Herkules polski, nie zepsuty przez dary galilejskie, otrzymane ongi od wędrowców. „Mocny on i nie ustępliwy, jak Herkules, a jak Piast — serdecznie braterski, kochający, jasny i dostojny. Taki jest człowiek naszej, żywej i w jutro patrzącej cnotliwości. A kiedy mówię: naszej — nie znaczy to, jakobyśmy zamknąć się pragnęli w wyłączności rodowej czy językowej.

---

[4]) Jan Hempel: Kazania piastowe. Bielsk, 1912. Cena 1·50 rub. Adres autora: Dr. J. Zieliński, Paryż, 30 Place de la Nation 30 — dla Jana Hempla.

Wszak idea nasza, nasza pospolita rzecz, każdemu była gościnnie otwarta, kto ją wyznawał, kto jej ukochał cnoty...“

Hempel pisze, jak poeta. Jest entuzyastą i apostołem Wolności, która zastępuje mu objawienie. Wyznaje to, ale temsamem staje odrazu kwestya religijna na najwłaściwszym gruncie, na którym stawia ją najkompetentniejszy w tej mierze teoretyk: James. Podnosi James bogactwo i rozmaitość natury ludzkiej, czego wynikiem musi być i zawsze pozostanie współistnienie różnych religij. O tem musimy pamiętać, jeśli nie mamy popaść w sekciarstwo. Ta naturą ludzką predysponowana rozmaitość pozwala rozmaicie interpretować także chrześcijaństwo i „Kazanie na górze“ — nie w ten niski i obłudny sposób, w jaki to praktykują natury niewolnicze i oficyalni reprezentanci kleru. W świetle wyższych pojęć tym, „którzy się smęcą“, niekoniecznie musi być przeciwstawiany człowiek radosny; trudno zaiste zawsze być radosnym, a nie są najgorsi ci, którzy, jak Pascal szukają płacząc, ani ci, którzy, jak Mickiewicz, tęsknią. Taksamo „cisi“ niekoniecznie są synonimem fałszu i pokory; jest cisza serc, o której mówi Norwid, Maeterlinck. Najważniejsze jest uczucie religijne. Hempel analizuje je i dowodzi, że wszystkie jego dodatnie strony posiada także objawienie Wolności, jest ono tedy objawieniem religijnem, mającem tę wyższość, iż jest bezpańskie. Już Schleiermacher powiedział, że jeśli cechą religijności ma być uczucie zależności — to pies jest stworzeniem najbardziej religijnem. Mistyczne stopienie się z bóstwem niekoniecznie musi odebrać swobodę. Chcemy tedy rozszerzyć koło ludzkości religijnej, jak najbardziej zdala trzymać się od sekciarstwa, w przyszłość spoglądać, budować się mającą na gruncie miłości i sub specie aeterni — a to dla nas główny religijności pierwiastek, nie zaś w przeszłość, w niezbyt szczęśliwie przez Hempla sformułowane cnoty „chlebne i miodowe“. Szeroki wiew swobody, bijący z „Kazań piastowych“, niejedną duszę zdoła oczyścić z naleciałości i szpetoty wieków, natchnąć ją nie porywami chwilowymi, ale dążeniem ku Bohaterstwu.

Dla zapobieżenia wszelkim nieporozumieniom muszę jeszcze raz podkreślić. że bezwzględnie i stanowczo trzeba obstawać przy zasadach wolności, samowładztwa i krytyki, głoszonych między innymi także przez Hempla, i że zasady te absolutnie są sprzeczne z oficyalnymi kościołami, zarówno katolickim, jak i żydowskim. Doskonale można jednak pojąć, iż jednostki wysokiej miary godzą je z czystem chrześcijaństwem i jego idealnym twórcą. Należy ko-

ściołom wojującym przeciwstawić się w tem, co w nich obskurnem jest i fanatycznem, ale podawać rękę do zgody każdemu, kto ma duszę na tyle szeroką, iż uznaje wolność duchową i czynami nie krępuje ludzkości w jej pochodzie.

O przyszłość się rozchodzi, o tworzenie nowej, lepszej ludzkości.

Najważniejszą do niej drogą — wychowanie dzieci i młodzieży w nowym duchu, wychowywanie nowego człowieka.

Poznał to i niestrudzenie głosił Franciszek Ferrer. W tem wielkie jego znaczenie.

Życiorys, który mamy przed sobą [1]), czcią przepełniony jest dla bojownika, który dnia 12 października 1909 r. został rozstrzelany przez szalejącą reakcyę hiszpańską. Z reakcyą tą łączą się reakcyoniści wszystkich krajów; znalazł się także profesor świecki uniwersytetu krakowskiego, usprawiedliwiający ów mord (tensam profesor oficyalnie reprezentował potem Wszechnicę Jagiellońską na zjeździe czarnej międzynarodówki, używającej języka polskiego; trudno o lepszą ilustracyę naszej oficyalnej kultury!). Zrozumiałą jest tedy rzeczą, że Ferrer staje się symbolem i centrem organizacyjnym miłośników wolności całej Europy. Zauważył jeden z myślicieli, że moraliści od wieków ciągle narzekają, iż *ich czas* jest szczytem przewrotności i zepsucia; mają w tem słuszność, gdyż najgorsze jest zło, które w *danej chwili* panuje. Co do Ferrera trzeba przypomnieć, iż już po wyjściu polskiej biografii przeprowadzono w parlamencie madryckim kilkudniową debatę, która wykazała jego niewinność, następnie, że jeden z bogatych wydawców anglo-amerykańskich wysłał był do Hiszpanii fachowego badacza, który przeszło rok zbierał i krytycznie roztrząsał materyały: w rezultacie przyszedł do przekonania, że Ferrer nie był ni geniuszem, ni idealną postacią, ale działaczem wybitnym o czystych przekonaniach i środkach [2]).

Jak wszyscy agitatorzy — nie odznaczał się pogłębieniem filozoficznem swoich poglądów. Wyjątki z jego pism świadczą, iż był typowym racyonalistą ze szkoły Haeckla itd., z tem pogorszeniem, że utożsamiał dwie odrębne rzeczy: religię i wyznanie, i walcząc z przesądami wylewał — jak mówią Niemcy — dziecko wraz z kąpielą. Wypowiedział jednak, iż należy dążyć do przekształcenia

[1]) Francisco Ferrer. Życie i dzieła. Z 3 ilustracyami i autografem. Na język polski przełożył Fr. Sarnek. Wstęp K. Bujwidowej. Kraków. Nakład Tow. [illegible]ego. Skład główny w księgarni Gebethnera i Sp.

[2]) Wiliam Archer „The life trial and Death of Francesco Ferrer“.

obecnego wychowania; w L'Ecole rènovèe pisał: „Śledzimy z największą uwagą prace uczonych, którzy studyują dziecko i usiłujemy wynaleźć środki, aby zastosować wyniki ich doświadczeń do wychowania, o jakiem marzymy, w znaczeniu coraz to pełniejszego wyzwolenia jednostki". Wyzwolnnie to rozumiał szeroko, także politycznie i ekonomicznie; założył „Ligę międzynarodową dla racyonalnego wychowania młodzieży" — dość tytułów do życia pozagrobowego.

Różnorodne te zjawiska, które rozpatrywałem, mimo swojej odmienności zgodne są w swych dążeniach do przywrócenia rozumowi, wolności i godności ludzkiej ich praw, i do zastępowania skostniałej dogmatyki wyznaniowców — uczuciem prawdziwie religijnem, łączącem człowieka z wszechświatem, dodającem mu swobody i sił do postępu na drodze podboju przyrody i szerzenia humanitaryzmu.

I zwiększa się zastęp wyznawców tych idei w Polsce, mimo przeszkód zzewnątrz i mimo narzucania się jednostek, które poto obalają dawnych papieży, by sobie tyarę papieską przywłaszczyć. Zastęp ten nie jest zresztą w Polsce ni nowym, ni intruzem: ma Polska w tym kierunku świetne tradycye z czasów najwyższego swego rozkwitu, z czasów zygmuntowskich, ale reakcya jezuicka tak gruntownie zniszczyła reformacyę w Polsce, iż nawet ślady jej pozacierała. Teraz dopiero zaczynamy je odkrywać w trudzie niemałym.

Jeden z najciekawszych przyczynków ogłosił wielostronny uczony badacz, Henryk Merczyng [1]). „Dawno już bardzo — pisze — spotykamy u autorów, pracujących nad dziejami Reformacyi w Polsce, podanie, iż w czasie najbujniejszym rozwoju u nas ruchu akatolickiego mieliśmy sekty, a właściwie kierunki filozoficzne, oparte jeżeli nie na czystym ateizmie lub materyalizmie, to w każdym razie od niego niedalekie". Dzieła, w których nauka wolnomyślicieli polskich ówczesnych była wyłożoną, zginęły wszystkie, z taką zapalczywością je tępiono; zachowały się jednak polemiczne, przeciw nim skierowane, a jedno z nich, pisarza aryańskiego Czechowica, kaznodziei w Lublinie, pozwala odtworzyć całą naukę zaginionej szkoły. Podaje ono szeroki obraz stosunków religijnych w Polsce za Zygmunta Augusta, poczem charakteryzuje doktryny sekty „po-

---

[1]) „Polscy deiści i wolnomyśliciele za Jagiellonów". Warszawa. Księgarnia E. Wende i Sp.

gano-żydów“. W rozumowaniach swoich podawała ona w wątpliwość prawdę bezwzględną pisma św., wykazywała aż 139 sprzeczności w Nowym Testamencie. Pozostaje tedy Stary Testament i żydzi mieliby racyę, ale wywołują oni niechęć, a ich praktyki religijne częstokroć wstręt; zresztą i w Starym Testamencie są sprzeczności. Stary Testament i Nowy są tedy dziełem rąk ludzkich, wyrzucić więc z nich należy wszystko, co takiem się wydaje i wrócić do prawdziwej etyki, t. j. do dekalogu.

Ciekawem jest to — konkluduje prof. Merczyng — że u nas myśli te nietylko powstały, ale drukiem je głoszono wtedy, gdy wszędzie na świecie gorzały stosy tych heretyków, którzy tak lub inaczej różnili się w zdaniu o tych podstawach wiary, które u nas w zupełności odrzucano. W fakcie, iż Polska miała za Zygmunta Augusta swych epikurejczyków i wolteryanów leży dowód niezmiernej żywotności ówczesnej polskiej umysłowości. *Lux.*

ROSYA A MY.

Kota nie zrobisz jaroszem. O tej niezbitej prawdzie zapomnieli owi dobroduszni politycy polscy, tak czerwoni, jak i blado-różowi i zgoła biali, którzy sześć lat temu jęli się jałowego trudu godzenia nas z Rosyą — z czerwoną Rosyą „bolszewików“, czy też z blado-różową Rosyą Milukowa, czy nawet z białą Rosyą październikowców. Zapomnieli poprostu, czem Rosya jest.

Rosya — to państwowa powłoka prawosławia. A prawosławie, to kościół na wskróś zbarbaryzowany przez stulecia krzewienia się wśród najciemniejszej ludności, pod trumiennem wiekiem zwierzchnictwa mongolskiego. Prawosławie — to kościół do cna wyjałowiony z treści ideowej, bo niemal już pół tysiąca lat temu zdobycie Carogrodu przez Turków zasypało mu źródło, skąd treść ta tryskała. Prawosławie — to kościół, który już nie odsłonięcia głębin duszy przed bóstwem wszechwiednem a litościwem wymaga, tylko ugięcia grzbietu przed ikonem dyamentookim i pudami blachy złoconej. Prawosławie — to kościół, który nawraca niesłowem, ale nahajką. A co gorsza, prawosławie — to kościół, który nie zna pojęcia ludzkości, tylko widzi przepaść między wiernymi a niewiernymi, a wśród tych niewiernych widzi miliony dziedzicznych swych wrogów, których wcale nie pragnie nawracać, ale tępić.

Co więcej: prawosławie samo głęboko przeświadczone jest o swej bezsilności duchowej wobec kulturalnie wyższych organizacyj kościelnych

Zachodu i dlatego wobec ich współzawodnictwa odrazu do miecza i do bagnetu się ucieka. Prawosławie, które panuje nad umysłami ludu metodą najwygodniejszą acz najprymitywniejszą, bo krzewieniem absolutnej, stuprocentowej ciemnoty — to prawosławie boi się instynktownie tych kościołów, które już się nauczyły zawierać kompromisy z wiedzą, które już przywykły mieć w krytycznej myśli ludzkiej, acz spaczonej i nawpół spętanej, sprzymierzeńca a nie wroga.

Od czasów Iwana Groźnego aż do czasów Heliodora prawosławie, tylko pięścią niszczycielską potężne, czuje tajemniczą trwogę, lęk zabobonny na widok społeczeństw, dla których „wiedza nie jest grzechem“, które „za czytanie ksiąg nie palą na stosie“. Prawosławie jest okrutnem ze strachu. Pomne stokrotnych klęsk, które od wieków wciąż na nowo w walce duchów ponosiło, a które naprawić mogło zawsze tylko pałką, szablą i strzelbą, prawosławie w kulturalnych innowiercach wyczuwa ze zgrozą coś, co czemprędzej zgnieść, zdeptać trzeba, zanim ukąsze na śmierć, lęka się ich lękiem wrodzonym, nieprzepartym, niedostępnym żadnej perswazyi — zupełnie tak, jak się jaszczurki lęka małpa albo głupia kobieta. A pomimo przewrotów dziejowych, które na Zachodzie Kościół katolicki już dawno pozbawiły przodownictwa w dziedzinie rozwoju myśli ludzkiej, a Polskę do niewoli zepchnęły, dla prawosławnego Rosyanina kwintesencyą wszystkiego tego, czego się boi śmiertelnie, są wciąż jeszcze po dawnemu te dwa słowa: katolicyzm i Polska.

A nieuleczalnie ślepym zaiste byłby, ktoby po krwawych doświadczeniach ostatnich sześciu lat wciąż jeszcze wierzył, że Rosya prawosławno-klerykalna już do przeszłości należy, że jutro czy pojutrze miejsce jej zajmie Rosya socyalistyczna, czy chociażby tylko Rosya liberalna. Przeciwnie, postępowe stronnictwa rosyjskie zadziwiły świat bezkrwistą wątłością swoją, a silną okazała się w Rosyi tylko reakcya. Z inną więc Rosyą, niż reakcyjną, nie mamy powodu się liczyć. Ale gdybyśmy nawet chcieli się liczyć z rzeczą tak skrajnie nieprawdopodobną, jak objęcie steru rządów rosyjskich przez postępowców, to i toby niewiele w rachunku naszym zmieniło. Zmieniłyby się poniekąd formy prześladowania i zmieniłoby się teoretyczne tych prześladowań uzasadnienie. Kadeci, stawszy się władcami Rosyi, gnębiliby nas już nie w imię prawosławia, tylko w imię nowoczesnych potrzeb państwowych, powołując się na postępowanie Niemiec wobec Polaków i Duńczyków, Francyi wobec Bretonów, bodaj nawet Japonii wobec Ainosów, a Stanów Zjednoczonych wobec czerwonoskórych. Wzorując się oprócz tego na świetlanym przykładzie wielkiej rewolucyi francuskiej, podzieliliby całe państwo wraz z „kresami“ na departamenty o jednakiej wielkości, a pod względem narodowościowym

możliwie mieszane, ścierając z mapy nawet nazwę Królestwa Polskiego, jako przeżytek „feodalny“, a Warszawę degradując na zwyczajne miasto powiatowe. Na przypominanie im dawnej obietnicy autonomii mieliby bardzo prostą odpowiedź: że wówczas mylili się, biorąc Polaków za postępowy żywioł, a teraz przekonali się, że Polacy są reakcyjni, bo — — — ano naprzykład: bo prześladują Maryawitów. A socyaldemokraci rosyjscy — Bogiem a prawdą, ich zwycięstwa i wnucy nasi się nie doczekają; na podstawie wszelkich analogij raczej przypuszczać należy, że ten najniedojrzalszy z pośród ruchów socyalistycznych jeszcze kilka razy całkiem zaniknie i kilka razy jeszcze po kilkunastoletniej ciszy grobowej się odrodzi, zanim się stanie chociażby tylko poważnym kandydatem do zwycięstwa. Ale przypuśćmy tak dla żartu, żeby zwyciężyli — toby napewno jako ich wódz wyskoczył jakiś klasowo uświadomiony Ossetyniec, czy Ingusz i udowodniłby, że nie można w Królestwie Polskiem w szkołach i urzędach zaprowadzić polskiego języka, bo przecież w Królestwie oprócz Polaków żyje jeszcze siedm innych narodowości: Żydzi, Niemcy, Litwini, Małorusini, Białorusini, Rosyanie i Czesi, więc się Polakom conajwyżej jedna ósma część szkół, urzędów i sądów należy. A zresztą siły wytwórcze centralizują się, więc i administracya państwowa, będąc tychże sił wytwórczych nadbudową, również centralizować się powinna. A zatem klasowo uświadomiony proletaryat polsko-ossetyńsko-kirgisko-buryacko-rosyjski nie powinien rozluźniać więzów, łączących Polskę z Rosyą, tylko powinien je ścieśnić. W imię powszechnej równości proletaryackiej należy rosyjskim chłopom nadawać ziemię w Polsce, a polskim chłopom w Rosyi. Albowiem są na świecie tylko dwa narody: proletaryat i burżuazya...

Co tu dużo mówić! I jedni i drudzy są Moskalami o cieniutkim pokoście nowoczesnym. I dla jednych i drugich nowoczesna frazeologia byłaby tylko płaszczykiem, niby-postępowy wygląd nadającym staremu systemowi tępicielskiemu. I niema się czemu dziwić, że tak jest. Wszak i oni są wychowańcami prawosławia, które na całem szkolnictwie rosyjskiem ciężką swą łapę położyło. Im również już w pierwszej młodości dusze zatruto tendencyjnie sfałszowaną wiedzą. O przeszłości Polski, o polskim narodzie, o roli dziejowej Polaków takie mają pojęcie, jakie Pobiedonoscew chciał, żeby mieli.

Kota nie zrobisz jaroszem.

A więc ptactwo polskie z tym kotem drapieżnym nie powinno się kumać, tylko dzióbami go siec i precz odegnać.

Wypędzenie wojsk rosyjskich i czynowników moskiewskich precz

z polskiej ziemi — oto pierwszy, niezbędny warunek normalnego rozwoju dla Królestwa, a pośrednio i dla całej Polski.

Ale jak tego mamy dokonać? Czyż mamy się spuszczać na własne jedynie siły? Czyliż mamy powtarzać ową przechwałkę nieszczęsnego króla Sardynii, Karola Alberta, przechwałkę dumną a pustą, za którą go tak srodze ukarała historya: „L'Italia farà de se“ („Włochy same załatwią sprawę“). Byłoby to sympatyczne i piękne, ale mocno niemądre. Wystarczy choć pobieżne porównanie położenia Włochów 1849 roku z naszem położeniem w obecnej chwili, aby zrozumieć, że co się wówczas Włochom nie udało, to i nam się dzisiaj udać nie może. Włosi mieli w Piemoncie niezależne państwo z własnym rządem, własnym skarbem, własnem wojskiem; opinia publiczna innych dzielnic włoskich sprzyjała akcyi. A jednak to wszystko nie potrafiło wyrównać zbyt niekorzystnego stosunku liczebnego. Nie z własnych sił, tylko dzięki pomocy francuskiej Italia zrzuciła jarzmo. My zaś ani własnego rządu, ani własnego skarbu, ani własnego wojska nie mamy; tem bardziej pomoc zewnętrzna jest dla nas niezbędna.

Nie chciałbym być źle zrozumianym. Wiem, że zagadnienie własnej armii polskiej zajmuje umysł niejednego zacnego rodaka. Słyszałem, że dziesiątki, może nawet i setki dzielnych młodych ludzi myślą całkiem poważnie o studyum nauki wojskowej, aby w razie zawikłań wojennych użyć tej wiedzy przeciwko Rosyi. Nie chciałbym chwalić tych wysiłków, ani zniechęcać, ani niedoceniać. Ale nie łudźmy się. Aby taką drogą wytworzyć krociową armię, któraby mogła bez niczyjej pomocy pokonać i ubezwładnić Rosyę, na toby nawet w najprzychylniejszych warunkach trzeba przynajmniej sześćdziesiąt lat spokojnego rozwoju. A tak długo czekać nie możemy, boby nas tymczasem dyabli wzięli.

Jeśli natomiast Królestwo Polskie już w bliskiej przyszłości stanie się terenem wojny, to w takim razie z łatwością Rosyan z Królestwa wypędzić będzie mogła armia dostatecznie liczna, dobrze odziana i odżywiona, kierowana przez dostateczną ilość nietylko karabinów, ale i armat. A taką owa wymarzona „armia polska“ ani za kilka, ani za kilkanaście lat jeszcze nie będzie. Natomiast jest i będzie taką — armia austryacka. Ona spełni najcięższe zadania, ona może największe kamienie uprzątnąć z drogi. Obok niej rola polskich oddziałów powstańczych będzie bardzo cenną, ale będzie pomocniczą.

A zatem w tem państwie austryackiem, zamieszkałem przez narody obojętne lub niechętne istnieniu państwa, my jedni szczerze życzymy Austryi dobrze, bo nam jednym Austrya jest naprawdę potrzebna. Właśnie nam jedna tylko Austrya dopomódz może do zbawienia. Nie

jestto z naszej strony miłość bezinteresowna, ale jestto trwała przyjaźń, oparta na nader istotnej wspólności interesów.

Ale jeśli tak jest, to dbajmy o to, żeby Austrya sił swoich nie marnowała.

Że Austrya w bliskiej przyszłości wojować będzie, to jest więcej niż pewne. Nie brak jej na to ani ludzi, ani środków, ani chęci. Ale nie może być dla nas bynajmniej rzeczą obojętną, w którym kierunku wojska austryackie przekroczą granicę. Niewolnicze przyklaskiwanie wszelkiej wojennej imprezie austryackiej, bez względu na to, przeciw komu się ona zwraca, byłoby polityką wysoce szkodliwą i dla nas i dla samej Austryi nawet.

Czy mogłaby nas naprzykład cieszyć wiadomość, że Austrya wypowiedziała wojnę Turcyi i wkracza przez Sandżak nowobazarski do Macedonii, aby zdobyć Saloniki?

Nie. Ani szeląga by nasza przyjaźń dla Austryi nie była warta, gdybyśmy, jak pochlebcy tchórzliwi, bez oporu, dopuścili do takiego głupstwa.

Nie warto krwią tysięcy ludzi zdobywać Saloniki, kiedy się ma Tryest. Oba porty prowadzą na to samo Morze Śródziemne, a lepszym jest ten, który leży bliżej ośrodków przemysłu austryackiego. A przytem Tryest można spokojnie mieć i trzymać, a wojnę o Saloniki trzebaby ustawicznie wznawiać przez kilkadziesiąt lat. Wszak droga do Salonik prowadzi poprzez siedziby Serbów, Albańczyków, Bułgarów i Greków. Odtąd śmiertelnymi wrogami Austryi stałyby się wszystkie te cztery narody wojownicze i bitne, a mające w dzikich swych górach idealne kryjówki dla partyzantów, a nadto w czterech niezawisłych państwach: Serbii, Czarnogórze, Grecyi i Bułgaryi, doskonałe punkty oparcia dla partyzantki, którąby wobec tego stłumić można chyba tylko przez całkowity podbój wszystkich czterech tych państw. Tego podboju zaś oczywista ze względu na inne mocarstwa europejskie dokonać nie można. Słowem, Austrya webrnęłaby w sytuacyę bez wyjścia, uwięziłaby w wąwozach bałkańskich najlepsze swe siły wojenne i finansowe, a wobec Rosyi stałaby się bezbronną.

Albo może mielibyśmy wybuchnąć entuzyazmem na wieść, że Austrya wypowiada wojnę Włochom i wkracza do Lombardyi?

Nie. Słusznych interesów Austryi w Albanii obronić można bez wojny, najlepiej dopomagając Albańczykom do wywalczenia niepodległości i obwarowując tę niepodległość traktatami międzynarodowymi, podobnie, jak np. niepodległość Rumunii. Natomiast wojna z Włochami byłaby dla Austryi zgubną. Jest wprawdzie całkiem możliwe, że na polu bitwy

Austrya i tym razem pobiłaby Włochów, tak jak ich pobiła w 1886 roku na lądzie i na morzu, pod Custozzą i pod Lissą. Ale taksamo jak w 1866 roku Austrya pobitym Włochom pod presyą Prus i Francyi odstąpić musiała królestwo weneckie, taksamo i tym razem Austrya pobitym Włochom musiałaby nazad odstąpić wszystkie zdobyte okolice i bodaj im jeszcze dodać Tyrol południowy — pod presyą Anglii i Francyi, które do rozbicia lub uszczuplenia Włoch pod żadnym warunkiem dopuścić nie mogą. A ponieważ samo istnienie floty angielskiej już wystarcza, żeby całkowicie zaszachować Niemcy, więc Austrya naprzeciw potężnej tej koalicyi Zachodu stanęłaby faktycznie sama. Byłaby tak osaczoną, że nawet Rosya mogłaby wtedy bezkarnie korzystać z jej kłopotów, zabierając Galicyę wschodnią, rusyfikując Lwów i tępiąc ukraińszczyznę.

Jedyną natomiast możliwością zwycięskiej ekspansyi jest dla Austryi to właśnie, czego my pragniemy: wkroczenie wojsk austryackich do Królestwa Polskiego. Po pierwsze, wróg jest słaby, a na polskim gruncie podwójnie się słabym czuje, tak dalece, że na wypadek wojny już teraz całkiem świadomie się wyrzekł obrony tej swojej nieprawej zdobyczy, wiadomo, że z tej to przyczyny Warszawa przestała być twierdzą. Po drugie, konstelacya polityki światowej jest dla takiej aneksyi nader korzystna. Przymierze francusko-rosyjskie od czasów niespodzianki poczdamskiej faktycznie przestało istnieć. Przyjaźń zaś Anglii dla Rosyi nigdy nie była szczerą, a raczej po stronie Anglii nie było tam nigdy przyjaźni; było tylko zaprzągnięcie upokorzonego wroga do swojego rydwanu. Wystarczy, aby Wiedeń jedno roztropne słówko szepnął Londynowi, a Anglia nietylko nie będzie się gniewać o atak na Rosyę, ale z miłą chęcią weźmie udział w rozbiorze kresów przegniłego imperyum. Na Wschodzie zaś Chiny się reorganizują, a zreorganizowane Chiny uderzą na Rosyę z siłą wprost druzgocącą. A po trzecie wojsku austryackiemu w Królestwie Polskiem pomagałoby to, czego się to wojsko nie może spodziewać ani w Lombardyi, ani w Macedonii, ani na Urainie: jednomyślna sympatya całej ludności. A ta sympatya nietylko w słowach by się wyrażała, ale także i w czynnem tępieniu szczątków rosyjskiej władzy przez polskie oddziały powstańcze. Pomieszkań, prowiantu, przewodników, wywiadowców miałaby armia austryacka poddostatkiem i to z pośród tubylców, znających kraj jak swoją kieszeń, a jednocześnie znających wszelkie nawyknienia i słabości wroga. Zwycięstwo byłoby łatwe, niemal bezkrwawe, a przysporzyłoby Austryi przynajmniej dwanaście milionów mieszkańców, podczas gdy nowa granica austryacko-rosyjska nie byłaby ani dłuższą, ani trudniejszą do obronienia, niż dzi-

siejsza. Jakie znaczenia zaś dla nas by miało połączenie dwóch zaborów pod rządami konstytucyjno-autonomicznemi, z polskiem szkolnictwem, polskim sejmem, polskim rządem krajowym, tego chyba tłumaczyć nie trzeba.

A zatem: skierować ambicyę wojowniczą i siły zbrojne Austryi przeciw Rosyi, oto najpilniejsze zadania polityków naszych. Jestto obowiązek nasz wobec nas samych, a jednocześnie jestto najszczersza usługa, którą oddać możemy Austryi [1]).

PRZEGLĄD.

Czarnosecińcy, p. Kramarz a ruch ukraiński.

Artykuł wstępny i jedna z notatek listopadowego numeru naszego pisma wywołały wielkie poruszenie piór w czarnosecinnych redakcyach rosyjskich po obydwóch stronach kordonu. Organ hr. Bobrińskiego „Prikarpackaja Ruś“, a za nią bratni jej duchem „Kijewlanin“ uderzyły na alarm. Pierwsza w artykule „Idea Jagiellońska w rozumieniu polskiem i rola mazepińska w jej ideologii“, drugi w artykule „Polskie groźby“. Pisma, wyrażające opinię rosyjskich sfer nacyonalistyczno-urzędowych, zaniepokoiły się naszem stanowiskiem wobec Rusinów, i streszczając dość sumiennie tak artykuł wstępny, jak i notatkę „Ze spraw narodowościowych w Galicyi“, przytaczają dosłownie te ustępy, które odnoszą się do obowiązku budzenia ruchu irredentystycznego wśród „rosyjskich“ narodowości „kresowych“. Zwłaszcza oburzają się organa czarnosecinne na następujące nasze słowa: „Wzrostu siły Ukraińców nietylko się nie obawiamy, ale nie znamy lepszego nad ten sposobu zaszachowania

[1]) „Krytyka“ wierzyła kiedyś gorąco w odrodzenie przez rewolucyę narodu rosyjskiego — nie państwa; doświadczenie okazało. że naród rosyjski daleki jest od dojrzałości, a państwowość o tradycyach mongolszczyzny i Iwana Groźnego bierze górę. Nie przeoczamy też faktu, że wśród Rosyan są jednostki i grupki szlachetne; umiemy uszanować charaktery polityków rosyjskich, którzy przyłączyli się do votum separatum przeciw wyodrębnieniu Chełmszczyzny, ale w państwowości rosyjskiej zguba naszego narodu, a przeciw niej musimy się bronić wszelkimi sposobami. Złamanie obecnej tej państwowości leży nawet w interesie mniejszości postępowej Rosyan, ale o tem niech już ona myśli sama.

Apel do Austryi rozumiemy, nie jako wpraszanie się w poddaństwo, ale jako ofiarowanie przymierza. Uważamy, że idee powyższe są wysoce aktualne, tak ze względu na położenie międzynarodowe, jak i na stan Królestwa, który się staje z każdym dniem nieznośniejszym. Po upaństwowieniu kolei warszawsko-wiedeńskiej, gdy linię jej obsiędzie krucze stado kilkudziesięciu tysięcy Rosyan — sytuacya będzie gorszą. Należy więc z wytężeniem sił pracować...

Red.

Rosyi. Dlatego i w naszym interesie leży udzielenie Rusinom stanowiska prawno-politycznego i uniwersytetu ukraińskiego; stąd popłynęłaby fala irredentyzmu na Ruś, pozostającą pod zaborem rosyjskim i z czasem musiałaby złączyć się z irredentą polską".

To wystąpienie przeciwko nam organów, stojących na straży interesów Rosyi, jeszcze raz dowodzi, jak słusznem jest traktowanie kwestyi ruskiej w Galicyi ze stanowiska niepodległościowego, ze stanowiska walki z naszym największym wrogiem-caratem rosyjskim. Znaczenie rozwiązania kwestyi ruskiej w Galicyi dla rozwoju szerszego ruchu politycznego Ukrainy rosyjskiej, a więc jako czynnika niezmiernie niebezpiecznego dla Rosyi, oceniane jest zupełnie trzeźwo nietylko przez rządowców rosyjskich albo ich płatnych funkcyonaryuszy w Galicyi, lecz i przez najbardziej czujnych przyjaciół państwa rosyjskiego w Austryi, jakimi są młodoczesi.

Oto p. poseł Kramarz, wódz młodoczechów, właściciel najbardziej wpływowego dziennika czeskiego „Narodni Listy", a zarazem obszarnik rosyjski, pan dóbr, sąsiadujących z majątkami carskimi na Krymie, wielbiciel Stołypina, no i oczywista „neosłowianin", podzielił się swemi troskami o interesy Rosyi z korespondentem dziennika „Nowoje Wremia". Troski te przygniatają słowiańskie serce Kramarza z powodu wzrostu ruchu ukraińskiego w Galicyi. P. Kramarz zwierzył się publicyście rosyjskiemu, że uważa ruch ukraiński za największe niebezpieczeństwo dla Rosyi; kiedy zaś jego interlokutor zakomunikował te słowa czytelnikom organu Suworina, wódz młodoczechów pospieszył ze sprostowaniem. Według tego ostatniego, p. Kramarz zapewniał dziennikarza rosyjskiego, że popieranie Ukraińców w Galicyi i „prześladowanie Rosyan galicyjskich" może doprowadzić do wojny Rosyi z Austryą, gdyż pierwsza nie zniesie tego, aby Rosyanie byli w Austryi krzywdzeni.

Mniejsza z tem, czy prawdą jest, co o słowach p. Kramarza doniósł korespondent „Nowoje Wremia", czy też zełgał on swoim zwyczajem [1]) i Kramarz powiedział tylko to, co sam podał w swem d e m e n t i. W każdym razie mamy jeszcze jeden dowód, jak niebezpieczną rzeczą dla Rosyi jest wzrost ukrainizmu w Galicyi i jak głupią (po za swą nikczemnością) jest polityka popierania moskalofilów ruskich, z taką forsą uprawiana przez nasze sfery konserwatywne i narodowo-demokratyczne. Bo, że p. Kramarz czasem może działać na szkodę narodu czeskiego, to nie ulega żadnej wątpliwości, ale, jeśli coś grozi Rosyi, to w tym wypadku p. Kramarz gotów jest nawet grubo skompromitować się, byle jej dopomódz. I słowom Kramarza trzeba wierzyć.

Czarnosecińcy rosyjscy wraz z Kramarzem denuncyują Ukraińców pod panowaniem Rosyi jako „mazepińców" i narzędzie w ręku „polskiej intrygi". Tymczasem sami przywódcy obozu ukraińskiego nad Dnieprem w swej naiwnej apolityczności nietylko nie umieją wyzyskać dla ukraińskich interesów narodowych strachu nacyonalistów rosyjskich wobec rozwoju Ukraińców galicyjskich, ale mimowoli idą na rękę pierwszym.

---

[1]) Autorem interwiewu był dr. Janczewieckij, jeden z największych łgarzy, w jakich dziennikarstwo rosyjskie obfituje.

Oto na jaką tyradę zdobył się jedyny ukraiński dziennik w zaborze rosyjskim z powodu artykułu „Krytyki“. „Rada kijowska“ pisze: „Pan Feldman zapatruje się na ruch ukraiński ze stanowiska interesów narodu polskiego i dlatego usiłuje narzucić ruchowi ukraińskiemu takie zadania, któreby uczyniły go narzędziem obcej mu sprawy. Tymczasem ruch ukraiński ma swoje własne cele, swoje własne zadania, do których idzie i iść będzie, nie zważając na to, czy to jest korzystne, czy nie dla jego „sąsiadów“. W tych swoich dążeniach do urzeczywistnienia zadań narodowych lud ukrański może oczywiście wchodzić w ugodę z tymi albo innymi „sąsiadami“. Ale nie zechce być ślepem, posłusznem narzędziem w obcych rękach i dla obcej sprawy nie pozwoli ani swym „sąsiadom“, ani nawet swym sojusznikom narzucać sobie takie zadania, które są dla niego niewłaściwe. Idźcie, panowie, własną drogą, nie narzucajcie nam tych zamiarów, jakich nigdyśmy nie mieli i jakie nam nie przyniosą korzyści; pozwólcie nam żyć tak, jak my sami tego pragniemy — oto szczere pragnienie ruchu ukraińskiego“.

Czy takie stanowisko ma zmiękczyć serca nacyonalistów rosyjskich, czy ma być zastosowaniem dość popularnej u Ukraińców zasady: „na złość mamie niech mi uszy marzną“?

Sprawa rapperswilska.

W ostatnich dniach listopada garstka znajomych i przyjaciół talentu odprowadziła na cmentarz krakowski zwłoki ś. p. Wacława Karczewskiego, który przed laty kilkunastu, jako Maryan Jasieńczyk był jedną z nadziei literatury. Ostatnie lata życia spędził, jako bibliotekarz Muzeum w Rapperswilu, uporządkował bibliotekę w sposób wzorowy, całą duszą pragnął dobra tej instytucyi, i umarł — spotwarzony, złamany. Straszna jest jego skarga w jednym z listów ostatnich: czem społeczeństwo odpłaca mu za jego skromną, ale uczciwą służbę... Teraz czytamy w jednym z ostatnich listów H. Bukowskiego, najbardziej obok Platera zasłużonego około Muzeum Rapperswilskiego, jak mu po żywocie trudu i walk z dewastorami owej instytucyi tęskno za grobem...

To przecie społeczeństwo szczególne, które taki ma talent do zatruwania życia ludziom pracy i dobrej woli, gdy łotrzykowie dokoła tryumfują. To przecie najważniejsze zagadnienie narodowe, jakie do rozwiązania mamy: w jaki sposób uchronić, jak odrodzić naszą moralność publiczną.

Kwestyą sumienia narodowego stała się sprawa rapperswilska; o uratowanie instytucyi chodzi, ale i czegoś więcej, czegoś większego, dlatego nie wolno spocząć, póki sprawiedliwości nie stanie się zadość, spotwarzeni nie otrzymają zadośćuczynienia, instytucya nie zostanie uzdrowiona.

Nie przemawia w imię ogólnych tych idei pisarz, mający tak wielkie prawo do reprezentowania ducha narodowego, jak Stefan Że-

romski. Książeczka, jaką ogłosił[1]), odznacza się suchą rzeczowością i niezmiernym spokojem. Ani jednego w niej apelu do uczucia, ani wzlotu fantazyi. Jest tylko szereg dokumentów, faktów, faktów, faktów powiązanych z sobą żelazną logiką. Nic subjektywności — wymowa tylko objektywnych dokumentów, cytowanych z największą ścisłością prawniczą. I chyba ludzi, dobrowolnie ślepych i głuchych potrzeba, by teraz nie zoryentowali się — gdzie prawda.

Komisya, którą w lecie Rada rapperswilska sobie dobrała, miała za zadanie — pokonać opozycyę. Że o to szło, nie o co innego, dowód we fakcie, że Rada, ustanawiając sąd, nie próbowała nawet wezwać świadków i znawców, a gdy ci mimo wszystko przybyli — komisya traktowała ich najbardziej tendencyjnie; każde zeznanie p. Żeromskiego było wykręcane i paczone, krytykę rzeczoznawcy p. Gembarzewskiego traktowano jako doradę, a oczywiste nonsensy i nieprawdy p. Rużyckiego traktowano, jako pewniki. Z takim „sądem“ p. Żeromski nie ma obowiązku się liczyć; nie chce jednak pokonywać, lecz przekonywać. Dlatego występuje w podwójnym charakterze. Na czele książeczki rozwija raz jeszcze ideę Towarzystwa przyjaciół Rapperswilu, szczegółowy dając projekt przekształceń, jakich urządzenie instytucyi doznać powinno, by odpowiadało swojemu przeznaczeniu, to jest reprezentowaniu kultury i sprawy polskiej wobec świata. Reorganizacya zaś koniecznie jest potrzebna, gdyż Muzeum znajduje się dziś w stanie o wiele opłakańszym, niż lat temu dziesięć; następnie przechodzi p. Żeromski do udowodnienia zarzutów, jakie poczynił był w pierwszem swem publicznem wystąpieniu, to jest w znanym liście do p. Szpotańskiego, omówionym swego czasu w „Krytyce“.

Opierając się na mnóstwie listów i druków, stanowiących dokumenty niezbite, przytacza punkt po punkcie 14 swoich zarzutów postawionych wówczas gospodarce p. Rużyckiego, następnie repliki na nie, dane przez delegacyę rady muzealnej i orzeczenie komisyi, poczem następuje udowodnienie zarzutu. Procedura drobiazgowa może, ale dająca gwarancyę absolutnej ścisłości i pewności. Mamy więc olbrzymi aparat faktów, listów śp. Bukowskiego, Wasilewskiego, Domagalskiego i innych osób, inwentarzy i publikacyj samego Muzeum, świadczących niezbicie, że wszystko, co p. Żeromski zarzucał gospodarce muzealnej, jest rozpaczliwą, haniebną prawdą. Mamy więc zeznania świadków, stwierdzających, że kustosz do elzewiru strzelał, że jedną z maszyn Baranowskiego rozkręcił i zniszczył, że arcycenne druki Leonarda Chodźki zostały ze strychu zrzucone i zniweczone itd. itd. Wszystkie owe fakta, brzmiące w pierwszej chwili nieprawdopodobnie, dziko, raz jak historye o człowieku, który z domu obłąkanych uciekł, to jak o człowieku, który opuścił zakład dla moralnie niepoprawnych — wszystko to znajduje swoje kategoryczne potwierdzenie.

Z za setek faktów niezbitych, drobiazgowych i nędznych wychyla

---

[1]) Stefan Żeromski: O przyszłość Rapperswilu. Towarzystwo przyjaciół Rapperswilu. Udowodnienie zarzutów, poczynionych Zarządowi muzealnemu. Nakład wydawnictwa „Życie“ w Krakowie.

się ku nam prawdziwie nowoczesny dramat: obraz kilku ludzi, którzy przez lata całe wkładali miłość, pracę, wiedzę, zapał w instytucyę dobra publicznego, nad którymi jednak unosi się „przełożony“: złośliwy, ciemny, zacięty w obłąkanej swej manii wielkości i niszczenia, starzec, który dzień po dniu, godzinę po godzinie, fakt po fakcie dokucza, dogryza, zatruwa, plami, rujnuje... Co owi pracownicy musieli się nacierpieć — łatwo pojąć, a właściwie nie każdy odczuć potrafi. Ofiarami niebezpiecznego starca są ludzie czynu, rwący się do pracy, ofiarą jest człowiek o takiej organizacyi nerwów i ducha, jak Stefan Żeromski. A ponad tym dramatem jest drugi dramat instytucyi, która prowadziła życie pełne nadziei, stworzone do wielkości, a w rękach złowrogiego maniaka stała się obrazem boleśnie śmiesznym i opłakanym, jak on sam... A ponad tem wszystkiem — korona... komisya obywatelska, zaprzepaszczająca dobrą sławę umarłych i żywych, zaprzepaszczająca dobro narodowe, aby tylko ochronić prestige swojej kliki.

I co dziwnego, że w takich warunkach ręce opadają, ludzie dobrej woli i zasłużeni schodzą do grobu z pytaniem: po co żyli i pracowali.

Próbą sumienia narodowego stała się sprawa rapperswilska — i jeśli kiedykolwiek i ktokolwiek miał jeszcze wątpliwości, gdzie słuszność: w wywodach p. Żeromskiego na argumentacyę pozbawioną cienia frazeologii, na niezbitych faktach opartą. Zarazem ma z najczystszej miłości płynący plan naprawy złego.

Obrońcy dzikich szkodników publicznych wytrwale milczą. Bo też nie przekonywać ale pokonać chcieli. Beati possidentes — mają władzę, a krytycy ich — tylko pióra, a cienie H. Bukowskiego i W. Karczewskiego — są już nieszkodliwe. *Ch.*

P. A. Niemojewskiemu w odpowiedzi.

P. prof. Baudouin de Courtenay nadesłał nam obszerniejszą odpowiedź na artykuły „Myśli Niepodległej“, będące odpowiedzią na drukowaną w naszem piśmie analizę sprawy „antysemityzmu postępowego“. Nie czytując regularnie organu p. N., szanowny profesor dowiedział się — podobnie jak my — o nowej eluknbracyi twórcy antysemityzmu „postępowego“ dopiero niedawno i nadesłał odpowiedź swą tak późno, iż nie zdołaliśmy jej umieścić w numerze obecnym. Uczynimy to w zeszycie naszym najbliższym.

SPRAWOZDANIA.

Artur Śliwiński: *„Powstanie listopadowe“. Kraków, spółka wydawnicza „Książka“.*

Autor pierwszego studyum o Mochnackim, jeden z najlepszych znawców ducha epoki powstaniowej, daje w swej książce pierwszy u nas

popularny obraz wielkiej tej walki narodu o niepodległość. Książka pisana nader barwnie i zajmująco, będzie pouczającą i podniosłą lekturą dla każdego, niefachowego czytelnika. Za główną przyczynę upadku powstania uważa Śliwiński brak ofiarności publicznej, brak charakterów. Znikli z widowni ci, którzy powstanie wywołali, a ci co ster dzierżyli w Radzie administracyjnej, późniejszych rządach, wśród władz wojskowych byli w istocie swojej przeciwnikami ruchu, którym mieli kierować. Szkoda wielka, że autor nie kładzie równego nacisku na brak oparcia się o lud, do czego przecie głębiej patrzący patryoci nawoływali.

Nietylko w czasie obchodów listopadowych — książka Śliwińskiego jest zawsze „na czasie" i czytelnikom swoim dużo powinna dać do myślenia.

Adam Wrzosek: Jędrzej Śniadecki. Życiorys i rozbiór pism. Dwa tomy. Kraków, Akademia Umiejętności.

„Imię Jędrzeja Śniadeckiego otaczane było u nas zawsze czcią wielką, jako imię jednego z największych polskich uczonych. A jednak znaczenie Jędrzeja Śniadeckiego dla kultury naszej i dla nauki wszechświatowej nie zostało dotychczas wszechstronnie ocenione. Nie brak wprawdzie w literaturze naszej pism, poświęconych opisaniu życia jego i ocenie rozmaitych stron jego działalności naukowo-społecznej. Brak nam atoli dotychczas monografii, poświęconej Jędrzejowi Śniadeckiemu, którąby całokształt jego działalności naukowo-społecznej krytycznemu rozbiorowi poddawszy, wykazała, na czem istotnie zasługi autora „Teoryi jestestw organicznych" polegają. Praca niniejsza jest właśnie próbą takiej monografii".

Te słowa pomieszcza autor w przedmowie do swojego dzieła. Ile i jakie trudności przy tego rodzaju pracach przezwyciężyć trzeba, wie tylko ten, kto czemś podobnem się zajmował, kto szperał po różnych bibliotekach publicznych i prywatnych, wogóle kto kiedykolwiek zbierał materyał do jakiejś, chociażby małej pracy historycznej. Wprawdzie wiele pisano i przedtem o Śniadeckim, były to jednak krytyki jednostronne, zajmujące się tylko najważniejszem jego dziełem, t. j. sławną „Teoryą jestestw organicznych". Pracą natomiast jego w innych działach naukowych i na polu społecznem nikt się bliżej nie zajął, pomimo, że i tam Śniadecki intenzywnie działał i wielkie położył zasługi. A zapominać nie należy, że umysł Śniadeckiego był wszechstronny i chociaż wielki uczony lekarzem był z zawodu, to przecież równie gorąco interesował się chemią, biologią, filozofią, antropologią, meteorologią i sprawami społecznemi.

Celem, który sobie wytknął p. Wrzosek, było dokładne źródłowe zbadanie tej działalności we wszystkich tych działach, a następnie na podstawie tych danych krytyczne ocenienie znaczenia Jędrzeja Śniadeckiego nietylko dla nauki polskiej, ale i światowej.

Nie mamy tu zamiaru zajmować się dokładniejszem streszczaniem poglądów Śniadeckiego, ani też zapatrywań na nie p. Wrzoska. Ażeby jednak gorąco zachęcić wszystkich przyrodników i nieprzyrodników do przeczytania oryginału, niech nam wolno będzie króciutko streścić po-

gląd Śniadeckiego na zagadnienie biologiczne, pogląd, który swego czasu w całej Europie wzbudził zainteresowanie, a który i dziś jeszcze wobec tak licznych badań na tem polu nie stracił całkowicie swojej wartości, bo i teorya współczesnego nam przyrodnika-filozofa Ostwalda niewiele od niego się różni.

Jędrzej Śniadecki nie kusił się wcale o dokładne we wszystkich szczegółach wyjaśnienie życia organicznego, dobrze bowiem zdawał sobie sprawę z tego, że umysł nasz przynajmniej na razie jest na to za słaby; chce tylko podać prawa, według których procesy organiczne się odbywają: prawa, które kierują życiem. Natury tych praw nie zna: rozwiązuje sprawę w sposób dla siebie wystarczający, przyjmując istnienie t. zw. „siły organicznej“, którą obdarzona jest materya, a której sobie sama ani nadać, ani też i odebrać nie może.

Materya taka, posiadająca własność organizowania się, organizuje się przechodząc z jednych form w drugie i stwarza to, co nazywamy życiem. Życie zatem nie jest niczem innem, jak tylko ciągłą przemianą materyi, która, wchodząc do organizmu w postaci pokarmu, asymiluje się, następnie ulega dezasymilacyi i jako taka zdezasymilowania wydostaje się na zewnątrz.

To samo prawie mówi i Ostwald, tylko posługuje się innymi terminami. Dezasymilacyą jest u niego wyładowywanie się energii napiętej, znajdującej się zewnątrz organizmów w postaci pokarmów. Energia ta w organizmach zużywa się na wszelkiego rodzaju objawy życiowe. U Śniadeckiego zatem krąży materya, u Ostwalda energia.

I rzecz ciekawa; poglądy te, które w swoim czasie znane były i cenione wysoko za granicą — u nas nietylko nie były roztrząsane, ale dla wielu nawet nie były znane.

Nie mówię w tej chwili, czy teorya to słuszna, czy nie; chodzi tylko o to, że niepospolity myśliciel postawił ważną i ciekawą teoryę naukową, która przeszła bez wrażenia. Gdyby była roztrząsana — przyspieszyłoby to niezawodnie nasze wyrobienie myślowe. Możebyśmy ją przezwyciężyli, ale zarazem szli naprzód.

Ten jeden punkt wystarczy do podkreślenia żywotności Jędrzeja Śniadeckiego. Nie mniej żywotne są inne działy bogatego jego życia. Śniadecki jako przyrodnik, profesor, wolnomularz, przewodniczący „Towarzystwa szubrawców“, filozof — coraz to inne strony jego działalności, a zarazem ważne karty z dziejów kultury polskiej. P. Wrzosek zgłębił je z miłością i zarazem krytycznie. Bez względu, czy się ktoś zgodzi na rozrzucone tu i ówdzie zapatrywania — znać tę książkę, będącą pomnikiem jednej z największych inteligencyi w Polsce, trzeba.

Dr K.

Dr. Th. Engert: Die Sünden der Päpste im Spiegel der Geschichte. 2 t. Lipsk. Krüger & Co. Verlag.

Autor jest księdzem katolickim, ekskomunikowanym z powodu „modernizmu“. Nie porzucił wiary, stał się tylko jeszcze bardziej krytycznym i otwartym. Dwutomowa jego książka, pisana językiem popularnym, jest historyą papiestwa, pisaną ze stanowiska człowieka, który

doszedł do przekonania, że instytucya papiestwa dla religii i katolicyzmu stała się szkodliwą. W obrazach autora cienie przeważają nad światłami. Grubej tendencyjności unika. Zastanawiając się np. nad kwestyą tzw. Joanny-papieżycy, która miała zasiadać na tronie Piotrowym po Leonie IV (855) i porodzić dziecko podczas procesyi, dochodzi do przekonania, że to legenda, naukowo nie stwierdzona. Z tem wszystkich — ciężki to rejestr grzechów, jaki papiestwu ciska.

Jako Niemiec ma oprócz punktu moralnego i religijnego jeszcze narodowy punkt widzenia. Ileż zarzutów miałby członek narodowości, nie tak silnej i nakazującej sobie posłuch, jak niemiecka!

O Leonie XIII wyraża autor przekonanie, że był wybitnym dyplomatą, ale zupełnie pozbawionym ducha religijnego. Papież obecny jest ortodoksyjnie wierzącym, tem mniej zgodny on z duchem czasu; rej wodzą w Watykanie scholastyczni prawnicy. Siły to do odnowienia papiestwa i religijności niezdolne. *K.*

NOWE KSIĄŻKI.

Nauki społeczne. Edward Grabowski: Ubezpieczenia społeczne w państwach współczesnych. Kraków, Gebethner i Sp. — Biblioteka dzieł społeczno-ekonomicznych pod red. Dra Zofii Daszyńskiej-Golińskiej. Fryderyk hr. Skarbek: Ogólne zasady gospodarstwa narodowego. Warszawa, Księg. M. Arcta. — Edw. Grabowski: Wolności obywatelskie w państwie rosyjskiem. Warszawa, Księg. E. Wende i Sp. — Gustaf F. Steffen: Die Demokratie in England. Jena, Eug. Diederichs. — N. Karyszew: Pogadanki ekonomiczne. Kraków, nakładem wydawnictwa „Życie". — Edward Grabowski: Z dziedziny teoryi i praktyki stanów wyjątkowych. Warszawa, Gebethner i Wolff. — Fryd. Engels: Rozwój socyalizmu od utopii do nauki. Kraków, nakł. wydawn. „Życie". — Józef Konczyński: Stan moralny społeczeństwa polskiego. Warszawa, Gebethner i Wolff. — K. Kautsky: Przeciwieństwa interesów klasowych w 1798 roku. Kraków, nakładem wydawn. „Życie". — Jan Kucharzewski: Czasopiśmiennictwo polskie XIX wieku. Warszawa, Gebethner i Wolff. — K. Kautsky: Zasady socyalizmu. Program erfurcki. Kraków, nakł. wydawn. „Życie".

Poezye. Leopold Staff: W cieniu miecza. Lwów, Księg. Polska B. Połonieckiego. — Czesław Ciepliński: Misteryum. Kraków, Księg. D. E. Friedleina. — Epos greckie. Homer: Iliada. Wydał Antoni Lange. Brody, Księg. F. Westa. — Włodz. Kosiński: Warneńczyk. Duma. Kraków, G. Gebethner i Sp. — Hugo von Hofmannsthal: Wczoraj. Dramat w 1 akcie. Przełożył St. Reich. Lwów, Księg. H. Altenberga.

Nauki przyrodnicze. Dr Bolesław Skórczewski: Flora Krynicy i jej okolic. Kraków, Gebether i Sp. — Dr M. Wilhelm Meyer: O końcu świata. Kraków, nakł. wydawn. „Życie". — Prof. J. Sosnowski: Swiat zwierząt. Zeszyt I–XII. z 2 kolorowemi tablicami i 52 ilustracyami w tekście. Warszawa, Gebethner i Wolff. — Dr St, Breyer: Co to są suchoty. Kraków, wydawnictwo popularno-lekarskie.



St. Wyspiański: Portret własny.

Wydawnictwo „Krytyki“.



St. Wyspiański: „Boruta“. Wydawnictwo „Krytyki“.

DRUK. LITERACKA KRAKÓW

ZACHÓD NAD LEMANEM.

Niewyśpiewana, prześwięta godzina!
Rzeki barw, lejące się pyłem z rajskich błoni —
Kiedy dusza w zachwycie do ziemi się kłoni,
A ziemi zapomina...

. . . .

W ogniu stanęły niebiosy.
Od nieba zajęła się woda na jeziorze...
Jak step skoszonych traw,
Szybko się poczyna palić...
Nieprzemierzone wód pokosy
Płyną w ogniową zorzę,
Poczynają się skrzyć, złocić, koralić...
Płomień przez fale idzie wpław,
Zataja się, niby tonie — mierzchnie —
Przepala lśniące powierzchnie,
Łamie je, stapia w swym żarze — rozpryska,
Wystrzela kwiatami z głębi,
Albo powietrzem się ciska
Niby prześmigi złotych mew-gołębi...
Na zapalonym obszarze
Tańczą ogniste języki,
Krwawe, zielone, liliowe —
Coraz to nowe —
Mienią się, grają,
Wnikają w podwodne tonie —
Buchają płomienne krzyki —
Pożar się szerzy dokoła —
Już całe jezioro płonie
Jak wielkie, roztoczone skrzydło archanioła...

. . . .

Tedy rozstąpiły się
Płomienne niebios przesłony,
Rozpełzły, rozpłynęły się w czerwone morza,
Ujęte w siną oprawę,
I na tle siniejących zórz,
W oblasku złotej korony
Ukazało się widmo słońca
Ogromne, krwawe —
Zawisło w pustce przestworza
Nad płonącemi wodami,
Niby serce rozżarzone świata — —
Tedy z jeziornych wzgórz
Płomień-wysłaniec wylata
Jeden — drugi —
Prędko by zdążyć —
Całe ich ogniste smugi,
Które się łączą w słup-kolumnę
I poddają się słońcu —
Zapóźno...
Już poczyna się grążyć
W ogni krzyczących trumnę
Bez dna, bez wieka,
Nakrytą nieba koliskiem —
Zapadające, wydaje się kopułą, tjarą,
Bramą płonącą, ogniskiem —
W końcu jest istnie jak serce człowieka,
Tonące krwawą ofiarą...

. . . .

Zapadło.
Niebo jak chusta pobladło.
Zgasł pożar fal.
Od brzegów poczyna pełznąć smutek-siniec...
W całej naturze zawisł nieukojny żal
Jak po straceniu Boga.
Na zesiniałych wodach
Została ognista droga,
Idąca w nieskończoną dal —
Duszom ofiarnym gościniec.

Gdybym znał Moc,
Któraby mogła spełnić me tęsknoty,
Prosiłbym, aby taki był mój zachód — złoty...
Aby po mnie została ta cisza — ten żal —
I ta droga, idąca w nieskończoność...

Władysław Orkan.

NOWE DROGI FILOZOFII.

(Dokończenie).

Z metodologicznych tych badań wyłoniła się zupełnie nowa klasyfikacya nauk. Mianowicie zasadą klasyfikacyjną nie jest treść poszczególnych nauk, tylko formalny charakter celów poznawczych. Wszędzie, gdzie chodzi o wykrycie prawidłowości w zjawiskach, mamy do czynienia z naukami nomotetycznemi, Gesetzeswissenschaften. Gdzie zaś zależy na wyświetleniu jednorazowych, indywidualnych zjawisk, jako takich, mamy do czynienia z naukami idiograficznemi, Ereigniswissenschaften — według terminologii Windelbanda.

Na miejsce dawnego podziału na nauki przyrodnicze i humanistyczne, Naturwissenschaften und Geisteswissenschaften, wstępuje tedy nowy podział na nauki nomotetyczne i idiograficzne. Klasyfikacya ta jest bezwątpienia słuszniejsza. Istnieją bowiem nauki humanistyczne, w których należy stosować metodę przyrodniczą — i również nauki przyrodnicze, w których metoda przyrodnicza zawodzi. Np. w astronomii, powiada Rickert, zdaje się bezwzględnie obowiązywać metoda przyrodnicza, czyli nomotetyczna. Tymczasem część astronomii musi się posługiwać także metodą historyczną, czyli idiograficzną. Nasz system planetarny jest bowiem bezwątpienia także indywidualną rodziną. Zaś jako taki posiada on swą historyę, tak samo, jak każdy człowiek lub naród. Dzieje naszego systemu planetarnego, jako indywidualnej całości, są szeregiem jednorazowych indywidualnych wydarzeń, które w zupełnie temsamem indywidualnem zabarwieniu się nie powtarzają. Chyba że się piękną heraklitową koncepcyę o wiekuistym powrocie wszechrzeczy uzna za naukowy pewnik. Astronomia, śledząca rozwój dziejowy naszego systemu planetarnego, jest tedy nauką prawdziwie historyczną, idiograficzną. Tak samo ma się rzecz w biologii i geo-

logii. Jako nauki o prawach biologicznych i geologicznych są one nomotetyczne. Zaś jako nauki o historycznym, indywidualnym rozwoju organizmów i ziemi są one idiograficzne. Historyczny rozwój naszej ziemi i życia na niej jest bowiem również szeregiem zjawisk raz dokonanych i w tem samem indywidualnem zabarwieniu się nie powtarzających.

Z drugiej zaś strony: doskonałym przykładem nauki na pozór wyłącznie humanistycznej, a mimo to częściowo przyrodniczej, jest psychologia. Wiadomo, że współczesny kierunek pragnąłby psychologię przekształcić całkiem na naukę przyrodniczą. Usiłowania te są niewątpliwie słuszne, gdy chodzi o ogólną prawidłowość życia naszej duszy. Wówczas stosowną jest wyłącznie metoda nomotetyczna. Lecz zadania psychologii na tem się nie kończą. Poza ogólną prawidłowością zjawisk psychicznych, wspólną wszystkim ludziom, należy jeszcze wyświetlić istotę konkretnych indywidualnych psychicznych istności, czy to pojedynczych historycznych postaci, czy też całych grup ludzkich. A gdzie chodzi o indywidualność, tam przydatna jest tylko metoda idiograficzna. Psychologia jest więc nauką częściowo nomotetyczną, częściowo idiograficzną.

Wszystkie te wysiłki Windelbanda i Rickerta są naturalnie dopiero próbą, posiadającą gorących zwolenników i przeciwników. Dopiero dalsze badania mogą jej byt definitywnie ustalić. Szczegółowa jej krytyka byłaby więc jeszcze przedwczesną. Natomiast ważnym i cennym jest bądź co bądź jej charakter symptomatyczny. Tem więcej, że podobny ruch rozpoczął się, jak już wspominaliśmy, niemal równocześnie we Francyi. I tam przyłożono ostro nóż krytyczny do wszechwładztwa metody przyrodniczej w filozofii. I z walki o nową metodę spróbowano wydestylować nowe soki żywotne dla nowej, odradzającej się filozofii. A inicyatorem i najtęższym przedstawicielem tego ruchu jest Henryk Bergson.

II.

Badania Windelbanda i Rickerta ograniczają się do wyświetlenia metodologicznych podstaw poszczególnych nauk. Bergson natomiast zapuszcza się w walce przeciw wszechwładztwu metody przyrodniczej aż do samych źródeł filozoficznego myślenia.

Gdy się, powiada Bergson, bez żadnych uprzedzeń przyjrzymy sobie i otaczającej nas rzeczywistości, dostrzegamy przebogatą różnorodność zjawisk. Wszystko jest w ustawicznym heraklitowym ruchu, πάνταρεῖ, wszystko się wciąż odmienia i przetwarza. Wie-

kuisty rozpęd twórczy i życionośny, élan vital, przenika wszechstworzenie. Takiem jest nasze bezpośrednie życiowe doświadczenie. Lecz jak zabiera się do niego filozofia? Myśl filozoficzna operuje pojęciami. Pojęcia uzyskuje w ten sposób, że z różnorodności zjawisk wyłuskuje czynniki jednorodne. Z konkretnych zjawisk poszczególnych wydobywa ogólne abstrakcyjne schematy, tem ogólniejsze, im więcej zjawisk obejmują. Pojęcia utrwalamy sobie symbolicznie w słowach. Tą drogą uzyskane pojęcia są bądź co bądź czemś stałem, niezmiennem. Tymczasem konkretna życiowa rzeczywistość jest w ustawicznym ruchu, wciąż zmienną, wciąż inną. Niezmienne pojęcia można przeto zastosować do zmiennej rzeczywistości tylko wówczas, gdy się empiryczną ciągłość stawania się, rozdzieli na szereg poszczególnych ruchów, a ruch sprowadzi ostatecznie do bezruchu. Tak postępuje np. mechanika. Nie uwzględnia ona ruchu jako takiego, jeno oznacza go pośrednio, odnosząc go do przestrzeni, którą ruchome ciało przebywa, a więc do czegoś stałego, nieruchomego. Tą drogą daje sobie mechanika bezwątpienia radę z ruchem, lecz bądź co bądź nie bez pewnych ofiar. Określając bowiem ruch z pomocą przestrzeni, wyraża go ona przez coś, co nie jest nim samym, co nie jest ruchem. Innemi słowy: cecha jakościowa ruchu ginie tutaj najzupełniej. Na jej miejscu mamy tylko szereg punktów przestrzennych, przebieżonych w pewnym czasie. Miast bezpośrednio doznawanej konkretnej jakości — tylko abstrakcyjne ilości.

Ideałem takiej postawy jest matematyka, gdyż operuje ona wyłącznie czynnikami ilościowymi. Poznanie na sposób matematyczny było stąd zawsze marzeniem filozofii. Kto nie obznajmiony z geometryą, niechaj tutaj nie wchodzi — brzmiał napis na platońskiej Akademii. More geometrico usiłował przedstawić swą metafizykę Spinoza. A może najsilniej podkreślał to Kant, mawiając, że filozofię należy wprowadzić w dobre towarzystwo matematyki. Zaś wyrazem tej postawy matematycznej w filozofii jest właśnie przyrodnicza metoda. Bergson zwie ją analizą.

Zupełnie jak Windelband i Rickert oddaje on metafizyce przyrodniczej, co jej się należy. Stwierdza jej owocność i żywotność w przyrodoznawstwie. Lecz przeczy radykalnie jej racyi bytu w filozofii. Tem samem wykonuje on stanowczy krok ponad stanowisko Windelbanda i Rickerta. Dwaj ci myśliciele uznają w zasadzie równouprawnienie obu metod, nomotetycznej i idiograficznej, we wszystkich dziedzinach.

Różnicy nie wytwarza bowiem, zdaniem ich, dziedzina jako taka, tylko cel, z jakim do jakiejkolwiek dziedziny się przystępuje. Bergson natomiast rozróżnia ściśle między naukami ścisłemi, sciences a filozofią. Metodę przyrodniczą uznaje wyłącznie w naukach ścisłych. Dla filozofii zaś usiłuje wykazać niezbędność zupełnie innej metody, mianowicie intuicyjnej.

W tym celu nie ogranicza się Bergson do samych badań czysto metodologicznych, jak to czynią Windelband i Rickert. Nie zadawala się samem wykazaniem, że zjawiska domagają się niejako dwóch odmiennych metod, gdy się pragnie im dorównać, sprostać. Sięga on znacznie głębiej i usiłuje wywieść konieczność dwóch odmiennych postaw ze swoistej natury naszego umysłu. Badania Bergsona kulminują przeto w wykazaniu dwóch odmiennych władz naszego umysłu. Są niemi, po pierwsze, rozum, czyli zdolność dyskursywnego myślenia, którego wyrazem jest właśnie postawa generalizująca, wytwarzająca metodę przyrodniczą — po drugie intuicya, czyli zdolność intuicyjnego myślenia, którego wyrazem jest swoista autonomiczna metoda intuicyjna. Intuicya jest więc, według Bergsona, samodzielną władzą naszego umysłu obok rozumu.

Lecz, jak wiadomo, intuicyi nie przypisuje się zazwyczaj takiej roli. Wyłącznie myślenie dyskursywne, rozumowe, uznawane było zawsze za jedynie uprawnione. Zadanie Bergsona polega przeto z natury rzeczy przedewszystkiem na wywalczeniu intuicyi tej samej kompetencyi, którą posiada rozum. By niełatwy ten cel osięgnąć, posługuje się on całym szeregiem argumentów teoryo-poznawczych i biologicznych. Kompetencyę i znaczenie rozumu można najlepiej ocenić przez zbadanie jego rzeczywistego rozwoju, jego filogenetycznego powstawania. Poznawszy bowiem cele, dla których rozum w ewolucyi filogenetycznej się wytworzył, nie trudno z natury rzeczy orzec, do jakich celów on służyć może lub nie może. Można tedy oznaczyć granice rozumu.

Rozwój życia na ziemi odbywa się, według Bergsona, na trzech głównych zasadniczych liniach — obok siebie. Pierwsza linia wiedzie do roślin. Funkcye ich ograniczają się do gromadzenia w sobie zapasów energii, służących potem zwierzętom za pożywienie. Druga i trzecia linia wiodą poprzez państwo zwierzęce w dwóch kierunkach. Wynikiem jednego kierunku jest instynkt zwierzęcy, kulminujący u owadów. Wynikiem zaś drugiego jest rozum ludzki. Rozum i instynkt nie mają nic ze sobą wspólnego. Instynkt można

bowiem określić jako zdolność celowego posługiwania się narządami, czyli organicznemi narzędziami. Rozum natomiast polega na tem, że człowiek sam sobie nieorganiczne narzędzia stwarza. Stąd jak najsłuszniej datuje nauka pierwsze pojawienie się na ziemi człowieka, homo sapiens, od chwili ukazania się pierwszych narzędzi. Konsekwentniej byłoby przeto mówić homo faber, miast homo sapiens.

Rozum jest więc bądź co bądź pierwotnie zdolnością praktyczną. Człowiek odczuwa co krok, że jest nierozerwalnie złączony z materyalnym światem wokoło. Działalność jego jest tedy przedewszystkiem zwrócona na ten świat materyalny. By sobie w nim dać rady, musi go opanować. Pierwotnem dążeniem człowieka nie jest więc poznanie świata, tylko opanowanie świata, owładnięcie nim. Więc nie z poznawczej, teoretycznej, tylko właśnie tej praktycznej postawy wobec świata rozwija się powoli rozum.

Moment ten jest niezwykle doniosły dla całej filozofii Bergsona. Wypływają z niego dalekonośne konsekwencye. Otóż, by świat opanować, interesom swym podporządkować, musi się człowiek przedewszystkiem w nim doskonale oryentować. W tym celu wykonywa on w świecie zasadnicze przemiany, przekształca go rozumowo. Płynna ciągłość stawania się, wciąż nowa, wciąż inna, wyłamuje się bowiem jako taka z pod naszej władzy. Prąd życia ponosi nas na potężnej swej fali. By tym prądem zawładnąć, musimy go niejako dla nas unieruchomić, stwarzając sobie stałe punkty oparcia, którymi, jako naszymi tworami, z natury rzeczy dowolnie rozporządzać możemy. Na tem właśnie polega zadanie rozumu. Rozbijając, rozczłonkowując żywą ciągłość stawania się, stwarza sobie rozum szereg schematów, jakoby stałych niezmiennych form, w które wtłacza konkretną, żywą rzeczywistość. Fundamentalnym takim wytworem rozumu jest przestrzeń. Przestrzeń nie powstała tedy z naszej potrzeby poznawczej, jeno z potrzeby praktycznej. Rozum wytworzył sobie przestrzeń, by módz konkretną rzeczywistość dowolnie rozbijać na kawałki i by również dowolnie znów ją z tych kawałków odbudowywać — by ją tedy doszczętnie opanować.

I tak powstają powoli wszelkie pojęcia rozumowe. Czynność rozumu nie jest więc właściwie pierwotnie w ścisłem znaczeniu myśleniem, tylko działaniem. Wszelkie nasze pojęcia utworzyły się bowiem pod wpływem naszej działalności w świecie, jako wynik naszego oddziaływania na rzeczywistość i rzeczywistości na nas. Rozumowi tedy nie może przysługiwać żadna kompetencya po-

znawcza. Z praktycznych potrzeb się wytworzył, więc tylko praktycznym potrzebom służyć może.

Błąd wszelkiej dotychczasowej metafizyki polega przeto, zdaniem Bergsona, właśnie na tem, że przypisywano rozumowi władzę poznawczą, że zapoznawano jego istotę praktyczną, nie bacząc, że wytworzył się on z potrzeby opanowania, nie zaś poznawania zjawisk. Kategorye praktyki wyniosła metafizyka poprostu do godności kategoryi poznania, spekulacyi. Stąd płyną wszelkie jej zasadnicze pomyłki.

Z niezwykłą przenikliwością tropi Bergson te błędy filozoficznej spekulacyi. Szczególnie silnie ujawniają się one w psychologii. Rozum, posługujący się dedukcyą i indukcyą, zawodzi tutaj, zdaniem jego, gruntownie. Wnioski indukcyjne posiadają bowiem tylko wówczas sens, gdy się ten sam proces powtarza. Tymczasem w życiu naszej duszy niema, ściśle wziąwszy, żadnych powtarzań, niema dwóch zupełnie sobie równych przeżyć. Każdy moment różni się od drugiego jakościowo. Dusza nasza produkuje wciąż nowe jakości, jest ustawicznie twórczą. Wogóle świat cały jest ewolucyjną ciągłością, ustawicznym procesem tworzenia, nieprzerywanem stawaniem się. A rozum nasz ujmuje tylko to, co jest stałe, niezmienne. Stąd widzimy w dziejach filozofii, poczytującej rozum mylnie za władzę poznawczą, tyle bezowocnych wysiłków sprowadzenia wszelkiego żywego płynnego stawania się do szeregu stanów stałych, niezmiennych. Rozum nasz odgrywa jakoby tylko rolę kinematografu. Rzuca tysiące niezmiennych obrazów na ekran, by z pomocą ich szybkiego następstwa po sobie wywołać złudzenie płynnego żywego ruchu. Nic tedy dziwnego, że filozofia tą drogą nie zdolna uchwycić życia świata, istoty świata w całej ich prawdzie. Miast prawdziwego obrazu świata, daje nam tedy ostatecznie system schematów, pustych abstrakcyi, jak atomy, platońskie idee, monady i t. p.

Chcąc prawdziwie poznawać, musi filozofia wejść na zupełnie inną drogę, posługiwać się zupełnie inną metodą — mianowicie intuicyjną. Bergson rozróżnia ściśle, jak już wspominaliśmy, między filozofią a naukami ścisłemi. Nauki ścisłe, sciences, mogą się posługiwać rozumem, gdyż są one wyrazem naszej praktycznej postawy wobec zjawisk. W sprawie nauk ścisłych zajmuje więc Bergson stanowisko skrajnie pragmatyczne, zgodne z zasadniczemi założeniami Jamesa i Schillera. Nauki mogą się kusić, według pragmatyzmu, tylko o względną prawdę. Prawdziwem bowiem jest

tylko to, co jest korzystne. Prawda podlega więc w miarę ewolucyi ustawicznym zmianom. Pojęcia, wytworzone przez rozum, mają na celu zajęcie jaknajkorzystniejszej postawy wobec zjawisk — savoir c'est prévoir. Jasnem więc jest, że te zmienne, w miarę potrzeby wciąż się przekształcające pojęcia nie mogą wcale wyrażać bezwzględnej prawdy, nie mogą posiadać wartości par excellence poznawczej. Pragmatyzm, jak wiadomo, na tem poprzestaje. Zadawala się poprostu bezwzględną względnością wszelkich prawd.

Bergson natomiast na tem nie poprzestaje. Toć cały jego wysiłek zmierza właśnie ku wywalczeniu filozofii (nie naukom) drogi do bezwzględnej prawdy, do wyswobodzenia jej z pragmatystycznego relatywizmu. Drogę tę widzi w intuicyi. Intuicya jest mu władzą prawdziwie poznawczą, skrajnie przeciwstawną praktycznej władzy rozumu.

Poznawczą kompetencyę intuicyi usiłuje Bergson utwierdzić tak samo biologicznie, jak utwierdził poznawczą niekompetencyę rozumu. Więc cóż to jest właściwie intuicya? Definiuje ją Bergson jako rodzaj intellektualnego wczuwania, dzięki któremu przenosimy się do wnętrza jakiegokolwiek przedmiotu, aby uświadomić sobie to, co przedmiot zawiera w sobie swoistego, niewyrażalnego (por. „Wstęp do metafizyki“). Jest to więc sympatyczne odtwarzanie w sobie czegokolwiek. Wszyscy znamy doskonale intuicyę z codziennego doświadczenia. Intuicyjnie odczuwamy radość i smutek naszych bliźnich, lub cechy twórczości w dziełach sztuki. Dwoma przykładami ilustruje Bergson trafnie swoiste jej cechy i jej odmienność od dyskursywnego poznania. Po pierwsze: wszelkie fotograficzne widoki Paryża, zdjęte z wszystkich możliwych punktów obserwacyjnych nie są w możności, razem wziąwszy, dać nam ani w przybliżeniu tego wyobrażenia, które nam krótki pobyt w Paryżu odrazu daje. Po drugie: wszelkie najszczegółowsze opisy charakteru i czynów bohatera powieści nie zdołają zastąpić nam tego bezpośredniego odczucia osobowości bohatera, które posiedlibyśmy odrazu, gdyby nam danem było z bohaterem tym rzeczywiście się zapoznać. Fotografia i opisy — to poznanie rozumowe. Pobyt w mieście i osobiste pożycie — to poznanie intuicyjne.

W intuicyi upatruje Bergson zjawisko par excellence życiowe, biologiczne. Prąd życia płynie, jak już wspominaliśmy, trzema głównemi korytami. U zwierząt wytworzył on instynkt, u człowieka rozum. Przyrodnicy uważają instynkt albo za mechanizacyę nabytych intelektualnych właściwości, albo też za wynik naturalnego

doboru według Darwina. Bergson potępia obydwie te teorye. Pogląd Darwina zbyt wielką wagę przypisuje przypadkowi. Zaś teorya mechanizacyi nabytych intelektualnych właściwości jest niepewna. Wątpliwą bowiem jest właściwości tych dziedziczność. Bergson widzi w instynkcie poprostu dalszy ciąg organizującej twórczej pracy życia. Jest on pierwotną formą sympatycznego wczuwania się w rzeczy. Mrówki lub pszczoły wykonywują cały szereg tak celowych czynności, nie dla tego, by sobie rozumowo sprawę zdawały, jeno dla tego, że posiadają bezpośrednie odczucie, co czynić należy, a co nie należy. Posiadają one jakoby wrodzony zmysł rzeczywistości. Bergsonowi chodzi więc o podkreślenie, że instynktu żadną miarą z intelektualnych pierwiastków wywieść nie można. Nie jest on żadnym embryonalnym, nierozwiniętym rozumem, tylko jest osobną władzą obok rozumu.

I tej władzy, tego instynktu, nie zatraciliśmy także i my, ludzie. Nie wegetuje on czasem tylko obok naszego rozumu, lecz wprost rozwinął się jako intuicya. Jak instynkt zwierzęcy jest przyrodzonym zmysłem rzeczywistości, tak intuicya ludzka jest wprost organem bezpośredniego odtwarzania w sobie rzeczywistości. Rzeczywistość jest płynną i ruchomą. Rozum ze swemi schematycznemi, bezruchowemi jakoby sztywnemi i twardemi kategoryami jest wobec jej ciągłości i ruchu bezsilny. Intuicya natomiast przykłada się, niejako przytula się do rzeczywistości. Odtwarza w sobie jej ustawicznie tętniące życie. Zbliża się przeto daleko więcej do jej istoty, aniżeli rozum. Common sense Anglików, nasz „zdrowy chłopski rozum“ — to krewni intuicyi. Gdyż oczy ich nieraz daleko lepiej rozwarte na świat wokoło, aniżeli oczy rozumu, z całą jego wyrafinowaną dyalektyką.

Intuicya uchodziła zawsze za niższą władzę umysłową aniżeli rozum. U Bergsona staje się ona najwyższą. Od intuicyi każdej chwili przejść można do rozumu — lecz nigdy na odwrót. Rozum przystępuje do rzeczywistości ze sztywnemi, nieruchomemi pojęciami. Intuicya wżywa się w ruch. Jest giętką i gibką, jak życie samo. Niemożliwością jest z schematów abstrakcyjnych odtworzyć życie, z szeregu punktów nieruchomych ruch. Droga od rozumu do intuicyi jest więc zamkniętą. Natomiast od intuicyi nie trudno dotrzeć do rozumu. Nic bowiem łatwiejszego jak konkretną żywą rzeczywistość przetopić na szarzyznę rozumowych pojęć. Intuicya dostarcza nam pojęć coraz płynniejszych, przytulających się coraz doskonalej do rzeczywistości. Jedynie intuicya może przeto dać nam

obraz życia takiego, jakie ono zaprawdę jest — przybliżyć nas do jego istoty.

Taka degradacya rozumu na korzyść intuicyi nie jest naturalnie rzeczą łatwą. Bergson wie o tem doskonale. Tem dobitniej zaznacza on tedy, że trzeba tutaj odwrócić dotychczasowe wartości i poprostu energicznie zerwać z nawyknieniami umysłowemi. A nawyk upatrywania w rozumie jedynej uprawnionej metody poznawczej jest tak silny, że bez znacznego wysiłku przezwyciężyć go niepodobna. Tem więcej, że intuicya uchodziła dotąd za coś wręcz nienaukowego, za poetyckie rojenie rozmarzonych głów. Lecz właśnie wobec tego należy mieć w pamięci, że intuicya nie jest żadną tajemnicą, jeno funkcyą dobrze nam znaną z codziennego doświadczenia. Posługuje się nią ustawicznie choćby każdy artysta. Intuicyjnie wżywa się w postacie, które tworzy. Nie zlepia i nie zczepia ich z poszczególnych fragmentów, tylko tworzy je od wewnątrz, właśnie dla tego, że przebywa sam intuicyjnie w ich wnętrzu.

Na tej nauce o intuicyi oparł Bergson swój system filozoficzny. Czy i z jakiem powodzeniem — nie miejsce tu rozstrzygać. Powiedzianem wprawdzie jest: po owocach poznacie je. Krytyka wyników decyduje niewątpliwie o wartości metody. Lecz mimo to wskazaną jest pewna powściągliwość. Toć wartości metody przyrodniczej nikt w wątpliwość nie podaje, mimo że z jej pomocą skonstruowano tyle — absurdów. Rozpatrując metodę, nie koniecznie trzeba włączyć w dyskusyę jej indywidualne zastosowanie. Może ono być błędne, mimo najlepszej metody.

Przeciw nauce Bergsona można podnieść naturalnie cały szereg zarzutów. Najpierw podlega dyskusyi jej utwierdzenie biologiczne. Narzuca się pytanie, czy biologia posiada wogóle jakąkolwiek kompetencyę w sprawach teoryo-poznawczych, czy nie musi ona doprowadzić zawsze do relatywizmu poznawczego, czy więc nie jest może najzupełniej niepodatną tam, gdzie chodzi przecież o bezwzględne poznanie? Nie kusząc się tutaj o odpowiedź, pragnęlibyśmy zaznaczyć tylko tyle, że również biologicznie utwierdzają swą teoryę poznania najwięksi przeciwnicy bergsonowego intuicyonizmu, pragmatyści. Quod licet Jovi i t. d. Powtóre najtrudniej pogodzić się z bezwzględną degradacyą rozumu wobec intuicyi u Bergsona. Niepodobna rozumowi odmawiać wszelkiej wartości poznawczej już choćby dlatego, że poznaje on względną prawdę, co przyznaje sam Bergson na równi z pragmatystami. Więc rozum bądź co bądź poznaje. A tem samem uznaje możność oparcia na

samej intuicyi całej filozofii, tem więcej, że eksplikacyi zdobyczy intuicyjnych dokonać można jedynie drogą dyskursywną.

Koniec końcem: nie intuicya zamiast rozumu, tylko obok rozumu. I tutaj należy szukać istotnej wielkości czynu Bergsona. Zasługa jego nie w tem, że intuicyę ponad rozum wyniósł, jeno w tem, że intuicyi wogóle miejsce obok rozumu wywalczył.

Już pod kątem widzenia czysto historycznym zasługa to pierwszorzędna. Intuicya odgrywała niewątpliwie zawsze pewną rolę w filozofii. Czynnik intuicyjny zawarty już jest w erosie platońskim, w tej dziwnej potędze, porywającej jak wicher ducha ludzkiego ku szczęsnej krainie idei, by go w niej doszczętnie pogrążyć. O intuicyjnem poznaniu mówią nam i Spinoza, mimo swych demonstracyi „geometrycznych“ i mistycy wszelkich czasów. Czy mędrcy indyjscy, czy Plotyn, czy Boehme — wszyscy oni czerpią swą mądrość z kontemplacyjnej ekstazy, z intuicyjnego zatapiania się w absolucie. Postami i modlitwą męczy bramin swe ciało, by przez wywyższenie ducha danem było wreszcie wczuć się w to, co prawdziwie bytuje. Rozum odgrywa tu wszędzie drugorzędną rolę. Nawet Kant nie pominął intuicyi. Lecz uważał on ją za niedosiężny ideał, za marzenie. A te rojenia Kantowe ziścili, według własnego głębokiego przekonania, idealiści i romantycy. Nietylko poeta Schelling, lecz nawet ten tak niby arcysuchy arcydyalektyk Hegel. Wierzyli, że ów Kantowy intellectus archetypus im właśnie przypadł w udziale.

Lecz intuicya była zawsze, wyraziwszy się trywialnie, artykułem luksusowym w filozofii. Nawiedzała jeno wybrańców, kroczących na szczytach ludzkości. Uchodziła za owoc żywota świątobliwego lub geniuszu. Zwykłym śmiertelnikom pozostawało rozumowanie dyskursywne. Nic tedy dziwnego, że intuicya budziła ironiczny uśmiech sceptyków. Mistykom i geniuszom ją wybaczano — lecz na seryo z nią się nie liczono.

Dopiero Bergson sprowadził ją z tych tak niebezpiecznych dla niej wyżyn na niziny ludzkie. Spostrzegłszy jej olbrzymie znaczenie życiowe, odważył się na wywalczenie jej niemniejszego znaczenia w filozofii. Owocność jego pracy jest aż nadto widoczną. Choćby w estetyce. Chyba nigdzie nie panuje intuicya tak dobitnie, jak w państwie sztuki. Od dzieła sztuki wymaga przedewszystkiem twórczości. Lecz jak tu oznaczyć cechy twórczości na płótnie lub w marmurze? Eksperymentalnie przytwierdzić ich tam niepodobna. Więc nie pozostaje nic innego, jak udać się o pomoc do intuicyi.

Twórczość jest tam, gdzie ją intuicyjnie wyczuwam. Innej rady na to niema. Z pomocą dyskursywnego myślenia mogę naturalnie cechy twórczości określić pośrednio, lecz dopiero wtedy, gdy istnienie jej udzieli mi się intuicyjnie. Intuicya stwierdza istnienie jej w dziele sztuki, a więc bądź co bądź poznaje i zdobywa prawdę. Dotąd posiadała taka postawa wobec twórczego dzieła, pewien mistyczny, tajemniczy przysmak. Uchodziła tedy za skrajnie nienaukową. Teraz, dzięki badaniom Bergsona, można się intuicyą posługiwać jako czynnikiem równouprawnionym obok dyskursywnego myślenia. Toć w gruncie rzeczy obojętnem jest, jaką drogą zdobywa się prawdę — byleby ją zdobyć.

Z owocności intuicyi w dziedzinie sztuki wnioskować chyba wolno o owocności jej wogóle. Zresztą sam przykład Bergsona, jego system, ujawnił, co z jej pomocą bądź co bądź osięgnąć można. Bo choćby nawet tylko drobna część wytrzymała tam krytykę, to jednak mimo to rozwarte zostały dla filozofii nowe drogi. Więc już tedy tylko od niej samej zawisło... czy nie zejdzie na bezdroże.

Michał Sobeski.

WRÓG.

Kochany Władku!

Jeśli Ci zależy na czemkolwiek jeszcze ważnem i wielkiem we własnem życiu, nie spal tego listu!

Rzuć gdziebądź. Nie czytaj dziś.... tylko nie spal.

Nie wiem, czy będę Cię tak kochał kiedy... Nie wiem. Albowiem...

Wszystko jest, jak błysk płomienia, który się dobywa z niezbadanych głębin dusz naszych.

Wszystko wielkie i prawdziwe.

Płacz! Przeklnij... tylko nie spal...

To jest mój dar... wszystko w to włożyłem. Ja wiem, że nie możesz mnie dzisiaj zrozumieć...

Rozwaliłem Twój dom... twoje szczęście...

Bierz kamienie i rzucaj we mnie... rzucaj! Będę czuł każde uderzenie i... będę płakał z radości... ze szczęścia.

Otom coś uczynił w życiu... ja... którym niczego nie dokonał dotąd...

Rozwaliłem klatkę orła.

Wołaj: To literatura! Wołaj tak.

Kłamiesz!

— — — — — — — — — — — — — — —

Jednego się tylko boję.

Czyś Ty po tem nie zachorował.

Ale pytać nie śmiem.

Widziałem na ulicy Kostka... mogłem się dowiedzieć, szedłem za nim długo kryjąc się. Bałem się, że spojrzy i oczy jego powiedzą mi: Nie ciesz się... bardzo chory, ale nie umarł jeszcze.

Czyś Ty chory? Kto mi powie...

— — — — — — — — — — — — — — —

A ja przecież jestem twój wróg.

Tak jest... i jeszcze nie koniec... jestem... złodziej... marny... niski człowiek... Wiem to. Ja sam takiemu nie podałbym ręki. Złodziej... dobro mnie cudze łaskocze po nerwach. Oto, com jest!

— — — — — — — — — — — — — — —

Jakaś wielka we mnie zaszła przemiana. Spotężniałem. Dawniej drżałem, jak gałązka jaśminu, po którą się wyciąga ręka dziecka... Dziś już mogę kolcami rozrywać ciało kochającego mnie człowieka.

— — — — — — — — — — — — — — —

Przy gruzach więzienia teraz będzie widziadło, byś się bał stawiać je na nowo. Wczoraj, cała jeszcze różowa, a już cicha, uspokojona, powiedziała mi, że... nie, nie mogę... Ty pewnie wiesz sam, co mówi kobieta oszołomiona miłością, to jest tem, co za miłość bierze... Ty wiesz, jak depce nogami, niby lawina każdego, każdego, z którego już wzięła to... to... co jej się należy.

I jest wtedy jak sama natura, opanowuje, zasłania myśl, zatapia intelekt... bierze... W chwilach takich staję się już tylko... tylko złodziejem i nie miałbym prawa... nie miałbym zgoła prawa pisać do Ciebie, ale... w następnej chwili budzi się dusza.

— — — — — — — — — — — — — — —

O jakżem szczęśliwy! Mam coś dla siebie, jakąś świadomość, nieznaną dotąd czynu śmiałego. Odkupiłem klejnot bez ceny, zapłaciwszy szczerze i uczciwie przekupniowi, który chciał go rozbić młotkiem na drobne kamyczki, by przystroić mosiężne pierścionki dla dziewek folwarcznych na jarmark.

— — — — — — — — — — — — — — —

Ty jesteś szmaragd mistyczny, kupiony za cenę jej miłości.

I to tanio... bardzo tanio...
Cóżem ja dziś wart?
Prawie nic...
Oto masz list od w r o g a.

— — — — — — — — — — — — — — —

Czy Ty rozumiesz... czy Ty kiedy to zrozumiesz? Czy to nie przepadnie?

Ach! Wszyscy tak przesiąkli literaturą... fałszem prawdy codziennej, strywializowani ustalonemi „pojęciami“, wyczerpani wyścigami oryginalności z przeszkodami... Czy Ty uwierzysz i pojmiesz? Pamiętaj, że ten płomień... ten prawdziwy płomień, który idzie z głębin nie nazwanych... ach Wy nie pojmiecie tego nigdy!

Gdybyś Ty choć mógł na chwilę wmyśleć się, nie mogąc wierzyć sam, w moją wiarę... Przynajmniej staraj się na małą... maleńką chwilkę pomyśleć, co to jest o f i a r a.

Widzisz, ja Ciebie kocham i jestem na Golgocie... to takie proste.

— — — — — — — — — — — — — — —

Ja w Tobie ukochałem j a s n o w i d z e n i e i zostałem dlatego rabusiem. W nocy wkradłem się do świątyni i podpaliłem gęsty welon, który Ci wiatr jakiś zarzucił na oczy... na... duszę. Na miłość boską... chyba to wiesz... chyba tak było...

— — — — — — — — — — — — — — —

O... popatrz, mam na rękach rany... poparzyłem się... a ból ten potrwa długo...

— — — — — — — — — — — — — — —

A może źle, żem Cię prosił, byś nie palił tego listu. Może i to jest także „literatura“? Ha, to spal. Tylko widzisz, nie mogłem się przemódz, by się nie przymówić o jakąś nadzieję na przyszłość..., nie teraz... potem. W głębi duszy marzyłem o jakiemś kiedyś widzeniu... gdzieś w teatrze, kiedy będą grali twoją rzecz..., albo nawet na ulicy... ot tak mi się głupio śniło... list tedy podrzyj... podrzyj... albo spal.

F. Mirandola.



TEATR IRLANDZKI.

Po wsze czasy wytwarzała Irlandya pisarzy niepośledniej miary, których dobytek wzbogacał skarbnicę literatury angielskiej. Pochodzą z niej, gdy sięgniemy w przeszłość: Ryszard Steele, Olivier Goldsmith, Laurence Sterne, Edmund Burke, Sheridan, w ostatnim zaś okresie Oskar Wilde i Bernard Shaw. Zaznaczam tu tylko oczywiście imiona najwybitniejsze. Wnosząc do swego dzieła pierwiastki, wyrosłe z odrębności duchowych rasy, wszyscy ci pisarze pozostają niemniej wyobrazicielami różnych momentów ewolucyi piśmiennictwa angielskiego. Dzieło ich stanowi przedewszystkiem dopływ ogólnego prądu.

Zasilanie go w podobny sposób trwa nadal i teraz, jednocześnie atoli ukształtowała się na tym gruncie, po raz pierwszy od dni podboju, twórczość angielskiego wprawdzie języka, lecz na wskroś irlandzka w istocie swej i nastroju, a więc obca pod wielu względami, tradycyom i dążnościom piśmiennictwa angielskiego i stojąca po za niem. Sama wszelako myśl dania Irlandyi literatury, któraby zwracała się przedewszystkiem do ojczystego społeczeństwa, kiełkowała już w połowie minionego stulecia i uzyskała niejako urzeczywistnienie za sprawą grupy pisarzy, zasilających wydawane wówczas przez Tomasza Paris'a pismo pod tytułem, *The Nation*. Mimo jednak doniosłości samego ruchu i niezaprzeczony talent wielu z jego szermierzy, retoryka górowała nieskończenie w ich dziele nad pierwiastkami ściśle artystycznymi. Dążąc do wywołania najwyższego napięcia uczuć narodowych, byli wyłącznie niemal głosem, pobudzającym do akcyi i oporu.

Fenianizm, poczynający występować na widownię w siódmym lat dziesiątku, zdziałał również nie wiele dla piśmiennictwa. Płomienne wezwania do buntu, nieliczne powieści o charakterze ściśle tendencyjnym, nie posiadały wartości literacko-artystycznych, któreby zapewnić im mogły trwałe istnienie. Polityka jest w owej epoce początkiem i końcem działalności na wszystkich polach życia. Wszystko służyć musi jej celom. Kwitnie namiętne krasomówstwo, mnożą się pamflety, niema wszelako miejsca na pracę dla celów czysto intellektualnych i duchowych w tem istnieniu, pochłonionem przez walkę o zdobycze materyalne i polityczne. Podobny stan rzeczy trwa po ostatni lat dziesiątek ubiegłego wieku.

Znalazł się atoli, w dobie wrzenia i odmętu człowiek, do którego poetycka i mistyczna przeszłość rasy przemówiła głosem potężniejszym nad nawoływania wodzów partyi. Mało znany poza granicami swego kraju Standish O'Grady jest w rzeczywistości wskrzesicielem kultu dla

tradycyi duchowych narodu. Jego *Early Bardic History of Ireland*, jego *Cuculain, Finn and his Companions* i inne dzieła jeszcze wkraczały w tajnie zamierzchłych dni legendy i bohaterskiego okresu dziejów Erynu, których wspomnienia nie znajdowały już oddźwięku u pokoleń, skierowujących wszystkie wysiłki ku zdobyciu praw przynależnych narodowi i żyjących w ciężkiej atmosferze agitacyi i walki, jawnej czy podziemnej. On to zapoczątkowuje właściwie w literaturze ruch młodoirlandzki, odkrywając ponownie wyobraźni i marzeniu magiczne horyzonty piękna. Zainteresowanie dawną literaturą i cudem podań narodowych wzrasta jeszcze pod wpływem Unii, a w następstwie Ligi gaelickiej. Jeden z założycieli jej, dr Douglas Hyde, którego produkcya dramatyczna zajmie poważne miejsce w odnośnym dorobku Młodej Irlandyi, jest zarazem autorem pierwszej zgoła historyi literatury irlandzkiej [1]) i, dzięki nieszczędzącemu żadnych wysiłków pietyzmowi wobec przeszłości duchowej narodu, powiększył jej zabytki zbiorem starych pieśni miłosnych, które przechowywały się od wieków w ustnem podaniu.

Pierwsze wyniki akcyi bojowników odrodzenia kulturalnego Irlandyi ujawniły się w poezyi. W roku 1888 ukazuje się tom utworów Katarzyny Tynau, nawskróś iryjskich w natchnieniu. Wnet potem (r. 1889) W. B. Yeats wydaje swe *Wanderings of Oisin*, skąpane w atmosferze celtyckiej i tak odmienne, zarówno w harmoniach wiersza jak w jego charakterze od wszystkiego, co wydała tradycya angielska, że sami jego współrodacy witają je zrazu z uczuciem zdumienia raczej, niż emocyi.

Jednocześnie prawie A. E. (Jerzy Russel) ogłasza drukiem zbiór poematów pod tytułem: *Homewards Songs*. Działalność jego rozwinęła się w następstwie w tylu kierunkach, że twórczość poetycka, choć uprawiana nadal, schodzi w niej na plan dalszy. Jest on wszelako jednym z tych niestrudzonych nigdy pionierów ruchu, którzy zdziałali najwięcej dla celów jego najistotniejszych. Przynależy mu również przodujące miejsce w rzędzie ludzi, których wybitny umysł i wszechstronna kultura przyczyniły się wysoce do wytworzenia w Dublinie środowiska życia intelektualnego, którego brak całkowity wyganiał ongi do metropolii pisarzy i artystów irlandzkich.

Wiemy, jak liczny zastęp poetów zgromadził się od chwil owych, tak niedawnych jeszcze, pod hasłami celtyckiego revivalu. Przy towarzyszącem mu napięciu uczucia rozbudzanie ducha rasy nie mogło niemal przemówić w owym okresie inaczej jak potężnym wybuchem

[1]) *A literary history of Ireland. London, Fisher, Unwin.*

liryzmu. Refleksya i analiza są momentem nierównie późniejszym. Liryzm Młodej Irlandyi, pełen wzlotów wyobraźni, przenikniony jest zarazem tchnieniem mistycyzmu, organicznie poniekąd zrosłego z istotą Celta, a znajdującego podnietę we wskrzeszonej do nowego życia tradycyi i legendzie. Dodajmy, że wczesne utwory poetów tej grupy rozbrzmiewają niejednokrotnie twardymi i ostrymi tonami nienawiści dla ciemięzcy, które milkną atoli coraz bardziej w miarę zmian, zachodzących w polityce metropolii. W całości jest ta twórczość, nawiązująca ściste węzły łączności z przeszłością, lecz wlewająca w nią nowego ducha, urobionego w ogniu walk stulecia, nawskróś odrębną w tonie i barwie w ekspresyi i nieprzewidzianych zgoła kadencyach rytmu.

* * *

Od pierwszych swych wystąpień na polu pisarskiem W. B. Yeats zajmuje w szeregach poetów przodujące stanowisko. Jemu też przeznaczonem będzie nadać impuls powstaniu produkcyi scenicznej, rdzennie irlandzkiej w nastroju swym i treści. Świadomy doniosłej wartości pierwiastków, jakie literatura jego ojczysta wnieść może do dziedziny życia imaginatywnego, wierzy niezłomną wiarą poety, że Celt odnowi wyobraźnię cywilizowanego świata. Nie dość jednak na tem. Pielęgnuje również nadzieję, że pisarze rasy jego wytkną twórczości dramatycznej nowe tory. Fakt to ciekawy niezmiernie, że kraj, który dał Wielkobrytanii trzech największych jej autorów scenicznych od doby Restauracyi: Sheridan'a, Goldsmith'a i Bernarda Shaw'a, nie posiadał nigdy własnego teatru. Zrodzeniu się jego stały niewątpliwie na zawadzie tej same przeszkody, które tamowały ogólny rozwój życia duchowego. Wraz z usunięciem ich częściowem wytwarza się atmosfera, sprzyjająca nierównie więcej przeprowadzeniu dążeń natury estetycznej. Mimo to jednak urzeczywistnienie zadania, jakie postawił sobie poeta, wydawało się niemal nieziszczalnem. Ale marzyciel i mistyk, dla którego nie istnieją realne przeszkody, uzbrojony jest w niezwalczone moce. Yeats dowiódł tego, przyoblekając w czyn swe zamiary.

Rzecz dziwna, a jednak naturalna, gdy zważymy, że celem jego wyłącznym było zdobycie rezultatów artystycznych i intellektualnych, nie zaś jakichkolwiek wyników materyalnych; ów marzyciel-poeta okazał się znakomitym organizatorem. Pragnął odnowić sztukę dramatyczną. Całkowite zmechanizowanie teatru współczesnego, płytki realizm, uciekający się do kinematograficznych procederów, banalność firmy i treści, konwencyonalizm zewnętrzny i wewnętrzny, występujący zarówno w samej produkcyi, jak w interpretacyi scenicznej, a zakorze-

niony tak głęboko, że nie mogą wyzbyć się go całkowicie nawet reformatorzy teatru — wszystko to było mu jednako nienawistnem i domagało się jednako usunięcia. O wszystkiem tem należało zapomnieć najbezwzględniej, powracając do szlachetnej prostoty linii i koncepcyi, by stworzyć dzieło trwałe. Zobaczymy, na ile zdołali to uskutecznić sam Yeats i grupa pisarzy, którym, wraz z nim, zawdzięcza teatr irlandzki swe istnienie.

Pierwszy związek owej sceny narodowej powstał w roku 1899 pod nazwą *Irish Literary Theatre.* Głównymi jej kierownikami są wówczas Yeats, Jerzy Moore i Edward Martyn. Dwaj ostatni jednak pisarze, mimo cały swój entuzyazm dla drogiej im sprawy, zbyt zrośli się byli z dążnościami zkosmopolityzowanej literatury naszej doby, by módz wyzwolić się całkowicie z jej wpływów i zasilać młodą scenę utworami, odpowiadającymi ideałom Yeats'a. Bądź co bądź atoli, od pierwszych momentów jej istnienia, odegrywane są na niej jedynie sztuki autorów irlandzkich, czerpiące przedmiot swój w życiu, tradycyi i folklorze ojczystym. Trupa składa się z aktorów angielskich. Przedstawienia urządzane są w pewnych tylko okresach czasu, przyczem organizatorowie trzymają się systemu repertuarowego, gwoli uniknienia przechodzącego w szablon wyzyskiwania efektów, związanego z produkowaniem bez końca tak zwanych powodzeń scenicznych. Ta wstępna faza trwa do roku 1901. W okresie tym teatr wystawia ogółem sztuk siedm; wszystkie zyskują mniejsze lub większe powodzenie, lecz dopiero ostatnia z nich, komedya wymienionego już wyżej dr Douglasa Hyde'a pod tytułem: *The twisting of the rope* święci prawdziwe tryumfy i wskazuje na wielu punktach drogę, jaką kroczyć należy.

Zainteresowanie nią wypływa z kilku względów. Pobudził je już fakt, że była pierwszym utworem dramatycznym, napisanym w języku gaelickim i odegranym w nim również przez samego Hyde'a i trupę amatorską wobec wyłącznie oczywiście irlandzkiego audytoryum. Cechuje ją przytem wysoka bezpośredniość, jakiej nie osiągnął był do owej chwili sam Yeats, ani żaden z promotorów teatru irlandzkiego. Po dziś dzień zresztą Hyde bliższy jest bodaj tradycyi gaelickiej, niż którykolwiek z jego współczesnych. Dzięki lady Gregory, która dokonała przekładu kilku sztuk jego na język angielski [1]) stały się one dziś dostępnemi dla szerszej publiczności. We wszystkich nich uderza jednaka szczerość i prostota, wykluczająca sztuczne wzruszenia i efekty;

[1]) *„The twisting of the rope"*, *„The marriage"*, *„The lost saint"* *„Natirity"*.

wszystkie świadczą o doskonałem wniknieniu pisarza w istotę ducha rasy, które wlewa w utwory jego trwałe ich życie.

Suche opowiedzenie nieskomplikowanej treści tych sztuk dać musi o nich najzupełniej fałszywe pojęcie. Weźmy choćby *Twisting of the rope.* Arogancki i próżny, ale pełen swady poeta wędrowny przybywa tu do domostwa zamożnego gospodarza i skupia wszystkie wysiłki, by zwrócić na się uwagę córki jego. Jak pozbyć się intruza? Wziąwszy go chyba na lep jego chełpliwości. Potrzebne oto długie powrósło, a nikt z obecnych skręcić go nie umie. Nikt, oprócz poety, który celuje jednako we wszystkiem. Przynoszą więc słomę; poeta zabiera się do pracy nie szczędząc otaczającym kpin, przycinków i wyrazów pogardy z racyi ich niezdarności. Powrósło wydłuża się: skręcając je, poeta zbliża się coraz więcej, nie zauważając tego, do drzwi otwartych. Za chwilę będzie u progu... już go przekroczył. Drzwi zamykają się z trzaskiem, a z ust zawiedzionego pieśniarza posypały się gradem obelgi i przekleństwa.

Niepodobna wysnuć z tej treści sądu o rzeczy. Wartość jej leży w mistrzowskiem oddaniu atmosfery, której wrażenie udziela się intensywnie nawet w czytaniu i niezrównanem uwypukleniu pewnych rysów duszy iryjskiej. Dodatnie czy ujemne, sympatyczne czy pobudzające do krytyki, występują jak organiczne składniki tej duszy. Zarówno tu, jak w innych utworach autora nie czuć nigdy procederu; niema zgoła literackiego „urabiania“ typów. Przy nadzwyczajnej prostocie środków *Marriage* i *Lost Saint* przynoszą prawdziwą emocyę, mocą prawdy wewnętrznej, która występuje z poza i z ponad faktów.

W entuzyastycznem przyjęciu, jakiego doznał pierwszy utwór Hyde'a, było tyleż uznania dla samego utworu i sposobu ujęcia przedmiotu, jak dla interpretacyi scenicznej. Od chwili powstania młodego teatru irlandzkiego założyciele jego, jak zaznaczonem było wyżej, wytoczyli walkę konwencyonalizmowi we wszystkich jego przejawach. Lecz zawodowi aktorzy nie mogli otrząsnąć się całkowicie z jego tyranii. Trupa amatorska natomiast, zebrana przez Hyde'a, nie potrzebowała, jak oni, wyrugowywać z pamięci wskazań tradycyi teatralnej, z której wyrosła najnieznośniejsza rutyna, ani wyzbywać się niezawodnych efektów własnych. Dała zespół żywy, ciekawy, a pełen zrozumienia. Gra, wysoce ekspresyjna, wydobywała doskonale intencye autora; żadne reminiscencye nie mąciły szlachetnej jej prostoty i naturalności.

Yeats umiał wykorzystać wskazówki, jakich dostarczyło mu to przedstawienie. Pod kierownictwem W. Fay'a, człowieka o znakomitem uzdolnieniu scenicznem, zorganizowaną została trupa amatorska irlandzka, złożona przeważnie z pracowników biurowych i handlowych, którzy, po

ukończeniu dziennych zajęć, nieśli z gorącym zapałem swe usługi sprawie teatru narodowego. Imaginatywny i impulsywny Irlandczyk rodzi się poniekąd aktorem; wykazała to wymownie trupa Fay'a. Zaznaczmy tu, że stosunek pisarzy i ich interpretatorów do prowadzonego wspólnie dzieła był tak bezinteresowny, że pierwsi zrzekają się dotąd wszelkich honoraryów za udzielanie teatrowi sztuki, drudzy przez czas dłuższy pracowali nadal w biurach, bankach, czy przemyśle, nie pobierając, jako aktorzy, żadnego wynagrodzenia.

Rozporządzając w swym początkowym okresie szczupłymi bardzo środkami materyalnymi, teatr zadowalniać się wówczas musiał skromną nader inscenizacyą. Dekoracye nie dostarczały aktorowi, ani autorowi żadnych pomocniczych elementów. W podobnych warunkach niezbędnem było, wraz z dążeniem do najświętszej szczerości i prostoty, największe skondensowanie.

Cechy te poczynają istotnie ujawniać się coraz wyraźniej w młodej produkcyi teatralnej. W ciągu roku 1902 sam Yeats daje dwie sztuki *A Pot of Broth* i *Kathlen ni Hoolihan*, popularne w formie i w założeniu. Zdać by się mogło, że ze zmianą aktorów zawodowych na amatorskich zmienił się charakter całego przedsięwzięcia. *Kathleen ni Hoolihan* święci tryumfy nie mniejsze niż sztuka Hyde'a i pozostała po dziś dzień jednym z najwięcej cenionych utworów teatru irlandzkiego. Jasność symbolów i gorący nastrój patryotyczny, oddany z wielką miarą artystyczną, przemówiły jednako żywo do umysłów i wyobraźni.

Krąg zwolenników nowej cechy wzrasta coraz bardziej. W roku 1903 grupa fundatorów jej przybiera nazwę T o w a r z y s t w a n a r o d o w e g o t e a t r u i r l a n d z k i e g o, którą zachowało dotąd, a następnego już roku, dzięki ofiarności mis Horniman, posiądzie własną siedzibę. Jest nią *Abbey Theatre* dubliński. Trupa jego i repertuar zyskują rozgłos w całej Anglii. Wkracza w erę powodzeń, a przyczynia się do nich niemało zdobycie dla jego celów nowych sił twórczych: zmarłego przed dwoma latami Johna Millingtona Synge'a i lady Gregory, którzy wraz z Yeats'em odegrają w tym ruchu dominującą rolę.

Zasadniczy nastrój dzieła Yeats'a znany jest ogólnie. Mistyk to i marzyciel, dla którego życie ducha jest jedyną istotną realnością, przebywający najchętniej w świecie wycieleśnionej ekstazy. Umie wlewać czar niezwykły w swe alegorye, ujęte w formy poematów czy utworów scenicznych. Sama atoli natura jego talentu liryczną jest raczej niż dramatyczną. Wsłuchany w heroiczno-romantyczne tradycye rasy, budował na nich swe dramaty poetyckie. Rzeczy to niepospolitej wartości artystycznej, pociągające magią ujęcia, ponadziemskiem nieraz

wysubtelnieniem fantazyi i przeczystym wzlotem idealizmu. Poza nie licznymi wszelako wyjątkami jak wymieniona już *Kathleen ni Hoolihan, The kings Threshold,* zwłaszcza zaś *Shadowy Waters* i *Deizdrc,* gdzie umiał stworzyć silne napięcie dramatyczne, Yeats zdobywa głównie hołdy lirycznem pięknem swych utworów. Inne zgoła cechy pociągają u Synge'a i lady Gregory. Oboje posiadają rzetelny instynkt dramatyczny, oboje też są w swej produkcyi scenicznej wyrazicielami romantycznego realizmu. Tu jednak kończą się podobieństwa i analogie.

Legenda twierdzi, że gdy Jerzy Moore zastanawia się jeszcze chwilami nad tem, kto właściwie jest największym z żyjących pisarzy irlandzkich języka angielskiego, Synge nie miał nigdy pod tym względem żadnych wątpliwości. Istotnie, świadom był swej wartości i cennego gatunku swych zasobów duchowych, choć do trzydziestego niemal roku życia dawał tylko z rzadka drobne utwory poetyckie i prace krytycyzmu, nie pozwalające wyprowadzać decydujących wniosków co do możliwych jego urzeczywistnień. Po ukończeniu Trinity College, przebywa przez dłuższy czas w Paryżu, studyując literatury obce, gdy Yeats skłania go w roku 1899 do powrotu do Irlandyi i pracy na polu ojczystego piśmiennictwa. Nie przystąpi do niej odrazu; chce poznać kraj swój przedewszystkiem i wybiera się w wędrówkę po głębokich jego zakątkach i wybrzeżu morskiem, zwłaszcza w zachodniej części, chłonąc chciwie wrażenia piękna i wpatrując się zblizka i bacznie w życie natury i ludzi. Pierwszym wynikiem tej pielgrzymki jest rzecz pod tytułem: *Aran Islands.* „Było w nim — mówi Yeats [1]) — wiele ukrytej namiętności i dlatego miłował dzikie wyspy, gdzie ujrzał w pełnem świetle dziennem to, co się w nim taiło".

Rzeczywiście zetknięcie się z krajobrazami dziewiczych niemal, stojących na uboczu jeszcze od cywilizacyi ustroni Erynu i z atmosferą ich życia, objawiło Synge'a samemu sobie i wykreśliło mu wyraźnie jego zadania twórcze. W roku 1903 daje teatrowi irlandzkiemu pierwszy swój utwór sceniczny, za którym pójdzie szereg innych. W dobytku dramatycznym Młodej Irlandyi zajmują one najwybitniejsze bodaj miejsce, mimo pewne usterki, wynikłe z nałożonych na nią dobrowolnie przez pisarza, a zbyt ścisłych ograniczeń, które odrzuciłby niewątpliwie z czasem, odczuwając wpływ ich ujemny. Wyłączność prowadzić musi zawsze do pewnego zacieśnienia. Synge wykazywał ją w pożądanem zasadniczo dążeniu do prostoty linii i do wydobywania pierwotnych pobudek emocyi,

---

1) *Synge and the Ireland of his Time. 1911.*

Niemniej jednak pozostawił dzieło w swym rodzaju jedyne, nowe w języku, barwie i rysunku postaci.

Podobnie jak Yeats gardzi sztucznością i konwencyonalizmem i uważa, że literatura krajów wysokiej kultury zbyt daleko odbiegła od rzeczywistości. Dlatego tak chętnie i łatwo ulega namowom poety, gdy ten skłania go do zwrócenia się ku ojczystym źródłom twórczym i nadania ekspresyi życiu, płynącemu naturalnym biegiem i nie wtłoczonemu w karby cywilizacyi, które nie znalazło było dotąd wyrazu w literaturze. Wszystkie jego utwory dramatyczne wnoszą na scenę jego wizyę tego życia. Stroni od wszelkich problematów, zamyka się rozmyślnie w najprostszych tematach, pragnąc jedynie oddać w sposób najbardziej prawdziwy i szczery prawdziwe również wzruszenia i namiętności. Nie przenosi jednak bynajmniej do swego dzieła rzeczywistości, skopiowanej z fotograficzną dokładnością, a urabia w wyobraźni własną realność.

W twórczości tego rodzaju forma odgrywać musi niepoślednią rolę. Prostota i skupienie treści domagają się tychże zalet w ujęciu. Krzepki, jasny i giętki język Synge'a odpowiada zawsze doskonale jego intencyom i potęguje magicznie intenzywność wrażenia. Niepodobna byłoby wprost znaleźć więcej przejmujących akcentów bólu, nad te, jakimi dźwięczą *w Ridery to the Sea* skargi tragicznej wdowy i matki, której morze wydarło kolejno męża i wszystkich synów i która woła w osłupieniu tej rozpaczy, że nie będzie już choć biegła z innemi kobietami na wybrzeże, nie będzie płakała i łamała rąk w bezsilnej męce, gdy wiatr rozszalały gnać pocznie na zagubę łodzie rybackie.

W odtwarzaniu atmosfery Synge góruje bodaj nad innymi pisarzami teatru irlandzkiego, jakkolwiek Yeats, lady Gregory i dr Hyde posiadają również dar ten w wysokim stopniu. Stąd też napięcie uwagi i emocya, jakie budzą jego utwory, mimo iż wyrzeka się w nich świadomie wszelkich efektów, podniecających zaciekawienie. Najsilniejszych pierwiastków wrażenia dostarczają tu nie wydarzenia i konflikty, a groza śmierci, zawisła w *Ridery to the Sea* nad osadą nadmorską, groza samotności w *Shadow of the glen,* dziwnie wzruszający nastrój w *Well of the Saints,* najlepszej może z produkcyi scenicznych autora.

Zaznaczyłam wyżej, że lady Gregory, trzecia ze sław najgłośniejszych teatru irlandzkiego, jest wraz z Synge'm przedstawicielką romantycznego realizmu. Zwraca się on jednak u niej w innym niż u Synge'a kierunku. Ciekawa ta i pełna talentu pisarka posiada wizyę wysoce humorystyczną i umie uwypuklać z niepospolitą werwą komizm ludzi i zjawisk. Do ostatnich jej utworów wkrada się nawet pod tym względ-

dem nieco zgrozy, w całości jednak tryska ta twórczość niewymuszonym śmiechem pogodnej, lecz nader trafnej zarazem obserwacyi komicznej.

W pobieżnym jak ten zarysie niepodobna nie zwracać uwagi na dzieła pisarzy, którzy dorywczo tylko zasilali swymi utworami teatr irlandzki; żaden z nich zresztą nie wyrósł ponad średnią miarę. W pośród autorów młodszej generacyi, uprawiających twórczość dramatyczną, wyróżnia się najbardziej dodatnio Pandraig Colum. W ciągu krótkiego, dwunastoletniego zaledwie istnienia, młody ten teatr zdziałał w każdym razie bardzo wiele, choć na ojczystym nawet gruncie nie zawsze ułatwione miał drogi działania. Skrajny nacyonalizm irlandzki, nie dopuszczający żadnej krytyki elementów narodowych, wytaczał mu niejednokrotnie walkę. Głośny utwór Synge'a *The Playboy of the Western World*, będący trafną nader krytyką pewnych stron temperamentu i życia irlandzkiego, *The Shadow of the glen* tegoż autora, *Conntess Cathleen* Yeats'a wywołały w prawowiernych środowiskach święte gromy oburzenia. Na pięciu z rzędu przedstawieniach pierwszej z tych sztuk (w roku 1907) niepodobna było dosłyszeć nic zgoła. Dzikie krzyki manifestantów nacyonalistycznych zagłuszały całkowicie grę aktorów. Po wystawieniu po raz pierwszy *Conntess Cathleen* protesty tej kliki przybrały takie rozmiary, że musiała wmięszać się do rzeczy policya. Toż samo działo się po odegraniu drugiej z wymienionych sztuk Synge'a. Czy momenty podobne mogą powrócić jeszcze? Dla ludzi, świadomych doniosłości dokonywanego dzieła, opozycya sił ciemnoty staje się tylko w każdym razie bodźcem i podnietą.

M. Rakowska.

REFLEKSYE PEJZAŻOWE.

Bratu.

I.

TOPOLE.

Na tle zorzy, co krasna się pali
jakąś smętną gasnącą pożogą
szereg topól bezlistnych nad drogą,
coraz mniejszych dla oka w oddali.

Szereg topól wysmuklych i lotnych
na tle zorzy czernieje nad drogą,
szereg cichych pielgrzymów samotnych,
co do słońca dojść nigdy nie mogą.

II.

MARZENIA.

Jeszcze morze po słońca zachodzie
złote blaski przelewa przez fale,
lecz już razem w liliowej pogodzie
wód i niebios zlewają się dale.

A tam, kędy widnokrąg ten mgławy,
lekkie w liniach, o barwie kamienia
stoją smętne i ciche trzy nawy
jak zaklęte na senność marzenia.

III.

Na szafirach o nowiu księżyca
gór zębatych rysuje się ściana,
jednym płaszczem czarności odziana —
między niebem i ziemią granica.

I ta linia wierzchołków łamana
tak się jasno od nieba odcina,
jak dni naszych posępna kraina
od krainy, co ciszą nazwana.

IV.

Błękit nieba łagodny, marzący;
gaj brzozowy spogląda z nad rzeczki,
gaj brzozowy, co zrzucił listeczki,
stoi złotem gałązek świecący.

Stoi lekki jak lśniąca zasłona
tak jest siatka gałęzi niechwytną —
znajdź mi bajkę, gdzie słońce nie kona,
taką złotą i taką błękitną.

V.

Na jeziorze w północnej godzinie
białe lilie rozwarły kielichy.
Zda się: wielkich motylów rój cichy
kąpie skrzydła w szafirów głębinie.

W mgłach widnokrąg roztapia się, ginie —
dale w srebrną spowite zasłonę...
tęsknią lilie do wód przytulone
na jeziorze w północnej godzinie.

VI.

Noc i burza. Świat w kirów powodzi,
a gdy niebo piorunem rozbłyska,
szkielet murów starego zamczyska
zda się w świetle błękitnem z gór schodzi.

Noc i burza. Duch w kirów otoce.
A gdy wspomnień grom jasny uderzy,
widmo szczęścia z podniebnych rubieży
idzie w błyskach i serce druzgoce.

Zofia Wojnarowska.



Z NIWY POWIEŚCIOWEJ.

Słońce Młodej Polski przeszło już chyba swój zenit. „Młodsi“ są już w okresie dojrzałości, zarówno duchowej, jak fizycznej. Młodsi wiekiem — nie zawsze duchem równie są młodzi i żywotni. To też z większem upragnieniem czekamy, z silniejszem napięciem ciekawości bierzemy do ręki książkę. wyszłą z pod znanego już pióra, niż witamy nowicyusza na polu literackiem, coraz częściej bowiem spotykamy — bladego naśladowcę.

To też obecny przegląd zaczniemy od nowego tomu, złożonego zresztą z utworów dawniej już znanych, który w świat wypuścił Tadeusz Miciński [1]). Zebrał on w tym tomie przeważnie rozproszone po czasopismach utwory młodości, chronologicznie poprzedzające poezye „W mroku gwiazd, w których wyraźnie i wybitnie zarysowała się jego indywidualność poetycka. Występuje tu przed nami „Młodzian dobierający oręża“ (tytuł jednego z najpierwszych chronologicznie utworów), oręża“ z którym zaszczytnie miał wstąpić w szranki, walcząc w imię poezyi. Łamie się Miciński z formą, ciasno mu w pospolitej formie prozy; jest to jeszcze czas panowa-

---

[1]) Tadeusz Miciński: „Dęby czarnobylskie“. Warszawa. Księg. St. Sadowskiego. 1911.

nia powszechnego realizmu — próbuje więc i Miciński nagiąć się do form pospolicie przyjętych, tworząc „Nauczycielkę“. Nagiął się, lecz zewnętrznie tylko, szkicując niezbędne tło dla głównej postaci, podkreślając umyślnie tła tego szarzyznę. Lecz sama postać „nauczycielki“ już odmienna. Przemawia tu indywidualizm silnie, po męsku zarysowany, przeciwstawia się moralności powszechnie panującej, śmiało wznosi hasło swobody, domaga się poszanowania dla swego ja. A dokoła Micińskiego owemi czasy pisuje plejada sienkiewiczowskich naśladowców, idealizując i wynosząc wszelką słabiznę duchową i umysłową, zatratę indywidualności, przystosowanie do szarzyzny otoczenia.

Od szarzyzny wszelkiego rodzaju stroni Miciński zdaleka. Niepewną jeszcze ręką próbuje linij śmiałych, monumentalnych, szuka własnego stylu; tworzy postacie niedzisiejsze, mocne, pierwotne, jednolite. Jest to jak gdyby nawrót do romantyki, coś niedzisiejszego, dalekiego zarówno od realizmu, jak i od nowych, idących już z Zachodu powiewów. Miciński „dobiera oręża“, lecz znać już, że pióro w jego ręku raczej orężem stać się może, nigdy zabawką.

Znamienne to drogi, po których kroczył w poszukiwaniu właściwego sobie kierunku talent Micińskiego. Drogi to całkiem osobne, przecinające się czasem z temi, po których dążyła współczesna twórczość Zachodu, znająca także nawroty ku przeszłości, echa romantyzmu. Lecz najczęściej jest Miciński w swych poszukiwaniach samodzielny, niedzisiejszy, pobratany raczej z jakiemś wielkiem, niewygasłego blasku pełnem „wczoraj“, w przeczuciu jakby wartości wiecznotrwałych, którym czas nic odjąć nie może, tak pełne są wielkości ducha. Mówię: w przeczuciu tylko, gdyż przeceniać nie chcę tych prób pierwszych. Nie dają one jeszcze miary talentu Micińskiego, nie dają dostatecznie szerokiego pola dla rozniecania bogatej, bujnej jego fantazyi. W początkach swej twórczości Miciński dzieli los wszystkich wyraźnych, odrębnych indywidualności. Szuka on tylko samego siebie, rzadko więc znajduje. O ileż prędzej i łatwiej znajdują ci, którzy pragną zapożyczać się u wszystkich i u każdego, którzy radzi przyswoić sobie każdą błyskotkę cudzej fantazyi, którzy, skazując siebie na rolę uczni, poszukują sobie mistrzów. Ci stopniowo i dość rychło osiągają swój cel; Miciński może nie osiągnie go nigdy. Bowiem kto wie, czy to, co Miciński dotąd stworzył, jest ostatecznym jego indywidualności wyrazem? „Dęby czarnobylskie“ — opowieść z lat ostatnich pochodząca, jest nawrotem od bujnego rozlewu fantazyi w dziedzinę rzewnych wspom-

nień przeszłości. I tu spotykamy na nowo ten szeroki rozmach pióra, które kreśląc szkic, zda się prosić o epos; jednem pociągnięciem wywołuje kształty przepyszne, spiżowe, w których przeszłość zmartwychwstaje bohaterska, monumentalna, piękna na tle tajemniczego czarnobylskiego uroczyska. Bogata wyobraźnia Micińskiego otacza wszystkie postacie z „Dębów“ mgłą tajemniczości, w której występują one, jak widma przeszłości, kształty napół realne, napół urojenia, w mroku starego leśnego cmentarza wylęgłe. Myśliciel-fantasta, którego myśl porzuca częstokroć swe szlaki, goniąc śladem bujnej wyobraźni, a fantazya w podniebnym locie usiłuje na skrzydłach swych unieść ciężar myśli i wzlotem ku wyżynom przeciąć wszelkie jej powikłania, odnajduje pożądaną równowagę.

A teraz młodsi — i najmłodsi. Jednym z kroczących na czele tego pocztu jest bezsprzecznie Wacław Grubiński [1]). Podczas gdy u Tadeusza Micińskiego znajdujemy wszędzie potężny rozmach orlich skrzydeł, szukający sobie ujścia w patosie stylu, w kwiecistości formy, Grubińskiego właściwością jest opanowanie swego stylu, uczynienie go lekkiem i powolnem narzędziem, posiadającem moc pałeczki czarodziejskiej. Napozór mówiąc o rzeczach potocznych i „naturalnych“, Grubiński wie doskonale, że czytelnik na pasku tej „naturalności“ da się zaprowadzić, dokądkolwiek zechce znający arkana swej sztuki autor. To też niemal każdy utwór jego jest paradoksem, który ma na wstępie tak wyraźne cechy prawdopodobieństwa, że czytelnik bierze go na seryo i zdumiony jest niepomału, gdy autor doprowadza go do iście nieprawdopodobnych konsekwencyj, podaje jako logiczny wniosek z łatwowiernie przyjętego założenia zgoła niezwykłe łamańce dowcipu, jaskrawe, sztuczne, fajerwerkowe efekty. Właściwym żywiołem Grubińskiego jest scena, pomimo, że z niej się obecnie wycofał, zrażony niepowodzeniami. Ludzie Grubińskiego są zawsze trochę teatralni, jak teatralną jest i cała ta gra efektów, którymi lubi się posiłkować. Ci ludzie — to ożywione manekiny, w których zręczna dyalektyka zastępuje duszę; to też idą tam, dokąd dyalektyka ich zaprowadzi. Tak Jerzy (w noweli pod tymże tytułem), wychodząc z założenia, że jest wolny i wolno mu wszystko co się podoba, dusi dziewczynę, by okazać swą nad nią władzę. Nie spostrzegamy się zgoła, jak autor, zaczynając mówić o swawolnem nieco przeświadczeniu młodego chło-

---

[1]) Wacław Grubiński: „Moc kamienna“. Kraków. Towarzystwo wydawnicze „Książka“. 1911.

paka, że nie czuwa nad nim żadne oko opiekuńcze, kończy na psychicznej aberracyi, na którą nie jesteśmy przygotowani i która działa na nas niespodzianym, błyskotliwym efektem. Czasem ustrzeże się Grubiński od przejaskrawiania końcowego obrazu — i daje wówczas zręczną, dobrze pomyślaną pointę, jak w noweli „Dajmonion — Bib", naturalistycznym, mocnym, zwięzłym obrazie.

Tą wirtuozyą formy, pomysłowością, zręcznością w przeprowadzaniu pomysłu i stopniowaniu natężenia naszego zainteresowania, sprawia Grubiński, że odnosimy wrażenie czegoś niedopowiedzianego, ujętego po za nawias opowiadania, jakiejś niezużytej reszty, którą kiedyś, w przyszłości, wypowie. Wytwarza złudzenie, że igra z własną mocą, tworząc paradoksalne błahostki, mimochodem tylko rzucając w nich jeden, dwa rysy mocne, zarys doskonałego obrazu, fragment ciekawszy. Lecz ta gra z czytelnikiem trwa już długo, Grubiński rozlubowuje się w swych zręcznych zabawkach, błahostkach, dowcipach. Staje się coraz bardziej zręcznym, coraz mniej szczerym, coraz sztuczniejszym. Chciejmy wierzyć, że wkrótce znajdziemy go na właściwszej drodze.

Juliusz Kaden, po raz pierwszy występujący z debiutem powieściopisarskim [1]) zaznacza się jako talent jeszcze niewyrobiony, posiadający jednak spory zasób własnych obserwacyj, wyłożonych jeszcze cokolwiek nazbyt drobiazgowo i rozwlekle. Brak w jego powieści silnej, spoistej budowy. Obejmuje ona duży szmat życia postaci, która mimo to nie występuje przed naszemi oczyma w liniach dostatecznie wyrazistych. Ulega przytem p. Kaden rozpowszechnionej nad miarę manierze podstawiania się autora zamiast swej postaci; w ten sposób obserwacya życia wewnętrznego danej postaci przekształca się w liryczny wylew duszy autora. Jako następstwo nieuchronne, następuje proces odwrotny: odsuwanie od siebie postaci, zaznaczenie jej obcości w stosunku do autora, który każe swym postaciom dokonywać szeregu czynów dziwacznych i psychologicznie nieumotywowanych, aby przez pozór czynności ożywić fantom, za którym sam autor się ukrywał. „Niezguła" jest wskutek tego przypadkowym w każdym swym czynie, a zarazem pozornie zanalizowanym w każdej, najdrobniejszej nawet czynności.

Powieść p. Kadena najlepiej przedstawia się z początku. Autor daje ciekawy zarys środowiska małomieszczańskiego w klerykalnem miasteczku; na tem tle uwydatnia się postać przyszłego „niezguły",

---

[1]) Juliusz Kaden: „Niezguła". Lwów, Księg. Polska. B. Połoniecki. 1911.

interesująca dopóty, dopóki autor, przeniósłszy go w inne, obce środowisko, nie uczynił go biernym i mało rozgarniętym obserwatorem roztaczającego się przed nim życia. „Niezguła" staje się tak mało interesującym, tak mało zdaje sobie sprawę z tego, co się koło niego dzieje, że swą obecnością nuży czytelnika, a autorowi przeszkadza rozwinąć w szerszych ramach obraz, który miał stanowić miniaturowe odbicie życia w szerszych zakresach.

Powieść p. Marcelego Sachsa [1]), ukazująca się już w drugiem wydaniu, świadczy o tem, że wśród czytającej publiczności żyje pragnienie zbliżenia się do rzeczywistości, spojrzenia jej w oczy. Że nadto już jest wszelkich narcyzowych trosk i udanych, papierowych bólów — i spojrzeć się pragnie w ból rzeczywisty, niezaprzeczony, niemal fizyczny. P. Sachs nie jest bezstronnym, obojętnym obserwatorem, którego zainteresował pewien wstydliwie tajony kącik życia. Nie tai się on ze swem współczuciem dla wyrzuconych poza nawias życia istot. Usiłuje zmierzyć własnem uczuciem bezmiar ich krzywdy, głębię ich niedoli. To, co autor mówi o życiu prostytutek, jest przerażające, budzi istotnie współczucie i litość, co właśnie p. Sachs osiągnąć zamierzał. Lecz właśnie dlatego, że takim był jego zamiar, umyślnie zgęszcza farby, gromadzi najokropniejsze szczegóły i znowu — podstawia siebie w miejsce stworzonej przez się postaci, użyczając jej swego dyapazonu uczucia, dając mu swą własną głębię i wyraz.

P. Sachs okazuje się obserwatorem bardzo dobrym, umiejącym zindywidualizować kilkanaście typów mieszkańców „pewnego domu". Każdy z nich pozostaje w naszej pamięci, uwydatniając się doskonale spostrzeżonemi cechami. Widać stąd, że autor potrafi o p i s y w a ć, lecz z opisem nie zawsze łączy właściwą treść psychiczną danej postaci. Z chwilą, gdy skupia uwagę na tej ostatniej, zatraca wyrazistość opisu, jak to stało się po części z postacią główną prostytutki Salci. Dzieje się to na skutek tego, że opis p. Sachsa jest jeszcze szkicowy, pobieżny, dorywczy; w budowie powieści gra on drugorzędną rolę, tworząc pewne tło dla głównego tematu — losów Salci.

Gdy otrząśnie się p. Sachs z pewnych obcych mu naleciałości, gdy odnajdzie swą własną, oryginalną metodę obserwowania zjawisk psychicznych, spodziewać się możemy po nim rzeczy mocnych, szczerze i indywidualnie odczutych. *Jan Dąbrowski.*

---

[1]) Marceli Sachs: „W pewnym domu„. Warszawa. 1911.

PORTRETY WŁASNE STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO.

Wyspiański umarł zaledwie lat parę temu, a jednak znika już z pamięci człowiek, pozostało tylko dzieło, a raczej człowieka nie znało się bliżej nawet za życia, nie przejawiał siebie prawie nigdy.

To, co zwie się najogólniej liryzmem, wpatrywaniem się w siebie, poezyą własnych bólów i radości, prawie nie istnieje w Sztuce Wyspiańskiego prócz paru fragmentów i portretów własnych, a i tych część przeważna łączy się już z szeregiem przeżywań odmiennych zupełnie, dotyczących istoty, w której tkwiła cała Sztuka Wyspiańskiego: Twórca zaprzepaścił, pochłonął człowieka, człowieka w zwykłem, ziemskiem znaczeniu; zniknął wobec Sztuki i Polski, dwóch osi życia Wyspiańskiego, zespolonych w jedność.

Renesansowa nawskróś natura artysty, tą zdolnością abstrahowania od własnego życia stanowiła negacyę renesansu.

W tem wzniesieniu się ponad przeżywania człowieka, całkowitem oddaniu się Idei, Wyspiański w sztuce europejskiej wielu podobnych sobie nie ma, a jeśli się znajdą, to będzie bogatszy od nich, o Polskę całą...

Sztuka Wyspiańskiego tkwi wszystkiemi korzeniami w Polsce, przejawia się Ona u niego zawsze: w Kazimierzu Wielkim, w św. Salomei, w dekoracyi kościoła franciszkańskiego.

Dokumentami życia osobistego artysty poza kilku utworami poetyckimi są jego nieliczne autoportrety.

Portret własny jest zawsze najintymniejszem zwierzeniem, jako zamknięcie, ujęcie osobistych przeżywań we własnych rysach, dla poznania twórcy niezmiernie ważnym, czy będzie on tylko oddaniem chwili, pewnego okresu, czy też wreszcie ostateczną syntezą człowieka i artysty, zaznaczeniem stanowiska względem świata, sztuki i siebie.

Jak Wyspiański wogóle pojmuje portret?

W całej twórczości jego malarskiej niema nic zgoła, coby określić można: nastrojem. Wyspiański z przyrody, człowieka wydobywa zawsze wartości głębsze i trwalsze, nie nastrój ale wyraz, to, co ogólnie określa się słowem dusza.

Wyspiański poeta, jest nim zawsze; w malarstwie przemawia środkami wyłącznie malarskimi, nawet symbolika jego jest również tylko malarska nigdy literacka. Wspólnem zarówno malarstwu jego jak utworom pióra jest wydobywanie ze zjawisk ich duszy. Nic dla niego nie jest martwe, wszystko ma swój wyraz, swą wewnętrzną mowę. Jego

studya kwiatów, są również portretami duszy kwietnej; cechuje go zawsze głębia, niesłychana zdolność jej wyrażenia.

Co do techniki — artysta malował prawie zawsze pastelą i tutaj występuje jego tryumfalne wyzwolenie techniki. W ten sposób pastelą nie malował nikt jeszcze. Wydała ją potrzeba, epoka przyciszonych, słodkawych dusz, obniżonych uczuć i namiętności, rokoko; dla ludzi z tych czasów, pudrowanych głów i dusz, miękka, subtelna technika pastelowa zdała się być jedyną; a jednak Wyspiański nią posługując się, stwarza Kazimierza Wielkiego, Boga Ojca, w tym ostatnim mocą swą jedynie Michała Anioła przypominając, który przecież już malarstwo olejne nazwał zabawką dla dzieci. Moc bije z wszystkich jego dzieł: w portretach: moc przenikania i tworzenia dusz.

Portrecista malując kogoś, wypowiada swe o nim wrażenie, może błędne, ale uczuciowo prawdziwe, wypowiada się więc pośrednio, tworząc autoportret bezpośrednio. U Wyspiańskiego, wobec jego portretów nigdy na myśl nie przychodzi pytać o podobieństwo, choć uchwycone zawsze, dzięki tej przekonywującej głębi wyrazu; nie myśli się o odczuciu człowieka, ale o stworzonej przez artystę jego duszy. Poznawaniem, najbezpośredniejszem przejawieniem siebie są w Sztuce Wyspiańskiego jego portrety własne. Jest ich kilka zaledwie; z wyjątkiem ostatniego, będącego syntezą już całego człowieka i jego sztuki wszystkie inne dotyczą życia Wyspiańskiego, są to te nieliczne zwierzenia człowieka.

Najwcześniejszy portret Wyspiańskiego pochodzi z roku 1890, a znajduje się dzisiaj w prywatnych rękach w Krakowie. Niewielkich rozmiarów, wykonany ołówkiem na białym papierze, u spodu obrazu podpis i data: „Stanisław Wyspiański — dnia 17ego lutego 1890 r.“; powstał więc przed samym wyjazdem artysty za granicę, z czasów blizkich stosunków z Janem Matejką i ukończenia powierzonej sobie przez mistrza części pracy około polichromii kościoła maryackiego. Na wiosnę tegoż roku Wyspiański, otrzymawszy honoraryum za swą pracę i zezwolenie Matejki, ruszył po raz pierwszy do Wiednia, a stąd do Włoch północnych.

Rysunków Wyspiańskiego z tych czasów pozostało bardzo mało: zachowany portret staje się już przez to samo cennym zabytkiem dla poznania rozwoju artysty.

Wpływ Matejki w sposobie ujęcia głowy jest tutaj naturalnie jeszcze bardzo wyraźny, a jednak występuje już w nim właściwość Wyspiańskiego, która rozbłyśnie potem we wszystkich jego portretach.

a to kładzenie wielkiego nacisku na wyraz oczu. Cała późniejsza głębia portretów Wyspiańskiego z nich głównie będzie wyzierać.

Zdolność chwytania, umiejscowiania wyrazu w oczach, widoczną jest u Wyspiańskiego w jego najwcześniejszych rysunkach. W zbiorze p. Włodzimierza Żuławskiego znajduje się rysunek, przedstawiający dziewczynę, opartą o balustradę, pochodzący jeszcze z czasów pobytu Wyspiańskiego w trzeciej czy czwartej klasie gimnazyalnej; rzecz jeszcze zupełnie naiwna, ale zastanawiająca właśnie umiejętnością oddania życia oczu, i to prawie niczem, jednym punktem ołówka. Na Portretach własnych artysty śledzić można również rozwój linii Wyspiańskiego. Portret z roku 1890 rysowany jest jeszcze linią nieco nieśmiałą, pociągnięcia proste, bardzo lekkie, cienie znaczone siatkówką. W tej młodziutkiej twarzy (artysta miał lat niespełna 21), są jednakowoż wyraźnie już podkreślone rysy, znamiona, które potem wystąpią we wszystkich dalszych portretach: jasne, śmiałe, badawcze oczy, z młodzieńczą ciekawością w świat patrzące, nieco wzdęty, jakby wchłaniający nos, wysunięta lekko dolna warga. Już tutaj zapowiada się Wyspiański przedewszystkiem jako rysownik.

Do swej potężnej linii, bezwzględnie śmiałej, która stanie się dla niego głównym środkiem ujmowania i wypowiadania artysta dochodzi powoli; zjawia się ona u niego dopiero w chwilach najpotężniejszego wzmożenia twórczości, jako konieczność wewnętrzna; nie wystąpi jeszcze w pełni nawet w portretach paryskich, mimo zetknięcia się z dziełami Puvis de Chavannes. W czasie pierwszego i drugiego pobytu w Paryżu powstał cały szereg portretów własnych Wyspiańskiego; pozostały jednak tylko dwa, pierwszy jest jakby przygotowaniem do dzieła już skończonego najzupełniej, portretu, będącego własnością p. Włodzimierza Żuławskiego [1]).

Reprodukcyę portretu wcześniejszego, ze zbiorów H. Opieńskiego zamieścił Tygodnik Illustrowany w nrze 50 z 14 grudnia roku śmierci Wyspiańskiego. Pochodzi on prawdopodobnie, jak i następny, z czasów

---

[1]) Nawiasem słów parę o mało znanym zbiorze p. Żuławskiego. Jest to obok zbiorów prof. Nowaka drugie muzeum Wyspiańskiego, dla poznania twórczości artysty bezwzględnie konieczne. Obrazy ze wspaniałych zbiorów prof. Nowaka, to dzieła skończone, ostateczne wypowiedzenie się; proces zaś tworzenia, wszechstronność Wyspiańskiego, ogarniającego wszystkie gałęzie sztuki i jednoczącego je w tym swoim wyrazie, piętnie mocy ducha, poznać daje właśnie zbiór p. Włodz. Żuławskiego. Tutaj staje się wobec artysty bezpośrednio, wobec jego pierwszych rzutów, odruchów myśli i natchnienia, a zarazem daje on dokładny obraz kształtowania się malarskiego talentu i potęgowania myśli od lat najwcześniejszych.

drugiego pobytu artysty w Paryżu, ukończenia „Slubów Jana Kazimierza“. Cechuje twórczość Wyspiańskiego dążenie do jak najdoskonalszego oddania tego, co chciał powiedzieć, zupełnego ujęcia wewnętrznego w skończonej formie; tem się tłómaczy częsty powrót do tych samych tematów, ciągłe szukanie. Szereg portretów własnych, stworzonych w Paryżu, jest również takiem szukaniem siebie, pragnieniem poznania i oddania swej psychicznej całości. Artysta sam zniszczył ślady drogi tego wglądania w siebie — pozostało tylko bezpośrednie przejście do dzieła skończonego, portretu ze zbiorów p. Włodzimierza Żuławskiego, z roku 1894, wykonanego na sześć miesięcy przed powrotem do kraju [1]).

Rozpowszechniona dzisiaj reprodukcya barwna tego dzieła, nie daje najmniejszego pojęcia o wartościach kolorystycznych; ogromnie subtelną karnacyę portretu, o fioletowych i błękitnych tonacyach, drgających, żywych, reprodukcya zmienia w jakąś krwistą, prawie Rubensowską. Jestto jedno z tych nielicznych dzieł Wyspiańskiego, gdzie przeważa barwa, a dopełnienie jej stanowi linia, już bardzo energiczna, uplastyczniająca. Na ciemnem, błękitnem tle pasteli występuje wyraziście głowa, złączona z tłem barwnie, swemi fioletowemi tonacyami, rudawemi barwami włosów, żyjącemi linią.

W portretach następnych Wyspiański, w tem pragnieniu oddania treści, barwę wytworzoną przez warunki zewnętrzne podporządkuje innej, jakiejś zasadniczej, uczyni ją w portrecie własnym zależną od wartości wewnętrznych; w portretach innych — od charakteru osobnika i wydobytego wyrazu. Nie będzie to wcale tak zwana barwa lokalna, ani zależna od atmosfery, słońca i t. d., ale będzie prawdziwą, jako ważne, wierne uzupełnienie wyrazu.

Wyspiański, tworząc w portretach człowieka-duszę, zamyka wszystko w twarzy, jej wyrazie, zamyka skończenie, nie potrzebuje żadnych dopowiedzeń. Stąd stałe prawie pomijanie tła, wszelkich akcesoryów. Jest to tworzenie duszy, niezależnej od jakichkolwiek warunków.

Punktem, koncentrującym wartości wewnętrzne w portretach jego, są zawsze oczy, ich wyraz. W portrecie paryskim panują one bezwzględnie, jako treść i jako barwa zasadnicza. Zaledwie cztery lata upłynęły od nieśmiałego portretu pierwszego, a jednak w portrecie paryskim występuje Wyspiański takim, jakim go znamy historycznie. Jest to pierwsze jasne przejawienie i uświadomienie siebie, swych wartości i mocy twórczej. Nie jest to jeszcze Wyspiański pogłębiony zupełnie; ostateczna synteza wystąpi w portrecie z Muzeum Narodowego. Ale

[1]) Wysokość 0·55 m, szerokość 0·44 m.

takim być jeszcze nie mógł; portret paryski jest ujęciem, syntezą fragmentu życia i twórczości. Zamknięciem okresu kształtowania, zdecydowanem zaznaczeniem swej drogi, a jako taki należy do historyi twórczości artysty i jego życia.

Stworzył go w Paryżu, środowisku wielkiej kultury i sztuki, w atmosferze, w której czuł się dobrze i pewnie, w chwilach narodzin własnej sztuki, otrząśnienia się z wpływu Matejki, wchłaniania nowych objawień artystycznych. Wpływ sztuki francuskiej na jego twórczość jest bardzo głęboki, ale w znaczeniu przetrawienia na najintymniejsze, bezwzględnie własne wartości. Sposób, w jaki zdobywa swój wyraz w portretach, da się określić tylko bardzo powierzchownie. Znaczną tu odgrywa rolę negowanie tła, przez co głowa występuje z ram bezpośrednio, silne zaznaczanie linią oczodołów, ust, pomijanie stroju, wszystkiego, co mogłoby odrywać uwagę od samej twarzy. Sposób najistotniejszy jednak stanowi już wyłączną tajemnicę natury artysty.

Zapewne po powrocie z Paryża powstał następny portret własny [1]) Wyspiańskiego, znajdujący się dzisiaj w zbiorach p. dra Aleks. Wołkowicza w Sosnowcu. Utrzymująca się wieść, jakoby pochodził z r. 1891, jest zupełnie błędną; dość zestawić ten portret, gdzie już występuje człowiek dojrzały, z młodzieńczą jeszcze zupełnie głową z pierwszego portretu z r. 1890. Za powstaniem w okresie paryskim lub bezpośrednio po powrocie przemawia również przewaga barwy, znaczniejsza jeszcze, niż w portrecie poprzednim. Wykonany, co u Wyspiańskiego jest bardzo rzadkie, olejną farbą. Traktował go artysta widocznie jako wyłącznie studyum malarskie, zestawienie pewnych efektów barwnych. Tem się tłómaczy przystrojenie się w kontusz. Przypomina paryski swą niesłychaną plastyką. Odrzucenie lekkie głowy, śmiałe wysunięcie ramienia, wydobywają ruch, którego niema w innych jego portretach.

Na Litwie, u p. Wiszniewskiej, znajduje się pastelą wykonany autoportret artysty, zewnętrznie i treścią odmienny od innych. Karton zajmuje tylko głowa, umieszczona en face, a nazwaćby można ten portret wizyjnym. Zda się być stworzonym w jednym momencie, jednym rzutem linii, w chwili całkowitego oderwania się od życia, utonięcia w myśli, zjawie, przeniknięcia głębokim mistycyzmem. Wziąćby go można za studyum do głowy św. Franciszka, którego odczuł, poznał Wyspiański wśród polskich pól. Portret nie jest datowany; sądząc jednakże po sze-

---

[1]) Olejny, na płótnie, niedokończony. Wys. 0·35 m, szer. 0·50 m. Reprodukcya dołączona do obecnego zeszytu.

rokim, dekoracyjnym rozmachu, i tej głębi uczuciowości, powstać musiał w okresie pracy nad witrażami lub polichromią kościoła franciszkańskiego.

Dwa portrety następne, pierwszy z roku 1904, drugi późniejszy, dotyczą wyłącznie przeżywań człowieka. Portret z r. 1904, pastelowy, w zbiorach p. Feliksa Jasieńskiego, jest podwójny: Wyspiański z żoną. zaznaczenie swego stanowiska życiowego, poza twórczością. Ona, chłopka o szerokiej, zmysłowej twarzy i artysta, wysubtelniony, trawiony cierpieniem, a jednak zespoleni, do siebie należący. To nie sielanka, romantyzm, ani „z polską szlachtą polski lud“, tylko twarda, życiowa prawda, konieczność, której się ulega i którą się ujawnia tragicznie. z całą odpowiedzialnością.

Jest ten portret zwierzeniem z potocznego życia, intymny przez swą bezpośredniość, naiwną prawie prostotę: człowiek ze swą towarzyszką życia. Wyspiański portret żony malował kilkakrotnie, odtwarza ją zawsze realistycznie, jaką jest na portrecie wspólnym. Jest zawsze realistyczny, nie upiększa nigdy, nie tłómaczy, wydobywa z ludzi tylko to, co w nich jest istotnie, to też inaczej daje swą żonę w „Macierzyństwie“; tam już ujmuje głęboki sentyment, prawdziwy, z niej płynący, z matki.

Dr. Stanisław Goliński posiada rysunek do portretu własnego Wyspiańskiego, wykonany węglem i błękitną kredką. Podobnie osobistej nuty, w sztuce Wyspiańskiego, poza tym rysnukiem znaleść nie można. Wśród rozrzuconych kartonów pali się świeca, z poza kręgu jej światła wyłania się twarz artysty, zmęczona, przebolesna, drga w niej coś z wyrazu Chrystusa i św. Franciszka z Assyżu. Światło, padając wprost na nią, modeluje wynędzniałe rysy, pogrąża głęboko w oczodołach, wielkie rozszerzone oczy wpatrzone przed siebie, w przestrzeń.

Wszystkie poprzednie portrety były zamknięciem okresu pewnego. życia czy twórczości. Ten zaś — to chwila wpatrzenia się w noc, wsłuchania w bicie zegarów, wydzwaniających koniec bliski.

Zwierzenie jedyne, tak intymne i bolesne, że onieśmielające. W żywiołowej, pragnieniem tworzenia życia rozszalałej sztuce Wyspiańskiego, jedyny poemat śmierci, ale tylko własnej.

Portret ostatni Wyspiańskiego [1]), dwa lata przed śmiercią wykonany, jest już ostateczną syntezą człowieka i artysty, zespoleniem wszystkich wartości, spokojnem ogarnięciem całego życia, arcydziełem najgłębszego ujęcia siebie, w formie najprostszej, bezwzględnie szczerej.

---

[1]) Muzeum Narodowe w Krakowie, depozyt. Wysokość 0·46 m, szerokość 0·64 m.

Jestto dzieło, dające zupełne zaspokojenie, artysta wypowiedział się w zupełności [1]). Trzy witraże są dziełami najpotężniejszemi, portret ostatni najgłębszem, uświadomieniem ostatecznem człowieka, który przeszedł już okres kształtowania, stworzył siebie i swe dzieło. W portrecie paryskim śmiałe spojrzenie orła, wglądanie w życie, tutaj spokojne, niezgłębione przeliczenie wartości. Dzieło, które mówi o wszystkiem, bez wszelkich komentarzy, dodatków, bezwzględnie proste i szczere, człowiek i artysta istotny, w pracownianej bluzie, prawie symbolicznej dla niego, który żył pracą i tworzeniem. Linia pewna, spokojna, karnacya zgoła odmienna, niż w portrecie paryskim, podporządkowana ogólnemu wyrazowi, skupionemu w przenikających, dna rzeczy sięgających oczach, jasnowidzących. Cienie nie znaczone już linią, tylko plamą, roztartą pastelą.

Portret, w którym poznaje się człowieka momentalnie, ekstatycznie, skończone dzieło, skończony twórca w tej syntetyczności i głębi ujęcia życia swego i twórczości (Wyspiański) w sztuce pokrewnych sobie prawie nie ma. Rembrandt daje siebie tylko w pewnych okresach, może nieco zbliżony w ostatnim swym portrecie, kiedy pogłębiły go cierpienia i klęski, ale Rembrandt jest nawskróś subjektywny. Zresztą Wyspiański będzie bogatszym, choćby wyrobieniem duchowem człowieka starszego o wieki całe kultury, cierpieniem innem, głębszem i szerszem, narodowem. Istnieje jeden portret pokrewny człowieka jemu duchowo blizkiego, o podobnej głębi i syntetycznem skupieniu: portret Jana Matejki; tylko Wyspiańskiego jest spokojniejszy, u Matejki coś się kłębi, wiruje; może to wrażenie powoduje niepokój, gwałtowność techniki jego.

Że umieszczono portret Wyspiańskiego w Muzeum Narodowem obok trzech jego witraży, zrobiono dobrze, ujawnia się zaraz myśl; takie dzieła mógł stworzyć tylko taki człowiek... Kiedy się staje wobec ostatniego portretu Wyspiańskiego, to tem samem ogarnia się całą sztukę jego, posłannictwo. Ecce pontifex maximus.

Wyspiański ma w Sztuce wiele wspólnego z Matejką, choćby przez, Jej kapłańskie namaszczenie, tylko, czy nie świętsze duchowem oczyszczeniem.

W Sztuce Wyspiańskiego leży czyn, wypalenie, plewienie fałszywych wartości, pojęć piękna, tryumfalny krzyk prawdy rzeczywistości i szczerości duchowej, prawdy formy i treści. W Sztuce ogarnął On wszystkie Jej przejawy, na każdej gałęzi wypalił stygmaty swego ducha. Wkładał we wszystko całego siebie — i wydobywał duszę.

---

[1]) Przed paru laty wydana reprodukcya tego portretu daje dość dokładne wyobrażenie o oryginale, natomiast powtórzenie jej na pocztówkach (wydawnictwo Muzeum Narodowego) jest zamazaną karykaturą.

Tkwiła w Nim moc uświęcania, wyzwalania życia przez Sztukę. Ogarnięcia nią całokształtu i ukochanie, pragnienie życia. Szuka go wszędzie, w popiołach nawet. Sztuka Jego jest nawskróś współczesną, jest reakcyą przeciw wszelkiemu skrępowaniu. Budził i tworzył podwaliny nowego życia, odrodzonego przez Sztukę. Tkwiąc bezwzględnie w Polsce, wydobywając z niej wartości najgłębsze, nieśmiertelne, stawał na gruncie wszechludzkim. Monumentalną jest Jego Sztuka nietylko formą, ale i treścią, prometejskiem rozkowaniem ducha i apostolstwem.

Mieczysław Skrudlik.

O „LEGIONIE“ ST. WYSPIAŃSKIEGO.

(UWAGI PRZYGODNE).

(x). Około „Legionu“ utworzyły się legendy, sądy i wyroki najbardziej opaczne i krzywdzące. Mniemanie powszechne widzi w tem dziele obraz legionu Mickiewicza we Włoszech 1848 r., ideowo zaś widzi tutaj stanowcze przeciwstawienie się Wyspiańskiego romantyzmowi i mistycyzmowi — przeciwstawienie się i osądzenie.

Mniemanie błędne, świadczące o zupełnym braku zrozumienia istoty twórczości i duszy poety.

„Legion“ jest najobjektywniejszem dziełem Wyspiańskiego. Będąc sobą w formach ekspresyi, w wyrazie idei artysta usunął zupełnie swą osobistość — tę wolę władczą, która tak gromko i potężnie narzuca nam się przy czytaniu „Wesela“ i „Wyzwolenia“. Każe przemawiać jedynie logice artystycznej — niczem nie zdradzając sympatyi lub antypatyi, nie ferując wyroku. To, co nam się wydaje osądzeniem, jest tylko konsekwentną konkluzyą artystyczną i żadnej niema podstawy do przypuszczenia, iż poeta daje ocenę wartości. Ale wiemy — gdzie duch poety...

Znamy Mickiewicza z lat ostatnich, wierzenia jego i czyny. Linię jego rozwoju streścił Górski, jako drogę ku Monsalwatowi. Zawsze chciał naród dźwignąć i uszczęśliwić, cały świat nim zadziwić; w ostatnich kilkunastu latach pragnienie to przybiera wyraz mistyczno-religijny i republikancko-demokratyczny. Religijność poety nie była jednak religią kościoła, mistycyzm jego to nie kwietystyczna bezczynność Towiańskiego, polityka zaś jego, walcząca za lud, praktycznie niezawsze była w stanie iść z ludem. Czemu? „Nie nazywajcie mnie krytykiem, ale wieszczem“ — mówił poeta

3 maja 1842 roku; był jednak czemś więcej. Był człowiekiem wiecznym. Ciało jego na ziemi zostało — ukochał naród jeden za miliony — ale duch jego szybował w sferze wieczności, tam znajdował swoje kryterya i cele. Wszystkie więc ziemskie formy myślenia i czynu były dlań ograniczeniem. Posługiwał się niemi, ale duchem wybiegał zawsze dalej i wyżej — musiał więc wpadać w konflikt ze wszystkiem, co służy momentowi, partyi i doktrynie. Był też Mickiewicz w konflikcie ze wszystkimi. Prześladowali go i oczerniali demokraci. „Pszonka“ ostrzył sobie na nim swój dowcip, „Towarzystwo demokratyczne“ było włoskiemu legionowi przeciwne. Nie trzeba pochlebiać Demosowi, wystawiając Mickiewicza, jako ofiarę wyłącznie arystokracyi; także demokratyczne organizacye nie rozumiały go i życie mu zatruwały; czynili to oczywiście, szczególnie w roku 1848, Zmartwychwstańcy i arystokraci, nie wyłączając Zygmunta Krasińskiego, z większą mocą, gdyż mieli po temu więcej środków. „Mickiewicz wymagał od nowo-zaciężnych (do legionu) podniesienia ducha i czystości sumienia, wszystkie stronnictwa emigracyjne, tak Trzeci Maj (arystokratyczny), jak Centralizacya (demokratyczna) zapomniały o tym artykule w programach swoich“ — mówi słusznie Wł. Mickiewicz. Mistrz Towiański gromy ciskał na Mickiewicza, który parł do czynu, kościół oficyalny oświadczył przez papieża Piusa IX, „że chociaż modli się za Polskę, musi unikać wszelkiego w tej sprawie narażenia się wielkim mocarstwom“. Mickiewicz wierzył w lud, ale lud jego to przedewszystkiem „człowiek tęskniący, cierpiący i wolny w duchu“ — politycy rozumieją oczywiście sprawę inaczej; był geniuszem religijnym, ale „Księgi pielgrzymstwa“, niebawem i Wykłady znalazły się na indeksie.

Człowiekiem wiecznym jest Mickiewicz — nie na chwilę, partyę i miejsce jedno obliczonym — musi więc przeżyć tragedyę wszelkiego wzniosłego idealizmu.

Idealizm jego — to jednak nie abstrakcya bezcielesna lub poczciwość dobrych chęci.

Postęp Mickiewicza — to „zbliżanie się naszego jestestwa wewnętrznego ku Bogu“. Do umożliwienia owego postępu potrzeba odpowiednich warunków — i w ich tworzeniu nie wahał się Mickiewicz przed krokami najdalszymi na drodze socyalizmu i republikanizmu. „Skład zasad“ jego, który miał przyświecać legionowi, znamy. Należy go przypomnieć.

1) Duch chrześciański, w wierze świętej katolickiej rzymskiej, jawiony czynami wolnymi; 2) Słowo boże w Ewangelii zwiasto-

wane. prawem narodów ojczystem i społecznem; 3) Kościół stróż słowa; 4) Ojczyzna pole życia słowu Bożemu na ziemi; 5) Duch polski ewangelii sługa, ziemia polska ze swem społeczeństwem ciało. Polska zmartwychwstaje w ciele, w którem cierpiała i złożona została w grobie przed laty stu. Polska w osobie wolnej i niepodległej wstaje i Słowiańszczyźnie dłoń podaje; 6) W Polsce wolność wszelkiemu wyznaniu Boga, wszelkiemu obrzędowi i zborowi; 7) Słowo wolne, wolnie objawione, z owoców przez prawo sądzone; 8) Wszelki z narodu jest obywatelem, wszelki obywatel równy w prawie i przed urzędami; 9) Wszelki urząd obieralny, wolnie dawany, wolnie brany; 10) Izraelowi, bratu starszemu, uszanowanie. braterstwo, pomoc na drodze ku jego dobru wiecznemu i doczesnemu, równe we wszystkim prawa; 11) Towarzyszce żywota, niewieście, braterstwo i obywatelstwo, równe we wszystkie prawa; 12) Każdemu Słowianinowi zamieszkałemu w Polsce, braterstwo, równe we wszystkiem prawa; 13) Każdej rodzinie rola domowa, pod opieką gminy. Każdej gminie rola gromadna, pod opieką narodu; 14) Wszelka własność szanowana i nietykalnie pod straż urzędowi narodowemu oddana; 15) Pomoc polityczna, rodzinna, należna od Polski bratu Czechowi i ludom pobratymczym czeskim, bratu Rusinowi i ludom ruskim. Pomoc chrześciańska wszelkiemu narodowi jak bliźniemu.

Program komunistyczny i republikański w najszerszem znaczeniu słowa, ale — rzecz jasna — jako środek do celu: do postępu duchowego, do stworzenia królestwa bożego na ziemi. Od Składu zasad odwrócił się nawet Cypryan Norwid, pierwotnie zapisany na listę legionistów: raził go Mickiewiczowski radykalizm w odrywaniu się od przeszłości; pojęła Mickiewicza garstka młodzieży entuzyastycznej, przeważnie kształcący się w Paryżu artyści, wątpić jednak można, czy reszta legionistów, przybyła z Henrykiem Kamieńskim, ów skład zasad zrozumiała. Mickiewicz swym zasadom pozostał wiernym do końca życia. Walczył za nie na czele legionu, potem jako redaktor „Tribune des Peuples“, nareszcie w obozie Sadyka-paszy. Ile przeszkód mu stawiano, ile się nacierpiał — potomność kiedyś się dowie; świadczące o tem listy Mickiewiczowskie dziś są pod pieczęcią, publikować ich jeszcze nie wolno; kiedyś jednak wyjdą na jaw — i pokaże się, że Mickiewicz był człowiekiem wiecznym, był męczennikiem, był tym bohaterem, który prowadzi korab ducha, choć widzi, że Tanatos sterem kieruje: wszak zmarł też Mickiewicz prawie w obozie, dokąd poszedł rzucając wygodne bibliotekarstwo w Arsenale. Koncepcya Mickiewicza przez

Wyspiańskiego jest więc duchowo wierna, można powiedzieć historyczniejsza, niż historya.

Tragedyą wielkiego ducha idelistycznego, żyjącego na ziemi — ponad ziemią, jest „Legion“, ale mimo swego podkładu historycznego — nie daje tego, co historya, która odtwarza to tylko, co jeden raz się zdarzyło: charakter ma symboliczny i mimo cech narodowych jest „nadnarodowy“, podobnie jak w swoim zakresie Hamlet, Faust, Brand. Człowiek wieczny-Mickiewicz staje tu w obliczu swojego losu; łamie się z nim, walczy, cierpi — i padając, wstrząsa posadami lądu istnienia moralnego. Porusza tem najważniejsze zagadnienia ludzkości.

Przystępując do artystycznego wcielenia swojego tematu, Wyspiański starał się o jaknajwiększą prawdę ducha. Niczego nie przeinaczać — z wszystkiego wydobyć maximum jaźni. Trzeba też stwierdzić, że założeniu swojemu został poeta wiernym, dzięki jedynej formie, w jakiej mógł swoją treść wyrazić: formie kompozycyi muzycznej.

Kompozycyą muzyczną jest „Legion“, w znaczeniu, jakie muzyce nadał Schopenhauer, uważając ją za najwierniejszą wyrazicielkę tego co najgłębsze, samej istoty zjawiska, przebywającej w nas i będącej nami — woli. Nie stosunki realistyczne wyraża muzyka, lecz podkład ich wzruszeniowy, z którego wszystko się rodzi i formuje. Przeżycia jeno uczuciowe wodza „Legionu“ przedstawia poeta; materyalna ich strona zawarta jest między wierszami, w symbolach i myślowych kojarzeniach, wywoływanych przez owe tonacye. Dla plastyki scenicznej musiały przybrać kształt plastyczny — innej teatr nie znosi; stąd też szereg postaci i scen stylizowanych, to jest eliminujących wszystkie szczegóły drugo i trzeciorzędne, by z tem większą siłą występowała linia zasadnicza.

Najwięcej stosunkowo realizmu posiadają sceny pierwsze. Posłuchanie Makryny Mieczysławskiej u Grzegorza XVI jest przedstawione podług opisów ks. Zmartwychwstańców, po części też posłuchanie cara Mikołaja. Mamy tu zwycięstwo ducha Makryny nad dumnym carem; tryumf ducha nad przemocą materyalną, tryumf bez zastrzeżeń, co przygotowuje nas do wiary w dalsze jego zwycięstwa. Zwodnicze wobec ducha czystego są poszepty brutalnej materyi; widzimy to w obrazie drugim. Ksiądz Jełowicki oprowadza matkę Makrynę po katakumbach; przypomina tryumf chrześciaństwa nad prześladowcami, zakonnicy przypomina się jej własne zwycięstwo duchowe: jako antyteza występuje z ich rozmów widzenie straszne

chłopów galicyjskich z roku 1846, którzy zaufawszy zwodniczej Fortunie, chcieli pić z jej kruża, a ona na pragnienie ich odpowiedziała krwią. Momenty to niesłychanie dla zrozumienia utworu ważne; Mickiewicz pod ich wpływem coraz bardziej się przeduchawia — nie przestając jednak myśleć o ziemi, o swoich zasadach. Widzimy to w rozmowie z Krasińskim. Wogóle rozmowy obu poetów są najlepszą ilustracyą faktu, że Wyspiański jedynie uczucia chciał wyrażać swoich postaci, ale w formie zupełnie indywidualnej, odtwarzającej najgłębsze wierzenia każdej. Autorowi „Irydyona" duch Romy przypomina tylko przeszłość, skargi, łkania, conajwyżej „przeczucia zmartwychwstania"; Mickiewicz odpowiada, że boleść taka „słabych do grobu przykuwa", dla niego się kończą senności męczarnie, nadchodzi dzień „Sławy" — a Sława w symbolice Wyspiańskiego to ucieleśnienie oręża, walki czynnej. Potępia Mickiewicz bezpłodność wierzeń Krasińskiego: „oto pełna trucizn czara — śmierć-przyszłość i błędna wiara" — woła nieledwie głosem Konrada do Geniusza; czynu woła dla Polski: „Gdzie synowie, synowie twoi". Wtenczas pojawia się Sława ich oczom; Krasiński się cofa, był — jak wiadomo — przeciwnikiem walki, Mickiewicz na chwilę się słania — do podwoi kościoła Krasiński go pociąga. I poszedł Mickiewicz: poszedł się wyspowiadać przed księdzem Jełowickim, ale i u niego poddając się spowiedzi kościelnej nie wyrzeka się jednak swych zasad. Chce zmyć z siebie brudy, oszczerstwo i grzechy, ale gdy zmartwychwstaniec z przekąsem mówi, że poeta serce — duszę trwoni — czy przez Polskę chce zbawiać ludy? Mickiewicz odpowiada twierdząco: rozbudzić chce duchowe Słowieństwo przez Polskę...

Widzimy, że jest bardzo realna treść w tych psalmodyach Mickiewiczowskich, wierna ideologii „składu zasad", ale przeduchowiona. W kierunku tym idzie Mickiewicz dalej. Audyencya u Piusa IX (scena szósta) umacnia go w przekonaniu o hegemonii ducha: oto wymową swoją gorącą porwał papieża, który z początku przemawiał językiem dyplomacyi, aż poeta zmierzył się z nim duchowo i zwyciężył. Stojąc na gruncie rewolucyi („święć miecz!") otrzymuje błogosławieństwo. Walki czynnej się nie wyrzeka. Gdy papież woła: „zapominajcie o wrogu" — Mickiewicz odpowiada: „błogosław czystości sumienia". „błogosław narodów sławie" — to jest walce orężnej o wyzwolenie narodów.

Dalszy obraz (siódmy) coraz wyżej ton podnosi. Znalazł się Mickiewicz, historycznie, na czele wyznawców swoich w kościele

św. Piotra na uroczystości odnalezienia relikwij św. Andrzeja. Znowu przypomnienie zwycięstwa ducha nad przemocą materyi! Proces ostatecznego skrystalizowania się duszy byłby skończony, gdyby tą dusza nie był Mickiewicz: człowiek wieczny. Przeżywa on wszystkie zadumania się człowieczeństwa, wszystkie pokusy i walki z sobą. Gotów pójść za ideały swoje w bój, iść na mękę i śmierć — ale życie jeszcze raz doń puka. Pogrążonemu w modłach ukazują się widma wszystkich rozkoszy tego świata (scena ósma). Z pasami zachodzącego słońca spływają odblaski piękna, rozkoszy, szczęścia. Litwa, jej świtezianki i boginki pociągają swym czarem, tężyzna pogańska piorunem przeszywa bohaterskie serce. Ale Mickiewicz innem już bohaterstwem płonie. Inna pokusa. Na Kapitolu widzi siebie poeta (scena dziewiąta). Lud wielbi go słowami Dantego, Demos mu pochlebia. Mickiewicz głosi hasła rewolucyi („Pójdziemy, pójdziemy daleko — wskrzeszać, obalać trony“), ale nie łudzi tłumu, jakoby to był walki kres i cel ostatni; „wieczna, wieczna zawierucha“ wre w królestwie ducha, walka sił materyalnych to wstęp celem wyzwolenia królestwa ducha. Tego tłum nie pojmuje. Nie zna uczucia miłości, które Mickiewicz chce wzniecić, nie rozumie innego królestwa prócz ziemskiego: rzuca się na proroka, depce sztandary. Rozpacz tedy ogarnia poetę. Powstaje tedy przed nim pytanie, które tylekrotnie dręczyło serce każdego wyznawcy ideału: czy warto... czy warto... W tej chwili staje przed nim Rapsod. Starzec o obliczu Homera i w rabatach polskiego legionisty. Znowu poezya — czynu. Mówi o wielkich prawdach żywota. Tak jest. Lazaronem jest na ziemi, kto zaślubił sprawę ducha, poezyę czynu. Ale nadziei nie wolno tracić. Wszak i pierwsi legioniści polscy w zmiennej walczyli doli, Cezar ich zdradzał, a przecie — Dąbrowski wszedł do ziemi polskiej; więc choć świat cały kłamie — powstaną kiedyś orły, powstaną! W męce więc i trudzie trzeba iść naprzód...

Jeszcze jedna próba. Życie zawiodło, człowiek zawiódł, zostaje jeszcze idea czysta, idea Wolności (scena dziesiąta). Mamy tu rozmowę Mickiewicza z Krasińskim, widzenie tego obrazu należy rozumieć, jako ucieleśnienie mowy przedewszystkiem Krasińskiego, który wskazuje poecie: oto wolności na tym padole nie masz; zabij Cezara — zmienisz tylko jednego tyrana na drugiego; królestwo Polski nie z tego więc świata; zmartwychwstanie ona, jako niebios królowa. Mickiewicz jednak z Krasińskim się nie zgadza; na widok Polski na marach autor „Przedświtu“ psalm śpiewa:

(„Polsko moja, Polsko święta... Potem wstaniesz wniebowzięta“ — „Przedświt“) — Mickiewiczowi na ten widok „serce kona“. On zaprzysiągł wiarę Polsce żywej, Polsce walczącej. Czekają go jeszcze próby — ostatnie. Łamiąc chleb z uczniami — uświadamia sobie, że sam do ziemi obiecanej nie wejdzie i że uczniowie go zdradzą. Żegna się z życiem, jak każdy wielki ofiarnik. Chwyta za ster nawy, kieruje nią poprzez fale rozwichrzone, piętrzące się trupami... Uczniowie, związani węzłami miłości ziemskiej, chcą rzucić sprawę — Mickiewicz jest nieubłagany. Jeśli śmiercią trzeba okupić zwycięstwo ducha — on się nie cofa. Sam ogień wznieca, by świecić pochodnią narodom i wiekom. Śmierć kieruje sterem korabia, ale ten żegluje po morzu, jako łódź duchów, jako latarnia, wskazująca drogę przyszłości, jako płomień wiary...

Oddalił się Mickiewicz w tej koncepcyi od realistycznego, ale nie od historycznego. Czyż historyczny nie rzucił czarów sztuki i wspomnień Litwy dla służby ducha? nie zwalczał-że zaziemskiego mesyanizmu Krasińskiego — nie szedł za ideałem poprzez świat pokus i wrogów, poprzez zasadzki zdrad i morze spienione przeszkód? W poemacie mamy uplastycznienie owego bohaterstwa na ton najwyższy. Sprawił to Wyspiański z doskonałą przedmiotowością, rozwijając charakter Adama z zasadniczych jego założeń, bez słowa krytyki lub przeciwstawienia mu się. Co miałby potępić? Fakt, że bohater narodowy idzie dobrowolnie na śmierć, nie wdając się w kompromisy z demosem, Krasińskim, Cezarem lub tyrańską pseudowolnością? To ma być romantyzmem, którego poeta miałby się potem wyrzec? Jakże nisko upadliśmy, że takie interpretacye są wogóle możliwe. I poto gromadził Wyspiański przykłady zwycięstwa ducha (w 7 scenach pierwszych), aby potem zaprzeczyć jedynej ich konsekwencyi? I poto stworzył myt o nowożytnym świętym ginącym za swą wiarę, by go się wyrzec? Przenigdy. Od młodzieńczego „Daniela“ do dzieł ostatnich Wyspiański idei bohaterstwa duchowego jest kapłanem. W „Weselu“ mierzy nią pokolenie, w „Wyzwoleniu“ tłómaczy ją na język nam współczesny, godzi ją z życiem obecnem (wszak i Konrad jest takim herosem!), ale otrząsnąć się z niej — znaczyłoby przekształcić całe dzieło żywota Wyspiańskiego.

W literaturze powszechnej idea ta nie jest przecie nową. „Księcia niezłomnego“ daje Calderon, każe mu umierać za religię ojców, ale odrazu go wynagradza cudem. W nowszych czasach bohatera ducha przedstawił Ibsen w „Brandzie“. Brand, traktowany

znacznie realistyczniej, poświęca matkę, dziecko, żonę; porywa za sobą lud na wyżynę niebywałą (zamiast w korabiu na morze) i po najboleśniejszych zawodach — śmierci pada ofiarą. Gdy Brand ginie, głos z góry zwiastuje mu, że Bóg — to deus caritatis. I Wyspiański w „Wyzwoleniu“ poznaje, że trzeba ukochać życie. „Wyzwolenie“ zresztą omawia problem narodowy, „Legion“ jest bezproblemowy, opiewa przebóstwienie się bohatera. Ale kamieniem rzucić na Chrystusów za to, że umarli na krzyżu za swą prawdę? I Prometeuszów może przekląć, że nie pozawierali kompromisów? I rewolucyonistów, że nie paktują z przemocą? Idee godne p. Kotarbińskiego [1]).

Nie w samej idei leży genialność utworu Wyspiańskiego, lecz w jego artyzmie. Dał tragedyę duszy i tylko językiem duszy mógł ją wyśpiewać. Językiem duszy jest muzyka. Sam Mickiewicz mógł artyście podszepnąć formę dzieła. „Skład zasad naszych będzie tylko czuciem i pismem, aż dopokąd nie wejdzie w życie“ — pisał Adam do pułkownika Kamieńskiego z Medyolanu. Jakoż treść uczuć tylko środkami jak najmniej materyalnemi można wyrazić. Widzieliśmy, że uczucia te ogarniają najważniejsze artykuły wiary „składu zasad“. Nie mający żadnego poczucia sztuki Stanisław Brzozowski żądał od utworu poetyckiego mowy p o j ę ć; Wyspiańskiemu wystarcza podkład emocyonalny: transponuje go na melodye. Podziwiać też trzeba to niesłychane bogactwo środków muzycznych, którymi rozporządzał. Wcielił tutaj wszystkie swoje młodzieńcze, Wagnerowi pokrewne pomysły o dramacie muzycznym. Dziełem Wagnerowskiem można nazwać „Legion“ [2]), gdyby nie to, że Wyspiański był samodzielnym, sobą. Każde uczucie wypowiada się u niego własnym rytmem i dźwiękiem. Inaczej mówią papież, Makryna, car. W scenie z świętym Andrzejem mamy strofy kantyczkowe, gdzieindziej bohaterskie. Ileż to odmian słowa w kopule św. Piotra. Świtezianka mówi: „Jasne bogi złoto-kłose — w złotych wieńcach zbóż — przez

---

[1]) Podług p. Kotarbińskiego (str. 101 „Pogrobowiec romantyzmu“): „Końcowe wizye poematu, streszczające naczelną intencyę autora, mają już znamię skażenia wyobraźni chorowitej, rozkochanej w obrazach makabrycznych“. Więc wyobraźni chorowitej potrzeba, by sławić bohatera, ginącego za czystość idei. Trzeba przypomnieć, że większa część krytyków zadecydowała, że dzieło p. Kotarbińskiego jest najlepszą, jaką mamy, książką o Wyspiańskim. O, tak. P. Kotarbiński nie walczy o czystość żadnej idei; ma wyobraźnię — zdrową.

[2]) Dziwić się też należy, że żaden z naszych kompozytorów młodszych, między którymi niejeden sięga po temat dziwaczny i obcy, dotąd nie próbował stworzyć muzyki instrumentalnej do „Legionu“.

łan złoty idą bose". Chór woła: „Wróć, wróć, ty nasz — nas swoich znasz — my tu za tobą śli — wróć do nas — do młodych lat — tam ogień jeszcze tli". Ukazanie się Mendoga zwiastują strofy o rytmie i dźwięku tententu. „Jedzie, jedzie — tętni, dzwoni — w tysiąc koni — w tysiąc koni — król Mendog". Ileż odmiennych tonów, od twardych zgrzytów do skowrończanych nuceń zawiera scena z Rapsodem, a każdy najściślej zlewa się z treścią, najlepiej ją wyraża. A wszędzie przewijają się motywy naczelne, powtarzają się recitativa... Tylko mową najbardziej uduchowionej sztuki mógł artysta wyśpiewać najbardziej uduchowione owe stany wzruszeniowe.

Równocześnie niezmierzona fantazya twórcza ujmuje odrazu w obrazy wszystko, „co się komu w duszy gra — co kto w swoich widzi snach"... Od widzenia chłopów z rzezi galicyjskiej moc zaklinania w obrazy stanów duchowych się wzmaga; w scenach w kopule, na Forum romanum, na morzu, odchodzi do potęgi, nieznanej w dziejach sztuki, nieprzewyższonej później przez samego Wyspiańskiego.

Tragedyą człowieka wiecznego jest „Legion", pisaną przez człowieka wiecznego. Oratoryum to religijne, głosem wiary, że

dopełni dzieła zagłady
zmartwychwstania przysięga —
ze śmierci ciał się urodzi
duch słowo, słowo potęga.



PRZEGLĄD.

W rocznicę zgonu St. Wyspiańskiego.

St. Wyspiański umarł — sprawiono mu pogrzeb królewski i na tem koniec. Dotychczas miasto Kraków nie dało mu sarkofagu — choć Rada miejska poleciła była p. Rzymkowskiemu wykonać projekt i ofiarowała na wykonanie 2000 koron. Na tem nie koniec naszych zaniedbań. — Nie postarano się dotychczas o urządzenie Wystawy zbiorowej; z pewnością Towarzystwu Przyjaciół sztuk pięknych nie przyniosłaby straty, a pozwoliłaby rozejrzeć się w twórczości artysty, rozproszonej po świecie i znanej zaledwie ułamkowo.

Marnujemy nawet skarby, które mamy pod ręką. Polichromia kościoła Franciszkanów ulega zniszczeniu z dniem każdym: farby bledną, ścierają się lub odpadają z winy przedewszystkiem wilgoci kościoła. Trzeba więc ratować — dopokąd zniszczenie nie jest jeszcze całkowite

i dopokąd istnieją kartony. Nie pozwolono Wyspiańskiemu dokonać dzieła w całości — pokryć polichromią nawę główną. Odrzucono swego czasu również projektowane przezeń świeczniki. — Rysunki i pomiary do nich znajdują się w zbiorach p. Włodzimierza Żuławskiego. Świeczniki te składają się z łodyg lilii, których kwiat ujmuje świece. Jestto jedyny projekt odpowiedni całości dekoracyi prezbiteryum. Jednak światła komisya odrzuciła je — gdyż wydawały się „secesyjnemi“. Logicznie uznano tedy i przyrodę za secesyjną. — Dzisiaj wobec licznego zapotrzebowania tego rodzaju przedmiotów do kościołów, warto je sobie przypomnieć. Wogóle kościół Franciszkański zeszpecono, oddając dekoracyę nawy głównej artyście, który zadaniu swemu nie dorósł i stworzył dzieło tem przykrzejsze, że usiłował dostroić się do polichromii Wyspiańskiego. — Tego naprawić już dzisiaj nie można, ale starać się przynajmniej należy o usunięcie z prezbiteryum ohydnych a pompatycznych, olbrzymich obrazów, wnoszących w niepokalanie artystyczną polichromię Wyspiańskiego zgrzyt nie do zniesienia. Były one dla Wyspiańskiego za życia męką równie bolesną, jak zastąpienie „św. Salomei“ tandetnym wyrobem niemieckim. Przechodząc obok nich, opuszczał głowę.

Dalej sprawa witraży wawelskich z Muzeum Narodowego! — Pastela nie jest trwałą — niszczeje rychło, nie przeniesione na szkło, najpotężniejsze dzieła sztuki europejskiej XIX wieku, zaginą. Witrażu Kazimierza Wielkiego na Wawel nie puszczono: natomiast znaleść tam można np. bł. Kadłubka, godnego stanowczo losu, jaki spotkał niedawno witraż, zastępujący św. Salomeę w kościele franciszkańskim. Na wykonanie w szkle Henryka Pobożnego i św. Stanisława zebrana jest już część funduszu, znalazł się również fundator „Kazimierza Wielkiego“. Należy teraz, ze zmianą na tronie ks. biskupa krakowskiego, rozpocząć starania, by owe witraże doszły do miejsc swego przeznaczenia: do katedry na Wawelu.

Istnieje podobno w Krakowie komitet ku czci ś. p. artysty, możeby ów komitet przypomniał sobie swą egzystencyę przynajmniej raz na rok — w rocznicę zgonu poety — urządzając publiczną Akademię i prywatne posiedzenie?

Komitet ów ma przed sobą jeszcze jedno zadanie. Oto „Klątwa“ Wyspiańskiego dotąd nie może się pojawić na scenach galicyjskich. Grają ją w Królestwie, w Rosyi, u nas cenzura nie pozwala. Nie chcemy użyć silnych wyrażeń, ale trudno satyry nie pisać. We wszystkich tych sprawach nic się nie stanie bez silnego poparcia ze strony społeczeństwa. Dosyć już manifestacyi i czci frazeologicznej: zdobądźmyż się nareszcie na — powagę [1]).

[1]) Załączamy do zeszytu obecnego reprodukcyę autoportretu Wyspiańskiego, o którym mowa na stronie 323. Następnie rysunek przedstawiający wybitnego artystę sceny krakowskiej, p. Maksymiliana Węgrzyna, w roli Boruty z „Zaczarowanego Koła“). *Redakcya.*

Teatr krakowski.

„Legion“.

(x) Poprzedzony fejletonami, które miały za zadanie jaknajfałszywiej oryentować publiczność krakowską i zadanie to swoje z niemałym talentem spełniły — poprzedzony gorączkowem oczekiwaniem inteligencyi krakowskiej, która raz jeszcze okazała, że warta jest lepszych fejletonistów, bo czasami wielkiej sztuki łaknie — pracą dyrektora, p. Solskiego poprzedzony, długą, poważną, wielostronną, ukazał się arcytwór Wyspiańskiego na scenie naszej im. Słowackiego.

Gdy kurtyna się podniosła — przed oczyma zaczęły się roztaczać obrazy, pełne piękna i podniosłości, jakich równych nie posiada dzisiaj żaden lud w Europie — trudno było powstrzymać nawał uczuć, jaki rozpierał pierś.

— Eppur si muove!

A przecie geniusz sztuki polskiej tryumfuje!

I nie zdziałają nic robaki, które otaczają go ze wszech stron, śliną swą próbują go skalać i gryźć go usiłują — nie zdziałają nic fale nienawiści, błota i niezrozumienia, zbijające się nieraz na powierzchni naszego życia w zatory, by złamać wszystko, co im po drodze... Hej, karły, nędzarze, zdolne pluć tylko, choć ślina na wasze tylko własne brody spada — patrzajcie: z za purpury obrazów tych i srebrzystych dzwonnych słów przemawia... Ecce homo!

Któraż poezya polska, któraż dzisiejsza sztuka w Europie mówi językiem takich obrazów, muzyką takiego słowa?

Łza przesłania oczy, ale już nie bolu: ten, którego ciało cztery lata temu krzepnąć poczynało — zastygł, ale w pomnik chwały i wielkości. I oto stoi przed nami — gestem dłoni wszechmocnej wyczarowuje dziwy...

Zapanujmy jednak nad wzruszeniem; sprawozdawca ma głos.

Próbujmy analizować.

A więc.

Otrząsnąwszy się z pierwszego wrażenia — widać niejedną stronę ujemną.

Z dwunastu obrazów „Legionu“ widzieliśmy tylko dziesięć. Odpadła scena ostatnia: przemiana Mickiewicza w Świętego. Czemu? Utrzymuje się przesąd, że scena taka jest niewykonalna. Tensam przesąd, który nie dozwala inscenizować „Legendy“ (w. I, lepszem — naszem zdaniem — opracowaniu). A jednak teatry niemieckie grają „Rheingold“ o akcyi na falach wód. „Legionowi“ brak tedy ideowego wykończenia. Żadnemi zaś trudnościami technicznemi niepodobna wytłómaczyć opuszczenia sceny V (w celi ks. Jełowickiego). Spowiedź ta ma dla utworu znaczenie z a s a d n i c z e. Ukazuje ona Mickiewicza w decydującym dla przyszłości przełomie: bardziej jeszcze jednoczy się z Bogiem, ale nie wyrzeka się bynajmniej walk i ideałów swoich, przeciwnie, zapo-

wiada dalszą pracę nad zbawieniem ludów. Z opuszczeniem tej sceny odpada poważny w procesie krystalizowania się ducha poety moment.

Zbliżamy się tutaj do bardzo ważnej kwestyi, do kwestyi interpretowania „Legionu" przez Teatr krakowski. Zdawałoby się, że aby grać pewien utwór, należy go odpowiednio wprzódy przeniknąć; rzeczywistość nie zawsze o tem świadczyła. O ile na pierwszem przedstawieniu, kiedy zewnętrzna strona widowiska zbyt przytłaczała, można było zauważyć, ucierpiał tekst niemało. Wykreślano tu i owdzie ustępy całe, a jakby rozmyślnie! ustępy ważne. W pierwszej rozmowie między Mickiewiczem a Krasińskim opuszczono ustępy, świadczące o zasadniczej sprzeczności ich poglądów (Mickiewicz zarzuca Krasińskiemu, że boleść jego słabych do globu przykuwa! — potępia dalej wiarę w „śmierć-przyszłość"). Nie używając dyalektyki myślowej, Wyspiański tylko w takich symbolach wypowiada swą ideologię, a skoro te ustępy opuszczamy, ogołacamy dzieło z najważniejszych myśli. Jeszcze silniej uderza ta dowolność w scenie z Piusem IX. Znikły ustępy, w których Mickiewicz akcentuje sprawę; zabrakło owego historycznego momentu, gdy poeta rzucił papieżowi w twarz, iż dzisiaj Chrystus wśród bluz robotniczych przebywa, co Wyspiański wyraził, iż Chrystusowych uczniów „w prostaczem je obaczysz rzemieśle — ubogie rybaki i cieśle"; albo gdy papież mówi: w śmierci jeno wieczne ukojenia", Mickiewicz odpowiada gromko: „my łaknący ziemskiego zbawienia". Nie słyszeliśmy tych ustępów, odpadł nawet dramatyczny moment, kiedy Mickiewicz woła do uczniów: Wznieście mu ręce w górę! Nie ma dość słów, by wyrazić ważnćść tych ideowych zwrotów — przez opuszczenie ich odejmuje się „Legionowi" zawartość myślową. Więcej takich wykreśleń zauważyliśmy (np. gdy na Kapitolu Mickiewicz głosi królestwo ducha, ale także czyny rewolucyjne: „wskrzeszać — obalać trony"). Ideologia „Legionu" mocno w owem opracowaniu ucierpiała. Trudno winić o to dyr. Solskiego, on nie jest literatem, ale od doradców jego literackich można wymagać więcej pietyzmu i inteligencyi.

Skutkiem braku inteligentnego przygotowania literackiego ucierpiała także czysto artystyczna strona przedstawienia. Dyrekcya szczodrze dała środki na wyposażenie dzieła, ale niezawsze należycie była informowana, jak ich użyć. Np. scena w kościele św. Piotra, urządzona z niezmiernym przepychem, ale o ileż wrażenie byłoby większe, gdyby odpowiadała prawdzie historycznej. Michał Chodźko opisuje przecie dokładnie: Zagrzmiały działa na twierdzy św. Anioła... Pius IX klęczał w trybunie, potem szedł ku ołtarzowi, przed nim jego znamiona, za nim książęta kościoła etc. Reżyser z tych informacyj wiele mógł skorzystać. Albo scena ostatnia. Mickiewicz zasiada z uczniami do ostatniej wieczerzy: „zastawiają jadło na jednym ze sarkofagów... zasiadają wszyscy społem do stołu" — informuje Wyspiański, a rzecz jasna; przed oczyma ma gotowy obraz: Lionarda da Vinci...

Wogóle zarzut mylnego zrozumienia odnosi się do zasadniczego wykonania. „Legion" jest poetycką transpozycyą muzyki uczuć dramatycznych. Chodzi więc o wydobycie w grze muzyki wiersza i treści jego dramatycznej. Większa część grających założenia tego nie uwydatniła.

Nie o małoważne rzeczy tu chodzi i majestatowi sztuki winno się całą szczerość. Ale w jej imię — oddajemy hołd szlachetnym usiłowaniom i rezultatom dodatnim.

Otóż dyr. Solski nie jest — chwała Bogu — literatem, i to co do niego należy, uczynił, jak artysta o szerokim geście twórczym. Zapaliwszy się do wielkiego dzieła, poświęcił mu w zakresie swojej możliwości długie miesiące pracy i niezwykłe, nawet na europejskie stosunki, koszta. Mieliśmy oprawę dzieła przewspaniałą, jakiej dotychczas nie było w Polsce i jaka do artystycznych rzadkości należałaby też na najbogatszych scenach europejskich. Pomysłowość, dobry smak, styl monumentalny, prawdziwie artystyczne wykonanie cechowały całą wystawę dzieła, najchlubniejsze wystawiając świadectwo pietyzmowi dyr. Solskiego, zdolnościom malarsko-dekoratorskim p. Spitziara, i last not least — pomocniczej firmie wiedeńskiej.

Chwilami można było się obawiać, że dekoracye przytłoczą tekst, jak to nieraz się dzieje w niektórych teatrach zagranicznych; u ludzi ze smakiem panuje też reakcya przeciw parweniuszowskiemu przepychowi, dążność do prostoty. W danych warunkach nie można jednak było upraszczać: malarstwo, rzeźba, muzyka, słowo łączą się w „Legionie“ w organiczną całość. Na szczęście wysiłek artystyczny p. Solskiego i personalu zapanował nad stroną zewnętrzną.

Wysiłek ten powinien był iść u wszystkich w kierunku więcej dramatycznym. Ż y w y c h ludzi daje sztuka, c a ł y c h ludzi. Często odczuwaliśmy brak dramatycznego gestu — tam nawet, gdzie wynika ze sytuacyi i ze wskazówek poety, np. w scenie między Mickiewiczem i Piusem IX. Powiedzmy wprost: zadanie artystyczne, jakie Wyspiański postawił aktorom w „Legionie“, jest niesłychanie nowe i trudne: muszą oni głosem instrumentować tekst, mówić wiersz w ten sposób, by wydobyć jego muzykę i dać poznać, co się mieści między wierszami.

Gdy Reinhard gra „Oresteję“, składają się chóry z członków i towarzystw śpiewackich, którzy mają rytm i ton w uszach, przelewają go we wiersz. U nas grzeszono — i np. jedyna w swoim rodzaju co do instrumentacyi wiersza scena w kopule św. Piotra zupełnie była chybiona. Nie mogę też przyłączyć się do oklasków, jakie zbierał p. Józef Węgrzyn za odegranie roli Rapsoda. Artysta to bardzo zdolny, ale ta rola posiada niezmiernie szeroką skalę muzyczną, która zginęła, przemawiając do publiczności tylko grą dosyć naturalistyczną. (Czemu jednak artysta wbrew woli autora nie nosił maski Homera — zapewne z Muzeum neapolitańskiego — to już zaniedbanie).

Wyrobiwszy sobie o rolach pojęcie, którego nie podzielamy, pp.: Wysocka (Makryna), Solski (Mickiewicz), Weychert (Krasiński) byli w grze konsekwentni, silni, i stanęli na wyżynie swych zdolności. P. Wysocka miała prostotę i szczerość prawdziwego uczucia; w zetknięciu się z carem miała wielkość i moc prorokini. P. Solski największe do pokonania miał trudności, bo stłumił swą naturę wielkiego artysty charakterystycznego i chciał dać kreacyę liryczną. Wyszedł zwycięzcą. Mickiewicz jego był uosobieniem żaru duszy. Rósł ze sceny do sceny: ostatnia, przebóstwienie się, nastąpiła też zupełnie logicznie. Wolelibyśmy

dramat muzyczny, ale nikt się nie oparł potężnym inwokacyom lirycznym, z głębi serca pochodzącym wołaniom, jakie wydobywał p. Solski. Twórca tylu charakterystycznych postaci robił wrażenie, że sam z rozkoszą kąpie się w morzu czystej poezyi, modli się i walczy duchem — pogrążon w prawdziwej ekstazie. Bardzo inteligentnie cieniował swą rolę p. Weychert, wydobywając z niej dyskretnie mnóstwo czynników myślowych. Słabo natomiast wypadła rola Grzegorza XVI; wymagała mniej naturalistycznej niemocy, pod koniec — więcej druzgocącego majestatu. Doskonałą była p. Jednowskiego sylwetka cara.

Na osobny rozbiór zasługuje strona reżyserska. Takich zespołów i tłumów nie miała jeszcze scena krakowska — pierwsza przecie pod tym względem w Polsce. Największe wrażenie zrobiła na nas scena w katakumbach: zjawy chłopstwa miały w sobie coś upiornego, a tym silniejszym odbijał kontrastem, jak ironia bolesna, dźwięczny, kuszący głos Fortuny — p. Morozewiczówny.

Oto ogólne wrażenie.

Reasumując je, trzeba powiedzieć, że różnimy się od Teatru krakowskiego w ujęciu sztuki, świadomi jednak jesteśmy, że p. Solski dokonał dzieła wielkiego. W historyi sztuki polskiej datę musi stanowić fakt wprowadzenia na scenę dzieła o zupełnie nowej technice artystycznej: poetyckiego dramatu muzycznego. Dalekie jeszcze czasy będą walczyć o formę pokonania tych trudności.

To zasługa duchowa.

A zasługa p. Solskiego materyalna?

W książce swojej o Wyspiańskim pisze były dyrektor teatru krakowskiego, p. Kotarbiński (str. 95), że Wyspiański dla Legionu „marzył o teatrze, godził się nawet na zmniejszenie ram niektórych obrazów zbyt ogromnych, ale zamiar ten musiał spełznąć na niczem. Chyba wspierany monarszą szkatułą teatr mógłby się zdobyć na przepych zewnętrzny, wymagany przez autora“.

Takim był głos ogółu.

P. Solski nie czekał szkatuł monarszych. Dokonał czynu. Toteż pismo, jak nasze, bardzo wobec teatru krakowskiego krytyczne, wspaniałemu czynowi hołd musi złożyć.

I — czekamy ciągów dalszych.

Za rok lub dwa — „Powrót Odyssa“.

Ze sztuki i z życia.

(Gdzie obecnie stolica duchowa Polski. Pretensye Lwowa. Czemu poezye Kasprowicza są smutne.

Fizyognomia Warszawy. Nafta użyźniająca naukę polską. Towarzystwo naukowe i korzenie się przed magnatem. Czem ta stolica żyje. „Cyganerya Warszawska". P. Nowaczyński jako artysta i jako apostoł. Ostatnie słowo reakcyi antyromantycznej: kult Wielopolskiego. Czem dla nas Wielopolski.

Kraków bez idealizacyi. Malczewski i Szymanowski, poznani w Krakowie via Wiedeń. Odrębności ich i łączność z twórcą „Legionu". Czy romantyzm sprzyja pracy realnej.

Zbliżenie się ostateczne ducha. Szopka Krakowska).

Więc jest Kraków stolicą duchową Polski, czy nie jest nią?

Pytanie przecie niemałej wagi, które niedawno poruszył p. Pieńkowski w jednej z gazet warszawskich, i naród jakoś się niem dotąd nie zainteresował. Może dlatego, że stolica duchowa powinna być stolicą... ducha, a my wogóle obecnie żadnego ducha nie posiadamy?

Ledwie zdanie to napisałem, a już ze wszech stron rozlegają się krytyki protestu i oburzenia. Stanął przedewszystkiem ze swemi pretensyami Lwów. A i dowodów na poparcie swoich pretensyj ma niemało. Wszak przoduje Polsce pod niejednym względem. Wszak w tem nie bardzo podłem mieście narodził się pierwszy teatr maryonetek polskich z p. Pietrzyckim na czele; czyż słaby tytuł do przodownictwa? Wszak miasto ma takie osobliwości, jak krytyka teatralnego, p. Gubrynowicza, który gdy pisze o dramacie — salwy śmiechu wywołuje, a gdy o komedyi mówi — czyni wrażenie bolesno-tragiczne? A arcy-krytyk literacki, p. Wasilewski, który odkrył... Jana Kasprowicza?

Ostatni argument dał mi do myślenia. A że flat spiritus, ubi vult, więc z myśli tych wyłoniło się inne odkrycie. Poznałem mianowicie, czemu ogólny nastrój poezyj Kasprowicza jest tak rozpaczliwie smutny. Nic dziwnego; poeta, jako prawdziwy wieszcz, przeczuł, że p. Wasilewski będzie o nim pisał. Do smutku dostateczny chyba powód, ale choć smutek ten stara się rozproszyć półtuzina kabaretów i dwa tuziny „kasyn paryskich" i innych świątyń dla inteligencyi — do miana stolicy duchowej brak jeszcze prawa. Dopiero gdy Lwów dostanie kilka nowych pomników, w rodzaju pomnika Smolki, który tymczasem stał się pomnikiem barbarzyństwa kułtunów wobec ogółu artystów polskich, oraz pomnika Potockiego i Słowackiego (— ten ostatni zostanie odsłonięty w pięćsetną rocznicę śmierci poety) — wówczas dopiero, posiadając tak niezaprzeczone arcydzieła, Lwów będzie mógł pretendować do „wyż wymienionej", „takowej" godności.

Tymczasem match rozgrywa się między Warszawą a Krakowem. I przyglądając się bliżej argumentom, rozpatrując owe akta naszego życia — powoli żart zastyga na ustach, najbardziej od patosu daleki fejletonista musi wpaść w ciężką, posępną zadumę.

O, tak. Warszawa ma sporo tytułów do miana stolicy ducha. Rozparł się pan duch szeroko, we wspaniałości i blasku, jak przystoi na społeczeństwo, które długie lata żyło i tyło pod hasłem pozytywizmu pracy organicznej, i posiada najliczniejszą w Polsce, najbogatszą, naj-

wpływowszą burżuazyę. Klasa ta — wiadomo — jest śmiertelną nieprzyjaciółką romantyki, zato podporą wiedzy i pracy pozytywnej. Dlatego... dlatego kilka arcypoważnych i potrzebnych wydawnictw naukowych zachwiało się, przestało na pewien czas wychodzić, a redakcya „Słownika języka polskiego“ rozesłała była rozpaczliwe odezwy o pomoc. Na szczęście sprawdziło się — niezbyt zgodnie z duchem pozytywizmu — staropolskie: jakkolwiek się dzieje, nie trać nadziei. Źródło nafty kaukaskiej, zapisane przez skromnego człowieka Kasie im. Mianowskiego, będzie rosą niebiańską na spragnioną glebę instytucyj i wydawnictw naukowych pod patronatem tejże Kasy. I... „jakoś to będzie“. Ale trudno nie powiedzieć sobie, że to traf, przypadek, nie samopomoc dojrzałego społeczeństwa.

Drugi stał się fakt dodatni w deficytowej gospodarce narodu. Towarzystwo Naukowe Warszawskie, instytucya poświęcona nauce czystej, doświadczalnej, uzyskało własną siedzibę i otworzyło już w tym gmachu kilka pracowni (neurologiczną i antropologiczną); z czasem przybędzie pracownia zoologiczna, chemiczno-bakteryologiczna, roentgeniczna i t. d. Wobec braku wyższego szkolnictwa polskiego w Królestwie — Instytut ten tem donioślejsze ma znaczenie i powstanie jego jest jedną z nielicznych lepszych chwil, jaką z Warszawy mamy do zanotowania. Rzecz jasna, że będzie poświęcony tylko pracy fachowej, przyrodniczej. Ale ponieważ Warszawa chce czasem być stolicą ducha, więc uroczystość ku czci poważnej nauki przemieniła się w uroczystość ad majorem gloriam hr. Józefa Potockiego. Spełnił magnat czyn obywatelski, darował gmach instytucyi, nie chcę więc przy tej sposobności go krytykować, ale podobne zapisy na cel publiczny, obfitsze, hojniejsze, jeszcze częściej instytucye polskie zawdzięczają zwyczajnym śmiertelnikom, a bizantynizm nie wybija pokłonów, uczeni i dziennikarze nie padają plackiem do nóg. Warszawa wielkiego mieszczaństwa, shelpmanów, pozytywistów, nie obejdzie się oczywiście bez historycznego hrabiego, choćby tym królem duchem miał być p. Józef Potocki.

A czem żyje ogół, publiczność, która nie z instytucyj neurologicznych i roentgenograficznych czerpie swe natchnienia? Kabaretami do niedawna, a gdy przejadły się i obrzydły nawet najwytrwalszym — ma Warszawka obecnie nowy kabaret w postaci „Cyganeryi Warszawskiej“ p. Nowaczyńskiego. Sztuka, która w Krakowie padła sromotnie, ma tam powodzenie niezaprzeczone. Powiadają, że to dzięki niezrównanej grze Frenkla, Wojdałowicza itd. Zapewne. Gdy tacy artyści staną na scenie i zaczną mówić: a—b—c — mogą zabawić tem parter — do rozpuku. A tego przecie publika pragnie. Inni przypisują to powodzenie zręcznemu szantażowi. P. Nowaczyński, chcąc zmylić instynkt publiczności, rzucił jej kilka pigułek, płynem oszałamiającym napełnionych: w sztuce mojej i działalności niema walorów artystycznych, są zato senzacye ideowe. Dokonał „przemiany wartości“, stał się znowu Neuwertem — i Warszawa zajmuje się ideałami p. Nowaczyńskiego.

Objektywnie notuję sam fakt, mocno dla inteligencyi Warszawy charakterystyczny. Kilka lat temu prowadziliśmy gorące dyskusye na temat sztuki, jej warunków, znamion — i ot co z tego pozostało. Pi-

sarz i jego kohorta powiadają: wprawdzie w „Cyganeryi“ autor sfałszował ducha historyi, od Murgera począwszy pookradał autorów na lewo i na prawo, nie okazał za grosz inwencyi twórczej, fantazyi, zdradza brak elementarnego poczucia sceny i konstrukcyi dramatycznej, ma jednak — idee...

P. Nowaczyński zna publiczność. Ze znaną swą bezkompromisowością i pogardą dla filistra stanął na czele krucyaty — przeciw romantyzmowi. I biedny filister daje się p. Nowaczyńskiemu zgwałcić.

Najzyskowniejszy to proceder w obecnej chwili — walka z romantyzmem. Do jakichż arsenałów p. Nowaczyński nie sięga, by módz powalonego lwa bóść i targać. Wie, że filistra warszawskiego można przerażać widmem niemieckiem, a wlać weń jakby piwa angielskiego, tężyzny, wskazując na „Albion“ — straszy więc, że romantyzm to wynalazek niemiecki. Liczy przytem oczywiście na nieuctwo publicystów warszawskich, którzy nie przypuszczają nawet, że romantyzm wyszedł właśnie z Anglii, tam najdłużej przetrwał, i jak badania fachowe wskazują, „zapłodnił poezyę, naukę i politykę angielską tyloma żywotnemi zarodziami“, że społeczeństwo tamtejsze dotąd nie zdołało wszystkich rozwinąć (uwaga profesora literatury angielskiej, dra Kellnera, z powodu dzieła: H. Richter, „Geschichte der englischen Romantik“, którego z pewnością nie studyuje żaden z naszych blagierów). Znając psychologię polskiego filistra, który chętnie korzy się przed wielkiem nazwiskiem, a jeszcze chętniej od jego treści ucieka, powołuje się p. Nowaczyński na wrzekomy antyromantyzm Wyspiańskiego, nie zapominając dodać równocześnie, że jego arcytwórczość „chorobliwością stygmatyzowana“. Co słowo — to przejaw duszy szlachetnej. Nareszcie wyciągnął atut najsilniejszy: oto romantyzm wywołał powstanie i obalił nadludzką postać... Wielopolskiego.

Jesteśmy — u celu.

Wielkie postacie mają to do siebie, że z oddaleniem — rosną. Wielopolski na tle karłowatej i nędznej wielopolszczyzny jest wielki. Dokonał też czynów nacechowanych rozumem politycznym i duchem postępu. Ale w jego działalności były to zjawiska drugorzędne. Zasadniczą była — myśl, misya jego polityczna. Trawestując Napoleona, pisał był Wielopolski do Mikołaja II: „Przychodzimy oddać się tobie, jako najwspaniałomyślniejszemu z przeciwników“. Dalej. „Byliśmy twoimi, jako niewolnicy, prawem zaboru, przez postrach, i złożyliśmy za nie wymuszone przysięgi. Dziś nabywasz nowy tytuł władania. Oddajemy się tobie, jako ludzie wolni, z dobrej ochoty, a bez ostentacyi i rachuby. Stajesz się panem naszym z łaski Boga, którego wyrokowi poddajemy się“.

Taką była ideologia Wielopolskiego, i zdrowy miał instynkt naród, realnym zupełnie był jego romantyzm, gdy tę truciznę odtrącił. Wielopolski nie był Bismarkiem, który drogą bodaj gwałtu dążył do zjednoczenia państwowego swego narodu. I nie Cavourem był, który drogą więcej dyplomatyczną niż rewolucyjną, dążył do uwolnienia ojczyzny swojej z pod jarzma najezdców. Rosyi chciał Wielopolski oddać naród „z dobrej woli“—i zmusił młodzież do powstania. P. Nowaczyński korzysta z wszystkich przywilejów cenzury warszawskiej, a równocześnie

zataja najważniejsze myśli i czyny margrabiego. I to kiedy? W chwili, gdy Galicya przy boku Austryi, którą Wielopolski przeklął, jest terenem względnie swobodnego naszego działania. W chwili, gdy Finlandya, oddana Rosyi bez zastrzeżeń, pozytywna tak dalece, że z zapałem tłumiła powstanie polskie — obecnie traci resztki swojej samodzielności. W chwili, gdy Rosya wydziera żywy płat mięsa z organizmu Polski: Chełmszczyznę, gdy kilkanaście tysięcy rodzin urzędników kolei warszawsko-wiedeńskiej wyrzuca na bruk. W tej chwili stawia się przed oczy ideał pracy organicznej (w „Cyganeryi“ upostaciowanej w... gorzelni!) i margrabiego... Jakoby Rosya, poczuwszy się kiedyś na siłach, zaoszczędziła nam była los Finlandyi!

A Warszawa — ma widowisko. Ugodowcy biją brawo, organ p. Dmowskiego półgłosem zgadza się z ideą p. Nowaczyńskiego, odpychając jego osobę, jako zbyt nieczystą, a inni... ci pozostali... pocieszają się, że p. Nowaczyński pisał tylko, by narobić trochę huku koło grywanej właśnie swej sztuki, zresztą jest hecarzem, „sowizdrzałem“, którego się nie traktuje seryo.

Norwid nazwał sztukę organizatorką fantazyi narodowej. P. Nowaczyński organizuje tę wyobraźnię — przy pomocy swej prasy po swojemu, a gdy w rocznicę śmierci Wyspiańskiego teatr warszawski zagrał Słowackiego i „Sędziów“ — panowały pustki. „Cyganeryę“, protest przeciw uciskowi Paskiewicza przedstawia się jako błazeństwo. Ba, niedawno w Tygodniku Illustrowanym, tym głównym organie obecnej reakcyi warszawskiej, pisał p. Gomulicki, że Dziekoński, Dembowski etc. byli usposobieni rewolucyjnie, dzięki zasadzie rządowej: divide et impera. Czyli, że działali — w interesie rządu rosyjskiego. Byli może ochrannikami? Do takich kretynizmów dochodzi rozszalała reakcya.

I Warszawa ma pretensye, by być ogniskiem... ducha!

Nie będę idealizował Krakowa. I tutaj — pustkowie dla ludzi głów i serc uskrzydlonych. Świeżo mieliśmy ilustracyę, która ma stronę pocieszającą, ale drugą — tragiczną. Jacek Malczewski i Wacław Szymanowski tryumfu aż „w samym Wiedniu“ potrzebowali, by naród się dowiedział, że są „naprawdę“ potężnymi artystami. Tak jest. Trzeba znać atmosferę krakowską, by wiedzieć, jak samotnym tutaj jest duch np. Malczewskiego — ile kolców i cierni pod stopy mu się ściele. Oddaje się zimny pokłon artyście, który... „umie rysować“, ale wiemy, ile nieszczerości, obłudy i absolutnego niezrozumienia jest w tym pokłonie. Szymanowski zaś — takie znalazł w Krakowie odczucie, że... woli już w Krakowie nie wystawiać.

Czyż Kraków nie odczuwa pochwał zagranicy dla tych artystów, jako policzka dla siebie?

Ostatecznie — bez przesadnego optymizmu! Zadużo byłoby żądać... może wogóle od natury ludzkiej, aby tacy artyści, jak Malczewski i Szymanowski, u współczesnych znaleźli pełny oddźwięk. Potrzebaby, aby wszyscy ludzie na jeden ton byli nastrojeni. A łatwiej trochę nastroić się na ton kabaretu lub Cyganeryi, niż „Błędnego Koła“ i „Pochodu“ wawelskiego...

Bądź co bądź Malczewski i Szymanowski wśród nas tworzą — w Warszawie by nie mogli...

Mały tytuł do miana stolicy Polski dla Krakowa, ale przecie...

I Wyspiański tutaj tworzył. Nie doczekał się wystawienia „Legionu“ — teraz Kraków tym Legionem żyje. Inaczej — niż Warszawa...

Czy uważaliście, że indywidualności tak różne od siebie, jak Wyspiański, Malczewski, Szymanowski, jednak duchowo są z sobą złączeni? Na dnie fantastycznej, niehistorycznej twórczości Malczewskiego leży — Polska. Cała ta twórczość, przy realizmie formy, wizyą jedną. I wizyą, polską, „Pochód“ Szymanowskiego... A „Legion“ — szeregiem snów na jawie...

Więc — romantyzm! Bardzo niezdrowy, marzycielski, podszyty tak nierealnemi ideami, jak dążenie do podniosłości serca, do czystości i napięcia na najwyższy ton ducha...

Ale — czy inną była kiedykolwiek wielka sztuka?

Warszawa sądzi inaczej. Szczerze mówiąc — nauczycielem narodu w tej chwili jest strach przed wielkością, i ten sądzi inaczej. Z powodów — gospodarczych. Romantyzm ma wrzekomo odwodzić od pracy realnej etc.

„Tymczasem — pisze Mickiewicz — duch Mistrza był na to nam dany, aby każdy odtąd lepiej robił swe rzemiosło, lepiej pisał, lepiej urządzał swe interesa, etc. Jednem słowem dany był nie dla odjęcia, ale dla dodania nam siły“...

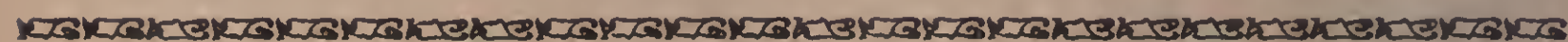
W stolicy ducha wartoby nad tem pomyśleć. Tylko... przepraszam... czasu w tej chwili nie ma. Bo oto po „Legionie“ gotujemy się w Krakowie do innej uroczystości.

Niebawem u Michalika będzie... nowa Szopka.

Radość — rozrzewnienie...

Stroją się gardła. Wyciągają się rączki po pieniądze — za to, co się śpiewa, i za to, co się przemilcza...

Jesteśmy stolicą ducha. *Tadeusz Bezimienny.*



SPRAWOZDANIA.

„Białe kruki“. Wydawca Karol Badecki. Zeszyt I. „Lament chłopski na pany“, (wyd. Józef Kallenbach); zeszyt II. P. Zbylitowskiego: „Przygana wymyślnym strojem białogłowskim“ (wyd. Karol Badecki). Lwów 1910. Nakładem Zienkowicza i Chęcińskiego.

Pod pieczołowitem, a pełnem znawstwa kierownictwem młodego bibliografa, p. Karola Badeckiego, wychodzi we Lwowie od kilku miesięcy wykwintna publikacya, mająca na celu ratowanie od łatwej zagłady „białych kruków“ staropolskiej literatury, owych mnogich druków-unikatów XVI i XVII w., walających się po kątach zapylonych szlacheckich bibliotek, zjadanych nieraz przez mole nawet w wielkich księ-

gozbiorach publicznych. Intencye wydawcy, cele, jakie wytyczył z góry swemu przedsięwzięciu, pochwalić należy tedy nasamprzód z całem uznaniem. Pierwsze zaś kroki nowego wydawnictwa dowodzą, ze pochwał można nawet nie szczędzić, boć dwa zeszyty, dotąd wygotowane i puszczone w obieg, spełniają najzupełniej swoje zadanie i zadowolić muszą najwybredniejszego nawet znawcę-bibliofila.

Szata zewnętrzna (winieta, papier, strona typograficzna i litograficzna) bez zarzutu, przerasta w znacznej mierze postulaty, które stawiały sobie dotychczasowe pokrewne publikacye polskie, z wyjątkiem chyba kórnickich wydawnictw braci Pilińskich z ubiegłego stulecia. Ani „Biblioteka pisarzów polskich“ Akademii umiejętności (doskonała zresztą i arcypożyteczna), ani zawieszona niedawno warszawska „Biblioteka zapomnianych poetów i prozaików polskich“ profesora T. Wierzbowskiego, ani świeże „Collectanea Biblioteki Krasińskich“ nie mogą, jeśli chodzi o wykonanie zewnętrzne, iść na wyprzody z młodem, lwowskiem wydawnictwem; wszak żadne z nich nie podawało naprzykład całego przerysu homograficznego zabytku (obok przedruku w pisowni dzisiejszej), a czynią to właśnie „Białe kruki“. Co się zaś tyczy strony wewnętrznej, opracowania, — to stwierdzić należy, że otrzymujemy tutaj zawsze edycyę krytyczną, tekst ściśle ustalony wedle wymagań naukowych (na podstawie wszystkich dochowanych egzemplarzy), a zaopatrzony przytem w cały potrzebny dla naukowca aparat: wstęp historyczno-literacki, waryanty i konjektury, metrykę bibliograficzną i słownik przestarzałych wyrażeń.

Na razie wydano dwa piękne tomiki: pierwszy w opracowaniu profesora Kallenbacha, zawarł ciętą broszurę społeczno-polemiczną z XVIII wieku, chłoszczącą dotkliwie ucisk chłopski w Polsce, drugi — przyniósł przedrukowaną skrupulatnie przez p. Badeckiego „literacką“ satyrę Piotra Zbylitowskiego na polskie strojnisie i wartogłówki czasów Zygmunta III. Oba utwory są wierszowane (pierwszy ponadto dyalogowany, niby jakaś gawęda narzekających chudopachołków przy piwie), a zaciekawiają bardzo i treścią wciąż aktualną i tonem polemicznym, gorącym, uczuciowym i dostojną jędrnością staropolszczyzny. Każdy inteligentny a ciekawy „dawnych czasów“ czytelnik weźmie z prawdziwą lubością do ręki zgrabny zeszyt i z zainteresowaniem odczyta drgające życiem dokumenty przedwiekowych waśni i kłopotów naszych praojców. A dodać trzeba, że dalsze zapowiedzi redakcyi są bardzo obiecujące: wszak wydawca zamyśla nas zapoznać z całą niemal naszą literaturą mieszczańsko-ludową, tak zwaną sowizdrzalską XVII wieku, z owemi „Wyprawami chłopskiemi“ (Albertusy), „Wojnami żydowskiemi“, „Mizeryami szkolnemi“ etc., tak pełnemi zdrowego, pieniącego się mocno drastycznością, komizmu, to znowu tęsknych skarg na upośledzenie przez los fatalny i możnych tego świata. Najbliższy numer „Białych kruków“ przyniesie ciekawy zbiór anegdot XVII wieku pod tytułem: „Prażonka czyli Nawara“, w edycyi dra L. Bernackiego.

Ze względu na piękny, kulturalny cel, jaki p. Badecki sobie nakreślił, — życzymy nowemu wydawnictwu rzetelnego powodzenia.

Ł. S.

Prof. Kazimierz Nitsch. Mowa ludu polskiego. Kraków. 1911. „Popularna biblioteka przyrodnicza". Księgarnia Leona Frommera.

Pracą niniejszą autor uprzystępnia szerokiemu ogółowi inteligencyi wyniki badań ściśle naukowych w dziedzinie dyalektologii polskiej. I stwierdzić należy, że nikt z językoznawców polskich nie był bardziej powołany do przedsięwzięcia tej pracy, jak autor licznych studyów dyalektologicznych i pierwszej pracy syntetycznej z tego zakresu, omówionej w swoim czasie w naszem piśmie. Monografia prof. Nitscha wprowadza czytelników w dziedzinę zjawisk językowych, szerokim kołom publiczności bardzo mało znanych, a jednak ogromnie ciekawych i dla niespecyalistów. Mamy tu na wstępie ustalenie pojęć, dotyczących mowy ludowej, wraz z poglądem na dzieje i stan dzisiejszy dyalektologii polskiej. Potem idzie ścisła analiza typowych właściwości mowy ludowej wraz z charakterystyką jej poszczególnych odłamów i rozprzestrzenienia tych ostatnich. Kwestye tak ciekawe jak mazurzenie lub brak tegoż, jak stosunek kaszubszczyzny do całokształtu gwar polskich, jak wpływy obce na pograniczach językowych i t. d. zostały tu wyjaśnione dokładnie i wyczerpująco. Praca prof. Nitscha kończy się uwagami nad znaczeniem gwar ludowych jako żywiołu odświeżającego w rozwoju języka literackiego. Książka omawiana została zaopatrzoną w mapę, uwidoczniającą stosunek wzajemny gwar polskiego obszaru językowego, co ułatwia oryentowanie się w wypowiadanych przez autora poglądach. Całość, trzymana na poziomie naukowym, jest jednakże pisana tak popularnie, że czytanie jej nie nasunie żadnej trudności przeciętnemu „inteligentowi". To też powinna znaleźć się w ręku wszystkich, kogo losy języka polskiego, tej najpotężniejszej dźwigni kultury narodowej, obchodzą naprawdę.

lw.

Tadeusz Sinko: Homer zmartwychwstały. Kraków 1911.

Książka filologiczna — a pisana z rzadkim temperamentem; złośliwie urągająca zwyrodnieniom i manowcom tej nauki. Z jaką zjadliwością natrząsa się prof. Sinko z „uczonych" filologów niemieckich, którzy tak gruntownie poczęli analizować poematy Homerowe i odrzucać „interpolacye" (wtręty), że w końcu z całej Iliady i Odyssei zostały sama — interpolacye! Albo z jaką uciechą obwieszcza autor, że dzisiejsza nauka „przekreśla poprostu wiekową pracę filologii niemieckiej", tej filologii, której zdawało i zdaje się, że poematy najświetniejsze w literaturze można traktować „jak nauczyciel pełne błędów zadanie ucznia"! Drogą anatomicznych sekcyj, dokonywanych „pod lupą prozaicznej logiki" zdobyto bowiem poglądy, mocno kompromitujące bystrość wypowiadających je uczonych. Wyszli oni od zaprzeczenia autorstwa Homerowego, a doszli do odmówienia Iliadzie i Odyssei wielkiej artystycznej wartości: „Poezye Homera są przezwyciężoną potęgą, nie wywierają żadnego trwałego wrażenia" — pisał jeden z najwybitniejszych filologów niemieckich, Wilamowitz. Te właśnie zapatrywania — od „zabójcy Homera" F. A. Wolfa po czasy najnowsze — przedstawia dr Sinko i przeciwstawia im argumenty unitaryuszy, uznających jednolitość obu epopei. A choć na razie przyjmuje się dla każdego z tych poematów osobnego autora (a więc dwu Homerów, jednego w VIII, drugiego

w VII wieku) — to przecie (konkluduje prof. Sinko) rzeczą prostszą powiedzieć, „że autorem Iliady i Odyssei jest ten sam poeta sovrano“, któremu cześć oddaje Dante w Inf. IV. 86 nn. Stąd też tytuł rozprawy: Homer zmartwychwstały.

M.

NOWE KSIĄŻKI.

Historya. M. Stecka: Edward Dembowski. Lwów, Polskie Towarzystwo nakładowe. — Dr Majer Bałaban: Skizzen und Studien zur Geschichte der Juden in Polen. Berlin, Louis Lamm. — Henryk Merczyng: Polscy deiści i myśliciele za Jagiellonów. Warszawa, E. Wende i Sp.

Powieść: Marya Klara, napisała Małgorzata Andoux. Z przedmową O. Mirbeau. Tłum. Z. H. Lwów, Księg. H. Altenberga. — H. C. Andersen: Nur ein Geiger. Jena, Eug. Diederichs. — Antoni Lange: Stypa. Warszawa, wyd. Wł. Okręta. Księg. Gebethnera i Wolffa. — Marceli Sachs: W pewnym domu. Wyd. II. Warszawa, Księg. Powszechna. — Brunon Kostecki: Szlakami buntu. Kraków, wyd. „Życia“. — Andrzej Stopka: Rycerze śpiący w Tatrach, wyd. III. Kraków, Księg. Literacka. — Helena Romer: Majaki. Warszawa, Gebethner i Woff. Conan Doyle: Nowele. Kraków, Gebethner i Spółka. — Zimowiec Sęp: Fiat Lux. Część I. Lwów, nakładem autora. — Maurycy Leblanc: 813. Kraków, Gebethner i Spółka. — M. Kulikowska: Z dziejów duszy. Kraków Spółka wydawn. „Książka“. — M. Kulikowska: Frania. Kraków, Spółka nakładowa „Książka“. — Ludwik St. Liciński: Halucynacye. Kraków, Gebethner i Sp. — M. Wierzbiński: Pod myszą wieżą. — Mieczysław Srokowski: Epigoni. Bron. Włodkówna: Orlińscy. — Józef Weyssenhoff: Soból i panna. Warszawa, nakłady Gebethnera i Wolffa.

Publicystyka. Dr Aleks. Hausman: Zywioł żydowski w Palestynie. Kraków, Gebethner i Sp. — Prof. J. Baudouin de Courtenay: W sprawie antysemityzmu postępowgeo. Kraków, Gebethner. — Antoni Lange: O sprzecznościach sprawy żydowskiej. Warszawa, Księg. G. Centnerszwera i Sp. — Fr. B. Peabody: Jezus Chrystus i kwestya społeczna. Warszawa, Gebethner. — Ludomir Dymsza: Sprawa chełmska. Warszawa, Gebethner i Wolff. — W. Włodimirow: Ekspedycya karna. Kraków, nakładem wydawnictwa „Życie“. Z. — Cz. Ueber die antipolnische Politik der preussischen Regierung aus Anlass des Enteignungs gesetzes. Kraków, Gebethner i Sp. — Maryan Wawrzeniecki: Zygmunt Wawrzeniecki. Zarys życia i pracy społecznej. Warszawa, G. Gebethner. — Dr St. Skalski: Lekarz fabryczny w roli rzeczoznawcy. Warszawa. — Krogulec i Ner. Buch: Roku drugiego konstytucyi. Satyry. Warszawa, Księg. E. Wende.

Krajoznawstwo. Helena Rzepecka: Poznań. Z 10 ilustr. Warszawa, Gebethner i Sp. — Zakopane. Wyd. Krajowego Związku turystycznego. Kraków, Gebethner. — Marya Sandoz: Melsztyn i jego okolice. Lwów, nakł. Macierzy Polskiej. — Jakób Bojko: Okruszyny z Gremboszowa. Lwów, wyd. Macierzy Polskiej. — Pomorze kaszubskie. Warszawa, wyd. „Ziemi“.

Varia. Srebrna księga Sokoła poznańskiego. Poznań, Księg. J. Leitgebra. — Orzeczenie komisyi w sprawie Muzeum Narodowego w Rapperswilu. Rapperswil. 1911. (Drukowane jako rękopis). — Dzień ubogich w Łodzi. Jednodniówka pod redakcyą Benedykta Filipowicza. Łódź.

Sprawy kultury. Sören Kierkigaard: Entweder — Oder. Jena, Eugeniusz Diederichs. — Daniel Zgliński: Wszechmoc wyobraźni twórczej. Idee odległej przeszłości. Kraków. Księg. Literacka. — Anatol France: Kościół a rzeczpospolita. Kraków, nakładem wydawnictwa „Życie". — Jan Hempel: Kazania pol·kie. Bielsk. — J. Jaurés i P. Lafargue: Idealistyczne i materyalistyczne pojmowanie dziejów. Kraków, nakładem wydawnictwa „Życie". — Tadeusz Miciński: Walka o Chrystusa. Warszawa, nakład S. Sadowskiego. — Jan Hempel: Kazania piastowe. Bielsk. — Erazm Majewski: Nauka o cywilizacyi. Część I. Prologomena. Wyd. II. E. Wende i Sp. — Mateusz Mieses: W kwestyi nienawiści rasowej. Lwów, Księg. H. Altenberga.

Wydawnictwa popularne. Wł. Bełza: Z odległej przeszłości. Lwów, nakładem Macierzy Polskiej. — Fredro: Sluby panieńskie. Opracował dr Eug. Kucharski: Brody, Księg. F. Westa. — Czytanka dla służących. Z licznemi rycinami. Lwów, wydawn. „Macierzy Polskiej".

Wychowanie. B. A. Baranowski: Szkolnictwo ludowe w Galicyi w swym rozwoju liczebnym od roku 1868. Lwów, nakładem „Rodziny i szkoły". — Der Rhytmus. Ein Jahrbuch. Herausgegeben von der Bildungsanstalt Jaques-Dalcrose. Dresdon-Hellerau. Jena, Eug. Diederichs. — Prof. Dr W. Foerster: Wychowanie człowieka. Warszawa, Gebethner i Wolff. — Dr Gustaw Le Bon: Psychologia wychowania. Warszawa, Gebethner i Wolff.

Literatura. Fryderyk Hebbel: Dzienniki. Wybrał i przedłożył K. Irzykowski. Wydawnictwo „Symposion", Lwów, Księgarnia Polska. — Tad. Stan. Grabowski: Utwory Janusza Bednarskiego, jako lektura dla młodzieży. Kraków, Gebethner i Sp. — St. Krzemiński: Nowe szkice literackie. Warszawa, Gebethner i Wolff. — Ilustrowany almanach artystyczno-literacki. Lwów, Księg. Zienkowicza i Chęcińskiego. — Sergij Jefremow: Istoria ukrainskoho pyśmenstwa. Kijów, wydawn. „Ukraińskij uczytel."

Dramat: Milena Włodzimirska: Politik und Liebe. Tragödie in 3 Aufzügen. Wien, Verlag Paul Knepler. — E. Rostand: Chantecler. Przetłum. Dr. Józef Kadyi. Lwów, Księg. H. Altenberga. — Jadwiga Marcinowska: Bajka. Wyd. wznowione. Lwów, Towarzystwo Wydawnicze. — Antoni Lange: Atylla. Tragedya; Wenedzi. Tragedya. Skład gł. w Księg. Gebethnera i Wolffa. — Wł. Czarnowski: Wywłaszczenie. Kraków, Gebethner. — Józ. Baczkowski: Wichrzyciel. Sztuka w 3 akt. Poznań. — B. Tyczyński: Nocturn. tragikomedya w 1 akcie. Warszawa, Gebethner i Wolff. — M. Hartung: Kleptomania, w 1 akcie. Warszawa, Gebethner.

Nowa Gazeta

niezależny organ postępowy i demokratyczny,

poświęcony polityce, sprawom społecznym, ekonomicznym, oraz literaturze i sztuce. **Wychodzi 2 razy dziennie, z licznymi dodatkami,** a mianowicie z codziennym p. n. **„Gazeta Handlowa“,** oraz tygodn. p. n. **„Literatura i Sztuka“** i **„Nauka i Zycie“,** a nadto z dod. **„Echa Prowincyonalne“.** Redaktor naczelny: **St. A. Kempner.** Redaktor literacki: **J. Lorentowicz.** Sekretarz Redakcyi: **K. Kasperski.** — W dziale roztrząsań społecznych i politycznych, przemawiają z łamów „Nowej Gazety“ najwybitniejsi publicyści obozu postępowego. Dział literacko-artystyczny stoi na wysokim poziomie. Dział ten jest pod kierownictwem **Jana Lorentowicza.** Odcinek „Nowej Gazety“ zawiera powieści oryginalne i przekłady najświetniejszych utworów literatury zagranicznej. **Telegramy** najobfitsze urzędowych agencyi, Ag. Rudolfa Okręta i własnych korespondentów. **Specyalne telegramy z Dumy.**

Prenumerata wynosi — miejscowa: rocznie rb. 9, półrocznie rb. 4·50, kwartalnie rb. 2 25, miesięcznie kop. 75 a nadto 10 kop. miesięcznie za odnoszenie; **na prowincyi:** rocznie rb 11, półrocznie rb. 5·50, kwartalnie rb. 2·75, miesięcznie 95 kop.; **w Łodzi:** z odnoszeniem do domów miesięcznie 1 rb. **Zagranicą:** rocznie 19 rb. 20 kop., miesięcznie 1 rb. 60 kop.

Cena ogłoszeń: Reklamy na 1-szej stronie w rubryce „Nadesłane“ (w tekście) kop. **75**, w „Gazecie Handlowej“ (ogłoszenia i cyrkularze handlowe) kop. **45**, bezpośrednio za tekstem kop. **35** pierwszy raz, za każdy następny raz kop. **30** za wiersz garmondowy lub jego miejsce. Ogłoszenia zwykłe: za wiersz petitowy lub jego miejsce w wydaniu wiecz. kop. **16** pierwszy raz, za każdy następny raz kop. **15**, w wydaniu porannem kop. **20**. Ogłoszenia drobne kop. **3** za każdy wyraz, ogłoszenie minimalne kop. **30**. Nekrologia po **25** kop. za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce.

„NOWA GAZETA“, jako organ wielce poczytny, **zapewnia ogłoszeniom szerokie rozpowszechnienie i skuteczność.**

Redakcya, Administracya i Kantor **Warszawa ul. Szpitalna l. 10. — Telefony:** Administracyi **76;** Redakcyi **82.76;** gabinetu Redaktora **50.97;** Drukarni **193.95;** filii przy ul. Rymarskiej **82.75. Filia przy ul. Rymarskiej l. 16. Tel. Nr. 82.75. — Filia w Łodzi:** Biuro dzienników i ogłoszeń „Promień“, przy ul. Piotrkowskiej 81. Telefonu Nr 12.00.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmują nadto wszystkie biura ogłoszeń i księgarnie.

ZAKŁAD WODOLECZNICZY
I SANATORYUM
Spec. chor. nerwowych Dra B. Kupczyka
Kraków, ul. Szujskiego 11.

Wodolecznictwo, parnia, kąpiele gorące powietrzne, świetlno-elektryczne, wodoelektryczne, gazowe nasycane ciekłym kwasem węglowym (nauheimskie), sztuczne kąpiele mineralne, ciepłe wanny. — Elektryzowanie wszelkiego rodzaju. Masaż ręczny, wibracyjny, elektryczny. — Leczenie dyetetyczne, tuczne. — Pokoje dla chorych.

Wskazania: Choroby układu nerwowego, żołądka i jelit, reumatyzm, niedokrewność, osłabienie ogólne, otyłość, skaza moczanowa, cukrzyca. Choroby serca i naczyń krwionośnych.

Na długie wieczory.
Beletrystyczna i naukowa wypożyczalnia książek
znajduje się
stale przy Placu WW. Świętych L. 8.
Nowości we wszystkich działach.

Dla abonentów z prowincyi wysyłka w specyalnych skrzynkach.

Druk ukończono 2 grudnia 1911 roku.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca Wilhelm Feldman. Drukarnia Literacka w Krakowie.

O ROKU ÓW...!

(f). „Urodzony w niewoli, okuty w powiciu", jedną tylko taką wiosnę miał w życiu poeta, a z nim cały naród. Wiosnę, po której zdawało się krótkie nastąpi, upalne, gromowe lato, a po niem — czas zbiorów, czas plonu najcenniejszego. Bóg wojny objawił się był światu w gloryi potęgi, jakiej za pamięci ludzkiej żaden śmiertelnik nie posiadał; wojnę z Rosyą nazwał wojną polską; nigdy przedtem, nigdy potem nie było takiej pewności odzyskania Polski zjednoczonej, niepodległej. W upojeniu szału radosnego żył, kto tylko czuł i myślał; rzeczywistość przewalała się przed oczyma, jako sen czarowny, epopeja marzona na jawie przez poetę bohaterskiego, i jakże na końcu tej baśni żywej, nieprawdopodobnej a przecie żywej w oczach całej generacyi, nie miałby się pojawić — cud?

Serca były też wezbrane poezyą czynu i oczekiwaniem cudu. — Stąd nastrój uczuciowy tego okresu, rozlewający się na współczesnych i potomnych. Stąd tęskne i bolesne wspomnienie: O roku ów!

Sto lat dzieli nas od tego momentu, i dotąd odpowiada on sercu echem tragicznych dźwięków. Nietylko poezya, ale i historya mówiąc o tym czasie uderza w bardon bohaterski i liryczny: tak żywo czuje się chwałę i upadek Wielkiego Roku. Nie zajmuje się nim tylko historya, jako vitae magistra. Sto lat — to jakby dystans za mały, by olbrzymi tracili swą bezpośredniość i moc hypnotyzowania. Pozostajemy też wszyscy pod urokiem poezyi, widziadła tylko homeryckich bojów, herosów i bogów snują nam się przed oczyma, gdy wymawiamy: O roku ów...

A jednak, o ile wypadki tego roku dotyczą Polski i Polaków, nie mogą one być wyodrębnione z ogółu składników psychologii narodowej: łączą się z elementami jej przeszłości i — przyszłości.

Stąd wymowa nietylko poezyi, ale także realizmu, nietylko tęcze cudów, lecz także mosty, prowadzące do najpoważniejszych zagadnień życia narodowego.

* * *

Najtrudniej znaleść łączniki między duszą tego czasu a paru generacyj poprzednich. Polaka napoleońskiego pięćdziesięciolecie dzieli od Polaka z doby saskiej — inne to światy, dwie jakby rasy odmienne. Pamiętniki z czasów saskich a napoleońskich — żywoty dziadów i wnuków: jakby setkami lat przedzielone. Typ: „Jedz, pij i popuszczaj pasa“ — i typ z pod Somo-Sierry lub z pod Smoleńska, Borodina, Lipska. Typ Sodalisa, pławiącego czarownice, i żołnierza, którzy pierwszy w Madrycie — bo ten zaszczyt Polakowi się należy — zburzył więzienie św. inkwizycyi. Typ bodaj z sejmu czteroletniego, który rozprawiał o potrzebie rządu silnego, wojska stutysięcznego, walki śmiertelnej z przemocą i... od celów tych pozostał dalekim — i typ organizatorów Księstwa Warszawskiego, którzy rząd zaprowadzili nowoczesny, wojsko na znacznie mniejszym obszarze wystawili siedmdziesięciotysięczne, wojsko, które podczas odwrotu z Moskwy jedyne z wielkiej armii ocaliło wszystkie sztandary i wszystkie armaty!

Historyk, badając czasy i ludzi szczegółowo, odkryje między dawnymi i nowymi mnóstwo łączników filialnych; społecznik widzi w rządzie i społeczeństwie Księstwa Warszawskiego niejedną słabość — ale to pozostaje faktem: owa niesłychana podatność charakteru polskiego do zmian, do odradzania się, do odpowiadania czynami — na pobudkę bohaterską. To może najwięcej uderza w całym tym okresie, najwięcej przemawia do serca. Tembardziej, że niekoniecznie Napoleon sięgnął do owych najgłębszych pokładów bohaterstwa i umiał je wydobyć. Olbrzymi ten duch, którego geniusz pod piórem analityków nie zmniejsza się, a przeciwnie: rośnie, w oczach najmłodszych Francuzów jest wielkim wychowawcą narodowym: nauczycielem energii. Był nim dla całej Europy, którą przeszedł kilkakrotnie jak burza, niwecząc co zmurszałe i stęchłe, wydobywając świeże siły: zarówno wśród przyjaciół, jak i wśród wrogów, którzy dzięki jemu — nabrali nowego życia. Rolę tę i u nas spełnił. „Nauczył nas Bonaparte, jak zwyciężyć mamy“. Ale pierwszą pobudkę nieśmiertelną zatrąbił Dąbrowski; i on i Kniaziewicz bili się i zwyciężali we Włoszech bez

Bonapartego, podobnie ks. Józef i Sokolnicki w Galicyi 1809 roku. Jednakowoż wielkim budzicielem, wielkim akumulatorem energii był Napoleon i, dopiero jego wkroczenie do Poznania zelektryzowało cały naród ówczesny, pobudziło go do czynów i ofiar, do jakich nie mogli go nigdy porwać poprzednio ni królowie właśni, ni Kościuszko, ni Dąbrowski.

Ten wiew energii, krzepki i wzmacniający, to główny urok ówczesnego pokolenia i czasu; odrazu jednak powiedzmy, że energia to głównie bojowa i że wyczerpując prawie całą siłę narodu, zostawiała inne strony duszy w cieniu.

Porwał Napoleon większą część narodu, olśnił i przykuł do swojego rydwanu, — jak bóstwo. „Katolicka kultura — mówi Wł. Studnicki w „Sprawie polskiej“ — oparta na wierze w świętych i autorytecie, uczyniła nas skłonnymi do kultu półbogów“. Tak, zdaje się, nie jest. Herosa-półboga widzieli w Napoleonie nietylko katoliccy Polacy, ale i sceptyczni Francuzi i ludzie w rodzaju Byrona i Heinego. Lecz u nich było to olśnienie blaskiem niebywałego geniusza, u wielu Francuzów uwielbienie podyktowane interesem własnym (Napoleon był właściwym promotorem wielkiej burżuazyi, dostawców, producentów, bankierów etc.), w Polsce to uczucie sprowadziło ślepe zaufanie polityczne, wiarę w szczególną ku nam miłość „męża opatrznościowego“, oddanie mu się na łaskę i niełaskę. Jestto inna forma wiary w obcego monarchę, który — dobry, sprawiedliwy i wspaniałomyślny — Polskę odbuduje; wszak za takiego monarchę uważano później Aleksandra I, potem — Napoleona III, nie mówiąc już o przykładach nam współczesnych! Jestto wiara w to, że Polska będzie wyproszona, wymodlona, darowana, nie zaś własnemi rękoma zdobyta. W ostatecznym swym pierwiastku jestto wiara w cud. Stąd bierność własnej myśli politycznej, stąd — abdykacya polityczna.

Ów brak samodzielności politycznej przy wielkiej dzielności orężnej, dochodzącej do bezwzględnych poświęceń i wzgardy śmierci nietylko u jednostek, ale i u masy — jest bardzo charakterystyczną cechą pokolenia napoleońskiego. Nie zdawano sobie sprawy z niesłychanego egoizmu osobistego i obcej nam racyi stanu, które stanowiły sprężynę główną polityki napoleońskiej — i późniejszych naszych „dobrodziejów“. Wierzyliśmy potem w altruizm, sprawiedliwość, wspaniałomyślność, szczególną ku Polakom słabość obcych monarchów; składamy losy kraju w obce ręce, siebie samych skazując na bezczyn. Śmielsze

dusze twierdziły i twierdzą, że gdyby Napoleon, wkroczywszy na ziemię polską w r. 1806, był usłyszał żądanie zwołania sejmu polskiego dla dokonania wyboru króla, nie byłby Polski traktował, jako kłopotu, którego chciał się pozbyć, darując ją w Tylży Aleksandrowi, potem tworząc z niej Księstwo. Wielki patryota, Wybicki, do tej inicyatywy twórczej nie był zdolny. Ileż razy potem ujrzymy polityków polskich, oddających się z ufnością bez granic obcym politykom! Przejrzał rychło wielki Henryk Dąbrowski, przejrzeli inni, że nie mogą na Napoleona liczyć i po r. 1810 powstały wśród wyższych wojskowych zaczątki spisku, który miał na celu ogłoszenie Polski w dawnych granicach — przygotowania do wojny 1812 r. położyły temu koniec. A gdy ta wojna wybuchła, wystąpiła bierność i niemoc polityczna polska w najopłakańszej formie. Konfederacya Generalna w Warszawie zainscenizowana przez liche indywidyum na rozkaz cesarza, była organizacyą niemocy nazewnątrz i nawewnątrz. W chwili swego powstania mogła od Napoleona wszystko uzyskać — nie śmiała żądać; a i narodu nie próbowała zorganizować, pobudzić do czynu — co się później na samym Napoleonie zemściło.

Owa bierność polityczna miała już w najbliższym czasie zatruć dusze, skądinąd piękne i dzielne. Przybrała ideologię legitymizmu i stworzyła całą szkołę. Szereg ludzi niezwykłej nawet miary oduczywszy się myśleć i działać samoistnie, oddał się Napoleonowi, potem z równą wiernością Aleksandrowi i Mikołajowi. Powstanie 1831 r. zebrało tej bierności politycznej i niewiary we własny naród gorżki owoc. Bohaterzy z pola wojny, zdolni do czynów i wysiłków nadludzkich — okazali się politycznie ludźmi słabej myśli, małej duszy; cnoty żołnierskie nie były identyczne z cnotami obywatelskiemi; typ tej epoki, Chłopicki, umiał bić się i słuchać: to Napoleona, to Mikołaja; legitymistycznego umysłu obcy stał się panem, nie naród własny...

Wszystkie te rozproszone rysy skupiają się i mają wspólną przyczynę: w psychice warstwy, która wówczas naród stanowiła i narodem rządziła: w psychice szlachty wyższej i magnateryi. Jej należy zawdzięczyć żołnierskie karty epopei napoleońskiej. Przeczytajmy „Pana Tadeusza“ lub „Popioły“, poznamy typy ówczesne. Szlachcic nie był jeszcze biurokratą austryackim, jak w Galicyi, ni trzęsącym się przed każdym uriadnikiem rosyjskim strachajłą, ani myślącym z niemiecka obywatelem poznańskim. Kipiała w nim tężyzna, wrąca całą pierwotnością, bujnością fizyczną, nie-

okiełznaniem królewiątek. Trzeba mieć rycerski animusz, ale i zwierzę w sobie tęgie, aby być bohaterem homerowskim. To też „do żołnierki jedyni, w naukach mniej pilni“ Soplicowie i Olbromscy cudów męstwa dokazywali; pod ich dowództwem, za ich przykładem i chłop rychło doskonałym stawał się żołnierzem. Politykę zaś robiła magnaterya, którą właśnie od dwustu lat oduczyła się była robić politykę polską. Byli i wśród magnatów ówczesnych ludzie wielkiego poświęcenia, ale mieli już wszyscy „serce chore“. Od wieków wpatrzeni w obce potencye, od nich oczekiwali zbawienia, na własny naród nie liczyli, rozpętać w nim sił śpiących nie umieli. Polityka magnatów była — jak od stu lat — ugodą; ugodą z silniejszym; na Litwie Ogiński, Lubecki i inni ugodę robili z Rosyą (choć były wyjątki), w Księstwie — z Napoleonem; ugodę ślepą, bez gwarancyj ze strony czy to rosyjskiej, czy to francuskiej, ugodę, która musiała do najfatalniejszych doprowadzić następstw. Magnaci litewscy gotowi byli wyrzec się Unii z Koroną, stworzyć wielkie Księstwo Litewskie: dzisiaj widzimy ten sam ekstrem ugody zmartwychwstający na Litwie, w osobach potomków ówczesnych inicyatorów, tylko we formie jeszcze bardziej spodlałej. Magnaci zaś polscy, zawarłszy ugodę z Napoleonem, gotowi byli opuścić go, z chwilą, gdy nie będzie najsilniejszym, bez wyczerpania wszystkich środków ratunku — i tak się też stało; z tą samą łatwością, co do Napoleona, przerzucili się rychło w stronę Rosyi, nie pomnąc na dalsze konsekwencye tego kroku. Gdy po odwrocie z Moskwy trzeba było ująć los kraju we własne ręce i zorganizować obronę — charakterów nie stało...

A na dnie tej słabości leżał niewątpliwie egoizm klasowy. Napoleon miał dla szlachty i magnateryi zawsze dwa oblicza: jedno — mocarza, który może Polskę wskrzesić, drugie potomka rewolucyi, który mimowoli spełniał jej hasła, dekretował ustawy o równości obywatelskiej, usamowalniał chłopów. Tej jego działalności szlachta i magnaterya nigdy Napoleonowi nie darowała: rząd Księstwa „łagodził“ ostrze jego rewolucyjnych idei, jak tylko mógł. „Z większą jeszcze nierozwagą, jak dawniej w Księstwie Warszawskiem — pisze Skarbek — ogłosił Napoleon przy samem wkroczeniu do Litwy nadanie wolności chłopom tamecznym“. „To musiało pozbawić właścicieli wszelkiej możności dopełnienia rekwizycyi wojennych, i narażając ich samych jeśli nie na utratę życia i majątku, to przynajmniej na dotkliwe przykrości, niechę-

ciło ich ku temu oswobodzicielowi". Rzeczy przybrały obrót tragiczny, bo wojsko musiało strzelać do chłopów, którzy nie chcieli wracać pod jarzmo poddaństwa; w rezultacie stała szlachta litewska po stronie Rosyi, która chłopów nie usamowalniała, a chłopi zawiedzeni w nadziei swojej mścili się na nieszczęsnych niedobitkach wielkiej armii.

Z innych powodów przeciwnem było polityce samodzielnej polskiej duchowieństwo. Nie mogło zapomnieć Napoleonowi jego kodeksu, ślubów cywilnych, walki z papieżem.

W tymsamym czasie widzimy, jak na całym kontynencie wielki wyzwoliciel energii, jakim był Napoleon, nawet budząc przeciw sobie reakcyę — powołał do życia nowe, potężne siły, w miejsce zdruzgotanych przezeń, starych, niezdolnych do pełnienia zadań historycznych. Jak we Francyi rewolucyjnej hasło „ojczyzna w niebezpieczeństwie" stworzyło nowoczesną narodowość, jednocząc wszystek lud pod jednym sztandarem, podobnie we wielu państwach we walce o wolność runęły przegrody stanowe; powstawał naród. W Hiszpanii rozpalili księża przeciw najezdcy fanatyzm religijny, ale i patryotyczny; w Niemczech rozpalili patryoci żar nienawiści ku wrogowi, stwarzając w ten sposób duchowe zjednoczenie i wyzwolenie Niemiec, po którem musiało nastąpić i państwowe. U nas los sprawy narodowej spoczął w rękach dyplomacyi magnackiej, która nie zdołała, nie chciała uczynić z niej sprawy całego narodu, nie próbowała uświadomić, pozyskać, rozognić ludu. Interes klasowy pchał tę warstwę oddawna do Rosyi. To też po klęsce Napolena, gdy najezdca rosyjski wkroczył do Księstwa — ugodowcy wyciągnęli doń ręce, przedstawiciele narodu rzucili się w objęcia Rosyi.

Na szczęście — nie wszyscy. Znalazł się niepolitykujący żołnierz, który w prostem swem sercu więcej zdrowych miał instynktów, niż dyplomatyzująca i samolubna magnaterya. Kwintesencya tej duszy żołnierskiej, niesubtelnej umysłowo, ale o najsubtelniejszem poczuciu honoru i obowiązku narodowego, Józef Poniatowski, oparł się ugodzie. On, magnat z rodu, złączony niegdyś z magnateryą w tem, co słabe, lekkomyślne i powierzchowne, ale sercem przerastający tę warstwę — zrośnięty z psychiką żołnierza - obrońcy ojczyzny — wybrał raczej śmierć, niż ugodę z Rosyą.

* * *

Jest o czem myśleć, wsłuchując się w echa, jakie nam niesie rok ów...

Jest o czem myśleć, gdy rezultaty stu lat, dzielących nas od owej chwili dziejowej, przypominają, ile razy historya się powtarzała.

Ile razy wierzyliśmy w obcych, w sentyment, we frazes etyczny, w cud...

Ile razy głowy szlacheckie, zaprzeczywszy nawet lepszym instynktom, zgubiły się wśród tendencyj pseudo-legitymizmu...

Ile razy szlachta ta wespół z magnateryą dla interesu klasowego opaźniała unarodowienie i ubojowienie wszystkich warstw społeczeństwa.

Ile razy magnaterya ta, chwyciwszy w swoje ręce losy narodu, przedyplomatyzowała je, tonąc ostatecznie w odmętach ugody i zaprzaństwa...

Na szczęście, gdy brak charakterów groził już ostatecznym upadkiem — zjawiał się żołnierz sprawy.

Jest o czem myśleć — i nietylko poezyę niesie nam echo epopei z przed wieku.

Przynajmniej nie poezyą samych wspomnień i marzeń powinno się karmić wchodzące obecnie na arenę dziejową pokolenie.

Nie powinno, a wielka jego część już świadomie nie chce.

Tak jest. Dojrzewa obecnie w Polsce generacya, która nie odcina się od przeszłości, chwyta jej wizye i dźwięki, ale nie dla upojeń haszyszowych, lecz dla poddania ich rewizyi i nawiązania dalszych ogniw czynu.

Przemawia jej do duszy piękno bohaterstwa ówczesnego, ale na tle zmienionem.

„Ideał kolorowego ułana" odtrącił już Słowacki, nie z pogardy dla walki, ale ponieważ trzeba go rozszerzyć.

Bohaterstwem uzupełnić, które chce zarazem myśl posiadać wyostrzoną i dłoń zbrojną pod rozkazem własnej świadomej woli. Niegroźną wówczas będzie hypnoza dziedziców zaprzańców i ugodowego legitymizmu. Szerszą jest dzisiaj podstawa narodu i pod tym względem zdrowsza. Tworzą ją szerokie zastępy ludu pracującego wsi i miasta, ludu mającego także interesa klasowe, ale nie wrogie narodowi, bo niosące racyonalną i sprawiedliwszą organizacyę pracy dla wszystkich.

Dojrzewa obecnie nowa generacya jak ta z przed stu lat wpatrzona w szlak, wiodący ku północy, ale oczyma przenikliwszemi,

mocą wzmocnioną doświadczeniem całego wieku, i nietylko urokiem poezyi i smętku przejęta, gdy chwyta wspomnienia minionych dziejów; dzieje nadchodzące, obowiązki i trudy jutrzejsze wzywają do czynu, gdy rozmyślamy na temat: O roku ów...

KONSPIRACYJNA PAŃSTWOWOŚĆ.

(Jan Brzoza: Zagadnienie polityki niepodległości. Kraków, nakładem autora).

W naszej literaturze politycznej ostatnich lat kilku przeważa prąd niepodległościowy. Tylko książka Dmowskiego („Rosya, Niemcy i kwestya polska“) i prof. Milewskiego należą do ugodowej literatury, natomiast Bylskiego „Rzut oka na kwestyę polską“, Polonusa Viatora „Wobec konfliktu austro-rosyjskiego“, M-ckiego „W sprawie armii polskiej“ i moja książka „Sprawa polska“ należą do literatury irredentystycznej o wyraźnej oryentacyi antyrosyjskiej. Do tej samej kategoryi zaliczyć wypada książkę p. Jana Brzozy „Zagadnienie polityki niepodległościowej“. Lecz książkę tę należy uznać za formę przejściową od dawnej literatury narodowo-demokratycznej do współczesnej literatury niepodległościowej. Autor odrzuca ideę dawniej niewyraźnie formułowaną w programach narodowo-demokratycznych: niepodległość, jako idea moralna. Program stronnictwa narodowo-demokratycznego z 1903 r., odrzucający nietylko bezpośrednie, ale nawet pośrednie przygotowania się do powstania, ale mówiący o postulacie niepodległości, stał na stanowisku ujmowania niepodległości, jako idei tylko moralnej. Dla autora „Polityki niepodległościowej“ pojęcie niepodległości schodzi „z wyżyn oderwanej od życia politycznego moralności na udręczoną ziemię niewoli i staje się celem politycznym, a nie ideałem, realnem dążeniem, a nie tematem do odświętnych wzruszeń“.

Wspólną cechą z dawną literaturą narodowo-demokratyczną jest ewolucyjne stanowisko autora. Według teoryi Przeglądu Wszechpolskiego państwowość polska, niepodległość może być osiągniętą przez rozwój organiczny narodu. Dla p. Brzozy „państwo, jako rzeczywistość i jako cel realny, różni się jedynie co do stopnia“. „Utwór społeczny musi powstać, musi się zrodzić więz społeczną określonej formy, by inni mogli się do niego dostosować“ (90 str.). „Problem polskiej państwowości, to zagadnienie organizacyjne, rzucone na tle naszego życia narodowego“ — pisze autor

(97 str.). Jego zasadniczą ideą jest konspiracyjna polska państwowość w niewoli. Ma ona być szczeblem do państwa niepodległego o sankcyi międzynarodowej. Myśl, jak zobaczymy później, nie nowa. Nowem jest tylko oparte na grze pojęć prawnopolitycznych uzasadnienie autora.

„Pojęciowy charakter państwa — twierdzi autor — dopuszcza zasadniczo politykę państwową w niewoli“. Jest to dedukcya autora, wysnuta z twierdzenia, że państwo, jako rzeczywistość, nie jest niczem innem, jak pojęciem, którego treść i zakres stanowią ciągłość warunków prawnego spółżycia ludzi na danem terytoryum (86 str.). Autor nie podkreśla należycie dla czytelnika pierwiastka przymusu, jako zasadniczego pierwiastka państwa. Prawne normy — to normy przymusowe, których siła pochodzi z siły państwa.

W innem miejscu autor mówi: „w treść definicyi państwa nie chcemy wprowadzać żadnych innych składników prócz myśli o ludności danego terytoryum i władzy regulującej formy współżycia tej ludności pod względem tworzenia i stosowania prawa“. Otóż ta władza jest organizacyą przymusu. Siła przymusu konspiracyjnej władzy może być równie wielką lub większą nawet od siły przymusu zaborczego państwa, nie opierającego się na sile moralnej, ale wyłącznie na fizycznej. Lecz to może mieć miejsce tylko wyjątkowo, w okresie powstania. Jeżeli porównamy olbrzymie konfiskaty rosyjskiego rządu podczas powstania z tem, co otrzymał rząd narodowy w tym okresie przy swej dosyć dużej egzekutywie i dużem napięciu sił moralnych w narodzie, to przewaga państwa zaborczego nad rządem narodowym przejawi się wyraźnie. Był to rząd powstańczy, który z natury swej ograniczał się do nielicznych, organicznie związanych z akcyą zbrojną funkcyj, a przez to nie rozpraszał swej energii. P. Brzoza zaś projektuje rząd stały: organ państwa konspiracyjnego w niewoli.

Autor żąda stałego rządu polskiego, nieuznawania kodeksów cywilnych i sądów państw zaborczych, sprawowania władzy prawodawczej i sądowej przez ów rząd. Autor żąda polskiej polityki niepodległościowej w dziedzinie ekonomicznej, któraby objęła „prawa zwierzchnie nad wszelkimi majątkami i przedsiębiorstwami“. „Prywatna własność mogłaby być dopuszczalną ze stanowiska polskiego prawa politycznego jedynie wtedy, gdy dany przedsiębiorca godzi się na płacenie podatków polskich, godzi się na prawo rządu polskiego do proponowania i zatwierdzania zmian w doborze ludzi zajętych w przedsiębiorstwie i godzi się zarazem na kontrakt go-

spodarczy z polskiemi przedsiębiorstwami rządowemi“ (str. 150). Państwo konspiracyjne polskie winno też według autora dbać o otrzymanie „rasy politycznej w społeczeństwie i t. d.“ W Galicyi możnaby także wpływać na awans urzędników i zapewniać lepsze warunki życiowe dla ludzi, godnych tego z punktu widzenia sprawy polskiej. Podobna sfera wpływów rządowych polskich winna objąć wszelkie organizacye ruchu współdzielczego i również dbać o interesy czynnych w akcyi niepodległościowej żywiołów. Państwo to ma też zaprowadzić służbę wojskową polską. Jest to — jak zauważył jeden z wybitnych publicystów — ideologią pretensyj n.-d. „gospodarzenia w kraju“. N.-d. gospodarze kraju bezwarunkowo nie odpowiadają intencyom autora. Między ideałem a rzeczywistością zawsze jest różnica, ale organizacya konspiracyjnej państwowości musiałaby zejść na toż samo, czem chciała być endecya w 1905 i 1906 roku. Skąd powstała n.-d. z Ligi Narodowej? Liga Narodowa powstala z Ligi polskiej z 1889 roku. Ta organizacya stawiała sobie cele bardzo zbliżone do konspiracyjnej państwowości p. Brzozy; miała za zadanie akcyę dyplomatyczną stworzenia kadrów bojowych, jako bojowego pogotowia. Jeden z inicyatorów tej organizacyi, T. T. Jeż, proponował i propagował zaniechanie sądów państw zaborczych. Wyłaniał się nie wiem sam już który raz projekt konspiracyjnego państwa. Z wielorakich projektowanych funkcyj, Liga Narodowa faktycznie uprawiała potajemną zakazaną przez rząd oświatę ludową i filozofowanie na temat narodowości w „Przeglądzie Wszechpolskim“. Stało się to, co się stać musiało. Organizacye, że tak powiem encyklopedystyczne, t. j. obejmujące szereg przeróżnych funkcyj, poszły w kierunku najmniejszego oporu, stoczyły się do funkcyj najłatwiejszych, najmniej niebezpiecznych dla uczestników. Dla tych funkcyj wstępują ludzie do organizacyi, przez ich spełnianie posuwają się ze szczebla na szczebel organizacyjny: w rezultacie organizacya specyalizuje się do najłatwiejszych funkcyj. Jej poziom moralno-polityczny się obniża, gdyż o nim stanowi duch ofiary i poświęcenia członków. Na obniżenie poziomu moralnego wielu konspiracyjnych organizacyj wpływa ta okoliczność, że należenie do nich zapewnia stosunki, protekcyę, ułatwia kredyt i na razie niczem poważnem nie grozi. Do konspiracyjnej państwowości, będącej pewną szafarką dóbr, należeliby karyerowicze i stałaby się ona prezerwatywą na powstanie i akcyę czynną, stałaby się jednym z czynników marazmu społecznego i narodowego.

Autor pragnie konspiracyjnej państwowości między innemi dlatego, że się uwikłał w grę słów Szujskiego „Liberum conspiro“, mającą spełniać w dziejach porozbiorowych zgubne skutki „Liberum veto“. W naszych dziejach porozbiorowych nie brakło chęci zmonopolizowania konspiracyi lub wogóle akcyi politycznej i powołania do życia jakiegoś surogatu państwa konspiracyjnego. Widzimy tę dążność u jakobinów polskich z końca XVIII i początku XIX w., widzimy gromy rzucane przeciw Dąbrowskiemu za jego akcyę — tworzenia legionów bez „upoważnienia przez naród“. Widzimy w 1849 roku powstającą w Poznaniu Ligę polską, organizacyę encyklopedyczną, jawną, mającą pretensye być jakąś państwowością polską, posiadać monopol występów na zewnątrz. Trudno częstokroć określić, czy te organizacye, chcące być rządem narodu, są rewolucyjne, czy kontr-rewolucyjne. Mamy tu też różne Rady narodowe, Związki pracy społecznej i t. d. i t. d. Pretendentów do rządów moralnych w narodzie nigdy nie brak. Posłowie polscy parlamentów państw zaborczych, chociaż działają na mocy ordynacyi wyborczej, będącej wyrazem woli i stosunku sił obcego państwa, opartego i urosłego z innej narodowości, też mają pretensye do rządów moralnych: częstokroć jako kandydaci na „moralnych rządców“ narodu, występują dyrektorowie instytucyj kredytowych, zdolni nakazać posłuszeństwo przez zamykanie kredytu. Są to wszystko organizacye ugody. R z ą d n a r o d o w y u j a r z m i o n e g o p o l i t y c z n i e n a r o d u m o ż e b y ć t y l k o a l b o r e w o l u c y j n y, p o w s t a ń c z y, a l b o u g o d o w y.

Władza rewolucyjna należy do tego, kto ją weźmie — słusznie zauważył Mickiewicz. Akt, wszczęty przez jednostki, stanie się aktem narodowym, gdy zostanie poparty przez znaczną część narodu. Ruch podchorążych w nocy listopadowej byłby buntem garstki młodzieży, jakimś nieznacznym epizodem dziejów naszych, gdyby przez poparcie Warszawy, przez przyłączenie się doń wojska, nie podniósł się do godności narodowego powstania. Wyprawa Zaliwskiego nie stała się powstaniem, bo jej zabrakło szerszego poparcia. Efekt wszelkiej akcyi, wszczętej w narodzie, zależy przedewszystkiem od świadomości rozlanej w narodzie, od jego sił moralno-politycznych. Tak organizacye zależą od charakteru rozczynu, tak organizacye narodowe od charakteru, od idei i uczuć, ogarniających naród w danym momencie. Zależy to w znacznej mierze od okoliczności zewnętrznych. Ruch bowiem polityczny jest uwarunkowany dwoma momentami: niezadowoleniem z tego, co jest

i wiarą, że może być inaczej. Istnieje u nas pewne przyzwyczajenie się do ucisku i gdy nie następują nowe jego objawy, jesteśmy w pewnej mierze z losem pogodzeni. Wówczas organizacye i Irredenty nasze z trudnością zapuszczają korzenie w naszą glebę. Nowe objawy ucisku, nowe jego metody zwiększają siłę niezadolenia, lecz przeobraża się ono w energię czynną wówczas, gdy się zradza nadzieja na zmianę warunków. Irredenta nasza odrodziła się w okresie od 1887 do 1894 roku w okresie zaostrzonych stosunków austro-rosyjskich. Tensam czynnik oddziaływa znów dziś od 1909 roku na nas. Objawy osłabienia, rozkładu, niepowodzenia Rosyi też są czynnikiem naszej Irredenty, objawy zradzające nadzieje na jej przeobrażenie się w kierunku wolnościowym, zradzają u nas postępowe ugody. Polski działacz irredentystyczny musi z tem wszystkiem się liczyć; są momenta, w których nastrój ogółu naszego jest tak nieprzyjazny jego akcyi, że musi walczyć tylko z własnym narodem i myśleć więcej o przetrwaniu kierunku przez dany okres, niż o zwycięstwie. W takich okresach zarodki konspiracyjnej państwowości muszą albo iść w gruzy, albo co gorsze, przeobrażać się w ugodę — jak n. p. n.-d. w 1905 i 1906 latach. Samo istnienie takich okresów jest dowodem, że nie drogą rozwoju konspiracyjnej państwowości powstaje aktualna państwowość. Okresy takie może przetrwać daleko lepiej specyalna organizacya, niż konspiracyjna państwowość, lub do niej dążące encyklopedyczne organizacye.

Specyalne organizacye, mając konkretny określony cel, mogą w nieprzyjaznych dla siebie okresach rozwiązywać się, mogą przeżywać okresy wegetacyi, ale nie schodzą na manowce.

Gdy encyklopedyczna organizacya rozrządza dowolnie na różne cele środkami materyalnymi i energią, składaną jej przez swych członków, organizacya specyalna zużywa ich na cele, dla których powstała. Cel ten leży w woli jednostki i organizacya specyalna zwiększa efekt tej woli, gdy efekt organizacyi encyklopedycznej, w wielu punktach nieodpowiadającej woli jednostki, sprzeciwia się częstokroć jej woli.

Proces naszego wyjarzmienia wymaga szeregu aktów, które muszą być podjęte przez organizacye specyalne. Tu winne wystąpić: organizacya bojowego pogotowia, organizacya oryentacyi antyrosyjskiej na wewnątrz i na zewnątrz.

Nie możemy stworzyć armii polskiej w obecnych warunkach. Lecz pierwiastki jej daje nam służba wojskowa, powszechna po-

winność wojskowa. Drogą propagandy wśród rezerwistów i zorganizowania ćwiczenia można posiąść pewne pierwiastki armii. Przez zachęcanie do służby wojskowej w charakterze oficerów młodzieży inteligentnej i przez czuwanie nad jej rozwojem narodowym w wojsku można stworzyć kadry oficerskie polskie, oprócz tego należy i można upowszechniać nauki wojskowe wśród młodzieży. Jeżeli do tego dodamy badanie strategicznego terenu naszego kraju, to okaże się, że jest możliwem stworzyć drogą pracy organizacyj pierwiastki, z których w odpowiedniej chwili może powstać armia polska, ten zasadniczy państwowy organ, oraz organ państwowotwórczy.

Organizacye oryentacyi antyrosyjskiej, zależnie od warunków zewnętrznych i od tego, czy mają oddziaływać na nasz naród, czy na obcych, mogą przyjmować różne formy.

Działalność taka jest państwowo-twórcza, ale nie jest ona funkcyą zakonspirowanego państwa, chociażby istniało porozumiewanie się tych organizacyj, lub nawet związek między wieloma z nich. Gdzie jest silny a szczery pęd do wspólnego celu, tam występuje naturalna spójnia i współdziałanie.

Postulat polskiej państwowości wpływa bezwarunkowo na politykę dnia.

Zwolennik polskiej niepodległości państwowej będzie z tego punktu widzenia oceniał wszelkie objawy polityki wewnętrznej i zewnętrznej. N. p. uznawać on będzie wszelkich antagonistów Rosyi naszymi naturalnymi sprzymierzeńcami w polityce zewnętrznej. W polityce wewnętrznej będzie zwolennikiem tych warstw i grup, które są nosicielkami siły narodowej. Tę oryentacyę posiadając, będzie skierowywał politykę aktualną do celów narodowych, wybierając, jako odpowiednie do tych celów państwowo-twórczych, odpowiednie partye. Będzie to polityka, kierowana myślą o polskiem państwie, ale nie konspiracyjną państwowością. Te kryterya polityczne wprowadzał Askenazy, oceniając wszelkie objawy w dziejach porozbiorowych polską racyą stanu. Te kryterya, niezależnie od niego, brałem w mej działalności polityczno-publicystycznej, ich produktem polskiej myśli państwowej była moja idea wyodrębnienia Galicyi. Państwowe ujmowanie sprawy polskiej nie nowe. Przed nami czynił to Klaczko i inni współpracownicy „Wiadomości Polskich“.

Lecz trzeba to rozróżniać od też nie nowego imitowania państwa. I to imitowanie drogą konspiracyjnej państwowości nie wie-

dzieć do czego może dać wyjście z obecnego położenia, ono u swych członków obniża poczucie znaczenia realnego państwa.

Słuszność ma autor, gdy mówi: „Miasto zwyciężyć, pogłębiamy niewolę. Wielki postulat, marna technika działania“. Ale myli się, gdy to przypisuje źle zorganizowanej akcyi konspiracyjnej. Zabrakło bowiem nam siły motorowej politycznej Polski, wskutek słabo rozsianych w narodzie uczuć i myśli narodowych. Autor nie jest psychologiem, alchemikiem politycznym, który mniema, że znalazł sposób wyprodukowania złota dla wydobycia narodu z niewoli.

Brak zmysłu psychologicznego i historycznego wywołuje różne błędy u autora. N. p. współczesną ugodowość szlachty tłómaczy on czynnikiem biologicznym. Wśród szlachty w powstaniu wybito bohaterów, lub zmarnowano ich na emigracyi, stąd zbiedniała rasowo politycznie szlachta. Autor się obawia, żeby nieudatne powstanie nie uczyniło tego z chłopstwem.

Tymczasem u nas akta prostracyi i bohaterstwa szły w krótkich odstępach czasu jeden po drugim, gdy zmiany biologiczne potrzebują długich okresów „Nie upłynęły dwa lata od istotnego kultu dla ustawy majowej, od uroczystości na rzecz tyle zbawiennej polityczno-społecznej reformy, którą i Poznań okazale w swych murach święcić nie omieszkał, kiedy nastąpiła inwazya pruska. Że się jej Poznańskie zbrojnie nie opierało, zwłaszcza po nieszczęśliwej kampanii roku 1792, oraz spowodowanego nią upadku ducha, rozumiemy. Co jednakże mniej zrozumiałem i mniej pojętem — to owa popularność, nie chcielibyśmy powiedzieć entuzyazm, otaczający ze strony miejscowej ludności osobę naczelnego dowódcy najezdniczej armii, sędziwego marszałka Möllendorfa. Mniejsza o to, o ten naiwny entuzyazm dla osoby reprezentanta siły zbrojnej nieprzyjacielskiej. Gorsze i bardziej upokarzające dla uczciwej dumy narodowej widowisko przedstawia akt homogialny Poznania z dnia 8 maja 1793 roku. W dniu tym, jakby dla ironii wybranym, patrona Polski, stanęło w murach Poznania oprócz wielu deputatów szlacheckich, 700 deputatów miejskich, by następnie uroczystością w kościele farnym, a potem świetnym balem w pałacu Gurowskich uczcić fakt przejścia Wielkopolski pod panowanie pruskie“... — pisze historyk Literatury Wielkopolskiej. Analogiczne fakty podają nam historycy Galicyi owego okresu. Lecz taż sama szlachta poznańska, która w takiem upodlenin przyjmowała obce jarzmo, we dwa lata niespełna biła się w Kościuszkowskiem powstaniu i w lat kilkanaście potem zmobilizowała się do walki na długie lata, gdy Napoleon

rzucił pytanie, nierozwiązane po dziś dzień: Czy Polacy warci są być narodem?

Nie czyn, a bezczyn narodowy nas zabijał. Czyn szedł często nawet zwykle po nieudanej próbie ugody, on wspomnieniami bohaterstwa zacierał wspomnienie podłości narodowej.

Ugodowość szlachty obecna pochodzi z jej psychologii klasowej. Przez pryzmat siły klasowej patrzy jednostka na siłę narodu. Szlachta — ziemiaństwo kurczy się liczebnie pod wpływem parcelacyi i wzrostu siły klasowej innych warstw, co załamuje się w jej świadomości, jako osłabienie narodu. Oprócz tego na los narodu skłonny jest człowiek patrzeć przez pryzmat własnego losu. Zadowolenie z pozycyi społecznej koi niezadowolenie z losów narodu.

Wracając do książki p. Brzozy musimy jeszcze zaznaczyć, że jego metoda abstrakcyjna nie jest odpowiednią dla roztrząsania problematu polityki, zniewolonej liczyć się z konkretnymi, historycznie urabianymi objawami. Metoda abstrakcyjna wogóle ustępuje miejsca metodzie historyczno-indukcyjnej nawet w części teoretycznej nauk politycznych.

Pomimo tego, że się nie zgadzamy z zasadniczymi postulatami polityki narodowej i metodą autora, wyłania się z jego książki sympatyczna postać, która „myślami tron buduje dla się i na tych myślach z tronu runie". *Wł. Studnicki.*

DOŚWIADCZENIE RELIGIJNE.

Nowa dziedzina badań.

I.

W społeczeństwie dzisiejszem, a u nas może bardziej, niż gdzieindziej, wyrobił się pewien szczególny stosunek względem zagadnień religijnych, stosunek, którego bodaj główną zasadą jest — zagadnień tych pogarda. Ton ten nadają średnie masy inteligencyi, które w olbrzymiej większości, bez względu na swój klerykalizm lub antyklerykalizm, są zupełnie bezreligijne. Mało tego — uważają one religję za coś, czego głęboko i poważnie brać „nie wypada".

Wytrzebiwszy się jak najstaranniej ze wszelkiej szczerości uczuć, utraciwszy wiarę we wszystkie ideały i żyjąc tylko blagą a frazesami, w które nikt z nich nie wierzy, średnie klasy chodzą w swoich formułach i obrządkach religijnych, jak chodzą w pewnego kształtu kapelu-

szach; lecz w każdej chwili gotowe byłyby zmienić je na inne, gdyby taka przyszła moda, gdyby to było „przyjęte“. Oni napadają na tych, co ich formuł religijnych ośmielają się nie uznawać i podnoszą przeciwko nim wielkie larum oburzenia nie tyle dlatego, że poczuli się w swych uczuciach obrażeni, ile dlatego, że — najpierw — tak czynić „wypada“, a — następnie — że nic im nie jest tak nieznośne, jak samodzielność myślowa lub uczuciowa.

Są też oni najgorętszymi obrońcami wszelkich przymusów religijnych (czy patryotycznych); zawsze gotowi przywołać policyę przeciwko temu, kto nie manifestuje razem z nimi, wierzą jedynie w brutalną przemoc uzbrojonej władzy. A ten ich stosunek do spraw religijno-uczuciowych uwarunkowany jest właśnie ich bezreligijnością: — niezdolni będąc do wzruszeń szczerych i głębokich, niezdolni do przemieniania się wewnętrznego pod wpływem czynników etyczno-religijnych, nie wierzą w powagę życiową tych czynników i zrozumieć nie mogą, gdy ktoś odmawia spełnienia obrządku religijnego dlatego, że obrządek ten nie zgadza się z jego przekonaniami i uczuciami religijnemi. Cóż panu szkodzi pójść czasami do kościoła? co panu szkodzi wziąć ślub w kościele? Wszak to trud tak niewielki i ostatecznie do niczego w życiu osobistem nie obowiązujący — powiadają oni — i śmiesznem dziwactwem im się wydaje, gdy ktoś odmawia spełnienia tych rzeczy w imię zgodności z samym sobą.

Religijno-etyczna zgodność z samym sobą, religijno-etyczna prawda i szczerość względem siebie samego, to są pojęcia zasadniczo dla nich niezrozumiałe; dla nich, którzy szczerość uważają za donkiszoteryę. a zapału i podniosłości uczuć zupełnie nie umieją odróżnić od histerycznej egzaltacyi i upajania się frazesami.

Ci ludzie, jeśli są katolikami, zdziwią się bardzo, ilekroć ktoś zażąda od nich postępowania w życiu codziennem w myśl nauki Chrystusowej lub kościelnej. Oni gotowi są zachowywać posty, uczyć swe dzieci pacierza, bywać w kościele i spowiadać się raz w rok koło Wielkiej Nocy, ale stosować zasady chrześcijańskie w życiu, lub przynajmniej systematycznie dążyć do stosowania ich, to podług nich byłoby szaleństwo, bodaj nawet rzecz równie zdrożna, jak zwalczanie postów, pacierza i spowiedzi.

Pod przemożnym wpływem tego inteligentnego motłochu, a także pod wpływem filozofii płytkiego materyalizmu, który jest motłochu prawdziwym duchowym wyrazem, wyrobił się w społeczeństwie ów wspomniany na początku pogardliwy stosunek względem zagadnień religijnych.

„Die Religion ist Privatsache“ — głosi sławetna formuła, a mo-

tłoch interpretuje: — religia to drobiazg, którego wobec poważnych spraw geszeftu i polityki zupełnie można nie brać pod uwagę — i staje w obronie religii lub ją zwalcza, zależnie od tego, jak wypadną wskazania geszeftu i polityki.

U nas wskazania geszeftu i polityki zwykle wypadają na rzecz Kościoła katolickiego, to też inteligentny motłoch zawzięcie staje w jego obronie, wytaczając cały arsenał idealistycznych frazesów, w które sam zupełnie nie wierzy. I jeśli wówczas wystąpi kto z jawnym materyalistycznym światopoglądem, a pocznie zwalczać frazesy i „zasady“ obrońców Kościoła, ujawniając ich prawdziwy do religii stosunek, podnosi się przeciwko takiemu śmiałkowi cała burza nienawiści, jako przeciwko zdrajcy domowych, wewnętrznych tajemnic.

I oto mamy całą skalę średnio-inteligenckiego stosunku do religii: — począwszy od jej obrońców, w imię idealizmu, trwałości budowy społecznej, poszanowania praw i przywilejów, aż do jej przeciwników w imię naczelnego stanowiska rozumu ludzkiego. A wszyscy oni — i obrońcy i przeciwnicy — są wytworem, płodem, tego samego bezreligijnego, religią pogardzającego motłochu.

Przeciwnicy religii zwykle powiadają, że zajmują względem niej stanowisko naukowe. A naukowe stanowisko podług tych panów jest równoznaczne ze sprowadzaniem wszystkiego, co ludzkie, do poziomu zwierzęcego lub — w najlepszym razie — do poziomu australijskiego dzikusa. Nasze współczesne uczucia muszą się dać wyprowadzić z uczuć zwierzęcych; jeśli zaś nie można odrazu tego uczynić, póty się je obcina, aż nareszcie znajdą się na poziomie małża lub — w najlepszym razie — kręgowca. I dopiero to, co pozostanie, to, co w uczuciach naszych mamy wspólnego z całym światem zwierzęcym, otrzymuje „naukowy“ paszport na prawo bytu. „Naukowość“ ta polega na sprowadzaniu wyższych form rozwojowych do niższych, ogólniejszych: człowieka do zwierzęcia, człowieka kulturalnego do dzikusa. Podług tej metody zaprzecza się poprostu istnienia temu wszystkiemu, co do form niższych sprowadzić się nie daje: nie zwierzęce, czy wysoce kulturalne uczucia, marzenia i dążenia piętnuje się jako chimeryczne wybryki i podporządkowuje się je stanom chorobliwym. Jest to teologia, tylko postawiona do góry nogami.

Zjawiska życia religijnego, z tego stanowiska rozpatrywane, wyglądają albo jak głupstwa, którym tylko ludzie niekulturalni podlegać mogą, albo jako pewien rodzaj choroby nerwowej. Trzymający się tej metody „uczony“ głosi zwykle swą wielką bezstronność religijną, faktycznie zaś przystępuje do każdej religii z zamiarem poniżenia jej; przy-

stępując np. do legendy chrześcijańskiej, zastanawia się przedewszystkiem nad tem, co ta legenda ma wspólnego z innemi legendami religijnemi; a spólnoty te znalazłszy — co bynajmniej nie jest rzeczą trudną — uważa swe zadanie za skończone i z tryumfem ogłasza światu, że legenda chrześcijańska naprawdę niczem nie jest, bo nic nowego światu nie przyniosła.

Panu takiemu zupełnie na myśl nie przychodzi, że sam tak długoletni żywot legendy chrześcijańskiej i jej zwycięstwo nad innemi są doświadczalnym, naukowym dowodem istnienia jakiejś szczególnej legendy tej oryginalności; że na to, aby zwyciężyć inne legendy spółcześnie z nią żyjące, legenda chrześcijańska musiała przynieść światu coś nowego, coś takiego, czego tamte nie miały, lub miały w stopniu niedostatecznym. — Inna sprawa, czy to, co przyniosła, jest dzisiaj dobytkiem dodatnim, czy ujemnym; w każdym razie przynieść ona musiała i niewątpliwie przyniosła coś zupełnie nowego.

Nie dość jest więc wykazać pokrewieństwo legendy chrześcijańskiej z innemi legendami, trzeba także — a to bodaj ważniejsze — i jej odrębność należycie uwydatnić.

Ale na to, aby należycie odrębność jakiejś legendy uwydatnić, aby pokazać, co ona światu przyniosła, trzeba przedewszystkiem legendę tę szanować. — Można przystępować do niej z miłością lub nienawiścią, można wykazać, że to, co przyniosła ona, jest złe lub dobre, że należy to zwalczać lub rozwijać — w sobie czy w społeczeństwie — ale nie można tem pogardzać, nie można tego bagatelizować.

A nie można, ponieważ — po pierwsze — taki pogardliwy stosunek względem przedmiotu własnych badań, jak również względem tego, co stanowiło oś duchowego życia ludzkiego przez dwa tysiące lat, jest wyrazem duchowego parweniuszostwa, jest wyrazem tej parweniuszowskiej pychy, która — stwierdziwszy, że geniusz i bankier jednakie mają potrzeby fizyologiczne — wnioskuje o braku między nimi różnicy. A powtóre — ponieważ pomijanie rzeczy bardzo ważnych, jako drobiazgów, jest kłamstwem lub zasadniczym błędem danej metody badania.

Ciasny pozytywizm potępił uczucie. Wychodząc z założenia, że w badaniach fizykalnych uczucie tylko przeszkadza, doszedł on do wniosku wykluczającego uczucie i z badań humanistycznych. Beznamiętne, bezuczuciowe badanie tlenu lub maszyny parowej dało świetne rezultaty, a więc — wnioskowano — uczucia i wierzenia ludzkie również w ten sposób badane być winny. Niestety zapomniano, lub pamiętać nie chciano, że przesłanka większa w tym syllogizmie jest nieprawdziwa; zapomniano,

że uczucia i wierzenia ludzkie są jakościowo różne od tlenu i maszyny parowej. Zapomniano, że uczucie tylko uczuciem może być zrozumiane i ocenione; że najsumienniejszy badacz zjawisk dźwiękowych i najbieglejszy znawca fizyologii ucha nic nie zrozumie z symfonii Beethovena, jeśli nie ma poczucia muzycznego, jeśli nie przystąpi do niej uczuciowo. Taki badacz łacno dojdzie do wniosku, że między symfonią i walcem z knajpy niema żadnej „pozytywnej“ różnicy.

Sprawy religijne należą po części do tej samej kategoryi, co symfonie i dlatego przystępując do nich trzeba mieć w sobie poczucie, czy zmysł religijny; — innemi słowy — trzeba być człowiekiem religijnym i nie wstydzić się tego.

Chrystyanizmu nie można badać obojętnie, jak bada się tlen, bo wówczas on nie istnieje: — jest to taki przedmiot badań, który wobec obojętności niknie zupełnie; jak nie istnieje symfonia dla człowieka niewrażliwego muzycznie. Aby módz poznać chrystyanizm i aby módz coś o nim powiedzieć, trzeba odczuwać na sobie samym jego religijne działanie, trzeba słyszeć jego muzykę w sobie, trzeba, żeby grał on na wewnętrznej religijnej harfie naszej, jak symfonia gra na naszej harfie muzycznej.

Ale wówczas nie możemy traktować go obojętnie, bezuczuciowo; wówczas musimy kochać go lub nienawidzieć. I dopiero wówczas, dopiero kochając go lub nienawidząc, coś prawdziwego o nim powiedzieć będziemy mogli.

II.

W ostatnich czasach, szczególnie w społeczeństwach germańskich i anglo-saskich, zauważyć się daje poważniejszy stosunek względem zagadnień religijnych. Znajdują się już badacze, którzy przystępują bez pogardy do zjawiska religijnego, którzy usiłują tak rozszerzyć i tak przystosować swe pracownie naukowe, aby znalazło się w nich miejsce właściwe dla zjawiska religijnego. Najwybitniejszym i najgłośniejszym tego kierunku przedstawicielem jest niedawno zmarły psycholog amerykański — William James. W dziele swojem p. t.: „The Varieties of religious experience“ nie idzie on coprawda tak daleko w obronie praw uczucia, jak ja to uczyniłem na wstępie, ale za to tem mocniej stoi na stanowisku naukowem, tem cenniejsza jest jego praca jako wysiłek, zmierzający do wyrobienia zjawisku religijnemu prawa obywatelstwa w pracowni uczonego.

Przystępując do swojej pracy James [1]) zaznacza przedewszystkiem, że nie jest ani teologiem, ani historykiem religii, ani antropologiem, jeno psychologiem. Wyłącznie więc z tego stanowiska rozpatruje zjawiska religijne. To zamknięcie się w granicach psychologii powoduje, że James faktycznie poddaje badaniu tylko jedną stronę życia religijnego: indywidualne życie religijne — zupełnie pomijając religię, jako kierunek ogólno ludzkiego myślenia i czucia, i religię, jako instytucyę społeczną. Pod mianem więc Jamesowego „doświadczenia religijnego" pojmować należy wyłącznie psychologiczne, wewnętrzne doświadczenie religijne.

Ograniczając tak swoją metodę do pewnej sztucznie wydzielonej części życia religijnego, James niewątpliwie zmniejszył jej, że tak powiem, rynkową doniosłość, zmniejszył jej efekt, jako nowości w stosunku do religii, ale za to znakomicie uwypuklił samą metodę i dał jej te konieczne cechy naukowości, bez których praca jego łacno znaleśćby się mogła pomiędzy essayami, czy „wolną filozofią", a więc poza obrębem pracowni naukowej.

Jak James przystępuje do religii z teoryo-poznawczego stanowiska, o tem dają nam pojęcie słowa następujące:

> „Spółczesne dzieła o logice rozróżniają dwa porządki badania w stosunku do jakiejś rzeczy. Po pierwsze — jaka jest natura danej rzeczy? jak ona się stała? jaki jest jej układ, pochodzenie i historya? — I powtóre: — jaka jest jej doniosłość, znaczenie i czem usprawiedliwia się jej istnienie w danem miejscu? Odpowiedź na pierwsze pytanie wypada jako sąd (lub przypuszczenie) o istnieniu (sąd egzystencyalny). Odpowiedź na drugie pytanie jest przypuszczeniem o wartości, tem, co Niemcy nazywają „Werturtheil" — a co, jeśli chcemy, nazwać możemy sądem duchowym [2]). Żaden z tych dwóch sądów nie może być wprost z drugiego wyprowadzony. Są one owocem różnych kierunków myśli; umysł łączy i kombinuje je między sobą dopiero po uprzedniem niezależnem wyprowadzeniu każdego z nich.

---

[1]) William James — The Varieties of religious experience. London 1902. — Przekład francuski: William James — L'experience Religieuse. Paris, Alcan, 1906. Trad. Frank Abauzit. Prefare d'Emile Boutroux. — Przekład niemiecki: William James — Die religiöse Erfahrung in ihrer Mannigfaltigkeit. Ins deutsche übertragen von Geo Wobbermin. Leipzig 1907. J. C. Heinrich's Verlag. Preis 6 Mk.

[2]) Termin nadzwyczajnie trafny i dziwnie zgodny z kierunkiem myśli polskiego romantyzmu. Ciekawą jest rzeczą, że francuski tłómacz dzieła James'a opuścił ten termin w swoim przekładzie.

W stosunku do religii bardzo łatwo jest rozróżnić te dwa porządki badania. Każde zjawisko religijne posiada swą historyę i swą genealogię od naturalnych przodków. To, co dzisiaj nazywa się krytyką Biblii, jest tylko badaniem Biblii z egzystencyalnego, historycznego stanowiska; badanie to było zbyt zaniedbane przez Kościół. Przy jakich biograficznych warunkach pisarze biblijni wnosili swe udziały do księgi świętej? I co faktycznie mieli oni na myśli, gdy formułowali swoje powiedzenia? Są to najwidoczniej zagadnienia historyczne i niewiadomo, w jaki sposób odpowiedź na nie mogłaby bezpośrednio rozwiązać pytanie następujące: jaką wartość, jako przewodnik w życiu lub jako objawienie, ma dla nas księga, której dzieje tylko co poznaliśmy? Aby odpowiedzieć na to pytanie, musimy już przedtem mieć w umyśle coś w rodzaju ogólnej teoryi o tem, jakim wymogom ma odpowiadać rzecz, posiadająca wartość dla celów objawienia; i ta teorya właśnie jest tem, com nazwał s ą d e m d u c h o w y m. Kombinując ten pierwotny sąd duchowy ze świeżo otrzymanym sądem egzystencyalnym, możemy wyprowadzić drugi sąd duchowy odnośnie do wartości Biblii. Teraz zaś, jeśliby wypadło z naszej teoryi o wartości objawienia, że księga wartość tę posiadająca, musi być ułożona automatycznie lub nie podług dowolnego upodobania pisarza, albo że nie powinna ona zawierać naukowych czy historycznych błędów, ani też dawać wyrazu osobistym, czy lokalnym namiętnościom, wyrok nasz o Biblii byłby zapewne bardzo surowy. Jeśli jednak, z drugiej strony, teorya nasza dozwalałaby, aby księga jakaś była objawieniem pomimo błędów, namiętności i świadomego ludzkiego układu, wymagając od niej tylko zgodności z wewnętrznem doświadczeniem wielkich duchów, walczących uderzeniami losu, wówczas sąd nasz o Biblii wypadłby dla niej o wiele przychylniej. Wynika z tego, że same egzystencyalne fakty nie wystarczają dla określenia wartości. To też prawdziwie kompetentni krytycy biblijni nigdy nie mieszają zagadnienia egzystencyalnego z duchowem. Wobec jednych i tych samych wniosków z danego faktu różni badacze dochodzą do różnych poglądów na wartość Biblii jako objawienia, a to zależnie od duchowego sądu, na którym się zakładają [1]."

Aby te pierwszorzędnej wagi rozróżnienia zilustrować na znanym u nas przykładzie, przypomnijmy, że t. zw. wolnomyślicielstwo krzykliwe głosi swoje zwycięstwo nad chrystyanizmem, gdy uda mu się wy-

[1]) The Var. of. relig. exper. — London 1902. — p. 4—5.

kazać pokrewieństwo między Chrystusem i Mitrą lub Ozyrysem. Pisarze chrześcijańscy zaś, na tych samych faktach stwierdzonego pokrewieństwa opierając się, głoszą zwycięstwo chrystyanizmu jako religii, która wszystkie poprzednie w siebie wchłonęła i nad niemi stanęła.

Rozwijając myśl swą dalej, James powiada:

„W naukach przyrodniczych i w umiejętnościach technicznych nie zdarza się nigdy, aby odrzucono czyjeś mniemania z powodu neuropatycznego usposobienia ich autora. Mniemania są tu zawsze sprawdzane przez logikę i doświadczenie, bez względu na to, do jakiego typu nerwowego należą ich autorzy. Nie inaczej być winno w sprawach religijnych. Wartość mniemań religijnych może być poświadczona tylko przez sądy duchowe bezpośrednie do nich zastosowane; sądy oparte przedewszystkiem na naszem bezpośredniem poczuciu, a następnie na tem, co powiedzieć możemy o ich stosunku do naszych potrzeb moralnych i do wszystkiego tego, co uznajemy za prawdziwe.

Jedynym sprawdzianem może tu być bezpośrednia jasność („immediate luminousness“), zadośćuczynienie wymogom logiki i etyczna danych twierdzeń użyteczność. Św. Teresa, gdyby nawet miała nerwowe usposobienie najłagodniejszej krowy, nie uratowałaby przez to swej teologii, jeśli przyłożenie do tej teologii innych sprawdzianów wypadłoby dla niej niepomyślnie“ [1]).

I odwrotnie, jeśli jej teologia zwycięsko przejdzie te inne próby, obojętną jest rzeczą, do jakiej kategoryi histeryczek dzisiejsi lekarze zaliczyliby św. Teresę.

To też James bardzo usilnie zwalcza kierunek myślowy, który nazwał „materyalizmem lekarskim“. — Materyalizm lekarski szybko załatwia się n. p. ze św. Pawłem, określając jego wizyę po drodze do Damaszku, jako rezultat pewnego rodzaju potylicowego podrażnienia, ponieważ św. Paweł był epileptykiem. Materyalizm lekarski jednem dmuchnięciem gasi św. Teresę jako histeryczkę, a św. Franciszka jako dziedzicznie zwyrodniałego. I tak postąpiwszy z najwybitniejszymi przedstawicielami religijnego życia chrześcijan, mniema, że pokonał ich ostatecznie.

(C. d. n.) *Jan Hempel.*

---

[1]) O. c. p. 17—18.

WSPÓŁCZEŚNI POLITYCY POLSCY.

XXX. WŁODZIMIERZ TETMAJER.

Gdy malarz, znakomity malarz, wystąpił na widowni politycznej i w dodatku zasiadł w parlamencie wiedeńskim, zdumienie panowało powszechne. Artysta i polityka? Przedstawiciel sztuki — na ławie poselskiej?

Pytanie to zupełnie w naszym czasie usprawiedliwione. Gdy naród francuski postawił był kiedyś artystę Lamartina na czele Republiki, było to naturalnym wypływem ducha okresu ówczesnego i naturalnym był wybór Wiktora Hugo do senatu. Czas romantyzmu politycznego, gdy wierzono w świętość i moc ideału. Polityka była dla wielu jedną z dróg czystego ducha, Zgromadzenie ludu — świątynią, w której Bóg przyszłości przemawiał.

Dzisiaj komicznie brzmiałyby podobne określenia. Parlamenty to giełdy, politycy — giełdziarze, których wyborcy wysyłają jako agentów do załatwienia pieniężnych interesów, rozumiejąc, że tym agentom należy się taka prowizya, jaką... potrafią sobie wziąć. We Francyi, w Ameryce jest polityka procederem fachowym i podobnie, jak adwokatom, powierza się politykom określone interesa ze świadomością, że ci adwokaci robią także interesa nieokreślone. Powoli i u nas zamienia się polityka w zawód, specyalność; ludzie żyją z polityki, najlepsi są adwokatami swoich klientów: byle przeciwnika zgnębić, proces wygrać, zdobycz przynieść bezpośrednią.

Stąd też zdziwienie: skąd w tem zbiorowisku Włodzimierz Tetmajer?

Skąd — łatwo powiedzieć: pytanie tylko, czy dobrze trafił.

Przyszedł, skąd całe życie go niesie: z duszy polskiej, gorącej, wrażliwej, szukającej coraz to innych form wypowiedzenia się. Pędzel, pióro mu nie wystarczają. Nadmiar temperamentu przepełnia tę pierś, unosi ponad normy, nie pozwoli nigdy być mieszczuchem. Temperament rasowy i jak czara napełniona Polską. — Dwieściekilkadziesiąt lat temu skrzydła husarskie przypiąłby do ramion; stokilkanaście lat temu z legionami chadzałby bodaj gdzie pieprz rośnie; w naszym podłym czasie uciekł od filisterstwa na wieś, gdzie wśród natury bujnej i natur bujnych znalazł to powietrze swobody, wiary, fantazyi, bez którego żyć nie może.

Nie „pokochał lud“, nie jest z ludem, lecz ludem jest, tym ludem piastowskim, który ma wydać Polskę.

I z tym ludem Polskę chce zrobić. Wbrew politykom, którzy na giełdzie gotowi wszystko przespekulować, wbrew adwokatom, którzy wszystko przegadają, zanieczyszczą swym oportunizmem, wbrew ludziom trzeźwym, którzy swą trzeźwością nieraz już Polskę zgubili.

Artysta-romantyk — i trzeźwość kupców i dyplomatów?

Na usprawiedliwienie swoje ma jednak — historyę.

Rozpatrując powstanie listopadowe, wypowiada słowa mężne — prawdziwe.

„Pomijając już szereg prac naukowych polskich, których poprostu spokojnie czytać nie można, musimy z gniewem i wstydem wysłuchać fachowca, wroga naszego, który sprawę znał dobrze generała Puzyrewskiego.

„Ten rosyjski oficer nie może sam pohamować gniewu i oburzenia, że Polacy wojnę poprostu przegrać chcieli, poprostu nie chcieli wypędzić Moskali, nie chcieli odbudować Polski!

„Tak jest! Uderzmy się w piersi! Polacy przedyplomatyzowali wówczas Polskę i niepodległość!!

„Woleli marnej wartości autonomię i przemysł od niezależności i państwa własnego, przegrali fatalnie i głupio... przez rozum polityczny!...

„Nie A. Czartoryski, nie Lubecki, nie Chłopicki, ani Skrzynecki, ani Krukowiecki byli winni!!

„Polskę w 1831 r. zmarnowala polityczna trzeźwość, realna, pozytywna polityka, każąca potępiać jako szaleńców Piotra Wysockiego, pędzącego do Belwederu na czele podchorążych. Mochnackiego na czele warszawskiego ludu!!...

„A dziś, po latach 81 ślepa Temis i obojętna Historya, złożywszy sąd, orzekły:

„Trzeźwość ówczesnych polityków była słabością chorego ciała, podchorążowie i Mochnacki mieli racyę.

„Coby też o nas powiedziała za lat 80 historya?“

Coby o nas powiedziała? Pragnęlibyśmy, by miała do powiedzenia dużo — i jak najlepiej, właśnie o pośle Włodzimierzu Tetmajerze.

Wziąwszy poselstwo — wziął ogromne zobowiązanie.

Delegacya wiedeńska miała już w swojem gronie artystę o podobnym temperamencie, podobnych myślach: Kornela Ujejskiego. Wśród trymfujących wówczas stańczyków i podolaków próbował

rozniecić ideę polską. Skończyło się na tem, iż musiał zerwać solidarność z Kołem, z Koła wystąpić.

Włodzimierz Tetmajer jest Ujejskiego spadkobiercą.

Czy oprócz temperamentu starczy siły, ideologii, wytrwałości?

Znajduje się wśród starych lisów parlamentarnych, którzy zimnym swym rozumem nad uczuciowcem łatwo biorą górę. Języka idei dawno zapomnieli, ustępują tylko przed siłą: przed siłą liczebną i bezwzględną myślą polityczną.

O siłę liczebną na razie trudno. Bliskie obcowanie z wybrańcami ludu przekona posła, ile jest do zrobienia także wśród kwintessencyi chłopstwa polskiego. Otworzy się przed nim zadanie ogromne: przeciwdziałania wszelkimi środkami korumpowaniu tego ludu przez polityków zawodowych, kupczących zasadami i skórą chłopską, zadanie dźwignięcia chłopa z nieufnego, egoistycznego przedstawiciela stanowości do roli ludu-olbrzyma, mającego przejąć misyę historyczną po zbankrutowanej szlachcie.

Czy starczy pracy, systemu, wytrwałości?

Jeśli nie odrazu — to z czasem, wierzymy, że w krótkim czasie siła liczebna w kraju się znajdzie. Żeby tylko pójść trochę w kraj, między lud, przemówić, otworzyć oczy, od propinacyi i pryszczycy skierować je ku sztandarowi idei... Któż lepiej to potrafi niż Włodzimierz Tetmajer? Wówczas byłby tym, któryby o sprawie polskiej mógł mówić nie z dyplomatami polskimi, lecz z austryackim sztabem generalnym. A drogę do tego sztabu on, były wojskowy, zna. I zna ów sztab drogę do niego...

A bezwzględnej, konsekwentnej myśli czy starczy?

Samem uczuciem nie ucieleśnia się wielkiej idei. Na drodze swej napotka ona zatrzaski i sidła, zapory osobiste i przeszkody formalne. Mieliśmy już ich obraz w sprawie chełmskiej. Poseł Włodzimierz Tetmajer wziął pierwszy rozmach dobry. Wraz z posłem Śliwińskim Hipolitem przystąpił do obrony już nie interesu, ale poprostu godności narodowej: wniósł interpelacyę. Czy jednak nie ustąpił za prędko? Czy dobrze się stało, że zgodził się na manifest do narodu, powtarzający hasło wszelkiej reakcyi: „Ruhe ist die erste Bürgerpflicht“, zamiast uderzyć we wielki dzwon, wypowiedzieć przed Europą, co dusza polska w tej chwili czuje, uczynić sprawę chełmską — sprawą europejską? Nie odpowiadam — zawcześnie na to, tembardziej, że zapowiedział poseł, iż dołoży wszelkich starań, by interpelacya została wniesiona we wspólnych delegacyach.

Chwila obecna — przełomowa. Na codzień mamy zadużo „polityków“, giełdziarzy i adwokatów, którzy mogą zresztą zaskarbić sobie rzetelne zasługi, czuwając nad interesami Galicyi ekonomicznymi. Brak nam — posłów, posłów od narodu do narodów, brak przedstawicieli Polski wobec obcych potencyj. Niewiele zdziała taki przedstawiciel, nie mając za sobą siły: tę stworzyć można tylko w kraju. Poseł ze stronnictwa ludowego, przerastający partyę, aż nadto ma po temu sposobności. Pozostaje zadanie na zewnątrz: reprezentowanie z całą bezwzględną energią, z bezustanną czujnością, wielkiej myśli...

Czy starczy siły, ideologii, wytrwałości?

Artysta-romantyk stoi przed próbą, na którą spoglądają dzieje. Z próby tej zwycięsko nie wyjdzie — chwała Bogu! „polityk“ — może jednak zajaśnieć ku odrodzeniu narodu wiodący bojownik idei. *Junius.*

ŻYDZI W ŻYCIU GOSPODARCZEM.

Subjektywnych sądów o wartości Żydów dla kultury ludzkości nie brakło. Nie brakło również gruntownych przedstawień ich wierzeń religijnych i wyobrażeń etycznych. Liczne dzieła zajmują się kwestyami językowemi Żydów, ich literaturą i ustrojem społecznym. Kwestya żydowska, wlokąca się poprzez dwadzieścia wieków, znajdowała sumiennych historyków, właściwości Żydów i ich działalność pociągały oddawna badaczy stosunków społecznych i gospodarczych w najrozmaitszych państwach świata cywilizowanego.

Odrębność gospodarcza zwłaszcza wpadać musiała oddawna śledzącym rozwój ludności żydowskiej. Szukano najrozmaitszych przyczyn, by wytłómaczyć sobie pociąg Żydów do spekulacyi pieniężnej i handlu; utarło się przekonanie o specyalnem uzdolnieniu „rasowem“, powoływano się na przymus zewnętrzny, pchający Żydów w kierunku pewnych zawodów i t. d. Równocześnie spostrzedz się daje wyzyskanie kwestyi żydowskiej, wyrosłej z podłoża gospodarczego i społecznego, przez publicystykę polityczną. Olbrzymia fala nienawiści „rasowej“ i zawodowej pieni się od wieków dookoła rozsianych po całej kuli ziemskiej wysepek żydowstwa, zaciemniając i tak już niejasne pojęcia o istocie wiecznych tułaczy.

Rolą Żydów w gospodarczych dziejach poszczególnych państw względnie narodów zajmuje się liczny poczet opracowań przeważnie monograficznych. Nadto uwzględniają tę stronę działalności Żydów w sposób mniej lub więcej obszerny przedstawienia historyczne ich dziejów lub opisy gospodarcze ziem przez nich zamieszkanych.

Dopiero w bieżącym roku jednak doczekała się gospodarcza działalność Żydów systematycznego i wyczerpującego opracowania [1]). Jeden z najpłodniejszych ekonomistów młodej szkoły niemieckiej, śmiały i oryginalny badacz początków nowożytnego kapitalizmu Werner Sombart, zwrócił się z całym zapałem swego niespokojnego ducha, zbrojny w rynsztunek doskonałego przygotowania ekonomicznego i bogaty aparat naukowy, ku objektywnemu poznaniu „istoty“ żydowstwa i zrozumieniu jego roli dla ukształtowania nowoczesnego ustroju gospodarczego.

Sombart pojęciami swemi tkwi w tej części żydowstwa, którą zna. Był profesorem uniwersytetu we Wrocławiu, obecnie wykłada na wszechnicy handlowej w Berlinie. W pojęciach jego o Żydach współczesnych znać nieustannie wpływ nielicznej stosunkowo ludności żydowskiej, rozsiedlonej po centrach gospodarczych rozwijającego się z niebywałą szybkością handlu i przemysłu niemieckiego. Przyznać jednak należy, że stara się poznać — zwłaszcza w historycznej części swych wywodów — także inne grupy ludnościowe poza Żydami niemieckimi, specyalnie poza ich warstwami bogatemi, biorącemi żywy udział w potężnym rozkwicie gospodarczym Niemiec.

Drugą jeszcze uwagą wyprzedzić należy nowe i śmiałe hypotezy Sombarta o Żydach. Oto dzieło jego musi być jednostronnem. Kto z całokształtu zjawisk ekonomicznych, politycznych i technicznych, które w najściślejszym związku przyczynowym złożyły się na przygotowanie dzisiejszego ustroju kapitalistycznego, wyrwie jeden tylko ich splot i zgłębić zamierza wyłącznie działalność Żydów około sprowadzenia obecnego stanu gospodarczego, musi z konieczności stać się jednostronnym.

W przedstawieniu rzeczy Sombarta olbrzymieje rola Żydów w sposób nieproporcyonalny, każąc częstokroć zapomnieć o działaniu zjawisk, które tak silnie zapłodniły nowoczesną gospodarkę kapitalistyczną, jak kolosalne zdobycze techniki przemysłowej, wy-

---

[1]) Werner Sombart, Die Juden und das Wirtschaftsleben. Lipsk. Duncker & Humblot, 1911.

tworzenie potężnych organizacyj państwowych, odkrycie nowych części świata i t. p. Hypotetyczne już z natury twierdzenia Sombarta zawierać mogą z tego punktu widzenia względną tylko prawdę, gdyż brak im koniecznej miary porównania z całą resztą równorzędnych, a w dziele Sombarta pominiętych źródeł kapitalizmu.

Trudno się też bez krytyki zgodzić na stosowaną u Sombarta metodę traktowania rzeczy. Wprowadza w niej autor oryginalny paralelizm metody statystyczno-opisowej z metodą t. zw. genetyczną, czerpaną raczej z intuicyi, niż z krytycznego poznania. Jakkolwiek Sombart tej drugiej metodzie przyznaje najczęściej pomocniczą tylko rolę, niepodobna oprzeć się wrażeniu pewnej chaotyczności dowodów i zbytniemu wpływowi twórczej fantazyi na czysto rzeczowy tok myśli.

Rzecz cała podzieloną jest na trzy części. Pierwsza wykazać ma udział Żydów w budowie nowoczesnego ustroju gospodarczego, druga udowadnia uzdolnienie Żydów do kapitalizmu, trzecia podejmuje oryginalne i dotąd nierozwiązane zagadnienie: jak powstały owe specyficzne właściwości Żydów, które pomogły im do wyciśnięcia własnego piętna na rozwoju całej ludzkości.

Przed oczyma czytelnika przesuwają się w porządku chronologicznym wszystkie owe zjawiska, które znaliśmy dotąd jako konstytutywne dla dzisiejszego stanu gospodarczego, wszystkie jednak oświetlone z jednego punktu widzenia: jaki wpływ mieli w nich Żydzi?

Zaczynamy od wieku XVI, owej wielkiej epoki przełomowej w handlu europejskim, kiedy w krótkim stosunkowo czasie spostrzedz się daje przeniesienie centr energii gospodarczej z południa i południowego wschodu, na północ i północny zachód Europy. Wszak odkrycie Ameryki nie musiało zmienić zasadniczo kierunku dotychczasowych dróg handlowych, gdyż odległość Włoch czy Holandyi od nowych lądów jest prawie równą! Otóż zdaniem Sombarta rozwój ten przenieśli ze sobą ludzie i to ta ich warstwa, która i na południu prowadziła wielki handel: przenieść go mieli Żydzi. Prawie równocześnie z odkryciem Ameryki wygnano wielkie ilości Żydów z Hiszpanii i Portugalii. W XV w. wypędzono ich z Kolonii, Augsburga, Strassburga, Erfurtu, Norymbergi; w XVI w. z Genui i Wenecyi. Bardzo przekonywująco zestawia Sombart szereg dowodów, jak cofają się w rozwoju gospodarczym miasta, ogołocone z najruchliwszego elementu kupieckiego, podczas gdy nowe siedziby Żydów wzrastają i wzbogacają się w niebywale szybkiem tempie.

Wiek następny doprowadza do najwyższego rozkwitu ekonomicznego te właśnie miasta i państwa, które recypowały falę żydowską, mianowicie Hamburg i Frankfurt w Niemczech, Marsylię, Bordeaux, Rouen we Francyi. Cromwell w Anglii i Colbert we Francyi rozumieli doskonale znaczenie Żydów i popierali ze wszech miar ich działalność. Nie brak też ciekawych dowodów na zrozumienie doniosłości gospodarczej Żydów w całym szeregu miast. I tak, kiedy w roku 1765 najemne wojska zaczynają rabunek miasta Bordeaux i zamożni Żydzi żądają paszportów na wyjazd, donoszą przysięgli Radzie miejskiej: „Portugalczycy, zajmujący całe ulice i uprawiający poważny handel, zażądali paszportów na wyjazd. Obcy, którzy czynią największe obroty, starają się usunąć stąd: Gaspard Gonzalès i Alvarès, którzy byli najznaczniejszymi między nimi, opuścili nas niedawno. Zauważamy, że handel się cofa". Antwerpia, pozbywszy się Żydów, odczuła dotkliwie ich brak i ustąpić musiała palmy pierwszeństwa gospodarczego gościnnemu dla nich Amsterdamowi.

Materyał, zestawiony przez Sombarta na poparcie przytoczonej tezy, nie jest bynajmniej wyczerpującym. Autor przyznaje też, że robi w tym kierunku pierwszą próbę i wskazuje dopiero drogę dalszym, szczegółowym badaniom.

Idąc biegiem dziejów zwraca się Sombart do gospodarki kolonialnej i znowu widzi Żydów, kroczących wszędzie na czele nowej falangi kapitalistycznej. Indye holenderskie, Afryka południowa, Australia, w końcu i to głównie Ameryka, użyźniają się prądem płynącym z żydowskiej przedsiębiorczości. Autor nie waha się wystąpić tutaj z oryginalną hypotezą na temat, jak Żydzi wnieśli ducha kapitalistycznego w prymitywną gospodarkę farmerów. Oto przed duchowem okiem Sombarta przesuwa się karawana farmerów, złożona z 19 osób, której towarzyszy Żyd, handlarz, sprzedający wszelkie towary, potrzebne dla nowej osady, i kupujący w zamian płody ich gospodarstwa. Wystarczy zupełnie wskazać na olbrzymi przypływ kolonistów i odbywający się równocześnie na bardzo wielkiej przestrzeni rozwój gospodarstwa kolonizacyjnego, aby przyjąć sceptycznie przytoczonych kilkanaście przykładów. Mimoto znać i po tej hypotezie, z jak wyczuloną intuicyą i z jak głębokiem znawstwem traktuje badacz ten wszystkie objawy gospodarczej działalności Żydów.

Z nowego zupełnie punktu widzenia określony jest udział Żydów w wytworzeniu państwa nowożytnego. Jako bankierzy mo-

narchów i dostawcy wojskowi umożliwili oni dopiero powstanie potężnych organizacyi politycznych, zagarniających coraz dalsze dziedziny życia społecznego. Ich dziełem ma być zdefiniowany przez Sombarta objaw komercyalizacyi życia gospodarczego, owej przemiany wszelkich czynności gospodarczych w interesy handlowe, giełdziarskie. Im w pierwszym rzędzie zależeć musiało na usunięciu czynnika osobowego z życia produkcyjnego oraz z obrotu dóbr i pieniędzy, a z dążenia tego wysnuwa Sombart daleko idące wnioski o ojcostwie Żydów przy narodzinach banknotów i publicznych zapisów długu.

Stworzenie przenośnych papierów wartościowych, które umożliwiło dopiero potężny rozwój handlu tym nowym objektem gospodarczym, zawdzięczać należy znowu Żydom, zarazem twórcom instytucyi giełd. Okresem największego rozrostu obrotu papierami jest czas wojen napoleońskich i związana z niemi, szczegółowo opisana rola Rotschildów. Jedni z pierwszych stwarzają interes emisyjny, pierwsi podejmują na wielką skalę czynności grynderskie, zwłaszcza w budowie kolei. Tu Sombart wkracza w okres, gdzie twierdzenia poprzeć może cyframi, tu porusza się na terenie wdzięcznym, znanym z wielokrotnego i różnorakiego przedstawienia rzeczy. W 107 wielkich przedsiębiorstwach niemieckich z epoki grynderskiej przypada na 683 założycieli, 240 Żydów. W dzisiejszych Niemczech stanowią Żydzi w dziesięciu działach przemysłu, na 808 dyrektorów — 108, czyli 13·3%, na 2.092 członków Rad nadzorczych — 511, czyli 24·4%, gdy tymczasem udział ich w ogólnej cyfrze ludności nie przenosi $^1/_{100}$.

Ilekroć Sombart przechodzi od ścisłych argumentów historycznych i statystycznych do udowodnienia której z swych śmiałych tez, drogą obrazowania psychologicznego lub wnioskowania z dziedzin życia, nieujętych w karby zbadanych przez wiedzę pewników, czyta się dzieło jego jak fantastyczną nieco, niesłychanie jednak ciekawą powieść. Tak się ma rzecz np. z wytłomaczeniem specyalnego nastroju w zapatrywaniach gospodarczych Żydów z ową „jüdische Wirtschaftsgesinnung“. Z tajników wierzeń religijnych, z literatury talmudystycznej, z utrzymywanej ściśle od wewnątrz i zewnątrz odrębności społecznej, z tradycyi wiekowej i predyspozycyi psychicznej rodzić się ma nowy kupiecki światopogląd, rozbijający zwycięsko średniowieczne pojęcia o „iustum pretium“, o słusznym zysku, o sprawiedliwym podziale terenów zbytu, o wyeliminowaniu konkurencyi itd. Powstają nowe metody zwabiania klientów, potę-

piane przez przepisy cechowe i regulaminy kupieckie, rodzi się reklama i anons, tworzą się surogaty i potrzeba wielkich obrotów przy małych zyskach indywidualnych. Żydzi wnoszą w zapatrywania gospodarcze nowe idee światopoglądu kapitalistycznego: indywidualistyczny pogląd na prawa i obowiązki kupca, wolność handlu i konkurencyi. Mimo licznych żalów i skarg kupiectwa chrześciańskiego, wbrew wszelkim ograniczeniom niebezpiecznych współzawodników, upada dawny ideał „wyżywienia się“ i stanowego uwarstwienia. Duch żydowski tryumfuje na całej linii i wyciska swe piętno na wszystkich objawach nowoczesnego gospodarstwa.

Cóż było przyczyną, że właśnie u Żydów zeszły się wszystkie cechy, znamionujące nowożytnego przedsiębiorcę i kupca? Żydzi oddawna rozprzestrzenili się po całej kuli ziemskiej, zachowując ścisłe stosunki handlowe. Znajomość języków uczyniła ich zdatnymi do pełnienia funkcyi tłómaczów i posłów, rola obcych zmuszała ich do intenzywniejszej pracy i zapewniała im większą swobodę wobec tubylców, którzy nie dopuszczali ich zresztą do innych zawodów. Wkońcu nie należy zapominać, że Żydzi zawsze byli bogatszymi od otaczających ich społeczeństw, oczywiście o ile się nie weźmie pod uwagę właśnie olbrzymich cyfrowo większości Żydów, nagromadzonych zwłaszcza na wschodzie Europy. Przeciętnie wyższą zamożność Żydów stwierdza autor pomysłową statystyką świadczeń podatkowych szeregu miast niemieckich.

Sombart stwierdza w obszernym, gwałtownie przez niektóre koła żydowskie zaatakowanym rozdziale, potężne znaczenie religii dla rozwoju uzdatnienia gospodarczego Żydów. Wykrywa on w sposób wprost paradoksalny zupełną równoległość między przepisami rytualnymi a zasadami gospodarstwa kapitalistycznego. Stosunek do Boga, oparty poniekąd na warunkach kontraktowych i zapewniający wzamian za ślepe posłuszeństwo i wierność przepisom — powodzenie doczesne i dobra materyalne, mają być wyraźną cechą przeważającego w żydowskich wierzeniach religijnych racyonalizmu. Pod racyonalizmem rozumie Sombart zastąpienie działań z pobudek natury, pobudkami rozumu, racyą. Pod względem formalnym otoczone jest całe życie pobożnych Żydów — a o tych jedynie Sombart mówi — lasem przepisów religijnych. Treścią ich zastąpienie motywów naturalnych, spontanicznych, celowymi przepisami racyi. Religia wytworzyła najcelniejsze zalety kupieckie u Żydów: umiarkowanie płciowe, trzeźwość, pobożność itd. Tu na-

suwa się Sombartowi ciekawa uwaga: czy też racyonalizacya życia płciowego nie przyczyniła się do rozwinięcia działalności gospodarczej Żydów, wytwarzając potrzebę innego wyżycia energii? Czy ta reglementacya i racyonalizacya wszystkich objawów życiowych nie wytworzyła owej podziwianej u Żydów odporności na wpływy wiekowe?

Synteza istoty żydowskiej w rozdziale XII. pracy Sombarta należy znowu do rzędu swych intuicyjnych koncepcyi autora, które olśniewają oryginalnością myśli, a piękną konstrukcyą pokrywają braki samej budowy. Urobiwszy sobie kompletny wizerunek Żyda, wyposażony we wszystkie właściwości, spotykane w przeważającej liczbie członków jego społeczności, krystalizuje Sombart istotę żydowską w kilku cechach. Są niemi: intelektualizm, teleologizm i mobilizm. Spostrzeżenie to nie jest bynajmniej nowem, uderza jednak zwartością i logiczną budową przedstawienia, polotem myśli i gruntownością. Tu Sombart wraca do naczelnej tezy dzieła i w analogii zalet kupieckich z cechami żydowskiemi widzi predyspozycyę Żydów dla działalności gospodarczej.

Na podstawie dzisiejszego stanu wiedzy odrzuca Sombart twierdzenie, jakoby dał się wykazać związek pomiędzy antropologicznemi właściwościami Żydów, a ich cechami psychicznemi. Sombart stawia tę kwestyę trudniej, rozwiązuje ją jednak z łatwością i rozmachem, niespotykanym często w badaniach naukowych. Wynik dociekań genetycznych Sombarta da się streścić w jednem zdaniu: Żydzi stanowią grupę ludzkości południowej, pochodzenia pustynnego, o charakterze koczowniczym, oderwanym od ziemi i jej życia organicznego, która zapędzoną została przez fale dziejowe pomiędzy zimnokrwiste ludy północy i dzięki swej niespożytej odporności zachowała swą odrębność i stała się przyczyną wytworzenia nowego systemu gospodarczego, kapitalizmu, zrośniętego najściślej z cechami żydowskiego świata.

Dzieło Sombarta jest pierwszą może w tak gruntowny i oryginalny sposób ułożoną pracą o Żydach, wyszłą z poza grona społeczności żydowskiej. Jednostronne przez swą tezę, jest ono równocześnie ściśle objektywnem w przeprowadzeniu, a gromadzi niezwykle obfity i cenny materyał dowodowy. Nie w tem jednak leży znaczenie książki. Polega ono raczej na szczerem, głębokiem zajęciu się człowieka nauki problemami rasowymi i psychicznymi Żydów, na rozświetleniu szeregu objawów, niezrozumiałych dotąd ogółowi chrześcijańskiemu, a często i żydowskiemu.

Dla wiedzy ekonomicznej jako takiej przynosi Sombart więcej problemów, niż stwierdzonych prawd. Jeżeli sprawdzą się przewidywania Fromera, miną krytyki i napady na Sombarta, aby uczynić miejsce dalszym naukowym pracom nad poruszoną przez niego a tak doniosłą dla dzisiejszej ludzkości kwestyą udziału Żydów w nowoczesnem życiu gospodarczem. *R. Beres.*

SALONIKI CZY WARSZAWA?

Że zajęcie Królestwa Polskiego przez Austryę byłoby korzystnem dla polskiej ludności, tego chyba nikomu dowodzić nie trzeba. Da się jednak łatwo udowodnić, że taka właśnie akcya wojskowa byłaby również korzystną i dla Austryi, a nawet jest wprost wskazaną przez żywotny jej interes.

Mógłby mi wprawdzie ktoś, stojący na stanowisku wyłącznie austryackiem, zarzucić: Czy nie lepiej, żeby się Austrya rozwijała nie na północ, tylko na południe? Czy nie lepiej, żeby Austrya, zajmując Saloniki, wybiła okno na Wschód słoneczny i bogaty, żeby zdobyła port nad morzem Egejskiem?

Otóż nietylko nie byłoby to lepiej, ale byłoby to całkiem źle.

„Wschód słoneczny i bogaty“, to frazes przestarzały, a dziś już całkiem pusty. Konkretnie chodzi o najtańszą, najbezpieczniejszą i najswobodniejszą drogę handlową do Indyj, Japonii i Chin. Najtańszą jest zawsze droga morska. Najbezpieczniejszą i najswobodniejszą jest ta droga, która najmniej podlega ingerencyi obcych mocarstw, a więc znowu droga morska. Jeśli tedy główne drogi handlowe, prowadzące na Wschód, zmierzają przez Suez ku oceanowi Indyjskiemu, to najlepszym będzie ten port, który pozwala najkrótszą część drogi odbyć lądem, a najdłuższą część drogi morzem. Tym portem jest oczywista Tryest. Mieć dostęp do Tryestu, a jednak dowozić towary, dla Indyj czy Azyi wschodniej przeznaczone, koleją żelazną aż do Brindisi, byłoby dowolnem podrożeniem kosztów transportu, czyli nonsensem. Mieć Tryest, a jednak upierać się przy wysyłaniu wspomnianych towarów koleją żelazną aż do Salonik, byłoby również nonsensem. A to tem bardziej, że Bośnia i Macedonia, jako kraje w wysokim stopniu górskie, zawsze będą miały drogie koleje. W Macedonii nadto do kosztów kolejowych doliczyć należy koszta tłumienia rozbójnictwa, którego zupełne wytępienie nawet w najlepszych warunkach wymagałoby dziesiątek lat. Przytem Saloniki leżą wśród bagien, ziejących febrą, co oczywista podraża wszelką administracyę, a i rzeka Wardar,

która w przeszłości tylekroć zmieniła swój bieg, zapewne i w przyszłości nieraz jeszcze pofigluje sobie z torem kolejowym. Dodać należy, że morze Egiejskie roi się od wysp i wysepek tak greckich. jak i tureckich; dla okrętu, torującego sobie drogę pośród tego labiryntu wysp i wysepek ku otwartemu morzu Śródziemnemu, przestrzeń wolna między greckiemi wyspami po lewej, a tureckiemi po prawej stronie kilkakrotnie maleje do trzydziestu kilometrów; a przecież Adryatyk, nawet w najwęższem miejscu (między Otranto a przylądkiem Linguetta) zawsze jeszcze ma 75 kilometrów szerokości. Jeśli więc przeciw żegludze na Adryatyku podniesiono zarzut, że jest ona w pewnej mierze zależną od lojalności Włoch, to z daleko większą słusznością twierdzić można, że austryackie okręty handlowe, płynące od Saloniki ku Port Said, byłyby zależne od dobrych chęci i Greków i Turków.

A przytem, jak w razie zajęcia miasta Saloniki pociągnąć granicę? Wziąć Saloniki, a Olimp dać Grekom? Wszak stoki Olimpu, to niezdobyta kryjówka band zbójeckich, któreby rabowały austryackie pociągi; nadto z armat, ustawionych na Olimpie, ostrzeliwać można Saloniki. Więc nie dać Grekom nic, słoną wodą z Haliakmonu poić austryackie załogi, a Grekom przed nosem zabrać rodzony ich Olimp? Żeby odtąd każdy Grek w Europie czy Azyi, stary czy młody był śmiertelnym nieprzyjacielem Austryi? Ładnieby handel austryacki na Wschodzie na tem wyszedł! A jakiby to huragan śmiechu i kpin zerwał się w Europie na wieść, że Jowisz olimpijski ma się teraz stać czarno-żółtym!

Dotychczas mówiłem tak, jak gdyby wystarczało chcieć, aby zająć Saloniki. Ale przebieg wojny trypolitańskiej pokazał, że Turcya konstytucyjna bynajmniej nie jest martwem ciałem, z którego każdy dowoli może sobie wykroić porcyę mięsa. Jeśli nawet w Trypolitanii, dokąd tylko przemycać mogą oficerów i żołnierzy regularnej armii, Turcy okazali tak poważną siłę oporu, to cóż dopiero w Macedonii, dokąd tak łatwo przerzucić całe korpusy armii z Rumelii i Małej Azyi! A przytem bardzo słabe prawdopodobieństwo przemawia za tem, że Austrya z jedną tylko Turcyą będzie miała do czynienia. Raczej przypuszczać należy, że u Bułgarów i Serbów górę weźmie taki tok myśli: „Jeśli teraz Turcya zachowa Macedonię, to my za kilkanaście, czy dwadzieścia lato dbierzemy od niej, co nasze; ale jeśli Austrya zajmie Macedonię, to gotowa ją trzymać na zawsze. Lepiej więc na razie popierać Turcyę...“ Słowem, wymarzona przez idealistycznych polityków „federacya bałkańska“ gotowa się urzeczywistnić — jako sojusz wszystkich państw bałkańskich przeciwko Austryi.

Jakaż więc korzyść z wkroczenia do Macedonii?

Wojna ciężka, krwawa, niejedna bitwa przegrana, niejeden batalion Austryaków wyrżnięty w zasadzce górskiej. Jako nagroda olbrzymich ofiar w pieniądzach, w ludziach, dotkliwego uszczuplenia powagi mocarstwowej — port, nie dający Austryi żadnych nowych korzyści ponad te, które Austro-Węgrom daje posiadanie Tryestu, Poli, Rjeki i portów dalmatyńskich. A i potem jeszcze walka bez końca. Walka z nieustającą partyzantką, nawpół zbójecką, nawpół bałkańsko-patryotyczną, mimo ciągłego tłumienia wciąż odrastającą, jak hydra lernejska. Walka przeciw jawnym i ukrytym przejawom nienawiści ze strony rozgoryczonych narodów bałkańskich, Bułgarów, Serbów, Turków, Greków, Albańczyków. Wkońcu, kto wie? może powtórzenie smętnej historyi o lwie, którego zakłuły komary...

A poco to wszystko?

Wszak Turcy w niczem nie brużdżą Austryi, nic przeciw niej nie knują. Już nie grożą chrześcijańskim ludom Austryi mordem i pożogą, jak w siedmnastym wieku. Wtenczas istotnie obrona chrześcijańskiej Europy przeciw krwawej przemocy tureckiej była chlubą Austryi. Ale te czasy minęły. Dzisiejsi Turcy o żadnych najazdach ani na Austryę, ani chociażby na Czarnogórę czy Serbię, ani nie myślą; dziękowaliby Bogu, gdyby tylko ich samych zostawiono w spokoju. A wewnątrz swych granic traktują chrześcijan o wiele przyzwoiciej, niż na przykład Prusy traktują Polaków. Stosowanie tedy do Turcyi uszczuplonej a zreformowanej tej polityki, która dwieście lat temu słuszną i chwalebną była wobec Turcyi despotycznej a potężnej — to anachronizm, a w polityce niema zgubniejszego głupstwa nad anachronizm właśnie. A w szczególności ten anachronizm mógłby się okazać dla Austryi zabójczym.

Natomiast w przeciwieństwie do Turcyi Rosya i grozi i knuje. Gorszego sąsiada niż jakim Rosya jest dla Austryi, wogóle wymyśleć niepodobna. Ileż to tuzinów szpiegów rosyjskich wyłapano w Galicyi i na Bukowinie! A zastępy tych miłych gości jakoś wcale nie rzedną. Widocznie Rosya, mimo kłopotów pieniężnych, nie żałuje milionów rubli na szpiegów. A gdyby tylko na szpiegów! Ale przecież wśród Rusinów galicyjskich rubel pospołem z propagandą prawosławia zorganizował całe stronnictwo polityczne moskiewskich agentów i w parlamencie austryackim trzech takich jegomościów zasiada! Ale Rosya na tem nie poprzestaje; jawnie i z całą bezczelnością przygotowuje się do zawojowania Galicyi zachodniej i wschodniej wraz z Bukowiną. Co kiedykolwiek należało do jakiegoś kniazia wielko- czy biało- czy małoruskiego, gdzie kiedykolwiek jakiś mnich wschodniego obrządku dusze łapał, to wszystko

ma się stać rosyjskiem, wszędzie tam żandarmi i kozacy mają „nawracać“ ludność na prawosławie. Nadto wszelcy Słowianie powinni się stać Rosyanami i prawosławnymi. Wobec takich dążności i ideałów, w oczach każdego prawego Rosyanina Austrya jest poprostu dyabłem; wszak ma wśród poddanych swoich dziesiątki milionów słowian, a śmie nie narzucać im prawosławia! To też Rosya pod Austryą dołki kopie, gdzie tylko może; co tylko Austryi jest drogie, na to Rosya jadem pluje. Rosya wyzyskuje wszelkie niezałatwione jeszcze zatargi narodowościowe w Austryi i na Węgrzech, aby od Alp karynckich po bukowińskie Karpaty szczuć słowian, nie przeciw Niemcom, lecz przeciw państwu austryackiemu. Rosya prześladuje katolicyzm nietylko z dogmatycznych powodów, ale i dlatego, że każdego katolika podejrzywa o sprzyjanie Austryi. Rosya nienawidzi Polaków nietylko z tradycyi wiekowej, ale i dlatego, że Polacy dziś trzymają z Austryą, co w oczach Rosyi jest najlepszym dowodem, że mają szatana w sercach. Rosya na urągowisko Austryi urządziła w 1874 roku tuż nad austryacką granicą, na Chełmszczyźnie, prześladowanie katolików, zwierzęcem okrucieństwem przypominające czasy Nerona i Dyoklecyana, a dzisiaj na tejże samej Chełmszczyźnie, krwią męczenników zroszonej, zimnym cynizmem przygotowuje wznowienie tego widowiska z cyrku Nerona na olbrzymią skalę.

Na takiego sąsiada jeden tylko jest sposób: wygarbować mu skórę tak, żeby go dwieście lat świerzbiła. Przynajmniej przez te dwieście lat będzie grzecznym.

Upokorzyć Rosyę, złamać jej kość pacierzową, odebrać jej chęć i zdolność do dalszych knowań — to nie swawolne szukanie zaczepki, to raczej wywalczenie sobie trwałego pokoju, którego Austrya inaczej nigdy nie zazna.

Jeśli zaś Austrya ma uderzyć na Rosyę, to należy wkroczyć tam, gdzie ludność Austryi sprzyja. A jasna rzecz, że kiedy nawet wśród galicyjskich Rusinów-unitów propaganda moskalofilska bujnie się krzewi, to tembardziej na przychylność Rusinów prawosławnych po tamtej stronie kordonu Austrya zgoła liczyć nie może. Pop moskiewski ma władzę nad ich duszami i moskiewską nienawiść do Austryi im zaszczepia. Natomiast nietylko na jednomyślną sympatyę, ale na czynną pomoc całej ludności może Austrya liczyć, jeśli wkroczy do Królestwa Polskiego i wyzwoli Warszawę.

Chwila jest korzystna. Rosya ma zatargi z Persyą i z Ameryką, a jutro czy pojutrze może mieć oprócz tego zatargi z Turcyą i z Chinami. A i w Japonii tli pod popiołem chęć dopełnienia połowicznych zwycięstw, naprawienia tego, co interwencyą swoją popsuł Roosevelt.

Przytem wprost potworne zachowanie się władz rosyjskich wobec masowego głodu wśród włościan dowodzi, że Rosya niczego się nie nauczyła i niczego nie zapomniała. Nowa wojna niechybnie odsłoni tę samą nieudolność, ten sam nieład, tę samą korupcyę, co i wojna japońska.

Zwycięstwo Austryi jest więc pewne. A czyż wyzwolenie dwunastu milionów ludzi, jęczących pod barbarzyńską tyranią, nie jest godnym celem najszlachetniejszej ambicyi? *Bol. Rozmuski.*

O PANU ANDRZEJU NIEMOJEWSKIM SŁÓW KILKA.

I.

Dopiero w ostatnich czasach zwrócono mi uwagę na artykuł p. Niemojewskiego „Filosemityzm po roku dyskusyi (Odpowiedź pp. Baudouinowi i Feldmanowi)", wydrukowany w Nrze 179 i 180 „Myśli Niepodległej" (sierpień 1911, dekada druga i trzecia).

Byłoby może najwłaściwiej zbyć ten artykuł bezwzględnem milczeniem, tem bardziej, że nasze szanse są bardzo nierówne. Wydawana przez p. N. „Myśl Niepodległa" ma wolny wstęp do wszystkich państw i krajów, gdy tymczasem zarówno „Krytyka", jakoteż osobna z niej odbitka mego artykułu: „W sprawie „antysemityzmu postępowego", jest owocem zakazanym w granicach państwa, w którem wychodzi „Myśl Niepodległa". Większość tedy czytelników „Myśli Niepodległej" nie ma najmniejszej możności sprawdzenia, o ile pan Niemojewski był uprawniony do robienia mi zawartych w jego artykule zarzutów.

Prócz tego p. Niemojewski liczy całe zastępy zwolenników, wielbicieli, czcicieli i wyznawców, którzy swemu arcymistrzowi i arcykapłanowi wierzą ślepo i bez zastrzeżeń, a każdego śmiałka, pozwalającego sobie powątpiewać o jego nieomylności, potępią bezwzględnie i nieodwołalnie. Wkrótce po wydrukowaniu w zeszycie lutowym „Krytyki" pierwszego ciągu mego artykułu, a właściwie po zjawieniu się w N-rze 163 „Myśli Niepodległej" artykułu: „Pan de Courtenay", t. j. w połowie marca 1911, otrzymałem od niejakiego p. Witolda Halickiego z Kijowa sążnisty list z wymysłami i obelgami. Ten napuszony i pretensyonalny list da się streścić w kilku słowach: jak to ja, taki robak i marna osobistość, śmiałem się porwać na takiego mocarza myśli i „wielkiego męża, za jakiego chcę uważać całkiem świadomie: A. Niemoj.". (w cudzysłowie dosłowne wyrażenie autora listu).

Ja zaś, chociaż p. N. zarzuca mi „kłamliwe i demagogiczne kry-

kactwo“ (M. N. Nr 180, str. 1137), nie posiadam żadnych czcicieli i wyznawców. Istnieje może niewielka garstka ludzi, myślących mniej więcej jednakowo ze mną, ale przytem każdy z nas pozostaje sobą, nie abdykując na rzecz drugiego z własnej samodzielności.

Jeżeli pomimo to zdecydowałem się na obecne wystąpienie, to jedynie ze względu na pewną, oczywiście niewielką, część czytelników „Myśli Niepodległej“, którzy jednocześnie mogą w ten lub ów sposób zaznajamiać się bezpośrednio z „Krytyką“, a którzy oprócz tego nie dali się zasugestyonować panu Niemojewskiemu i są jeszcze w stanie sądzić samodzielnie, kto z nas dwóch ma słuszność. Chodzi mi zaś przedewszystkiem o sprostowanie twierdzeń p. N-go, niezgodnych z faktami.

Pan Niemojewski rozgniewał się na mnie i dał wyraz swemu oburzeniu z właściwym sobie temperamentem. Jest on z pewnością przekonany, że w jego wystąpieniu słychać „poszum skrzydeł husarskich, furyę ataku samosjerskiego i świst szabli“ (M. N. Nr 179, str. 1088—1093).

Pan Niemojewski daje nadzwyczaj ujemną charakterystykę mojej osoby, zarówno pod względem umysłowym, jak i pod względem moralnym. Nie powiem, ażeby mię ta charakterystyka choć cokolwiek zabolała. To, co mówi o mnie pan Niemojewski, urazić mnie nie może. Ma on zupełne prawo gniewać się i oburzać, a charakterystyki, wypowiadane w stanie niepoczytalnym lub choćby tylko w uniesieniu, nie mogą być brane na seryo i nikomu nie uwłaczają. W innem usposobieniu potrafi pan Niemojewski dawać całkiem odmienne charakterystyki tych samych osób.

Między innemi powiada o mnie p. N.: „Dziś stracił on w s f e r a c h p o s t ę p o w y c h opinię człowieka poważnego i szanowanego. Mówi się o nim, wzruszając ramionami“ (M. N. Nr 180, str. 1136). Być bardzo może. Pozwalam sobie jednak powątpiewać, ażeby „sfery postępowe“ można było utożsamiać z p. Niemojewskim i jego wyznawcami.

Twierdzi również p. Niemojewski, że „rzucając na ludzi u c z c i w y c h i i d e o w y c h t a k b e z c z e l n e o s z c z e r s t w a“, nie jestem „człowiekiem honoru i czci obywatelskiej“, że „nie zasłużyłem na d a l s z e podawanie ręki“ i że „powinienem być wyświecony z towarzystwa osobników, szanujących swój honor“ (M. N. Nr 180, str. 1136—1137). Wyznam otwarcie, że nawet ten straszny wyrok, wydany na mnie przez „człowieka uczciwego i ideowego“, przez „człowieka honoru i czci obywatelskiej“, bynajmniej mnie nie wzrusza. O ile rzucałem „bezczelne oszczerstwa“ na „ludzi uczciwych i ideowych“, niechaj osądzi każdy sam za siebie, o ile zechce i będzie miał możność porównania tego, co ja pisałem, z tem, co pisał p. Niemojewski i jego towarzysze. Po znanych wystąpieniach p. N-go, wywołujących co najmniej nastrój pogro-

mowy, sprawę „dalszego podawania ręki“ zdecydowałem sam dla siebie, ale nie uważałem za stosowne głosić o tem publicznie. Podawania ręki p. Niemojewskiemu i jego wyznawcom nie jestem wcale spragniony. Przeciwnie, sądzę, że tego rodzaju ludzi należy unikać i zdaleka omijać. Ci „wolni myśliciele“ co najmniej „rwą się do korda“, a wogóle nie mają nic przeciwko temu, ażeby sprawy przekonań rozstrzygać za pomocą argumentów bijących i bolących. Przecież w „Myśli Niepodległej“ rozsmakowywano niedawno z wielką lubością pogłoskę, że kogoś pobito i „na ulicy spoliczkowano“ (M. N. Nr 177, str. 991).

Przechodzę do poprawek faktycznych, nie licząc oczywiście na przekonywanie bezwzględnych zwolenników p. Niemojewskiego.

Przedewszystkiem sam tytuł artykułu p. N-go zawiera w sobie nieprawdę. Mnie nie można posądzać o „filosemityzm“; ja bowiem nie „kocham“ i nie „miłuję“ żadnych stad ludzkich, a więc także nie mogę „kochać“ lub „miłować“ stada żydowskiego. Protestowanie przeciw ryczałtowym oskarżeniom i potępieniom pewnego zbiorowiska ludzkiego nie jest wcale objawem miłości (filo-) tego zbiorowiska.

P. Niemojewski przytacza cytaty z mojej broszury, ale przytacza niedokładnie lub nawet ze zmianami, nadającemi im całkiem inne znaczenie. Kto chce sprawdzić dokładność tych cytat, powinien przeczytać je w związku z całością mojej broszury.

Tak np. na str. 1129 Nru 180 M. N. znajdujemy cytatę:

„Istotnie, zasady krępują, zasady nie pozwalają kraść, rabować, zajmować się ekspropryacyą“

i więcej nic; a tymczasem u mnie po wyrazie „ekspropryacyą“ idzie: „ani w zwykłem znaczeniu tych wyrazów, ani też w zastosowaniu do praw ludzkich i narodowych“ (str. 41).

P. N. pisze o mnie: „...mniema, że Myśl Niepodległa za punkt wyjścia obiera sobie tezę o jedności katolicyzmu z polskością“ (Nr 180, str. 1136). U mnie zaś stoi:

„Polskość a katolicyzm — to jedno“, „polskość a częstochowska Jasna Góra — to jedno“. Pierwszy z tych aforyzmów przyjmują za punkt wyjścia swych polemik nawet „myśliciele niepodlegli“ i „antysemici postępowi“ (str. 45).

Czasem wystarczy opuścić cudzysłowy, a otrzymamy inny odcień znaczenia. U p. N. znajdujemy cytatę:

„Żydzi zajmują się rajfurstwem i handlują żywym towarem. „Przepraszam, czynią to także najpobożniejsi chrześcijanie i Polacy“ (Nr 180, str. 1133). U mnie zaś:

„Żydzi“ zajmują się rajfurstwem i handlują żywym towarem.

Przepraszam, czynią to także najpobożniejsi „chrześcijanie“ i rdzenni „Polacy“ (str. 49).

A oto przykład prostego przekręcenia cytaty. U p. N-go:

„Mówi się o Żydach, że są brudni i niechlujni, zanieczyszczają domy, w których mieszkają, całe ulice i całe miasteczka, także koleje. Pan de Courtenay śmieje się z tego zarzutu i mniema, że tak samo niechlujni są inni“ (Nr 180, str. 1133).

U mnie zaś w odpowiedniem miejscu, na str. 48—49, niema ani słówka o „innych“, ale tylko powiedziano:

„Ależ wszelki brud, nietylko „żydowski“, budzi wstręt i obrzydzenie“.

Oczywiście, według przysłowia „stercus cuique suum bene olet“, brud nie-żydowski powinien nas zachwycać.

Ja mówiłem, że z c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego „wyrzucono“ mię; p. N. podstawia zamiast tego wyraz „wygryziono“, nadając inny sens całemu zdaniu. Przytem świadomie przypisuje owo „wygryzienie“ memu „zatargowi z mieszczaństwem krakowskiem“ (Nr 180, str. 1125, 1130), wiedząc doskonale, że rzecz miała się całkiem inaczej.

P. N. pisze: „Żydzi polscy powinni być tacy, jak to wskazują „zasady“ naszego „badacza““ (Nr 180, str. 1128).

Tymczasem ja nigdzie nie mówiłem, jakimi żydzi być powinni. Każdy jest takim, jakim jest.

W odczycie swym nie „wyśmiewałem“ wcale „chęci zbliżenia wzajemnego słowian“ (Nr 180, str. 1127), ale tylko mówiłem o tej rzekomej sprawie w sposób całkiem poważny. Zresztą odczyt ten został wydrukowany i każdy może go dostać w każdem państwie, gdyż wyszedł on w Warszawie i nie podlega ostracyzmowi, jak broszura „W sprawie antysemityzmu postępowego“.

P. N. nazywa mię „lojalnym“ (Nr 163, str. 326), twierdzi, że „nie uznaję żadnych praw, przysługujących narodom jako całostkom, znam tylko państwa, mające różnojęzycznych obywateli“... (Nr 179, str. 1083).

Istotnie nie uznaję praw „narodów“, gdyż takich realności nie znam. Znam realności psychiczne, indywidualne, znam godność ludzką indywidualną, a fikcye, zwane państwami, uważam za malum necessarium, za siły wyższe, z któremi trzeba się liczyć, walcząc o swoje prawa ludzkie do narodowości, do wolności sumienia i t. d. Nie uznając państwa, zrzekamy się wszelkiej walki legalnej i spokojnej o własne prawa. Zresztą na próżnoby rozwijał dalej ten pogląd. Tego ani pan N., ani jego wierni nie zrozumieją.

Pan N. nazywa moje wystąpienie przeciw „fałszywej fasyi“ galicyjskiej, oraz wymienienie p. Kazimierza Ehrenberga stosowaniem „metody wywiadowczej“ (Nr 180, str. 1132). Zgodzą się z nim chyba tylko jego zwolennicy i wyznawcy. — Zresztą miło mi stwierdzić, że p. N. staje po stronie tych, co „wyrzucali“ mię z Krakowa, oraz po stronie p. Ehrenberga (Nr 180, str. 1130, 1132). Tworzą całkiem dobrane towarzystwo.

W N-rze 180 na str. 1132—1133 p. N. przytacza cały szereg moich twierdzeń, bądź to istotnie przeze mnie wypowiedzianych, bądź też przez niego mi podsuniętych, a dotyczących faktu, że i między „chrześcijanami“ znajdują się nie sami cnotliwi ludzie (no, choćby ci, co ośmielają się nie zgadzać się z p. N.), i zapytuje: „Skąd on to wie?“ Ależ nie potrzeba chyba powoływać się na źródła i powagi, jeżeli się coś widzi i obserwuje na każdym kroku własnemi oczami.

Twierdzi p. N., że ja, przytaczając jako przykład dra Sauerweina, „pomięszałem wielojęzyczność z wielonarodowością“ (Nr 163, str. 325). Otóż mogę zapewnić, nie pana N., bo nie dla niego piszę to sprostowanie, ale ludzi nieuprzedzonych i niezacietrzewionych,

1) że dr Sauerwein, chociaż z urodzenia Niemiec, czuł się należącym także do innych narodowości, walcząc czynnie, t. j. za pomocą agitacyi przedwyborczej i publicystyki, np. o prawa narodowe Litwinów, Łużyczan i t. d.;

2) że oprócz dra Sauerweina znam także innych ludzi, czujących się w ścisłym związku przynajmniej z dwiema narodowościami, i że posiadam świadczące o tem listy tych ludzi;

3) że istotnie trudno brać jednocześnie udział w wyprawach rabunkowych i wogóle w zbrodniach zbiorowych kilku naraz zbiorowisk ludzkich, ale że całkiem jest możliwe uczestnictwo świadome lub nawet półświadome w życiu kulturalnem i umysłowem, oraz w wywalczaniu praw kilku narodowości.

Aleksander Hercen w jednym ze swych utworów publicystycznych wspomina o tem, że Robespierre uznał ateizm za fałsz, ponieważ jest on dostępny tylko małej garstce ludzi. Podobnie, dodaje Hercen, możnaby uznać za fałsz rachunek różniczkowy. A ja dodam do tego „wielonarodowość“, nie dziwiąc się wcale, że p. N. i jego współideowcy nie są w stanie jej zrozumieć.

Za to zapytam ze swej strony p. N-go, skąd on wie o tem, że ja „opuściłem nasz naród i g r o m y n a n i e g o c i s k a m“ (Nr 163, str. 324—325), albo też, że przyrównywam swych przeciwników do „żan-

darmów wieszających“ z powstania 1863 (Nr 180, str. 1125). Gdzie on to wszystko u mnie wyczytał?

O różnych dobitnych powiedzeniach p. N-go wiem nie od plotkarzy (Nr 180, str. 1131), ale np. od Leo Belmonta, któremu wierzę najzupełniej, a którego p. N. wypędzał na Nalewki i groził mu, jeżeli nie będzie pokorny i będzie właził w drogę, mobilizacyą „swoich chłopców“ dla wyprawy na żydów („tylko kiwnę swym chłopcom, a poczujecie to na własnej skórze“. [1])

P. N. twierdzi, że dyskusya została dawno wyczerpana i zamknięta, i wydziwia mi, że całe pół roku ciągnął się w „Krytyce“ druk mego artykułu, wydanego następnie w osobnej odbitce (Nr 179, str. 1081 i i.). Istotnie, druk trwał 5 miesięcy (od lutego do czerwca r. b.), ale rzecz była napisana odrazu. Sama sprawa zaś wcale nie została wyczerpana i zamknięta, ale trwa w dalszym ciągu jako kwestya stała i nieschodząca z porządku dziennego.

P. N. robi mi zarzut, że nie przestudyowałem całego szeregu broszur i książek, omawiających szczegółowo niebezpieczeństwo żydowskie i kwestyę żydowską (Nr 163, str. 321; Nr 180, str. 1126—1127). Otóż winienem oświadczyć, że żadne broszury nie mogą zmienić mego zdania, iż za winy jednostek, choćby nawet bardzo licznych, nie urządza się nagonki na całą gromadę ludzi, do której osobniki występne w ten lub ów sposób należą.

Sam p. N. powinienby zmienić swe ryczałtowe sądy o żydach, choćby ze względu na swych przyjaciół i współpracowników, Unszlichta i Auerbacha.

P. N. oburzył się na mnie za twierdzenie, że jego wywody i oskarżenia w logicznej konsekwencyi i drogą impulsów psychicznych prowadzą do pogromów. Zapytuje on siebie: „czy bylibyśmy zdolni do czegoś podobnego“ (Nr 179, str. 1091, 1092). Ja też ani chwili nie przypuszczałem, że p. N. i jego współideowcy z inteligencyi będą własnoręcznie wykonywali operacye pogromowe. Ale, powtarzam, wysnuwajmy konsekwencye z tego, co głosimy, z naszych nieopatrznych uogólnień. Sędzia

---

[1]) Por. Leo Belmont: Pan Andrzej Niemojewski „Wolnomyśliciel“ w cudzysłowie. Dodatek nadzwyczajny do „Wolnego Słowa“ (zamiast Nr 104/105 na dz. 15 października 1910 r.).

M. i. cytuje Belmont (str. 9) następujące powiedzenia p. N-go:

1) „Panie Belmont, niech pan powie swoim, żeby mi nie przeszkadzali, bo...“

2) „— To trudno! Pan wie, że w każdym polskim szlachcicu drzemie dziedzicznie instynkt pogromowy: „huzia na żydów!“ — jak w każdym żydzie drzemie dziedzicznie instynkt zdrady“.

podpisuje wyrok śmierci, ale go sam nie wykonywa, pozostając człowiekiem „szanowanym“, „honorowym“ i „uczciwym“. Wyręcza go w tem kat, „pogardzany“ „wyrzutek społeczeństwa“. Podobnie „uczciwy“ i „honorowy“ „myśliciel niepodległy“ pisze artykuły, piętnujące cały naród lub inne zbiorowisko ludzkie jako zgraję zbrodniarzy, godnych wytępienia, a pogardzane „hultajstwo“ wykonywa wyrok.

W N-rze 179 na str. 1091 p. N. jak gdyby żałuje tego, że w r. 1905, kiedy z pewnością nieco inaczej zapatrywał się na tę sprawę, zapobiegał wraz z innymi pogromom w Warszawie. Dziś oczywiście trzymałby się „zasady“: „laissez faire, laissez aller“.

P. N. zarzuca p. Feldmanowi, że, różniąc się ze mną w przekonaniach politycznych, cierpi jednak moje współpracownictwo w „Krytyce“ (Nr 179, str. 1082). Ja zaś sądzę, że na tem właśnie polega prawdziwa „wolnomyślność“. Byle tylko szanować się nawzajem i nie uprawiać szczucia, można w tem samem czasopiśmie wypowiadać zdania wręcz sobie przeciwne, nie obniżając wcale wartości etycznej tego czasopisma. Przecież nie jesteśmy stadem, powtarzającym chóralnie „za panią matką pacierz“, ale tylko indywiduami uobywatelnionemi i samodzielnie myślącemi.

Z panem Niemojewskim różnię się co do swych przekonań znacznie więcej, aniżeli z p. Feldmanem; a jednak p. N. zapraszał mię usilnie do współpracownictwa w „Myśli Niepodległej“. Raz nawet uległem i posłałem artykuł „Ewolucyonizm a językoznawstwo“, wydrukowany w N-rze 89 (Luty 1909).

P. N. uskarża się, że za jego najgłębsze „przekonania“, za trzymanie się niezłomnych „zasad“ spadają nań gromy w postaci np. skazania go na rok twierdzy (Nr 179, str. 1093; Nr 180, str. 1129, 1137).

Jestem jednym z tych, co wszelkie kary za wypowiadanie własnych przekonań uważają za przeżytek barbarzyństwa, i z tego też stanowiska zapatruję się na karę, wymierzoną p. N-mu. Pozwolę sobie jednak zauważyć, że wyrok ów zapadł nie za „przekonania“, ale za wyrażenia, które, według brzmienia prawa, zawierały w sobie obrazę czegoś, uważanego za święte i nietykalne. Sąd mógł się mylić, ale wyrok swój motywował w ten właśnie sposób.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że p. Niemojewski padł ofiarą niecnej denuncyacyi gorliwców klerykalnych. Sam sąd nie pociągałby p. N-go do odpowiedzialności. Pan N. zaś może pocieszać się myślą, że w sprawie tej wychodzi właściwie zwycięzcą. Gdyby klerykali mogli go spalić na stosie, usunęliby przynajmniej mniemanego wroga. W dzisiejszych jednak czasach trzeba się zadawalniać rokiem twierdzy, który

wielkiej szkody skazanemu nie wyrządza, natomiast, otaczając go aureolą męczeństwa, wychodzi mu ostatecznie na chwałę i pożytek. Ze strony więc denuncyantów był to postępek, dający się podciągnąć pod określenie: „c'est plus qu' un crime, c'est une faute“.

Dziewięć lat temu również urządzono w Krakowie klerykalną nagonkę na „Legendy“ p. Niemojewskiego. Skonfiskowano książkę, a właściwie jej tytuł, zrobiono głośną sprawę i ostatecznie urządzono korzystną dla książki reklamę, skutkiem której rozeszła się ona w daleko większej ilości egzemplarzy.

Podobnie i teraz, dzięki denuncyacyi i spowodowanemu przez nią wyrokowi, pan Niemojewski wyjdzie z twierdzy pokrzepiony na siłach, jeszcze śmielszy, jeszcze butniejszy, jeszcze straszniejszy dla swych wrogów, do których obecnie i ja mam zaszczyt być zaliczanym.

Dla osób, pragnących mieć dowody mojej „lojalności“ i wysługiwania się możnym świata tego, o które to szpetności oskarża mię p. N., do tytułów, wyliczonych na str. 43 broszury „W sprawie „antysemityzmu postępowego“ („Krytyka“, 1911, czerwiec, str. 320—321) dodaję jeszcze następujące tytuły swych broszur i artykułów:

Uwagi na czasie i nie na czasie (Z powodu ankiety „Krytyki“ w sprawie konfiskat wogóle, a konfiskaty „Legend“ A. Niemojewskiego w szczególności). Odb. z „Krytyki“ 1902. XI i XII. Kraków 1903.

Kaprysy tłumicieli myśli ludzkiej (Odb. z „Krytyki“, maj 1903), Kraków.

Kwestya alfabetu litewskiego w państwie Rosyjskiem i jej rozwiązanie, Kraków 1904.

Punkt zwrotny w historyi Rosyi („Krytyka“, 1906, maj).

Tępość moralna społeczeństwa rosyjskiego („Krytyka“, 1906, listopad).

Z ciemni wszechrosyjskiej („Krytyka“, 1907, maj).

Kilka uwag przelotnych z powodu „neoslawizmu“ i „neopolonizmu“ („Wolne Słowo“ L. Belmonta. Warszawa, 1908, Nr 36 i 37).

Epidemia krwiożerczości („Krytyka“, 1909, czerwiec).

Z państwa anarchii i chronicznego bezprawia („Krytyka“, 1910, lipiec — sierpień).

Z powodu zamachu na Stołypina („Krytyka“, 1911, październik; także osobna odbitka).

J. Boudouin de Courtenay.

Petersburg, 10/23 listopada 1911.

II.

Obok niezliczonych potoków brudu, oszczerstw i kłamstwa, jakie mi od dłuższego czasu życie przynosi, przechodzę w milczeniu, wzgardę jedynie mając za odpowiedź. Milczałem też wobec licznych insynuacyj, małodusznych szpilkowań, śmiesznych inwektyw i świadomych fałszów, jakimi mię od lat zasypuje „Myśl Niepodległa“ p. Niemojewskiego. Czynię teraz wyjątek i odpowiadam, gdyż postawiony pod jednym „pręgierzem“ z p. prof. Baudouinem de Courtenay, drukując odpowiedź czcigodnego profesora, muszę unikać wrażenia u czytelników, jakobym milczeniem potwierdził czynione mi przez p. N. zarzuty; powtóre, gdyż ostatnie ataki p. Niemojewskiego (— czy ostatnie? bo od kilku tygodni „Myśli Niepodl.“ nie czytałem) przynoszą pozory faktów i uzasadnień. Pomijam inwektywy słowne i obelgi, które charakteryzują conajwięcej swojego autora, i w krótkości, z całym wstrętem zatrzymuję się nad konkretnymi, czynionymi mi zarzutami.

1. „P. W. F. — pisze p. N. — jest żarliwym reprezentantem niepodległości Polski, że aż niekiedy przypomina tej idei inkwizytora. Gdyby ktoś poległ nawet za wolność i szczęście Polski, lecz różnił się w programie o włos z p. F., nie miałby od p. F. dla swego bohaterstwa ani jednej łzy, ale zato duży kamień potępienia.“ — Nieprawda. „Krytyka“ ma wdzięczne uznanie dla wszystkich, którzy wzmacniają siłę i bogactwo społeczeństwa, choć się różni od nich programem politycznym. W tym duchu pisała n. p. o ks. Wawrzyniaku (nr. XII, 1910), Adamie Krasińskim, pomijając już pracowników żyjących. Rolę Torquemadów zostawiamy wolnomyślicielskim Pobiedenoscewowom. Zresztą po tym zarzucie następuje zaraz drugi, że jestem... zbyt tolerancki.

2. ...„nagle łączy się (F.) z profesorem petersburskim, p. Janem Baudouin de Courtenay, który nie uznaje żadnych praw, przysługujących narodom, jako całostkom, zna tylko państwa, mające różnojęzycznych obywateli, który ideę niepodległości Polski uważa za chorobę nacyonalistyczną, a myśl o zbrojnem powstaniu za obłęd.“ To „nagle“ ma suggerować czytelnikowi, że ad hoc połączyłem się z p. prof. Baudouinem dla atakowania p. N. za jego antysemityzm „postępowy“. Otóż p. prof. Baudouin jest współpracownikiem „Krytyki“ od lat bardzo wielu. Na wielu punktach poglądy nasze się rozchodzą, ale szanując w nim europejskiej sławy uczonego, nieskazitelny charakter i bezwzględną odwagę cywilną, oraz znajomość stosunków wielu krajów i społeczeństw, oddaję mu do dyspozycyi łamy pisma, dopóki tylko zechce z nich korzystać. „Krytyka“ nie jest organem partyjnym. Gotowa ona zawsze drukować przeciwne redakcyi poglądy, byle motywowane poważnie i przez ludzi poważnych pisane, zastrzegając sobie odpowiedź. Stanowisko zaś nasze wobec idei p. prof. Baudouina — sfałszowanych zresztą częściowo przez p. N. — jest zbyt wyraźne, byśmy zawsze mieli z niemi polemizować.

3. „Widzieliśmy go (Feldmana) w Alliance israelite, widzieliśmy go w szeregach czerwonego sztandaru, widzieliśmy w dziennikach, rzucających błotem na czerwony sztandar, widzieliśmy — jak pokornie

błagał, aby mu tego nie pamiętano.“ — Wzywam pana N., by przytoczył dowody, że należałem do Alliance israelite, żem był w „dziennikach“, bezczeszczących czerwony sztandar i zato pokornie czy nie pokornie przepraszał. Zwyczajny szereg kłamstw o tendencyi wyraźnej. Byłem lat kilka sekretarzem Fundacyi bar. Hirscha, pod kierownictwem takich międzynarodowych Żydów, jak p. prof. Rosenblatt, ś. p. prof. Kasparek, ś. p. Jan Rotter etc.; zakładałem szkoły ludowe dla ciemnych mas żydowskich, zaco klątwę na mnie rzucono, oraz szkoły rzemieślnicze dla chłopców obu wyznań; kierownikiem szkoły naszej krakowskiej był obecny architekt Wawelu p. Hendel. Ustąpiłem z tej Fundacyi, gdy pod naporem czynników obcych przybrała kierunek wiedeńsko-centralistyczny. Do „Alliance israelite“ nigdy nie należałem. Taksamo nie będąc członkiem partyi socyalistycznej, nie należałem i nie należałbym nigdy do „dzienników“, bezczeszczących czerwony sztandar.

4. „Przebywając w kole naszem, p. F. słyszał, jak burzyliśmy się przeciwko ugodowej polityce p. E. Piltza i jego „Kraju“, ani słowem się nie zdradzał ani wtedy, ani potem, że pod kryptonimem pracuje w organie przez nas systematycznie bojkotowanym. Sam musiał czuć, że w stosunku do nas w porządku nie był, bo się z tem starannie krył“. Nieprawda. — Potrzebując zarobku, pisywałem do „Kraju“, podobnie, jak pisywali tam tacy źli patryoci, jak T. T. Jeż, Kaz. Bartoszewicz, etc. W roczniku „Kraju“ z r. 1897, który mam pod ręką, znajdują się prace O. Balzera, Adama Asnyka, Orzeszkowej, Konopnickiej etc. Drukowałem tam nieraz artykuły, które cenzura warszawska przekreśliła była, gdy miały być umieszczone w „Przeglądzie Tygodniowym“. Z polityką „Kraju“ nigdy się nie zgadzałem; podpisywałem się przeważnie — jak zawsze podpisuję artykuły — F. lub W. F. Wiedzieli o tem dobrze literaci warszawscy, wiedział dobrze p. Niemojewski, który nie miał dla mnie dość słów podzięki, gdym tam umieścił artykuł o jego wierszach. Nieprawdą więc jest, co pisze dalej:

5. „Trzeba było dopiero faktu, że się to... wydało. Za to ówczesna redakcya „Prawdy“ wymówiła mu natychmiast współpracownictwo“. Stało się to chyba w sferze życzeń pana N. Byłem współpracownikiem „Prawdy“ za redakcyi Świętochowskiego i jego następców, pp. Posnera i Stempowskiego. Gdy ci założyli najlepsze naówczas pismo warszawskie „Ogniwo“, przeniosłem się z nimi do nowego wydawnictwa; p. Posner jest dotąd życzliwym „Krytyki“ współpracownikiem.

6. „Po owej historyi z „Krajem“ przyszła ciekawa historya z ankietą międzynarodową. Rozpisał ją p. F., zapytując rozmaitych pisarzy europejskich, czy Polska ma prawo do niepodległości i czy jej niepodległość nie przeszkadzałaby czasem komu. Powiedzmy otwarcie: duma nasza narodowa oblała się wtedy rumieńcem“. — Tendencyjne przekręcenie faktów. W roku 1906 grono ludzi pragnęło Europę zainteresować sprawą polską. Czynili to Finlandczycy, wydając na ten cel miliony; „Krytyka“ chciała to uczynić — bez środków. Jeden z młodszych uczonych, nie ja, napisał tedy kwestyonaryusz, przedrukowany w zeszycie VI za rok 1906, w którym na początku podkreśla, że cały naród polski dzisiaj żąda od Rosyi „najszerszych praw prawno-polity-

cznych" i że stąd konieczność nowych oryentacyj w sprawie polskiej także dla samych rządów zaborczych. Ponieważ zwracaliśmy się także do wielu uczonych prawników, zapytywaliśmy ich, o ile nasza dążność do niepodległości jest usprawiedliwiona ze stanowiska prawa międzynarodowego. Z podobnem pytaniem zwracali się do uczonych Finlandczycy, na podobnym gruncie stają politycy, którzy np. w sprawie chełmskiej powołują się na uchwały kongresu wiedeńskiego z roku 1815. Dalej pytaliśmy o ewentualny stosunek niezawisłego bytu państwowego Polski do kultury europejskiej. Chodziło nam o wywołanie manifestacyi i to się stało. Kilkudziesięciu uczonych, polityków, literatów nadesłało odpowiedzi bardzo cenne. Prasa nasza oczywiście te przemilczała, a pan Niemojewski, przekręca jej treść i znaczenie.

7. Po założeniu Myśli niepodległej „p. F. odrazu stawił rzecz na gruncie konkurencyjnym, z jednej strony ogłaszając swoją „Krytykę", jako „jedyne azylum myśli niepodległej", zaś z drugiej strony zarzucając mi racyonalizm z końca XVIII wieku" etc. „Pocóż miała istnieć jakaś „Myśl niepodległa", skoro istniała „Krytyka".— Sposób stawiania kwestyi, godny p. N-go. „Gruntu konkurencyjnego" niema, gdyż p. N. wydaje pismo, dobrze widziane przez władze rosyjskie, a „Krytyka" nie ma w Rosyi debitu, jest tam tępiona i prześladowana. Od pierwszej zresztą chwili „Krytyka" podnosiła poważne znaczenie „Myśli Niepodległej", zastrzeżenia nasze były tylko natury zasadniczej. Nigdy nie reklamowaliśmy „Krytyki", jako jedynego organu myśli niepodległej. Zbliżone zwroty w prospekcie — jeśli były — miały tylko czytelników w Królestwie uświadomić, że istnieje pismo zakordonowe, politycznie niekrępowane cenzurą. Gdy administracya „Myśli Niepodleglej" zażądała od naszej administracyi, by dołączyła do nrów prospekty „Myśli Niepodległej", uczyniliśmy to najbezinteresowniej.

8. „Umierał Wyspiański, a gospodarz jedynego azylum myśli niepodległej przedewszystkiem jął się krzątać około zapewnienia mu pogrzebu wyznaniowego". — Pogrzeb Wyspiańskiego urządziła Rada miasta Krakowa. Nikt z postronnych nie miał na jego charakter wpływu, a gdybym ja go był miał, byłbym urządził pogrzeb kościelny, gdyż Wyspiański umarł jako wierzący katolik.

9. „W ciągu swego życia publicznego p. F. stawał się coraz czerwieńszym Polakiem. Wobec typu, do którego należał, uchodziło za śmiertelny grzech stwierdzenie np. faktu całkiem objektywnego, że p. F. jest żydem!" — W ciągu swego życia, odpowiem na to, raz tylko pisałem, że naród żyje dla szczęścia, kultury etc. bez konieczności bytu państwowego. Było to, gdym miał lat 18 i ulegał wpływowi warszawskich pozytywistów. Moment to był krótki, od tego czasu w miarę sił walczę za ideą niepodległości. Czyby pochodzenie moje miało mię krępować? Nie robię z niego sposobu reklamy, jak np. p. N. ze swego pochodzenia w niemieckich prospektach wydawniczych, i wogóle nie lubię nikogo zajmować swoją osobą; w „Krytyce" ledwo raz na kilka lat, pod naporem konieczności, mówię o sobie. Gdy zaś zachodziła potrzeba, stwierdzałem zawsze, że jestem synem proletaryatu żydowskiego i jednem

z nieszczęść mojego żywota jest, że nie mogę mu służyć. Nigdy zaś chyba nie będę antysemitą, ni zoologicznym, ni też „postępowym“, czy jak inaczej ten ruch zwierzęcy się nazywa.

10. „Milczał p. F. kiedy rozmaite... kopały „trupa“ Polski. Ale kiedy zawołałem na to: baczność, panowie, abyście się na własnej skórze czasem nie przekonali, jak ten trup potrafi być jeszcze żywym, p. F. krzyknął: to jest pogróżka pogromu“.

— Czy bronię polskiej sprawy, czytelnicy osądzą.

Ale właśnie dlatego miałem i mam obowiązek nazwać każde niebezpieczeństwo publiczne po imieniu. W dzisiejszym „Dzien. Petersburskim“ czytam, że w Petersburgu w sali Zebrań Armii i Floty odbył się mityng, na którym bydło czarnosecinne postanowiło ofiarować Puriszkiewiczowi honorową szablę i dzban do kwasu z napisem: „Zwycięzcy małp kaukaskich, polskich świń, żydowskiej swołoczi i parszywych masonów — od poniżonego i obrażonego oficera.“

Przyjemnie nam na sercu, czytając to — prawda? Takim mityngiem nieustającym był niedawno pewien „postępowy“ odłam prasy warszawskiej pod kierownictwem „poniżonego i obrażonego oficera“ Niemojewskiego. Czy wtykał przytem ludziom rozjuszonym do rąk kłonice i t. p. narzędzia operacyjne — to kwestya formy. Istnieje wyższa odpowiedzialność, ale o niej p. N. dawno już zapomniał.

Wobec tego obojętne są mi oczywiście spóźnione trochę sądy tego pana o moich pracach literackich, i śmiesznym jest on tylko, gdy chce przemawiać w imię poezyi polskiej. Z poezyą p. N. dawno nic nie ma wspólnego, poezya polska zbyt wysoko stoi, by on podszywaniem się pod jej miano mógł ją skalać.

Czy zresztą p. N. nie wie sam, że wszystko, co o mnie powypisywał, jest wylewem żółci wzburzonej i świadomym fałszem? Wszak po zbrodniach moich narodowych, popełnionych przed laty, był on współpracownikiem czasopism, przeze mnie wydawanych; był nim do chwili, w której ja mu jakiś artykuł odrzuciłem. Wszak jeszcze niedawno temu, już nawet po mojej zbrodni z ankietą polską, deklamował on w tej samej M y ś l i N i e p o d l e g ł e j: „K r y t y k a to piękny kwiat, który wyrósł niespodzianie na bagnie galicyjskiem; wartość pisma jest ogromna; takiego pisma u nas poprostu niema.“ I dalej wołał: „P. Wilhelm Feldman już dziś zasługuje na monografię. Krytyk doskonały, człowiek z duszą, z talentem, mówca, prelegent, w innych warunkach powinien może zająć katedrę na jakiej wszechnicy. U nas takich ludzi, jak on, tylko prześladują...“ Tak pisał p. Niemojewski...

Dosyć. Na dalsze inwektywy p. N-go nie będę odpowiadał. Postępowania jego należytem mianem kwalifikować nie myślę. Trudno mi jednak powstrzymać się od dwóch wniosków:

I. Znając psychikę tego pana, jego prawdomowność, konsekwencyę, objektywność, nie mam najmniejszego zaufania do jego badań „naukowych“. I bardzo mam za złe uczonym prawdziwym, jak pp. Radliński, Krzywicki, Ernst, że o teoryach p. N-go nie wydali orzeczeń, któreby dla nas, laików, były kompetentne.

II. Wrogiem jestem partyjności i partyj w polityce, gdyż partye

zabijają sumienie. Zdawało mi się przez pewien czas, że ruch wolnomyślicielski stworzy nowe sumienie; inaczej cóż byłby wart? Że zamiast jednych hypotez daje drugie? Gratuluję tedy panom wolnomyślicielom wszystkich zaborów, iż grupując się pod sztandarem p. Niemojewskiego, tak prędko zdołali krytycyzmem wobec niego i milczącą aprobatą jego logiki stworzyć nową partyę — nowe sumienie.

W. F.

DWA KOŁA POLSKIE.

Za czasów prezesury w wiedeńskiem Kole Polskiem Głąbińskiego, Koło Polskie petersburskie pisało wielokrotnie do niego z prośbą nieporuszania na terenie wiedeńskim sprawy chełmskiej. Dezoryentacya panująca tak niedawno w Galicyi, nadzieje nieuzasadnione na opozycyę rosyjską uniemożliwiły jeszcze przed dwoma laty akcyę chełmską w Galicyi. Nie było więc parcia opinii na Koło Polskie w Wiedniu. Dziś stosunki się zmieniły.

Dzisiejsze wiece nie noszą charakteru kompromisowego, choć w nich różne żywioły biorą udział. Artykuły „Czasu“ przeciw wiecom chełmskim nie mają żadnego posłuchu. Parcie opinii publicznej na Koło Polskie w Galicyi w kierunku akcyi chełmskiej jest znaczne.

Koło Polskie w Petersburgu nie posiadające energii w akcyi na terenie Dumy rosyjskiej dało przejaw swym nader energicznym policyjnym dążnościom na terenie Galicyi. Przed kilkoma tygodniami wysłało telegram do Rady Narodowej do Lwowa z prośbą o powstrzymanie wieców. Rada Narodowa odpowiedziała, że ruch jest żywiołowy, trudny do powstrzymania i zażądała bliższych wyjaśnień. Wyjaśnienia te nie nadeszły. Natomiast gdy stało się wiadomem, że Koło Polskie w Wiedniu przygotowuje interpelacyę w sprawie chełmskiej, Koło Polskie w Petersburgu wysłało do Wiednia p. Jarońskiego, swego sekretarza, z prośbą o powstrzymanie się od interpelacyi.

Koło Polskie w Petersburgu pragnie uniknąć tego wszystkiego, co „drażni Rosyę“, t. j. tego, co jest jej niemiłem, co jest jej szkodliwem. Ruch anty-rosyjski akcyą chełmską wywołany w Galicyi jest czynnikiem, pogarszającym stosunki austro-rosyjskie, niezbyt przyjazne od lat kilku. Występy Koła Polskiego w delegacyach i parlamencie w Wiedniu stwarzają zewnątrz anti-rosyjską postawę Polaków — rzecz ważna w obecnej chwili dla wszystkich antagonistów Rosyi. Koło Polskie w Dumie rosyjskiej temu przeciwdziałając, służy interesom mocarstwowym Rosyi, największego naszego antagonisty; działa na naszą niekorzyść.

Jeżeli członkowie Koła Polskiego w Dumie rosyjskiej posiadają tak słabą oryentacyę polityczną, że nie istnieją dla nich wielkie linie polityki narodowej, to powinniby rozumieć, że im więcej krzyków na zewnątrz wywoła wycięcie Chełmszczyzny, tem bardziej powściągliwym w swej anty-polskiej akcyi będzie rząd rosyjski na przyszłość.

Koło Polskie w Dumie rosyjskiej wskutek słabości duchowej swych członków jest jakimś przedmiotem igraszki różnych politycznych żywiołów Rosyi. Pamiętamy wszyscy dobrze politykę słowiańską, t. zw. akcyę nowo-słowiańską, gdy wielu z członków Koła wysługiwało się imperyalizmowi rosyjskiemu o apetytach słowiańskich, pamiętamy ową „słowiańskość bez zastrzeżeń“. Panowie Dmowski i Dymsza byli igraszką w rękach pp. Bobrińskich i Krasowskich, którymi niewidzialnie kierowała ręka rządu. Dziś taż sama ręka rządu gra nimi, jak tego państwowy interes Rosyi wymaga. Równocześnie z obcięciem Królestwa rząd postawił na porządek dzienny Dumy kwestyę samorządu miejskiego w Królestwie, o przywilejach wyborczych dla rosyjskiej ludności w Królestwie, t. j. o przywilejach rusyfikatorach, gdyż Królestwo oprócz rusyfikatorów z urzędu nie posiada innej rosyjskiej ludności. Obok przywilejów dla Rosyan projekt ma ograniczenie dla Żydów w formie kuryi żydowskich.

Koło Polskie w Dumie rosyjskiej przyjęło ów prezent reakcyi bez zastrzeżeń z dziwną jakoś skwapliwością, jakkolwiek podstawowym postulatem politycznym Koła Polskiego w Dumie rosyjskiej musi być równouprawnienie. Na postawę Koła Polskiego w Petersburgu wpłynęła ta okoliczność, że Koło Polskie pragnie wobec wyborców wykazać się, że coś przywiozło z Petersburga, że nie jest bezpłodnym udział nasz w Dumie rosyjskiej. Ono pragnie dziś tego tem mocniej, że jakkolwiek ludzie u nas mają krótką pamięć, pamiętają jednak, że Koło Polskie w Dumie miało złożyć mandaty w razie odcięcia Chełmszczyzny. Mówiono o tem na początku trzeciej Dumy. Rząd stawia w Dumie jednocześnie wycięcie Chełmszczyzny i samorząd miejski w Królestwie o pierwiastku antysemickim, aby poróżnić Koło Polskie z opozycyą rosyjską, w której pierwiastek żydowski jest silny i wpływowy. Udało się to w znacznej mierze rządowi wskutek krótkowidztwa Koła Polskiego w Petersburgu.

Grupy ugodowe polskie pragnące uniknąć dziś walki polsko-rosyjskiej usiłują zająć opinię Królestwa walką polsko-żydowską.

W tym samym czasie, kiedy Koło Polskie w Petersburgu, pragnąc ugody za wszelką cenę, powstrzymuje Koło Polskie w Wiedniu od interpelacyi, oraz usiłuje powstrzymać Galicyę od wieców anti-rosyjskich,

rząd rosyjski wymierza nam nowy cios — upaństwowieniem kolei warszawsko-wiedeńskiej.

Według obliczeń znawców danej sprawy, kolej zatrudnia 85 tysięcy osób, z małym wyjątkiem Polaków. Kolej nadwiślańska, która przed czternastu laty przeszła do rąk rządu, ma już 29 procent rosyjskiego personalu urzędniczego.

Kolej wiedeńska, której upaństwowienie miało według pierwotnej umowy nastąpić w 1932, zostaje upaństwowioną o dwadzieścia lat przed terminem, ze względów rusyfikacyjnych, i prawdopodobnie będzie rusyfikowaną w szybszem tempie.

Po upaństwowieniu kolei wiedeńskiej będziemy doświadczali nietylko bezpośrednio szkody przez pozbawienie pracy i zarobku tysiąca Polaków, oraz przez stworzenie zwiększonej kolonii rosyjskiej w Królestwie. Da się też we znaki i zaciąży nad handlem i przemysłem Królestwa zła, prawdziwa rosyjska gospodarka na tej kolei.

Współczesny rozwój gospodarczy idzie w parze ze wzrostem sfery działalności państwa i przez to coraz mocniej ciążyć musi zaborcze państwo na sferze gospodarczej i kulturze ujarzmionego narodu. Upaństwowienie kolei jest w normalnych warunkach objawem pożądanym dla społeczeństwa, w naszych staje się klęską w zaborze rosyjskim.

W tym samym czasie, kiedy klęska upaństwowienia kolei wiedeńskiej spada na Królestwo, nasza uboga przeludniona Galicya otrzymuje ważne dla jej rozwoju gospodarczego kanały, do budowy których obecnie przystąpiono. Inną razą rozpatrzymy gospodarcze znaczenie tej sprawy.

Dziś konstatujemy tylko, że już zaprzepaszczona sprawa kanałów przybrała dla kraju pomyślny obrót pod naciskiem opinii publicznej podczas wyborów. Wskutek tego ten sam Excel. Biliński, który w swym czasie jeździł do Lwowa podczas Sejmu tłumaczyć posłom, że kanały są niemożliwością, musiał, zasłaniając się opinią kraju, przeprowadzić je jako konieczne.

Mamy tu namacalny dowód, że opinia kraju jest siłą. Ta opinia winna oddziaływać na Koło Polskie nie tylko wówczas, gdy sprawy gospodarcze Galicyi są zaangażowane, ale i wówczas, gdy zewnętrzna polityka narodu polskiego tego wymaga. Pierwszym oddziaływaniem opinii publicznej w tym kierunku są wiece chełmskie. Pod ich parciem Koło Polskie zajęło się wnioskiem Tetmajera i Śliwińskiego o wniesienie interpelacyi w sprawie chełmskiej. Wiemy już, że tylko wskutek interwencyi Koła Polskiego w Petersburgu nie przyszło do interpelacyi. Ulegając namowom sekretarza Koła Polskiego w Petersburgu, Koło Polskie

w Wiedniu okazało swą zupełną dezoryentacyę w sprawach zaboru rosyjskiego. Koło Polskie wiedeńskie zamiast interpelacyi, przemówienia na zewnątrz, wydało odezwę do społeczeństwa. „Krzywdzie naszej dać wyraz i upomnieć się potrafimy“ — pisze Koło w swym manifeście. „Słowa nasze niech staną przed światem tak głośne i silne, jak głośna jest krzywda nasza“.

Dobrze — odpowiadamy na to, — ale jeżeli chcecie, aby słowa wasze były w rzeczy samej głośne przed światem, to winniście je wypowiedzieć z trybuny parlamentarnej w parlamencie, a zwłaszcza w delegacyach.

Odezwa Koła Polskiego w Wiedniu — to nie czyn, zapowiadający inne czyny, nie pobudka, zwiększająca moc narodu, ale jakieś cienie akcyi — prezerwatywa na akcyę. „Zachowajcie spokój i wiarę“ — pisze w swej odezwie Koło Polskie. Dlaczego? Bo można spać spokojnie do dnia sądnego, bo historya nie śpi za „nas“. Giną potęgi światowe, gdy ich fundament opiera się na przemocy, według historyozofii tej odezwy. Cóż to za obłudne pastorskie kazanie! Gdzie jest potęga świata, której fundamenty nie opierałyby się na przemocy? Koło Polskie wiedeńskie jest zabarwiane przez równie lichych filozofów historyi, jak i polityków.

Zarzucano wielokrotnie wiedeńskiemu Kołu Polskiemu, że jest nie polskiem, ale austryackiem. I tem wyjaśniano niezajęcie należytego stanowiska przez Koło Polskie. Jabym powiedział, że w danej sprawie najbardziej stoją na zawadzie brak odwagi i brak rozumu politycznego. Koło Polskie miałoby dużo do powiedzenia z punktu widzenia interesów w monarchii austro-węgierskiej w sprawie chełmskiej.

Trzeba wskazać, na jakim gruncie w Rosyi jest stawiana sprawa chełmska; jak jest tam łączona ze sprawą Galicyi, zwłaszcza Galicyi wschodniej. Historyczną podstawą sprawy chełmskiej jest królestwo Daniły, które obejmuje Galicyę wschodnią i Ruś węgierską.

Z trybuny Dumy referent komisyi projektu chełmskiego wypowiedział się o związku sprawy chełmskiej ze sprawą Rusi galicyjskiej. W 1909 roku hr. Bobryńskij w interwiewie, drukowanym w szeregu pism, wypowiedział, że Galicya wschodnia i Chełmszczyzna winny stanowić jednę rosyjską jednostkę administracyjną. W listopadzie roku bieżącego rosyjski publicysta, Sawienko, w Kijewlaninie dowodził, że po Chełmszczyźnie przyjdzie kolej na Galicyę wschodnią, którą Rosya otrzymać może za dwie tureckie prowincye. Na co odpowiedziały półurzędowe Moskowskija Wiedomosti, że Rosya winna mieć nietylko

wschodnią, ale i zachodnią Galicyę. Polaków nie może oddać na zjedzenie Niemcom.

Nie są to tylko próżne pisaniny dziennikarskie, ale chęć spopularyzowania zamiarów rządu rosyjskiego, zamiarów, przejawiających się w nasyłaniu szpiegów wojskowych do Galicyi od 1908 roku. W ciągu ostatnich trzech lat władze austryackie złapały około setki szpiegów rosyjskich. Od trzech lat zwiększyło swą działalność Towarzystwo Prikarpatskoj Rusi w Petersburgu. Ono dostarcza środków na knowania rosyjskie i na prawosławną propagandę w Galicyi wschodniej. Władze austryackie muszą przeciwdziałać temu preparowaniu Galicyi dla Rosyi, którego konsekwencyą byłby zabór Galicyi. Akcya odnośna władz galicyjsko-austryackich wywołuje obecnie stałą kampanię gazet rosyjskich przeciwko Austryi. Opinia rosyjska jest stale urabianą w kierunku anti-austryackim ze względu na przyszłą wojnę z Austryą, do której przygotowuje się Rosya, do której nie jest gotową, ale której pragnie.

Wyodrębnienie Chełmszczyzny ma naturalny związek z zamiarami zaborczymi na Galicyę. Dowodzi tego między innemi historyczna analogia. Od początku XVIII wieku wszelkim objawom zaborczym Rosyi względem Rzeczypospolitej polskiej towarzyszyły objawy polityki unifikacyjnej w zadniestrzańskiej Rusi. Rzecz zrozumiała, gdyż Rosya musi przyspieszać trawienie, gdy przygotowuje się do nowego kęsa. Pragnąc zagarnąć Ruś Czerwoną, Rosya próbuje nadzwyczajnymi środkami przyspieszyć trawienie posiadanego jej skrawka — ziemi Chełmskiej.

Rosya przygotowuje się do zaborów na zachodzie. Idea ich koncentruje swe społeczeństwo i dąży do odtworzenia swych sił. Austro-Węgry są dziś bardziej gotowe do wojny. Dla nich w uderzeniu na Rosyę leży obrona. To winni powiedzieć nasi z mownicy parlamentarnej polskiej we Wiedniu. To byłoby faktem o światowem znaczeniu: czyn przygotowujący inne czyny. Lecz na to nie stać energii i siły umysłowej posłów naszych.

Jakie społeczeństwo, tacy posłowie; otoż przez zmiany psychizmu w społeczeństwie, osiągniemy i pożądane zmiany w przemówieniach posłów naszych w Wiedniu i wycofanie przedstawicielstwa polskiego z Petersburga.

Wł. St.

SPRAWOZDANIA.

Dr Maryan Kukiel: Dzieje oręża polskiego w epoce napoleońskiej. Poznań. Nakład Zdzisława Rzepeckiego i Ski.

W setną rocznicę roku najżywszych nadziei i zawodów polskich pojawia się książka, przedstawiająca księgę chwały oręża narodowego. Znany z kilku prac specyalnych i publicystycznych autor pokusił się o rzecz nielada. Z literatury olbrzymiej, ale rozrzuconej i niesystematycznej, pozbawionej prawie całkowicie monografij (z bohaterów doczekali się monografij Poniatowski, Sokolnicki, Dąbrowski, cz. I), zapragnął odtworzyć dzieje dwudziestolecia 1794—1814, jednego z najobfitszych w wypadki i najdramatyczniejszych, jakie historya polska wogóle miała. Zadanie w obecnym stanie nauki przechodzące prawie siły młodego pracownika, a jeśli Dr Kukiel je spełnił, wprost świetnie, zawdzięczamy to nietylko doskonałej metodzie, wyniesionej ze szkoły prof. Askenazego, nietylko niezwykłemu oczytaniu, no, i pracowitości przygniatającej, ale w znacznej mierze wybitnemu talentowi artystycznemu.

Od dnia, kiedy istnieć przestała armia Rzeczypolitej, a Henryk Dąbrowski zapragnął ją ocalić i poprowadzić w świat dla wywalczenia lepszej doli — od owej pierwszej myśli legionów do ostatniego strzału legionistów nadwiślańskich, danego d. 3 lipca 1815 w Sévres za Napoleona, śledzimy historyę nadludzkich trudów, bohaterstw, walk i poświęceń. Na 400 wielkich stronicach przesuwają się przed nami dzieje myśli wybicia się na niepodległość, dzieje rozczarowań, które najwytrwalszych mogły doprowadzić do rozpaczy, częściowych tryumfów, które wątpiących mogły i dzisiaj mogą napełnić otuchą. Autor opowiada bez maniery poetyckiej, lecz z niesłychanem odczuciem przedmiotu; fachowy historyk oceni ścisłość jego wywodów, czytelnik nie może się oprzeć żywemu rytmowi, jaki bije z jego kart i darowi plastyki słowa: „dzieje oręża polskiego“ nietylko poznajemy, lecz przeżywamy.

Jak wszyscy młodzi historycy ze szkoły Askenazego jest i Dr Kukiel napoleonistą. Ma dla Napoleona podziw — to zrozumiałe, szczególnie na kartach, rozpatrujących dzieje jego geniusza militarnego; ale zarazem poczuwa się niejako także do długu wdzięczności wobec mocarza, „który nie zdołał przywrócić (Polsce) bytu państwowego na zawsze, ale wskrzesił sprawę polską i Europie ją narzucił, dał narodowi lat kilka wytężonego, samoistnego życia, aktem woli swojej przeorał życia tego treść najgłębszą, przez czyny swoje związał rewolucyę francuską ze społecznością polską, wstrząśnieniem potężnem rozbudził narodowego ducha, a przekazał Polsce — wygnaniec i więzień — tę, co narodowi własnemu, spuściznę: pamięć wielkich poświęceń, wielkich bohaterstw, wielkich czynów“. Czy to dosłownie prawda? Czy bodaj spadkobiercy oręża napoleońskiego w r. 1831 myśl tę rozumieli? Czy Napoleon sam na bezwzględną apoteozę zasługuje? Setna rocznica powinna przypomnieć nietylko karty chwały, ale także misyi i instrukcyj ks. Pradta.

Z książki Dra Kukiela przemawia nietylko dziejopis, nietylko pierwszorzędny talent pisarski, lecz także jeden z przedstawicieli młod-

szego pokolenia, dźwigającego się z charłactwa poprzedniej generacyi, dyszącego żądzą czynu. To główna odpowiedź na zarzuty przeceniania ducha napoleońskiego, odpowiedź — wystarczająca.

Dodać należy, że przepiękne dzieło zostało przepięknie wydane. Ogromny szereg portretów, obrazów historycznych, map i t. d. idzie w parze ze słowem autora, równolegle uplastyczniając dramatyczność żywej tej — dla życia przeznaczonej księgi. *Ch.*

Leon Wasilewski: Ukraina i sprawa ukraińska. Kraków, Spółka nakładowa „Książka“.

Jeżeli o ostatniej książce Leona Wasilewskiego powiemy, że jest „na czasie“, to zaledwie w drobnej części podkreślimy jej znaczenie. Jest ona dotąd jedyną w publicystyce polskiej, obejmującą tak wszechstronnie i wyczerpująco sprawę ukraińską — z tego powodu nie może przez żadną inną być zastąpiona.

Można wymagać od dzieła więcej metodyczności naukowej, podawania źródeł, krytyczniejszego traktowania pewnych faktów, przeważają w niem jednak nieskończenie strony dodatnie. W pierwszych rozdziałach przedstawia autor obraz Rusi etnograficzny i statystyczny. Pomimo różnic i mięszaniny kilku pierwiastków przyjmuje istnienie odrębnego typu antropologicznego Rusinów-Ukraińców; liczbę ich obecną na zwartem historycznem ich terytoryum podaje na 35 milionów, a w rozprószeniu na dwa miliony. Na przeszło 100 stronicach roztacza obraz ich dziejowy we wszystkich zaborach, szczegółowiej traktując dzieje zaboru austryackiego, obudzenie się wśród nich ducha narodowego, rozwój piśmiennictwa do doby dzisiejszej, tworzenie się partyj współczesnych (brak natomiast bliższych danych o ruchu ekonomicznym).

Blisko sto stronic poświęca autor omówieniu obecnego ruchu politycznego Ukraińców, z szczególnem uwzględnieniem stosunku do kwestyi polskiej. Do kwestyi polskiej, mówimy, nie do Polaków, gdyż p. Wasilewski Leon rozważa zjawiska polityczne z jedynego stanowiska, z jakiego traktować je należy: z punktu widzenia niepodległości polskiej. Ta idea pociąga za sobą dalsze postulaty: organizowania walki z Rosyą i istnienia odrębnej, niepodległej — naszem zdaniem: sfederowanej z Polską — Ukrainy.

Perspektywy tej idei nie są, zdaniem autora, zbyt optymistyczne. Na Ukrainie ruch narodowców, rozkwitłszy pod tchnieniem ostatniej rewolucyi, zacieśnił się przymusowo, a poniekąd i dowolnie do działalności kulturalnej i ekonomicznej; w Galicyi przeważa zacietrzewienie narodowych demokratów, którzy, jak wszyscy nacyonaliści, więcej żyją z walki z przeciwnikiem, niż z idei twórczych. „Walka więc — konkluduje autor — toczy się i toczyć się nie przestanie. I jeśli szczera demokracya obydwóch narodów coś może uczynić, to chyba starać się o to, aby ta walka nie przybierała form tak ohydnych, aby w niej mniej było krwi i błota, a więcej poglądów szerszych, wybiegających poza ciasne szranki zaścianków powiatowych i prowincyonalnych, więcej zrozumienia interesów całej Polski i całej Ukrainy. Jedynem bowiem wyjściem z dotychczasowej, zdawałoby się beznadziejnej sytuacyi, jest oce-

nienie stosunków wzajemnych Polaków i Ukraińców — po obydwóch stronach kordonu — ze stanowiska dążeń niepodległościowych obydwóch krajów. Tylko na tle tych dążeń możliwy jest modus vivendi i — w dalszej przyszłości — sojusz między Polakami a Ukraińcami."

M(arya) Stecka: Edward Dembowski. Pol. Tow. nakładowe. Lwów 1911.

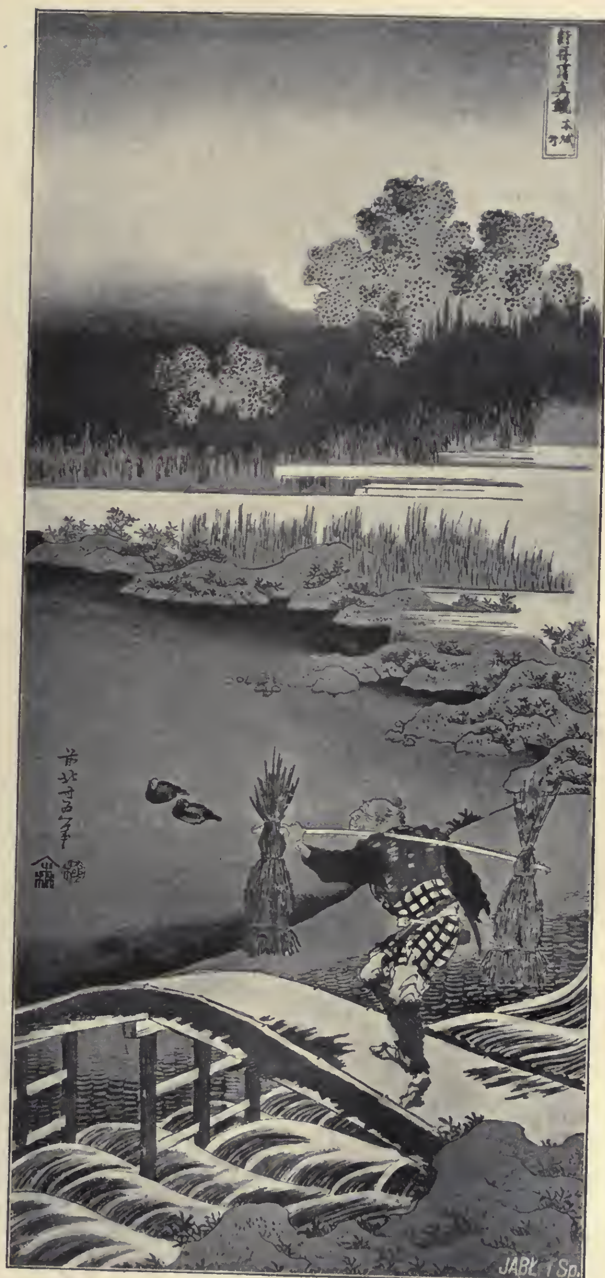
Dobrze, że choć tymczasem spłacono pierwszy, a zdawna zaległy dług. Z jaką pasyą burzonoby dziś legendę o Dembowskim! Lecz legendy jeszcze niema. Szałem Aresowym opętana, młodzieńcza, szalona głowa nie mówi nic polskiej współczesności. Kiedyś może ktoś — mistrz słowa — świetną błyskawicą oświetli postać tego jasnego pana i czerwonego radykała, kasztelańskiego syna — rewolucyonisty, w mocne a żywe kształty zawrze treść jego żywota i czynów. Naród potrzebuje bohaterów! Ktoś inny może porówna twórczość Dembowskiego ze współczesnością, przenominuje na znaki dzisiejsze owe drogi i rozwiązania, po których szedł, których szukał ów człowiek. To wszystko staje się obowiązkiem przyszłości.

Na razie winniśmy wdzięczność p. Steckiej, że się ważyła zająć kwestyami przez krytykę oficyalną oficyalnie ignorowanemi, pisząc rzecz o Edwardzie Dembowskim (drukowaną uprzednio w warszawskim „Przeglądzie historycznym"). Przyjmujemy pracę taką, jaką jest; życiorys ów — zewnętrzny nazbyt i niejednolicie opanowany (działalność pisarska Dembowskiego zbyta krótko i powierzchownie) — przynosi dużo wiadomości; nie wchodzimy w ocenę szczegółową, nie próbujemy uzupełniać czy rektyfikować strony faktycznej, zaznaczamy tylko charakter książki: kronikarski, nie wartościujemy, podnosimy oparcie się na szerokim materyale, w znacznej części rękopiśmiennym.

Streszczać książki nie będziemy. O Dembowskim wiemy tak mało, że przeczytanie tej treściwej, a nie wielkiej rozmiarami rozprawki staje się prawie obowiązkiem. *M. K.*

Pamięci Antoniego Zaremby. Moskwa. Nakładem i staraniem przyjaciół.

Zmarły w r. 1909 skromny współpracownik „Russkich Wiedomostiej" był człowiekiem serca i charakteru. Maluje jego postać ze szczerem wzruszeniem p. St. Posner, malują go wyjątki z listów: na obczyźnie, jako współpracownik wybitnego organu rosyjskiego, myślał gorąco o Polsce i godził ją ze szczytnemi ideami ludzkości. Kilka artykułów, które w tej książeczce przedrukowano, świadczą, jak użytecznem mogło w innych warunkach być jego pióro. Zacnemu człowiekowi, dobremu obywatelowi, ta wiązanka pośmiertna słusznie się należy.



Hokusai. Wydawnictwo „Krytyki“.

DRUK. LITERACKA KRAKÓW







Hokusai.

Wydawnictwo „Krytyki“.

DRUK. LITERACKA KRAKÓW

Z KIELICHEM W RĘKU...

(PIEŚŃ PRZY UCZCIE).

Hej, druhy! zaśpiewać wam chciałem
pieśń wielką, słoneczną, radosną,
tęczowym rozlśnioną kryształem,
szaloną — szalonych serc wiosną!
Jak dzwony śpiewały mi lutnie
— Za struny szarp nasze! Wyprowadź
harmonie, by niemi rozrzutnie,
jak pendzlem stubarwnym na płótnie
módz Zachwyt i Szczęście malować! —
Lecz jasne się barwy wyprzędły,
Ot, jeszcze w tej samej godzinie —
a szczęście? kwiat zmięty i zwiędły
gdzieś płynie... płynie...

Z tym żalem, co ściska pierś biedną
i miota na oczy łez kir
i słońca płomienie wnet bledną
i złoto się zmienia wnet w żwir —
z tym żalem, którego nurt mętny
głęboki wskróś duszy rwie źleb
i w piersi, jak ogień namiętnej
duch-karzeł się rodzi i, smętny,
Ikarem zostaje swych nieb —
Ikarem, co wdziewa koturny
oparte na błocie i glinie — —
hej, czarny los wypadł nam z urny,
a szczęście?
gdzieś płynie...
i płynie...

Żal po czem? żal za czem? Nie wiemy,
co w nas się tak smęci i żali:
posępny ból jakiś i niemy,
jak ostrze przeszywa nas stali.

Zawisa nad nami powietrze
szarawe i ciężkie jak ołów
i dławi, aż barwę z lic zetrze
i w płótna ubierze najbledsze
szkielety i dusze... z popiołów —
choć żywi, za życia napoły
w mogilne wkopani już skrzynie,
a śmierć, jak nóż w piersi tkwi goły,
a szczęście?...
gdzieś płynie...
i płynie...

Toż czasem coś dech nam zatyka
i drżymy bezsilni jak liść,
lub wściekłość się zrywa z serc dzika
by targać i kąsać i gryźć!
paznokcie wbić w kraty kazienne
i zębem spienionym ryć mur
i oczy rozpalić bezsenne,
by pękły jak kule płomienne,
skrzesane o czarną stal chmur —
bo czujem, jak zwolna dzień każdy
pustoszy dusz naszych świątynię —
a szczęście?... od gwiazdy do gwiazdy
płynie... ginie...

Hej, druhy! z kielichem nam w ręku
ślubować prześwięty dziś ślub,
że lwia krew wytryśnie z serc lęku
i niemoc nam padnie do stóp!
Co dusze i dłonie nam mota,
niech starga dostojnych serc bunt —
niech żyje żelazny pęd młota!:
z krwi bladej, łez słonych i błota
potęgi wykujem grunt.
Swem jutrem pokruszmy swe wczora,
to pełne popiołów naczynie —
a szczęście?... jak senna niech zmora
płynie... zginie!...

Bogusław Butrymowicz.

MŁODY MICKIEWICZ.

„Und die alten Formen stürzen ein“.

(Nieznane pisma Adama Mickiewicza (1817—23), z Archiwum Filomatów wydał Józef Kallenbach, Kraków 1910, Gebethner i Sp. — Adama Mickiewicza Pisma, wydał Józef Kallenbach, nakładem E. Westa w Brodach, 1911, tom I i II.

Józef Kallenbach: O nieznanych utworach Adama Mickiewicza; „Pamiętnik literacki“ 1908, str. 75 i 482; Stanisława Pietraszkiewiczówna: Dzieje Filomatów w zarysie; „Przegląd powszechny“ 1909—11; Józef Kallenbach: Lata uniwersyteckie Mickiewicza; „Biblioteka Warszawska“ 1910 luty i marzec; Dr Maryan Szyjkowski: Mickiewicz w świetle nieznanych pism; „Bibl. Warsz.“ 1910, kwiecień, maj i czerwiec; Manfred Kridl: Mickiewicz w świetle nieznanych pism; „Sprawozdania z posiedzeń Tow. Nauk. Warsz. Wydział językoznawstwa i literatury. Posiedzenie z d. 8 czerwca 1910“; Józef Kallenbach: Mickiewicz w Kownie; „Biblioteka Warszawska“ 1911, styczeń [1]).

Lat 80 z górą przechowywane z pietyzmem w rodzinie ś. p. Onufrego Pietraszkiewicza Archiwum Filomatów doczekało się nareszcie chwili, w której uzyskał je do przejrzenia prof. Kallenbach, pośrednicząc zarazem w wydaniu cennej spuścizny przez Krakowską Akademię Umiejętności. W miejsce zaś tej, będącej w toku, ogromnej publikacyi, która obejmie 1200 listów i około 800 arkuszy pism filomackich — pojawił się jej surogat, pod postacią pilnie opracowanego, choć nieco schematycznego referatu panny Pietraszkiewiczówny. Oczywiście uwagę skupiają głównie te karty Archiwum, na których utrwaliła się myśl wielkiego Mistrza polskiej poezyi romantycznej, Adama Mickiewicza; wydzielił je też z papierów filomackich prof. Kallenbach, ogłaszając w osobnym tomie jako „nieznane pisma“, o których już dwa lata przedtem zdawał sprawę w „Pamiętniku literackim“ — nadto zaś przedrukował z nich niektóre w dwóch pierwszych tomikach wydawnictwa F. Westa („Nasi wielcy pisarze“). Nieznane pisma Mickiewicza obudziły zrozumiałe zajęcie w polskiej krytyce naukowej. Sam wydawca zajmował się

---

[1]) W lipcowym zeszycie „Biblioteki Warszawskiej“ b. r. ogłoszono drobny artykulik prof. A. Pogodina p. t. „Sonety miłosne A. Mickiewicza a pani Kowalska“, który jednak nie może wchodzić tu w rachubę; szczegół bowiem, jaki porusza, został już przedtem omówiony obszerniej, a przypuszczenie, jakoby sonety erotyczne Mickiewicza XVI—XIX należało odnieść do p. Kowalskiej, nie zostało niczem poparte.

niemi jeszcze dwukrotnie — prócz tego pojawiły się w tej sprawie dwa obszerniejsze studya, które wymieniamy w nagłówku, zachowując w całym wykazie literatury przedmiotu ściśle chronologiczny porządek.

Pomiędzy rozprawami prof. Kallenbacha, a artykułami dwóch innych autorów zachodzi ta zasadnicza różnica, że gdy pierwszy opierał się na materyale z pierwszej ręki, t. j. na całokształcie papierów filomackich — dwaj inni zmuszeni byli zadowolić się jedynie pismami samego Mickiewicza; prócz tego zaś mogli się tylko posiłkować rozprawą Pietraszkiewiczówny, co też podpisany uczynił w części (w tej mianowicie, która była już podówczas w „Przeglądzie powszechnym" wydrukowana), czego natomiast p. Kridl ze szkodą dla rzeczy uczynić zaniedbał.

Z tego powodu zmuszeni jesteśmy — aż do pojawienia się całego Archiwum w druku — w wielu razach wierzyć prof. Kallenbachowi na słowo, odkładając aż do tego czasu rozstrzygnięcie niektórych szczegółów spornych oraz zastąpienie hipotez faktami.

Pozatem wymienione rozprawy w mniejszym lub większym stopniu uzupełniają się wzajem, wydobywając z niepewnych cieniów, które legły były na najwcześniejszej młodości twórcy „Ody do młodości" — nieznane oblicze: Mickiewicza, organizatora i społecznika, krytyka literackiego i estety, a wreszcie i poety, po którym pozostałe szczątki nie olśnią pięknością linii, ani głębią treści, ale zaciekawić muszą jako chaos, z którego ma się urodzić gwiazda.

* * *

W pracach organizacyjnych Filomatów nie grał Mickiewicz bynajmniej roli na poły biernej — jak utrzymywano dotąd. Był wszakże zawsze poetą czynu, wielbił życie; to życie pojmował jako spienioną falę, druzgocącą wszelaką tamę lub zaporę, którąby próbowała powstrzymać lub odwrócić bieg jej od celu, jaki zamierzyła osiągnąć. Celem tym, zawsze niezmiennym, jest — dobro społeczne. To jest owo mistyczne naczynie świętego Grala, przechowywane na niebotycznej turni Monsalwatu, ku której niestrudzenie dąży ten pielgrzym Boży już od chwili, kiedy 17-letnim młodzieńcem przybywa do Wilna. Tu odrazu napotyka dusze młode, a piękne i gorące, serca wyjątkowe, które odgrywają mu tym samym tonem szczytnego altruizmu, tą samą miłością ideału, tem samem ukochaniem życia i ofiary. Życie i ofiara nie stanowią dla nich antynomii;

przeciwnie, zlewają się w najpiękniejszy akord tej jedynej w dziejach symfonii, którą odegrało grono „kochanków cnoty“.

Mickiewicz, znalazłszy się w takiej atmosferze, rozpoczyna działać. Rzuca myśli organizatorskie, obmyśla środki wprowadzenia ich w czyn, zakreśla cele związku. Opiera się w tem na żywotnych jeszcze u nas hasłach wieku „oświecenia“, zużytkowuje myśli Rousseau'a, Encyklopedystów, francuskich związków ekonomicznych, szkoły Lankastra — ale z drugiej strony podwaliną tych 19-stu artykułów jest wszędzie własne, gorące serce poety, celem: „dobro powszechne“ (Instrukcya... z 29 stycznia 1819). Ten cel—wyraźnie poeta stwierdza—jest „bardzo dobrze w uczuciu naszem pojęty“ („O członkach czynnych...“ 5—7 maja 1819). Osiągnąć go można, rozszerzając „gruntowne oświecenie w narodzie polskim, poprawiając instrukcye, gruntując niezachwianie narodowość, rozszerzając zasady liberalne, obudzając ducha działania publicznego...“ („O Towarzystwie Filomatów....“ maj 1819). W tem wszystkiem niema liczenia się z rzeczywistością, z ubóstwem środków, jakimi mogła rozporządzać młodzież wileńska, ale to właśnie znamionuje dobrze pęd i rozmach młodzieńczy. „Hymn do młodości“ (tak pierwotnie nazwaną była „Oda“), napisany był nieco później, mianowicie w grudniu 1820 roku — ale hasła jego tkwią potencyalnie już w artykułach organizatorskich Mickiewicza. Umieszczone na czele hymnu Schillerowskie słowa: „A stare formy się walą“—mogą być odniesione jako motyw do całej działalności Mickiewicza-społecznika. Jest w niej i wiara w zapał, który tworzy cuda i każe siły mierzyć na zamiary i chęć zwrócenia świata na nowe tory i podniesienie „świata ducha“ ponad „świat rzeczy“. Najpiękniejsze tony, jakie na harfie życia wygrała dłoń twórcy „Dziadów“ — już drgają w tych filomackich pracach. A jakkolwiek melodya ich jeszcze nie pełna, jakkolwiek tłumią ją tu i ówdzie jeszcze zbyt silnie duchem czasu podparte fetysze, to jednak zasadniczy koloryt jej brzmienia pozostaje zawsze ten sam. Mogły na emigracyi zmienić się środki działalności Mickiewicza, boć i warunki zewnętrzne zasadniczo odmiennie się ukształtowały. Nie zmienił się—jak trafnie podnosi p. Kridl — człowiek; pozostał zawsze ten sam młody, gorący duch, który ukochał życie i ofiarę i dla którego „dobro powszechne“ nie przestało być nigdy celem finalnym.

* * *

Poglądy krytyczne młodego Mickiewicza znaliśmy dotąd przedewszystkiem z jego „Uwag nad Jagiellonidą“ Dyzmy Bończy Tomaszewskiego, drukowanych w „Pamiętniku warszawskim“ 1819 r., a powstałych — jak się okazuje — w kwietniu i maju 1818 roku. Jakkolwiek różnice pomiędzy tekstem drukowanej a odczytanej na posiedzeniach filomackich rozprawy mają być drobne (Kallenbach), to jednak nie sądzę, iżby te waryanty nie potwierdziły w pewnej mierze mojego przypuszczenia, że młody kandydat stanu nauczycielskiego, stojący w przededniu egzaminu na magistra, liczył się z opinią konserwatywną Grodków i Śniadeckich i przed drukowaniem rozprawy pousuwał lub złagodził najbardziej drażliwe punkta. Trzymając się zaś aż do ogłoszenia autografu wydrukowanego tekstu, stwierdzić można, że z wielkim nakładem pracy rozwinięta w nim teorya epiki tkwi jeszcze zasadniczo w granicach szkoły Boileau'a i jego wielbicieli — i ledwo drobne pod tym względem można zauważyć odchylenia; jedno z nich mianowicie, to nieśmiało poruszona kwestya „machiny“ cudownej — rozwiązana w praktyce za wzorem Woltera w „Kartofli“, drugie, to rozważanie natury figury porównania, które doprowadziło autora do wniosku, że „porównania z natury wzięte są zawsze wspanialsze, więcej podnoszą przedmiot, do którego się przyrównywują, a zatem lepiej swemu celowi odpowiadają“.

Do „Uwag o Jagiellonidzie“ przybyło obecnie 9 nowych „uwag“ i „recenzyj“, które mają przedewszystkiem tę niezaprzeczoną wartość, że, nie przeznaczone do druku, czytane w kole zaufanych przyjaciół, odbijają poglądy krytyczne młodego Mickiewicza całkiem szczerze i bezpośrednio. Przytem powstawały one w przeciągu 25 miesięcy, w okresie, w którym Woltera pokonał Schiller, a „Demostenes“ ustąpić musiał miejsca balladom; skutkiem tego przemiana wartości na szlaku od klasyków do romantyków dokonywa się w nich widocznie krok za krokiem, o czem szczegółowo pisałem gdzieindziej, a co ogólniej i niezależnie odemnie stwierdził p. Kridl. Tutaj chcę wskazać tylko najbardziej znamienne tej ewolucyi etapy. Przedewszystkiem podnieść należy, że podstawowe tło krytycznych poglądów młodego Mickiewicza opiera się na stosunkowo szerokiej i sumiennie przemyślanej podstawie estetyczno-krytycznej. Jest rzeczą nieodżałowaną, że estetyczne rozprawy Mickiewicza z tego czasu, których tytuły podaje p. Pietraszkiewiczówna i prof. Kallenbach, zaginęły. Zwłaszcza niepowetowaną szkodą jest zatracenie „Przechadzek wiejskich“, w których młody poeta, używszy formy

dyalogu Platona, wyłożył cały swój system estetyczny. Na budowę tego systemu złożyły się zapewne prace, w których gorliwie się rozczytywał, jak „de l'Esprit“ Helwecyusza, „Encyklopedya sztuk pięknych“ Sulzera, do której zbiorowego przekładu przyjaciół zachęcał i sam nawet artykuł o „operze“ przełożył, zwłaszcza zaś Kant, którego znawstwo w Polsce stanowi mało znaną a bardzo ciekawą kartę w dziejach umysłowości naszej z początkiem XIX stulecia. Owóż dochował się referat Mickiewicza z recenzyi artykułu o Kancie, ogłoszonego w „La Prusse littéraire“, w którym młody autor potrafił wykazać i pewien krytycyzm i pewną samodzielność sądu, opartą na znajomości przedmiotu. Coprawda znajomość tę czerpie ze źródeł pochodnych, głównie zrazu, jak przypuszczam, z dwóch dzieł księdza Feliksa Jarońskiego, wydanych w Krakowie w 1810 i 1812 r. 1) „Jakiey filozofii Polacy potrzebuią?“ 2) „O filozofii“), następnie z dzieła Drevesa (Georga) p. t. „Resultate der philosophierenden Vernunft über die Natur d. Vergnügens, der Schönheiten, des Erhabenen“. II. Aufl. Lipsk. 1797 oraz „Antropologii popularnej“ Pölitza (Lipsk 1800), w których to komentarzach Kanta rozczytywał się poeta gorliwie w Kownie. Tak wrodzone skłonności, jak i kierunek obu dzieł niemieckich, kierowały myśl młodego Mickiewicza głównie ku tym zagadnieniom filozofii Kanta, które stały w pewnym związku z problemami estetyki, zwłaszcza estetyki zdobniczych elementów poetyckiego słowa [1]).

Te wszystkie nowe szczegóły, które wydobyto z nieznanych pism Mickiewicza, są niesłychanie ważne i interesujące dla oznaczenia, w jakiej to szkole kształcił się Mickiewicz-teoretyk, zanim w praktyce spróbował lotu. Cała późniejsza jasność, ścisłość, precyzya i logika dykcyi tego, który mógł śmiało o sobie powiedzieć, że mowy rodzinnej nie uronił — opiera się na teoretycznych studyach w czasach filomackich, których owocem jest szereg artykułów krytycznych, tak wielki nacisk kładących na stronę formalną dzieła poetyckiego. Tem to tłómaczy się uwielbienie Mickiewicza, herolda polskiego romantyzmu, dla najczystszej krwi neoklasyka Trembeckiego, którego zwartość formy i wzorowy układ tropów nie przestały być nigdy dla twórcy „Dziadów“ wzorem, godnym zalecania.

---

[1]) W liście do Jeżowskiego z Kowna (1820 r. październik) prosi poeta o taki komentarz Kanta, któryby mu „posłużył do zrozumienia estetyków jego szkoły“.

Niemniej ciekawą jest ewolucya poglądów młodego Mickiewicza na treść dzieła poetyckiego. Przedewszystkiem nigdy młody krytyk nie odrywa sztucznie treści od formy, jak to nieraz i współcześnie się dzieje. Obie te strony poezyi traktuje łącznie, jako dwa oblicza jednego boga, stojące wzajemnie w ścisłym, organicznym związku. Niesłychanie ciekawe jest wrażenie, jakie na ucznia Borowskiego wywarło pierwsze dzieło „romantyczne", z którem się zetknął — „Pani jeziora" Walter Scotta. Recenzyę Mickiewicza o francuskim przekładzie III pieśni tego poematu odczytano 27 grudnia 1818 roku — na cztery lata zatem przed pełnym rozwojem „brytanomanii" poety pod znakiem Szekspira i Byrona. W utworze angielskim zaciekawiają poetę te właśnie jego cechy, które mu nadały nowe i odrębne odczuwanie piękna, jak „ponurość i okropność, czułość przerażająca i dzika" ogólnego nastroju, niezwykłość porównań, liryzm hymnu do Matki Boskiej. Rzecz — zdaniem referenta — „może służyć za najpiękniejszy wzór poezyi rycerskiej. W tłómaczeniu nawet czyta się z zachwyceniem. Moc wyrażeń i nowość porównań szczególniej zasługują na uwagę".

A choć sercem skłania się już poeta ku nowej poezyi — nie potrafi jeszcze zupełnie wyzwolić się z pod ciasnych prawideł pseudoklasycznej sztuki rymotwórczej. Od liryka żąda zapału i mocy — a jako wzór podaje jednocześnie „Porwanie loku" i ody Popego (w uwagach o wierszu Jana Czeczota „Do Anieli"). Tymczasem pojawiają się jakieś nowe rodzaje poezyi, które nie mieszczą się w klasycznym schemacie. Młody krytyk, przystępując do ich omawiania, czuje się zakłopotany. Nieśmiało próbuje dowieść ich racyi bytu i urobić dla nich nowe założenie. Na tej drodze, porając się krok za krokiem z wkorzenionemi od dziecka teoryami, obala stare formy, jednę po drugiej, i dochodzi wreszcie do takiego określenia zadań krytyka: ma on przedewszystkiem wyczytać z dzieła „duszę autora, poznać, ile można, ideał, podług którego dzieło było utworzonem, i wtenczas sądzić, czyli wydanie takowego ideału jest wierne, to jest doskonałe". Sąd wypadnie trafnie, jeżeli krytyk „uczuje zapał liryczny".

Takie jest ostatnie słowo młodego Mickiewicza-krytyka. Zawarł w niem poeta całkiem nowoczesny postulat kongenialności pomiędzy krytykiem a autorem, zażądał powiązania ich dusz wspólną nicią pokrewnego odczuwania, podniósł jako warunek konieczny, że twórczej intuicyi poety musi odpowiadać podobna intuicya odtwórcza krytyka. Stąd — jak znowu trafnie zauważył p. Kridl —

był krok jeden do połączenia momentu uczuciowego z intelektualno-analitycznym i podporządkowania pierwszego drugiemu. Mickiewicz kroku tego nie czyni — jedynie w miejsce pseudoklasycznego postulatu jedności akcyi, przy którym trwał jeszcze w analizie „Jagiellonidy“, stawia żądanie jedności ideału, myśli naczelnej, za którą zgodnie postępują inne, tworząc jeden gmach myśli twórczej.

* * *

Ogłoszone w nieznanych pismach utwory poetyckie Mickiewicza mają wartość historyczną, jako pierwsze próby wykłówającego się talentu, który znajduje się w fazie poszukiwania dróg sobie właściwych. Jest ich przytem niewiele: wierszyk p. t. „Pani Aniela“, dyalog humorystyczny „Dodatek do Cwibaka“, uzupełniający ogłoszoną przez Gawalewicza w „Pamiętniku literackim“, 1910, s. 323. krotochwilę Zana, p. t. „Gryczane Pirożki“, filomackie wiersze imieninowe (między nimi tekst pierwotny pieśni „Hej! radością oczy błysną“), t. zw. jamby powszechne przed wyjazdem do Kowna, wiersz „Do Czeczota“, pierwotne brzmienie „Czterech toastów“ — oraz przekłady: z Horacyusza, Owidyusza, Pindara, Gleima i Schillera. Tu należą również: „Mieszko“, „Darczanka“ i „Kartofla“ — o których wyczerpującą wiadomość podał w swoich studyach prof. Kallenbach [1]) — oraz zaginiona tragedya klasyczna „Demostenes“, wspominana przez poetę niejednokrotnie w wydanej korespondencyi. To są wszystko utwory z epoki wileńsko-kowieńskiej, o których do niedawna nie posiadaliśmy żadnych bliższych szczegółów, podając „Zimę miejską“ za pierwszą próbę Mickiewiczowskiej muzy. Wyprzedza ją obecnie „Pani Aniela“, która wraz z poematem o „Mieszku, księciu nowogródzkiem“ stoi w ścisłej zależności od utworów Woltera (Kallenbach). Jeżeli dodamy do obu tych utworów wiadomość o podjętym przekładzie „Dziewicy Orleańskiej“ Woltera, dojdziemy do konkluzyi, że zawód poetycki rozpoczął Mickiewicz pod znakiem — wolteromanii. Jest to jedno z najciekawszych odkryć, do jakich doprowadziły nieznane utwory Mickiewicza z tego czasu. Fakt ten obszernie i umiejętnie rozpatrzył prof. Kallenbach, zaś uwagi jego w tym względzie uzupełnił ogólnym a cennym wnioskiem p. Kridl, że „nie było przerwy w na-

[1]) Urywek „Kartofli“ ogłosił był nadto Z. Przesmycki w „Literaturze i Sztuce“. Warszawa. 1911. Dodatek do numeru 254 „Nowej Gazety“.

szem odrodzeniu kulturalnem, które rozpoczęło się z wiekiem XVIII. Mickiewicz bowiem jest dzieckiem wieku Oświecenia".

Po ustaleniu tego faktu pozostałe utwory Mickiewicza mogły dostarczyć już mniej materyału do ważniejszych spostrzeżeń. W każdym razie zestawienie odmianek tekstu w obu wierszach filareckich „Hej radością oczy błysną" i „Cztery toasty" — tak ideowo pokrewnych „Odzie do młodości" — oraz dokładna analiza przekładów pod względem ich doboru i formy — wydobyła na jaw cały pierwiastkowy proces doskonalenia formy, która z ciężkiej i opornej staje się coraz bardziej gibka i biegowi myśli twórczej posłuszna.

Pozatem nieprzebraną skarbnicę nowych szczegółów bio- i bibliograficznych przynosi ogłoszona korespondencya poety. Do dziewięciu znanych dotychczas listów Mickiewicza, odnoszących się do tego czasu, z których najwcześniejszy, do Lelewela pisany, pochodzi z 1818 roku — przybyło 95 nieznanych, noszących charakter bezwzględnie szczerych zwierzeń młodzieńca, u którego filomacka powaga myśli szła w parze z prawdziwie młodzieńczą werwą i bujnością. Prawda i marzenie wypełniają skromną izbę kowieńskiego nauczyciela gorącem światłem słońca, które złocistą pożogą ozdabia ubogie kąty i szarą rzeczywistość pokrywa królewskim płaszczem Poezyi. Tam snują się pomysły ballad i romansów, powolnie, „invita Minerva", posuwa się praca nad „Grażyną", ogrzewa się serce Gustawa nikłym płomykiem drobnych miłostek, palą się krwawą żagwią zmysły — aż wreszcie wielkim, jasnym i czystym żarem rozbłyska miłość do Maryli Wereszczakówny, ażeby bolesną próbą ognia zahartować serce Gustawa, oczyścić je z przyziemnych pyłów i buchnąć w „Dziadach" pieśnią na cześć tej miłości, która mocna jest jako śmierć. Jak burza, oczyszczająca powietrze, tak lata owe przeszły ponad sercem młodzieńca, odbijając się wyraźnym śladem na jego pomysłach twórczych, które dopiero teraz we właściwem okazują się świetle. Czas to wszakże najsilniejszego fermentu; w nim dokonywa się przełomowe wyzwolenie twórczego ducha, który, szukając dotąd drogi po omacku, ujrzał nareszcie Wieczne Światło i podąża ku niemu już szybkim i pewnym pochodem. Już mu nie stawia oporu, nie łamie się i nie kruszy słowo — lecz posłusznie biegnie na zawołanie w improwizacyach, które zjawiają się po raz pierwszy z końcem 1818 roku (według Czeczota). Już legły w gruzach stare formy — w grudniu 1819 roku powstają, jak się zdaje, „Tukaj" i „Świteź", w kwie-

tniu 1820 roku „Lilie“, w połowie grudnia 1820 roku wybucha całą żywiołową mocą na Schillerowskich wierszach wykarmiony „Hymn do młodości“, a w styczniu 1821 roku epokowy wiersz — program polskiego romantyzmu „Romantyczność“. Proklamacyjny charakter tego utworu rozumie doskonale poeta; zatem przerabia go kilkakroć, próbuje siły wyrażeń, wzmacnia ją i potęguje, natęża gesty i dobiera coraz wymowniejszych akcentów.

Tymczasem w pierś młodą godzą wstrząsające ciosy. Pod koniec wakacyj 1820 r. już postanowiono wydać Marylę za Puttkamera — w grudniu tegoż roku dochodzi poety żałobna wiadomość o śmierci matki. Serce jego łka rozpacznie i krwawi się, twórczość chwilowo słabnie, ażeby tem więcej sił nagromadzić do potężnego polotu — w „Dziadach“. Z łez i plennego bolu rodzi się ten poemat miłosny, któremu nic dotąd równego nie wydała poezya polska. Wakacye 1821 roku, spędzone w stronach rodzinnych, w Wilnie i Nowogródku, odwiedziny opustoszałego domu, w którym poeta ujrzał światło dzienne — wywołują tę bolesną restytucyę wspomnień, ten pogrzebowy korowód wizyj, który dostarczył podstawy poematowi o „Dziadach“. Wrażenie odwiedzin rodzinnego domu, które opisuje poeta w liście do Czeczota, uległszy poetycznej transformacyi, zjawia się w IV części „Dziadów“ (ww. 772—816 i 806—888). Jednocześnie zaś w czasie samotnych dni dumań, spędzonych w sierpniu tegoż roku w puszczy nad Świtezią, powstaje „Świtezianka“, którą uważam za allegoryczny obrachunek poety ze samym sobą, za ciekawe odbicie rozdwojenia psychicznego pomiędzy „promionkową“ miłość do Maryli a zmysłowy stosunek z panią Kowalską. Jest to jedno z najciekawszych przeżyć, jakie przebył poeta w tym czasie. Nowy ten epizod z jego życia dostarcza nam klucza do rozwiązania wielu niejasnych szczegółów w młodzieńczych utworach Mickiewicza. Pisałem o tem obszerniej w wymienionej rozprawie, nie przypuszczając, że narażę się na insynuacyę, jakobym przez to „rzucił, na kryształową postać wielkiego Filomaty brzydką plamę“. Zarzut ten uczynił mi jeden z młodych krytyków szkoły krakowskiej w mniemaniu, że Mickiewicz takiej obrony potrzebuje [1]). Przypuszczam, że obecnie weźmie się tenże krytyk konsekwentnie do oczyszczania z takichże „plam“ i innych, najpiękniejszych duchów, jakie wydała ludzkość, nie wyłączając twórcy „Boskiej Komedyi“.

---

[1]) Zob. „Pamiętnik literacki“, 1911, s. 155.

Mój Boże! czegoż to u nas nie wymagają niektórzy od poety! Do postulatu prawomyślności politycznej i religijnej ortodoksyi — przybywa żądanie poczwórnej wstrzemięźliwości, które w postaciach, imponujących wyjątkową harmonią równomiernego rozwoju władz ciała i duszy, chce widzieć bezkrwistych rzezańców.

Sądzę jednak, że mimo niektóre szczegóły, ujawnione w wydanych listach Mickiewicza, postać poety nie uroniła nic ze swoich posągowych kształtów Sternika narodowej nawy i Budowniczego arki przymierza między dawnemi a nowemi laty. Przeciwnie — czem bliżej i dokładniej wpatrujemy się w wewnętrzny skład materyału, z którego wyrosła, tem silniej i szlachetniej dźwięczy spiż, w którym młodość, życia rzeźbiarka, potężnym rozmachem dłoni wylała formę, już o wyraźnym zarysie całego życia.

Maryan Szyjkowski.

W WALCE O ŚWIATOPOGLĄD.

I. MONIZM PRZYRODNICZY.

Korzystam z uprzejmej gościnności Redakcyi „Krytyki“, która mnie, człowiekowi innych przekonań, udzieliła łaskawie miejsca dla przedstawienia moich poglądów na nowoczesny ruch monistyczny.

Na dowód, że z ruchem tym obeznany jestem, przytoczę fakt, że byłem uczniem teraźniejszego kierownika tego ruchu, Wilhelma Ostwalda, jeszcze w Rydze i Lipsku, znam osobiście głównych przedstawicieli ruchu, jestem członkiem Zarządu w oddziale wiedeńskim Niemieckiego Związku Monistów (z czasów, gdy mieszkałem w Wiedniu); miałem tam odczyt „o religii“, który był przyjęty entuzyastycznie. Na Kongresie Niemieckiego Związku Monistów (8—11 września 1911), na który byli zaproszeni i cudzoziemcy, byłem (niestety jedynym) przedstawicielem Polaków i, gdy uchwalono zorganizowanie Międzynarodowego Związku, zostałem przez Kongres obrany do formowania Towarzystw w Polsce i reprezentowania polskiego ruchu monistycznego w Związku Międzynarodowym, który, po zorganizowaniu się, ma zwołać Pierwszy Kongres Międzynarodowy Monistów za 2 lub 3 lata.

Jako pogląd filozoficzny, monizm oznacza sobą całą grupę zapatrywań mniej lub więcej metafizycznych, bardzo różnorodnych i sprzecznych ze sobą. Pogląd monistyczny wyraża, że istnieje tylko jedna zasada bytu, tylko jeden rodzaj rzeczywistości, ujmuje całość wszechistnienia w sposób jednolity. A więc istnieje monizm teologiczny, idealistyczny lub spirytualistyczny (tylko duch), materyalistyczny.

Monizm, który nas tu interesuje, uznaje za podwalinę poglądu na świat prawa natury i wyniki wiedzy przyrodniczej i na tem tle rozwija przed nami, zgodny z najnowszemi odkryciami nauki, obraz wszechbytu. Charakter monistyczny tego światopoglądu wypływa z natury ludzkiej, z właściwości umysłu człowieka, dążącego do jednostajnego, ogólnego, wspólnego, całościowego ujęcia wiedzy i poglądu na świat. Monizm przyrodniczy bezwzględnie nie godzi się z dualizmem spirytualistycznym, zarówno jak z jakimibądź metafizycznymi, idealistycznymi i t. p. poglądami na świat, uznając tylko powszechność praw natury. Nie przeszkadza to jednak temu, że wśród monistów-przyrodników istnieją różnice co do przyjętej zasady bytu.

Można więc, dla scharakteryzowania tego ruchu, powiedzieć, że ogólną platformą ruchu monistyczno-przyrodniczego jest naukowo-przyrodniczy pogląd na świat, z wykluczeniem spirytualizmu i dualizmu obecnie panującego. Należy jednak wyraźnie zaznaczyć, że moniści z łatwością mogą uznać i do grona swego przyjąć ewentualnie pluralistów, których pogląd dałby się zupełnie pogodzić z wynikami wiedzy przyrodniczej i w ten sposób przyrodniczo-naukowo uzasadnić, nie zmieniając zasadniczo ogólnego obrazu wszechbytu, podziwianego przez nas, jako projekcya wiedzy.

Zdaje mi się, że zdołałem usunąć nieporozumienie i wykazać, że monizm, jako nazwa ruchu społecznego, jest terminem nie tyle filozoficznym, ile właśnie — społecznym.

W tym sensie monistami są, zarówno Haeckel (materyalista i panteista), jak i Ostwald (energetyk), Verworn (psychomonista), Arrhenius, Loeb i wielu innych słynnych przyrodników.

Znakomity uczony E. Miecznikow, wicedyrektor Instytutu Pasteura w Paryżu, jest monistą swoistego typu. Słynne swe dzieło, przyswojone i literaturze polskiej, „O naturze ludzkiej“, kończy on następującemi słowy: „Jeżeli jest możliwy ideał zdolny do połączenia ludzi w pewien rodzaj religii przyszłości, to musi się opierać

tylko na zasadach naukowych. A jeżeli to prawda, co twierdzą często, że żyć nie można bez wiary, to wiarą taką będzie tylko wiara we wszechmoc wiedzy".

Imię tego genialnego uczonego szereguje się razem z imionami innych, np. prof. Augusta Forela, w pracy dla utrwalenia przyrodniczego poglądu na świat na miejscu dawnych wierzeń.

Pokrewnym tak pojętemu monizmowi i zgodnym z nim jest panteizm, a również, i co najważniejsza, pozytywizm.

Pozytywizm bierze za punkt wyjścia to, co jest dane przez rzeczywistość, pozytywne i możliwe do ujęcia i pojęcia. Metoda jego: opisowość, usunięcie metafizyki transcendentalnej, usunięcie pojęcia przyczyn, sił, nadnaturalności. Dąży tylko do ustalenia wzajemnego ustosunkowania i wyrażenia ich matematycznego, do znalezienia praw.

Pozytywizm francuski, i wogóle romański, bierze początek od Augusta Comte'a, który tworzył kult ludzkości i propagował altruizm. I dotychczas zachował się w tym szczepie pozytywistów charakter społeczny, ogólnoludzki z ideałami etycznymi, demokratycznymi, bo przecież Comte czerpał ze źródeł socyalistycznych, od St. Simona. Obecnie znanym jest we Francyi Desumbert, który naucza moralności, wynikającej z przyrody.

Do pozytywizmu angielskiego zaliczyć można dawniejszy utylitaryzm oraz nowoczesny ewolucyonizm. Ten pozytywizm, którego głównym przedstawicielem jest Spencer, bardziej jest przystosowany do interesów klas posiadających w ustroju kapitalistycznym, bo ewolucyonizm angielski, w zastosowaniu do społeczeństwa, głównie opierał się na teoryi walki o byt osobisty.

Wśród filozofów piszących po niemiecku wybitnie rozwinęli pozytywizm, jako empiryzm i krytycyzm: Avenarius, Mach, Stein, Jodl i inni.

Te światopoglądy przyrodniczo-monistyczne, sprzeczne pozornie ze sobą, zlewają się w jeden światopogląd względny, ewolucyonizujący i przedstawiający pewne, nieraz dość znaczne różnice w zapatrywaniach jego zwolenników; ale łącznie, dla wszystkich, uznających ten rodzaj zapatrywania się na świat i mogących pogodzić się z sobą na tem tle ogólnem i iść ręka w rękę — charakterystycznem jest: przyjęcie praw przyrody i całokształtu wiedzy przyrodniczej, z jej teoryami i niezbędnemi jej hipotezami, za najpewniejszy dla nas wyraz podstaw bytu i jego przejawów.

Pogląd na wiedzę naszą. Podział wiedzy na matematyczno-przyrodniczą z jednej i duchową z drugiej strony pochodzi z filozofii dualistycznej i jest nieistotnym. Sięga on czasów, gdy nauki przyrodnicze były mało rozwinięte. Wprowadzony został przez Benthama, Hegla. J. Stuarta Milla, który dzielił logikę na logikę wiedzy przyrodniczej i wiedzy duchowej. Za nim idzie i Wundt.

Za podstawę wiedzy duchowej biorą psychologię, jako naukę o właściwościach duchowych człowieka, dalej stawiają historyę, socyologię, ekonomię polityczną, etykę, prawo, językoznawstwo, metafizykę.

Nauki matematyczno-przyrodnicze cechują się ścisłością badania i wywodów, powszechnością ścisłych praw, na których się opierają. Metody badań w nich stosowanych oparte są na rachunku, wadze i miarze, na dokładności eksperymentu. Przeważa metoda indukcyjna, krytycyzm, ścisłe sprawdzanie hipotez i teoryi. Natomiast nauki duchowe cechują się metodą dedukcyjną, hipotezami dowolnie konstruowanemi, poglądami wygłaszanymi na podstawie intuicyi, metafizyką, syllogizmową logiką, wytwarzającą konstrukcye łamigłówkowe. Prócz dedukcyi, opis, obserwacya, porównanie, analogia — to są metody tych nauk. Z powodu braku jasnego wyobrażenia, czem jest ów „duch" nauk duchowych i z powodu niedostatecznego powiązania oddzielnych gałęzi nauk duchowych pomiędzy sobą, wynika ogromna niejasność, nieokreśloność i wieloznaczna symboliczność terminologii tych nauk.

Ten stan rzeczy nie jest już jednak stanem dzisiejszym, lecz wczorajszym. Ogromny rozwój nauk przyrodniczych w czasach ostatnich spowodował przeniknięcie ich zasad, ich praw i metod we wszystkie dziedziny wiedzy. Psychologia staje się nauką przyrodniczą, procesy duchowe zostają wyjaśnione, jako funkcye ustrojów mózgowo nerwowych. Usuwa się grunt dla osobnej budowy nauk duchowych. Biologia jest już nauką ścisłą, a wskutek tego socyologia i ekonomia polityczna oraz historya, jako nauki biologiczne, z punktu widzenia przyrodniczego, zaczynają wchodzić na drogę ścisłości przyrodniczej, za niemi idzie etyka i językoznawstwo. Ginie podział wiedzy na dwie przeciwstawne sobie dziedziny. Prawa przyrody kładą się podstawą wszystkiej wiedzy; przyrodnicza ścisłość przenika we wszystkie jej dziedziny. Cały materyał nauk duchowych musi być przewartościowany i dopiero wtedy stworzony będzie całokształt wiedzy na wspólnej podstawie oparty. Nauki duchowe wnoszą we wspólną skarbnicę wiedzy metodę oryen-

tacyi intuicyjnej, dedukcyjnego myślenia, łatwej konstrukcyi hipotez i teoryi, ale odtąd już nikt, kto poznał istotę i charakter wiedzy przyrodniczej, nie będzie mówił o wiedzy duchowej, bo musi przyznać jednolity charakter całokształtu wiedzy. Nauki „duchowe“ są to tylko gałęzie wiedzy ogólnej, niedorosłe jeszcze do zupełnie ścisłego ich traktowania, znajdujące się we wstępnem stadyum swego rozwoju. Najlepiej to się uwidocznia na historyi, o której do dzisiaj mówią wszyscy, że nauką wcale nie jest. Ani monizm spirytystyczny, ani idealizm, nie może połączyć całej wiedzy w jedną całość, podczas gdy całokształt nauk przyrodniczych ma niewątpliwie wszelkie dane po temu.

Podział wiedzy na wszelkie różnorodne kategorye odpowiada właściwości umysłu ludzkiego, ale jednak w obrębie ogólnego, jednolitego ujęcia przyrodniczego. W naturalny sposób ujawniają się trzy wielkie działy: zjawiska dotyczące natury martwej, natury ożywionej, czyli istot żywych bez uwzględnienia świadomości, i spraw dotyczących świadomych objawów psychicznych. W ustroju człowieka i w jego życiu grają rolę wszystkie trzy te kategorye zjawisk. Ale trzecia kategorya obejmuje sobą zjawiska, spotykane nie tylko u człowieka, lecz i u wszystkich zwierząt wyższych ponad robaki.

Przedstawmy sobie nasz aparat mózgowo-nerwowy, funkcyą którego jest nasze życie psychiczne, a więc myśli, uczucia, akty woli, świadomość, twórczość nasza, cała skomplikowana akcya psychiczna, a więc kulturalna i społeczna ludzkości; przedstawmy go sobie nie jako jeden z wielu aparatów ludzkich, ale jako przeciętny aparat, reprezentujący typową maszyneryę biologiczną ogólnoludzkiej pracy psychicznej; przedstawmy go sobie akurat takim, jakim jest w istocie, lecz w ogromnem powiększeniu, aby detale najdrobniejsze, układ drobin, najmniejsze składniki morfologiczne i formy były widoczne i namacalne. Taka szczegółowa konstrukcya będzie oczywiście płodem fantazyi, bo przecież nie znamy wiele nawet z budowy anatomicznej mózgu, a cóż dopiero z dziedziny dynamiki napięć energii rozmaitych drobnych wahań chemicznych. Ale jednakże ta wyobrażalna budowa gmachu kolosalnego, a właściwie całej krainy fabrycznej, którą obejrzeć chcemy, będzie odpowiadać o tyle rzeczywistości, o ile na to wiedza dzisiejsza i jej hipotezy pozwalają. To jest będziemy widzieli rzecz, w ogromnem powiększeniu,

w postaci najbardziej prawdopodobnej, z dzisiejszego punktu widzenia nauki.

Jeżeli umieścimy na powierzchni ziemi tę krainę fabryczną, mającą postać mózgu, rdzenia pacierzowego i nerwów, to najmniejsze budowy morfologiczne, a również największe drobiny chemiczne objawią się tu w wymiarach centymetrowych, lub co najmniej milimetrowych, t. j. możebne do szczegółowego obejrzenia. Komórki nerwowe będą się przedstawiać, jako komory fabryczne, w których się odbywają reakcye chemiczne. Włókienka nerwowe przebiegają przez te sale, jako bardzo grube liny, podobnie jak pasy transmisyjne, lub raczej kable elektryczne w fabrykach. Znajdziemy tam ślady pamięciowe wrażeń, jako labilne, dynamiczne rysunki, układy drobin, niektóre zastygłe, wietrzejące z biegiem czasu, przechowane w archiwach pamięci, inne znów świeże, żywe, poruszane i pod wpływem tych poruszeń modyfikujące się. Wszystkie te wyobrażenia powiązane są i usystematyzowane w grupy, pojęcia, poglądy, teorye i t. p. zapomocą transmisyi. Gdy prąd energii potrąca jeden obraz, to cała grupa wyobrażeń umiejscowionych w rozmaitych komórkach, a z nim połączonych, ożywia się i występuje pod działanie reflektora świadomości. Gdy tworzymy jakąś teoryę, lub np. opinię o człowieku, lub zasadę etyczną, to wytwarza się w mózgu zasocyowana sieć, gniazdo pojęć, obrazów. U doktrynera i fanatyka cała główna masa jego pojęć skutą jest w jednę całość nierozerwalną, która każde nowe wyobrażenie chwyta w krąg tej całości i zszeregownje w swym systemie. U sceptyka lub eklektyka wiązadła łatwo się rwą i tworzą się coraz nowe gniazda. W stanie dysocyacyi psychicznej wiązania stają się bardzo słabe i zmienne, labilne.

W tej krainie fabrycznej obejrzymy aparaturę poznania, zobaczymy, z pomocą jakich motorów, maszyn, z pomocą jakich zasobów energii odbywa się poznanie świata zewnętrznego i wewnętrznego. Rozpoznamy wciąż się przesuwający po przestrzeniach fabrycznej krainy krąg światła świadomości. Zbadamy jego własności, jego zmienność, pochodzenie i uzależnienie. Rozpatrywać będziemy tarczę zegarową świadomości, po której przesuwają się wskazówki naszego „ja", oznajmiając stan samopoznania w każdej chwili. Rozpoznamy specyalną i skomplikowaną aparaturę woli i sumienia, które działa w ten sposób, że zasady nasze, jako trwałe, mocno powiązane gniazda i sieci zasocyowanych pojęć o postępowaniu, są połączone w jeden wielki zespół poglądu na życie i gdy

wchodzi nowe wrażenie, czy to wzbudzające zawieruchy i napięcia uczuć, chęci, czy też wrażenie z bezwiednie spełnionego, nieharmonizującego z zasadami czynu, to ten zespół wyobrażeń się narusza, rozrywa, powstaje zaburzenie w stanie napięć energii, które porusza wskazówki na zegarze świadomości i odczytujemy wówczas stan jaźni: „źle“. Gdy zaś nowe wyobrażenie harmonizuje z całością układu wyobrażeń i utwierdza równowagę systemu zasad, to stan zadowolenia wskaże: „dobrze“. W nigdy nieoświetlonych piwnicach i suterynach fabrycznych, w oddziałach podświadomości, gromadzą się mocno utrwalone powiązania wrażeń i mechanizmy automatyczne woli, które tworzą instynkty, tę podwalinę moralności.

Obejrzawszy szczegółowo całą tę krainę fabryczną, przekonamy się, że wszystkie jej funkcye mają swój przebieg, dający się rozpoznać i zmierzyć, że budowa maszyn jest planowa, uwarunkowana ściśle, że tylko pewne określone sposoby służą do poznawania świata zapomocą tej aparatury, że wrażenia przychodzące zzewnątrz mogą tylko w pewien sposób tam ułożyć się i odźwierciadlić się, odbić się i zszeregować. Myśli ludzkie są ilościowo i jakościowo ograniczone i uwarunkowane.

Stąd wnioskujemy, że dla poglądu na świat, dla moralności, polotów religijnych, t. j. dla tęsknot w wieczność, dla rozlewności jaźni, pasowania się woli z przyrodą i t. d., są pewne granice, pewne możebności, których nigdy przekroczyć nie będziemy w stanie i które stanowią ograniczenia dla dowolnych zmienności naszego poglądu na świat. To znaczy, że w swych ulepszeniach, rozwoju i przemianach — nasze poglądy kłonić się muszą coraz bardziej i bardziej do uwypuklenia praw przyrody, ich zgodności między sobą, do zgodności różnych gałęzi wiedzy i ich usystematyzowania wreszcie w jednę całość harmonijną, na ogólnych prawach natury opartą, a odpowiadającą szczegółom budowy owej krainy fabrycznej. Jaka aparatura poznająca — takiem jest i poznanie.

Poznanie ludzkie, pogląd człowieka na świat, czynności ludzkie, życie społeczne, genialność, sztuka, poezya, filozofia — nie mogą wyjść poza warunki stawiane aparaturą mózgowo-nerwową człowieka. W tej aparaturze tworzą się wciąż nowe ulepszenia, ale charakter tych ulepszeń, jakie zajść mogą, jest już uwidoczniony.

Oparcie wiedzy. Wiedza przyrodnicza opiera się na pewnych założeniach, przyjętych dedukcyjnie, a priori, jako hipotezy, które usprawiedliwiają swe istnienie tylko użytecznością zastosowania swego, ułatwieniem usystematyzowania wiedzy i badań dalszych. Te podstawowe, dla poglądu na świat bardzo ważne, hipotezy o materyale, z którego świat jest zbudowany, o początku wszechrzeczy i t. d., są wprawdzie silnie powiązane z całokształtem wiedzy; ale one są różnorodne: jeden uczony twierdzi, że świat jest zbudowany z materyi, inny, że wszystkie zjawiska są przejawami energii; teorya eteru, teorya wiecznego rozwoju i bezpoczątkowości istnienia — przedstawiają pewne sprzeczności i mają charakter pojęć metafizycznych. „Wiedza przyrodnicza nie uznaje całkowicie metafizyki, a jednak sama na podstawach metafizycznych się opiera“. Ten zarzut daje się często słyszeć.

Rzecz się przedstawia w ten sposób, że całość naszej wiedzy, zarówno przyrodniczej, jak i t. zw. „duchowej“, która wkrótce zasymiluje się z przyrodniczą na wspólnych podstawach praw przyrody, przedstawia sobą jakby wielką wspólną skarbnicę, całość jednolitą, wskutek jedności praw i jedności ścisłych metod. Jest to jakby monolit skojarzonych z sobą, powiązanych i spojonych rozgałęzień i części. Ewolucyjność, zmienność, względność prawd, a nawet pewne sprzeczności teoryi rozmaitych i przewartościowania, zachodzące od czasu do czasu w oddzielnych dziedzinach, nie psują całości obrazu i jedności w całej jej masie od chwili, gdyśmy całość wiedzy, jako przyrodniczo pojętą ujrzeli.

Ale monolit ten opiera się na nieco mglistych założeniach, mających charakter metafizyczny. Wprawdzie, prócz tych założeń, więcej metafizyki w nauce nie potrzebujemy, ale musimy odpowiedzieć na zarzut, że przecież podpory całej wiedzy są z mgły metafizycznej zbudowane.

Otóż — wiemy już, że cała wiedza przyrodnicza może być przewartościowana tylko w pewnych granicach, uwarunkowanych konstrukcyą naszej aparatury mózgowo-nerwowej. Doświadczenia zaś, obserwacye, ustosunkowania ścisłe praw przyrody i t. p. nie są zależne całkowicie od hipotez podstawowych; te więc hipotezy mogą się zmieniać, nie wiele naruszając z budowy całości wiedzy. Zmienność zaś ich uwarunkowana jest konstrukcyą aparatury mózgowo-nerwowej człowieka i wskutek tego nie dowolna, lecz ograniczona. A więc owe słupy mgliste nie są tak lotnymi, jak się zdawało,

lecz przedstawiają sobą różnorodność możliwości stawiania hipotez i tworzenia przewartościowań uwarunkowaną aparaturą mózgową.

Nasz monolit spoczywa więc w istocie rzeczy na czemś bardzo realnem, bo na konstrukcyi mózgu ludzkiego.

Nauka będzie się rozwijać o tyle, i zmieniać się tak daleko, o ile na to pozwolą warunki budowy mózgu. Ale zachowa się jednolity przyrodniczy charakter.

Monizm społeczny. W zwalczaniu starych, średniowiecznych poglądów na świat, okrytych autorytetem religii, nie dość jest przejawiać indyferentyzm religijny, nie dość oddzielić się formalnie od kościoła, uważać religię za rzecz prywatną, licząc na to, że kościoły i stare poglądy na świat same runą. Bo zamiłowanie ludzi w iluzyach jest tak wielkie, że trzymają się oni tych wierzeń starych, osobliwie, gdy one są poparte ogromną potęgą wpływów hierarchii kościelnej. Dla zburzenia ich trzeba zwalczyć samą podstawę, mianowicie dualizm metafizyczny i spirytualizm. Trzeba postawić dla szerokich mas, na miejsce starego dualistycznego światopoglądu, nowy — przyrodniczo-monistyczny.

Ale i stare religie, i chrześcijanizm, i mozaizm, powinny być rozpoznane na ich własnym gruncie z punktu widzenia naukowego. Prócz błędów, znajdziemy tam wiele dedukcyi trafnych, które mogą być metodą przyrodniczą sprawdzone i sprostowane. Z gruzów i śmieci wybrać trzeba okruszyny złota. Po tak ścisłem zbadaniu i wytworzeniu powszechnie uznawanego światopoglądu naukowego, mit średniowieczny nie będzie mógł już zapanować w świecie cywilizowanym.

Przełom polega nie na zapanowaniu jakiegoś jednego poglądu, ale na zapanowaniu zgodności naszych poglądów i marzeń, stawiających hipotezy — z wiedzą, na ostatecznem podbiciu i zwaleniu antinaukowości. Będą i nadal spory między tą i inną teoryą, ale to już będą spory naukowe.

Monizm, jako ruch społeczny, przedstawia się obecnie jeszcze w fazie wstępnej, niedojrzałej. Związek Monistów jest grupą ludzi inteligentnych, należących do drobnego i średniego mieszczaństwa oraz nauczycielstwa. Na czele stoją uczeni i ludzie wpływowi. Kierunek ogólny społeczno-radykalny. Ale Związek mało wychodzi poza sprawy poglądu na świat i nawet zajęcie się etyką jest bardzo słabe, co już na kongresie Jodl wytykał.

Prócz tego widać ogromny brak serdecznego ciepła humanitarnego i entuzyazmu. Ruch, który ma na celu walkę z przestarzałemi formami religijnemi, powinien na ich miejsce dawać wszystko to dobre, co one dawały, ale w lepszej postaci, i prócz tego dawać to niezbędne, czego one nie dawały. Tylko wtedy może liczyć na zwycięstwo. Jest nadzieja, że Związek Monistów z czasem rozszerzy swą działalność na szersze masy, uspołeczni się, wejdzie w kontakt z kierunkiem socyalistycznym, zajmie się niesieniem pomocy nieszczęściom ludzkim. Tymczasem na kongresie Ostwald przemawiał tonem liberałów: „w Niemczech ludność doszła do takiego dobrobytu, że teraz już należy myśleć nie o zapobieżeniu nędzy, lecz o podniesieniu kultury.“ Tylko głos Jodla, który siebie nazwał socyalistą ewolucyonistycznym, oraz rzeczowe uczestnictwo socyalisty dra Brody i moje, wskazały, że Monizm nie nosi na sobie piętna obcego socyalizmowi, pojętemu w szerokiem znaczeniu tego słowa.

W Polsce, mianowicie w zaborze rosyjskim, grunt dla ruchu tego, lub pokrewnego mu, już jest przygotowany przez prąd wolnomyślicielski; w Galicyi wschodniej jest o wiele gorzej, ale istnieją tam już stowarzyszenia wolnomyślne. Najgorzej jest pod tym względem w Galicyi zachodniej i w zaborze pruskim. W Krakowie tworzy się obecnie Towarzystwo Monistów w związku z organizacyą międzynarodową. Mam nadzieję, że ruch ten zwolna zaszczepi się w Polsce, przyjmując swoisty, polski charakter, odpowiedni do warunków i charakteru społeczeństwa.

W kierunku zwalczania starych przesądów, w kierunku wolnomyślicielstwa i krzewienia naukowo-przyrodniczego poglądu na świat, mamy swoje, polskie tradycye i na nich się oprzeć powinniśmy...

Co do mnie osobiście, to, niezależnie od ruchu monistycznego, którego podówczas jeszcze nie znałem, wypracowałem podstawy kierunku pokrewnego, w którym środek ciężkości leży nie tyle w światopoglądzie, ile w stronie moralnej i entuzyastycznym porywie rozwojowym, reformie życia wewnętrznego oraz ekspanzyi woli we wszechistnienie. Poglądy moje streściłem w książce, wydrukowanej w roku ubiegłym w Paryżu pod tytułem: „Czerwona Religia“ [1]).

Aug. Wróblewski.

---

[1]) Odpowiedź na poglądy powyższe umieścimy w n-rze następnym. Red.

HOKOUSAI I OUTAMARO.

Zamkniętą jest dla nas dusza japońska. Ci z europejczyków, którzy w nią, przez obcowanie, wglądnąć chcieli, spotkali się z tak odmiennemi kategoryami uczuciowemi, z tak różnemi budowami psychicznemi, z tak przeciwnemi naszym życiowemi formami, że obcy od niej odeszli. Człowiek tamtejszy i jego „cienie rzucone“: wiara, pojęcia, obyczaje, moralność — nieprzenikliwe są dla naszej umysłowości i nieledwie wrogie.

Zagadki duszy Japończyków nie rozwiązały nam też ani teatr ich, ani muzyka, ni ich opowieści. I rozwiązać jej nie mogły, jako znów zgoła niezrozumiałe i stanowiące dalszy ciąg problematu. Muzyka jest zawsze w zgodzie z brzmieniem mowy; a mowy nasze są tyle różne wzajemnie w mechanice swej artykułowania — organicznie i fonetycznie! Więc muzyki ich zrozumieć nie możemy. Tłómaczenia zaś z literatury teatralnej, lub powieściowej japońskiej, bez utracenia tego, co ich „japonizm“ stanowi, bodaj czy są wykonalne, gdyż sam już układ wyrazu i zdania tamuje dostęp do przekładów dosłownych i ścisłych.

A dodać nawiasem należy, iż kwestyę porozumienia się, od bieguna do bieguna intelektu, za pomocą tonów, poezyi i prozy czyni złożoną nader i jakoby bez wyjścia synalagmatyczne w tej dziedzinie prawo: zależności przyczyny od skutku. Bo język, będąc wytworem geniuszu narodowego, jest zarówno, w oddziaływaniu wzajemnem, jego formatorem i poniekąd władcą. Nietylko kształci on w pewnym kierunku ucho, kształtuje też logikę, kiełzna lub rozuzduje fantazyę. Inaczej się myśli we francuskim, inaczej we włoskim czy niemieckim; odmienny tedy każdy z tych narodów ma rozum, odmienną także akustykę: tu chropawą, tam słodko-płynną, bądź lekką i dowcipną, a wciąż na podobieństwo odnośnej wymowy i składni ustanowioną. Czuje się też inaczej, gdy się inaczej mówi.

Jakże przeto, kiedy mowa i pismo Japończyków są tak przeciwległe — przeniknąć, poprzez ich mowę i pismo, uczuciowość ich i umysłowość?!

Jedynym porozumiewawczym sposobem i słowem wspólnem są sztuki plastyczne. Za ich pośrednictwem jeno można poznać ducha obcej zupełnie rasy; kultury, w czasie, lub przestrzeni bardzo dalekie. Więc grafika dopiero, malarstwo i rzeźba Japończyków objaśniają i odsłaniają nam — do pewnego stopnia — ich lirykę, dramatykę, humor, życie potoczne i marzenie. Otwierają się tym razem perspektywy na intelekt ich i sentymenty. Rozumieć poczynamy np. osobliwe ich pojęcie litości, kiedy na

bóstwo *Kwamon* patrzymy, krotochwilności, gdy długouchy *Hottei*, z głupia frant, brzuchaty i dobroduszny jegomość figle na karcie estampy płata; uświadamiamy sobie religijn ość ich, bądź jej zdrobniały wyraz — zabobonność, kiedy mitologiczne postacie złego starca *Akonjo*, niegodziwej kobiety *Yaca-Oumi* tragiczną karykaturalnością z cech swych się spowiadają. Z *kakemono, sourimono*, z *kanemono* i *netzke*[1]) wygląda do nas uciesznośé Japończyków i koturnowość, umiłowanie przyrody i nadprzyrodzoności, zmysł brzydoty i zmysł piękna, erotyzm bez miłości. Tam rozpoznajemy wyraziście i zbliska tę ich naturę łagodną, cierpliwą, układną a okrutną, całą w utajeniach, podstępną i milkliwą... bardzo starczą i bardzo młodzieńczą. Owa właśnie sztuka snycerska, malarska i ksylograficzna odkrywa nam źródło Japończyków odwagi i komentuje samozaparcie japońskie. Walory te wypływają — niezawodnie — z prawdziwej obojętności, jaką się mieć musi w państwie *harakiri* dla jednostki, i jednostka sama dla siebie. Na dowód: niemasz portretu w całej plastyce tamtejszej, niemasz twarzy, z którejby wyczytać można było osobiste dzieje, charakter, poszczególność osobnika jakiegoś. W Japonii oblicze tylko wtedy zwraca uwagę artysty i przedmiotem studyów się staje, gdy uosabia typ, obrazowuje groteskowo, albo makabrycznie właściwość jakąś: okrucieństwo, podstępność, zmysłowość w swym ostatecznym wyrazie. Figura zaś człowieka nie większą rolę ma tam wyznaczoną w sztuce, niż byle co... falowanie kręte wzgórków, deseń szronu na szybie, arabeska chmur wędrujących, i jeno pretekstem jest jednym więcej do ustroju harmonijnych linii, do eurytmi i zdobności ogólnej. Bo Japończycy są nadewszystko dekoratorami w kunsztach i pozytywistami w życiu. Wnikają w jakość rzeczy od strony formy raczej, niźli od strony ducha. Nie zagadnień psychologicznych poszukują i nie objawień. Wzrok swój kierują nie na wewnątrz, ale na zewnątrz siebie i tam też znachodzą to, co im zmysły głaska, lub drażni nerwy, co zadowala ich pożądanie estetycznych wrażeń. Chodzi im o to piękno, o tę prawdę, którą pod ręką w pobliżu znajdują, i rzeczywistość namacalna najwięcej im elementów do tworzenia dostarcza. Dlatego i sztuka ich i życie są tak równoległe i zrównoważone, lepiej — tak zespolone w jedność.

Przy podobnej strukturze duchowej nie dziwota, że Japończycy celują w plastyce i w niej się wypowiadają najpełniej dla siebie, a najjaśniej dla nas. Na tym terenie (kunsztów) spotkać się mogły ich i na-

---

[1]) *Kanemono* — rodzaj zameczków do sakiewek i kapciuchów; na *netzke*, czyli guzach je się właśnie zawiesza.

sza uczuciowość. Boć przecież i my w malarstwie, grafice i rzeźbie z konieczności być także musimy materyalistami niejako. I choć w naszej duszy trzepoce się stale niepokój — niepokój ów wyraża się głównie dźwiękami i słowem pisanem; kiedy zaś za penzel lub dłuto chwytamy, jesteśmy w związku stałym z kształtami widomymi i w zawisłości od zewnętrznego świata. A świat zewnętrzny — wszędzie jednaki.

Chociaż więc tradycye obyczajowe (zatem i estetyczne tradycye) dzieliły nas przez długie stulecia i dziś jeszcze dzielą, jakkolwiek istnieje ogromna rozbieżność szlaków, po jakich idą kultury zachodnia i wschodnia — drogi te się tutaj w obrębie Widzialnego stykają. Naturalnie, że i tu różnice kardynalne się mają w kojarzeniach, założeniach i dążeniach. U Japończyków sztuka w ciągłości jest stałej: jedna faza z drugiej, jak przesłanka z przesłanki, wychodzi i prawa dziedziczności się trzyma. U nas dziedziczność w tej sferze atawizm raczej zastępuje i często dana konfiguracya nie z poprzedniej się rodzi, ale z innej i wiekami odległej. U nich estetyka spoczywa na zasadach niewzruszonych i definitywnych; u nas od czasu do czasu podają jej zasady twórcy i teoretycy pod rozbiór i do oceny. W Europie tendencye mistyczne wznoszą się na skrzydłach piękna ku boskości — najczęściej. U Japończyków artyści do demonizmu się na nietoperzowych lotkach potworności kierują, gdy roją o nadzmysłowem, i Tajemnica u nich przybiera okropną postać. Japońska też sztuka posiada sutą galeryę zjawisk widziadłowych, maszkar, strachów i szpeciągów. Ciekawość i potrzeba mistyczna tylko w tej monstrualnej powłoce zjawiła się duszy japońskiej; usiadła na skraju i w kąciku ciemnym owej duszy, zostawiając miejsce poczesne innym widzeniom i rozumieniom... i zapełniają ją przeważnie obrazy z życia zmysłowego powzięte, konkretne i łatwochwytne; zapełnia ją wypatrzone, bez wniosków dalszych i bez uogólnień, wszystko, z czego się doczesność składa.

Dlatego to artyści japońscy między sobą się różnią mniej jakością sentymentu, zasię bardziej ustosunkowaniem i ustopniowaniem darów zawodowych, wyższym lub niższym szczeblem zdolności, takiem lub innem poczuciem harmonii, takiem czy owakiem pojęciem formy. I jeżeli pomiędzy dwoma naczelnymi mistrzami Japonii: Hokousai'em i Outamaro'em znaczne istnieją odmienności, to nie tyle w składzie psychicznych pierwiastków, nie tyle w filozofii, ile w konformacyi siatkówki, w gustach i upodobaniach, fizycznej, że tak powiem, natury; gustach i upodobanich, z urodzenia wynikłych, otoczenia i żywotów ich odrębnych.

Gdyby wyrazy te u nas nie miały dogmatycznie określonego znaczenia, rzekłbym, że Hokousai jest naturalistą, Outamaro zaś idealizm

przedstawia. Ale jakżeż owe dwa określenia przyłożyć do rozumów takich, co w gruncie jednaką wiarę wyznają i jednaki zachowują światopogląd. Różnice w indywidualnościach same wystąpią, kiedy poznamy styl jednego a drugiego, kiedy zobaczymy, na czem każdy z nich wzrok swój zatrzymywał najdłużej, z kim i z czem najchętniej obcował, słowem, gdy wejrzymy w dzieła ich i w ich życie. Nie będę tedy Hokousai'a i Outamaro'a określać terminami, używanymi do charakterystyki europejskich artystów, ani określać wogóle. Niechaj obadwaj sami za siebie mówią — każdy dziełem swem właśnie i życiem.

Hokousai urodził się na najbiedniejszem przedmieściu Yeddo, Honja zwanem, w r. 1739 [1]) — i synostwo jego niejasne. Wiadomo tylko, że z plebsu był najniższego; z ludem też (a nawet pospólstwem) pozostał zawsze zbratanym. Wziął od niego szczerość, szorstkość i siłę. Zaraz w drugiej manierze (pierwsza, poświęcona widowiskom teatralnym, do których nigdy już nie powracał, była jeno naśladownictwem Tsutzumi Torin'a) Hokousai pod nazwą Hokousai-riou [2]) (1789 r.), zaznacza się zaraz, jako artysta, wciągający do regestru swych odczuć, bez wyboru i bez preferencyi, wszystko, co się codziennie uwadze jego nastręcza. Niczem penzel Hokousai'a nie pogardza, żadnym przedmiotem, ani pod-

---

[1]) Hokousai — syn z adoptacyi zwierciadlnika ubogiego, nosi nazwisko w dzieciństwie Tokitaro, później Tatsujiro. Uczniem był najpierw Katsukawa Shunsho, a zwie się wonczas Katsukawa Shunro.

[2]) Oto kolejne nazwiska mistrza: od 1778—1785 podpisuje: Katsukawa Shunro, albo Shunro; w 1785 r. — Goumatei; w 1786 — Mougoura-Shunro (aby zaznaczyć — jak objaśniają komentatorowie — przez przydomek Mougoura-krzak, że na uboczu stoi, od nijakiego ugrupowania niezależny, nieprzynależny do żadnej szkoły); w 1795 r. — Hishikawa Sori, albo Shori; w tymże roku, zanim przyjmuje imię Hokousai'a, podpisuje dyptyk (gdzie się wyczuć daje wpływ Outamaro'a i Kiyonaga'i) Foshu Shunro (zmieniający nazwisko); w 1796 r. nosi cztery nazwy: Hishikawa Sori, Sori, Hokousai Sori i Hokousai; od r. 1799 do 1800 Shinsai (później wziął to imię uczeń Hokousai'a, Hanji); w 1800—Raito, lub Raishin; w 1812 — Katsushika I-itsou (ten, który robi tylko jedną rzecz), albo Guetti rajin I-itsou (I-itsou, starzec rozmiłowany w księżycu); w 1822 r. — Fuzenkio I-itsou (I-itsou, robiący jedną tylko rzecz i niedający dostępu wpływom innych); w 1823 r. — I-itsou; w 1824 r. — I-itsou, starzec z Katsoushiku, albo starzec szalony I-itsou; w 1826 roku — starzec z Katsoushiku I-itsou; w 1829 r. — starzec I-itsou, lub starzec I-itsou z Katsoushiku, dawniej Hokousai; w 1834 — Manji, zmieniający imię Hokousai'a i Swastica; w 1835 — Manji (znak Man 卍 = dziesięć tysięcy); od r. 1836 aż do śmierci — Manji starzec szalenie rozmiłowany w rysunku. (Patrz „Hokousai“ Edmond de Goncourt in 12. 1896. Charpentier et Fasquelle). Przez cały ciąg niniejszego studyum trzymam się pisowni, podanej przez p. Hayashi.

miotem żadnym. Zdobi, co w rękę wpadnie: *kambana*, t. j. szyldy i afisze, obrazki-reklamy, i rzecz wszelką za materyał godny do swych kompozycyi uważa. Raz ilustruje apologi dla dzieci (w *sourimono* swoich), to znów desenie do tkanin, projekty architektoniczne, wzory dla rzemiosł, schematy złożeń w szermierce szabelnej i palcatowej. W jednym tomie *Mangwa* (wolne rysunki) obrazy twardych robót w polu, lub w żupach sąsiadują z przedstawieniami trapezowych ćwiczeń akrobatów, forteli sztukmistrzów, żonglerów i ekwilibrystów, niosących na czole długi kij bambusowy z trzymającą się w równowadze wazą, pełną wody, sztuczek błaznów, zdejmujących kapelusz nogą, bądź wygiętych w pałąk i pijących herbatę na wznak z maleńkiej filiżanki, postawionej z tyłu za nimi. W innym tomie mieszczą się: łucznictwo z wielorakimi trybami napinania łuku, maniery rozliczne jazdy konnej na małych, grzywiastych szkapinach, postawy i stąpania końskie w stępie, truchcie, kłusie, galopie i w rozhukanym pędzie, podbijania się różnorakie jeźdźca w rytm kroku wierzchowcowego, robienie muszkietami i włóczniami, rozmaite pozycye w walkach atletycznych. A zawsze końcowe stronice albumów owych zawierają grafiki przyborów do każdej profesyi, rękodzielnictwa lub sportu, detali i części składowych, przedmiotów, które do nich służą, więc: siodeł, trenzli, uzd, strzemion, lanc i pałaszów, fuzyj, wędek i objętek, narzędzi, statków i warsztatów, jakoteż wizerunki układu rąk i ramion przy różnych razach fechtunkowych, gry ścięgni w zapasach, skrótów, prężeń i rozprężeń członków w wysiłkach atletycznych — mechaniki gestu i ruchu.

Powiedziałby ktoś, że rysunki takie nie do sztuki wliczyć należy. Takby istotnie było, gdyby najdrobniejszy model, najulotniejsza notatka, najbłahszy szkic nie miał doskonałej zdobności w linii, śmigłości i werwy niewidzianej w ujęciu pierwiastka żywotnego, prawdziwości kształtu, ścisłej i treściwej. Z najlichszych wątków potrafi Hokousai wyprowadzić, przez rozmieszczenie plam, rozwinięcie arabeski, kompozycyę nieskończenie zajmującą. Proszę popatrzeć np. na ten wzór do haftu, pomieszczony jako frontyspis; klocki, jakby z jaspisu czarnego wyrżnięte, japońskich liter, asymetrycznie rozrzucone, obramowują deseń regularny i tworzą z nim w całości coś niespodzianie przyjemnego, strojnego — cudo ksylograficznej i typograficznej sztuki.

Zresztą u Hokousai'a wszystko posiada powagę i wartość, — małe czy wyniosłe, godne lub przyziemne przetwarza w równej mierze na d z i e ł o: I ropucha o śliniących się brodawkach, i wiśniowa gałąź, okwiecona różowo i biało, sękowaty konar starej śliwy, czaszka z laki,

puzderko z pręcikami do jedzenia, baryłka *sake* [1]), kosz pomarańcz, dwie ryby za skrzela związane u trzciny, dwie perły, maski tekturowe, szpilki do włosów, kilka rozsypanych gwoździ, muszla, pióro sokole, grzebień fali morskiej, postaci z mitologii chińsko-japońskiej i typy z targowisk miejskich, zarówno jak perspektywy domków garbatych i niskich, których dachy i przystawki wypinają się ponad kanałami, spiętymi tu i tam mostkiem drewnianym, jeżącym grzbiet swój łukowy, niby rozgniewany olbrzymi kocur... wszystko ma u mistrza poezyę rzeczywistości i to piękno, nie z abstrakcyi powzięte i bezwzględne, a samo w sobie i dla siebie istniejące, lecz realne i materyalne — piękno form, objawiających życie, charakter, myśl i cywilizacyę plemienną.

Nic Hokousai'owi nie jest obcem, co tylko przystęp ma do duszy jego narodu. Więc przy realizmie dokładnym w odtwarzaniu ulicy japońskiej, wnętrzy, natur martwych i scen żywych — w dziele kolosalnem Hokousai'a liczne są także karty, poświęcone przedstawieniom makabrycznym i kadućznym, alegoryi, upiorom, zjawom i zmorom. W „Stu Opowieściach" (rok 1830), ilustrowanych przez mistrza, aż roi się od wizyj konania, śmierci, rozkładu. W przedziwnej mięszaninie rzeczywistości z fantasmagoryą wyobraża: orbity puste; obręcze żeber, przeglądające poprzez szczeliny zwłok zgangrenowanych; wzgórza, zasłane trupami; larwy białe, osnute pasmami bujnych włosów; pożerającą głowę dziecięcą kobietę-wilkołaka o krwawej paszczy, zbrojnej dwoma jak u buldoga sterczącymi kłami, o nosie haczykowatym i wąskiej szparze strasznych czarnych ślepi; kobietę-widmo, unoszącą sierpankę, pod którą śpi inne widmo kobiece, na poły obdarte ze skóry i z ciała ogołocone, zielone w cieniach, a w świetle blado-różowe. Lub tamże (w „Stu Opowieściach") Hokousai taki obraz rysuje: na niebieskiem tle nocy latarnia-czaszka trupia, porosła szczotkowatą szczeciną nad czołem, okolona u skroni pejsami miękkich kosmyków; szwy czaszki, anatomicznie wierne, za spojenia latarni owej służą, skroś nie i skroś wydrążenia oczu, szczerby szczęk, dziury po chrząstce nosowej prześwieca ogień, wewnątrz uwięziony. Gdzieindziej znów — mary topielcze o głowach hydrocefalów i grzywach skołtunionych, o żuchwach bez dziąseł a nosie wygniłym, szczerzące nagie zęby od ucha do ucha, patrzące jedyną źrenicą szklistą i matową ryby śniętej, wywijające jasnokościstemi ramionami i pląsające okropny taniec śmierci.

Wiele z tych plansz grobowych zawiera w sobie alegoryczność i symbolikę, zgoła niezrozumiałą dla nas; — co powoduje, oczywista,

---

[1]) Wódka japońska, z ryżu pędzona.

że w kompozycyach owych niemało pomysłów, będących aluzyami do podań, do dziejów bajecznych Japonii, gubi drogę do naszej uczuciowości, traci sens dramatyczny i zająć nas może jeno zewnętrznością swą a nie zawartością, zdobnością ustroju liniowego i uszykowań barwnych. Jak np. ta blada maska o wargach rozchylonych, z których wychodzi westchnienie, znaczące się na ciemnem niebie, niby para z ust w czas mroźny; kadłub widziadła owego, złożony ze stosu talerzy zielonych, spiętrzonych jeden na drugim, na wzór pierścieni kręgosłupa, wysuwa się ze studni. Jest to pono podobizna okropna a tkliwa nieszczęsnej sługi *Okikou*, co stłukła cenną farfurkę i utopiła się z rozpaczy. Rzecz prosta, że taki heroizm kuchenny „à la Vatel“, ta tragedya przy zmywaniu statków słabiej nas jeszcze wzrusza, niźli Greuze'a „La Cruche cassée“ (także przymówka, lecz do mniej niewinnego zdarzenia). Zazdrość kobiecą (jeden z głównych grzechów i występków niewieścich w Japonii) wyobrażają rogi, utworzone przez uczesck (zazdrośnica przegląda się w zwierciadle, i w trwożnym odskoku rozpuszcza jej się szynion, skręca zwojami gorgonowymi i u czoła w dwa półksiężyce wygina); bądź tak oto utworzone: jędza rozczochrana dźwiga wywrócone głową na dół dziecko, którego nóżki sterczą rogato zza matczynego ciemienia. Na tejże samej planszy gniew znów zdradzonej żony wyraża chmara szczurów i myszy — inkarnacya złych i mściwych słów, z gardła wyrzuconych. Kiedy się zaś na rycinie widzi tygielek rozpalony i koguta przy nim na desce, płynącej brzegiem rzeki — tłómaczyć to sobie trzeba, jako poszukiwanie topielca: tam, gdzie się deska magiczna zatrzyma, tam leży trup pod wodą. Powyższe utwory mają pozór karykatur tragicznych, a są dydaktyczne w treści, wypowiadają godłami morał jakiś, przypominają legendę, ilustrują bajkę popularną, uczą naocznie cnót specyficznie japońskich, lub chłostają japońskie przywary. Istnieją wszakże inne Hokousai'owskie estampy, bez myśli ukrytej i bez aluzyi, traktujące brzydotę tragiczną dla niej samej... bezinteresownie, a z taką siłą fascynującą w rozkształceniu form, w rozjuszeniu wyrazu, jaką tylko Japończyk lub Chińczyk dać może.

Dzieło Hokousai'a zawiera także groteski, pełne przekornego dowcipu, nie cofającego się przed efektami komiki i szarży grubej. Bogate ono w ułomnych i kalekich, w ślepców, garbusów i kulawców, w suchych jak kant chudeuszów, prezentujących torsy, obciągnięte wątłą skórą, z pod której przebija się armatura żeber, kości, ścięgni, żył, wiązadeł i knygciów kolumny pacierzowej, niby cewek, ustawionych w filar. W przeciwieństwie do chudych, demonstruje Hokousai tłuściochów, wzdętych i wywatowanych, we wszelkich chwilach i przygodach życiowych: gdy

toczą się po drodze w upał — pletoryczni, spoceni i zasapani, gdy po kąpieli goli, tylko w tłuszcz, fałdujący się na brzuchu odziani, wycierają wypięte pośladki, rozrosłe i kuliste, jak potwornej wielkości dynie, gdy walczą w zapasach siłaczych, lub gzią się w miłosnych igraszkach. Żadnej śmieszności nie pomija Hokousai i żadnej facecyi nie unika, kolekcyonuje, rzekłbyś, możliwe i niemożliwe potknięcia się i upadki na zadek błaznów cyrkowych, różne stopnie i stany pijaństwa, śledzi z ciekawością teratologa, a pod kątem humorysty anomalie wszelakie: zrośnięte razem tułowia z najbardziej niespodzianej strony, podziobane na rzeszoto oblicza kobiece, wydęte i wykoszlawione, usypane petocyami i dużymi orzeszkami kurzajek, kadłuby bezrękie i beznogie, jak pnie, ociosane z gałęzi, członki i rysy, wynaturzone docna. Niekiedy wystawia od tych form potwornych rzucone cienie na ścianie, i wtedy profile wyciągają się w najprzeróżniejsze wycinki—zabawne, ohydne lub sprośne.

Nie brak u Hokousai'a i skatologii, która daleko poza sobą zostawia wszystkie skatologie znane: Breughel'a, Kruikshanck'a, Teniers'a,—jak np. ten obrazek *Samurai'a,* z boku widzianego, przykucniętego w ustępie z dwiema swemi aż za czubek głowy podciągniętemi szablami, stojącemi na sztorc po obu bokach skurczonej w wysiłku twarzy... wysiłku, powodującym w najbliższem następstwie, że trzej stojący zewnątrz Japończycy znagleni są zatkać sobie nozdrza palcami i szatą; albo też ten — Japonki, podkasanej po pas, wyrzucającej swego kompana przez okienko tranzetu siłą puszczonych wiatrów.

Czasami znów Hokousai miesza gatunki i makabryczność z komizmem łączy w przedziwną tragifarsę; czasem przydaje się do tego i erotyzm, panoszący się zresztą w całej sztuce japońskiej. A erotyzm mistrza raz silny, głęboki i szatański bywa, jak najpotężniejsze tego rodzaju wizye, to znowu krotochwilny, niby Karagheuz'a widowiska.

Hokousai niza paciorek do paciorka, całkowity różaniec cielesnej miłości: wszystkie szczepienia, spazmy, opasania i kontorsye, wszelkie dotknięcia i zetknięcia, uściski, wessania, kąsania i karesy. Tu — zwiera się kobieta z gigantycznym polipem, który mackami przywarł do jej łona i przeraźliwemi mrocznemi źrenicami, wykrojonemi w kwadry księżycowe, patrzy na jej konanie z rozkoszy. Tam, na falującej purpurowej tkaninie — podbrzusze kobiece i na niem dłoń o długich palcach delikatnych i łechtliwych. Miłosne akty we dwoje, frenezye samotne, plugastwa, histerye i wyrafinowania, yoni i fallusy upostaciowane i usamowolnione, grające między sobą znaczące pantominy — wszystko Hokousai'a wyobraźnia, gorąca a bezwstydna w posiadanie bierze, na światło wywleka i z tajnego gestu, z sekretnych pieszczot,

ze sromnych nałogów robi i kult i zabawę; bądź poglądowo, niby w jakowemś „arte amandi“ udziela wskazówek i pouczeń. Trudno uznać — mimo ich rozpasanie — rysunki owe *„Shungwa“* za pornografię zwykłą. Bo, najprzód kwalifikatywów naszych, jak się wyżej powiedziało, zawłóczyć nie można tam, kędy nasze tablice walorów i praw, nasz ustrój uczuciowo-myślowy stosować się żadną miarą nie daje. Następnie — graficzne te erotyki rysowane są z taką sumiennością i prawością artystyczną, z taką misternością, z tak wysokiem poczuciem estetycznem, że nie wolno ich poza progami sztuki zostawić.

Hokousai, jak najwięksi jeno majstrowie, wie co trzeba zachować, a co należy usunąć w rysunku, aby takowy zawierał razem i pewnik i wartość emotywną, wywierał wrażenie należyte, żeby był przekonywającym, definitywnym i pięknym. — Rysować — ktoś powiedział — to pomijać. Owóż Hokousai jest niezrównanym w pomijaniu. Jego sztrych ostry owija tylko płaszczyzny zasadnicze, gdzie się energia życiowa, dynamika obmiotu skryła. „Linie kształtu każdego — mówi gdzieś [1]) Hokousai — polegają na kołach i czworokątach“. W imię więc tej zasady, szuka w anatomii wszelkich otaczających pozorów — geometrycznych pierwiastków formy. I tak np.: w ptaku szybującym korpus do koła, a rozpięte skrzydła do trójkąta sprowadza, w „akcie“ ludzkim napęcznienia bicepsów i podeszwowych — do kwadratu, przysiadłą postać w szablon dwu owali zamyka, zaś ustawicznie akcentuje łamanym rysem wybujałości i garby i nacisk, iście rzeźbiarski kładzie na woluminy. Witalność, prężność i znaczenie mają u Hokousai'a nietylko powierzchnie, nietylko kontury; ale, istotnie, każdą „kreskę i punkt nawet“ usiłuje mistrz ożywić. Stara się ująć odrazu i wyrazić jaknajzwięźlej w paru sumarycznych rzutach mimikę i gestykulacyę członków, przegiby torsów, napięcia i rozpinania muszkułów, żył i nerwów, zwarcia i rozwarcia pod kątem nóg i ramion — w wysiłku i działaniu: w tańcu, biegu, przy pracy; już to układ i proporcye architektury człowieczej w spoczynku. Z biegłością i spontanicznością błyskawiczną a niechybną postrzega i wykonywa wszelki ruch i kształt w naturze, notuje fizyognomię rzeczy. Figury, twory i przedmioty w *„Mangwa“*, rzucone bez ładu niby wzdłuż i wszerz stronic, a drobne, żeby się na paznogciu zmieściły, nie mające ni tła poza sobą, ani pod sobą gruntu — są tak doskonałe w formie, pozie, w charakterze i geście, że, zda się, zachowały substancyę i zasadę życiową. Ryby, smykające w wodzie, konik wodny, sunący po tafli stawu, sęp prujący powietrze, szarańcza w skoku,

[1]) „Wykład szybki rysunku uproszczonego“ *(„Riakougwahoyo Shinon“).*

chmurka bzykających w promieniu słonecznym muszek, mrówki, chrabąszcze — każde na właściwem miejscu i w swoim żywiole nakreślone są na kartach „*Mangwa*“ owego z podwójną prawdą: i życia i sztuki. — Nie są to bynajmniej „zdjęcia migawkowe“, przedstawienia naśladownicze; — i tu Hokousai transponuje rzeczywistość na wrażenie, materyalność na osobistą wizyę. Wszystko w twórczości mistrza wyrabia się w swej syntezie, a przed nami staje w swej iściznie. Wszędzie panują: porządek ustrojowy, harmonia i zdobność, mające za przyprawę korcącą — asymetryę, która smak zaostrza, dorzuca soli i pieprzu kompozycyom Hokousai'a. Asymetrya ta sprzyja kojarzeniu się form w rytm swoistego piękna i służy za jeden jeszcze środek dla zadowolenia estetycznego przez rozdźwięczność oraz niespodzianość.

Rozdźwięczność owa i niespodzianość przejawiają się u Hokousai'a w ujęciu przedmiotu tak dobrze, jak i w wykonaniu pomysłu. Kiedy „Trzydzieści Sześć Widoków Fouzi-Yama“ obrazuje — oglądamy zagasły ten wulkan o rozdartej gardzieli krateru: poprzez oczka sieci; szpary w płocie; poprzez kraty; nici krosien tkackich; skroś pajęczynę; odzwierciadlony do góry nogami w jeziorze; odbity w kubku *sake*, niesionym do ust; wychylający się z ponad dzid nadbrzeżnego sitowia; przebijający zza wątłych prątków wierzb płaczących, zza kiści wiśniowego kwiecia; wysuwający swój stożek dwuzębny z pomiędzy mgieł mlecznych. Albo też indziej, patrzymy z wysokiego ganeczku na górę Fouzi-Yama, zamkniętą pomiędzy dwoma szeregami domów wąskiej uliczki Yeddo i profilującą się z oddali w koronie lekkich oparów, bądź mrzącą za firanką deszczu ulewnego, bądź oprószoną śniegiem i wyglądającą wtedy, jak tytaniczna głowa cukru.

Nieraz pejzaż (w „Seryach Kaskad i Mostów“), nie większy od listka bibułki do papierosów, kilkoma jest jeno naznaczony kreskami: dwa garby pagórka, parę sztrychów na spadającą ze szczytu kaskadę, parę plam na siedmiopalczaste liście kasztanu, lub iglasty wyprysk jedliny, — i oto widok topograficznie dokładny, a tak pełen poezyi, tak wzrok łudzący krasą swą i słodyczą, jak tła Leonarda. Nieraz znów to, coby u nas winietą tylko być mogło, fragmentem w szkicowniku, stanowi cały obraz: ogromna węzłowata gałęź starej śliwy, osypana kwiatem rumianym; albo porzucony pośrodku alei ogrodowej kapelusz kobiecy ponsowy, do którego spadły liście z drzew; albo sztora, do połowy spuszczona, a z popod niej wygląda ramię biało-zakwitłe tarniny.

Równą treściwość i powściągliwość efektów i sposobów ma i Hokousai'a koloryt. Do figur — trochę różowego na ciało w świetle, szarego na półtony, w krajobrazie zaś niebieskie i fiolety przejrzyste, zagasłe

zielenic formują całą skalę barwną: te same kolory, z przydatkiem żółtego i czerni, do draperyj i akcesoryów służą. Odcienia wszakże są zróżniczkowane do tak nieskończenie małych i subtelnych dyferencyj na Hokousai'owskiej palecie — że, pomimo jej pozornego ubóstwa w ilości farb zasadniczych, mógł mistrz liczbę używanych przez się na pięćdziesiąt oznaczyć. Sam on klasyfikuje tusze swe takim trybem: czerń antyczna i czerń świeża, czerń błyszcząca i czerń matowa, w jasności i w cieniu; zaś przepis następujący dyktuje: dla pierwszej trzeba przymieszki czerwonego, dla drugiej — sinego, dla trzeciej — kleju, dla czwartej — białego, a dla czerni, światłem oblanej, należy dodać odblasków szarego tonu.

I tymi to kolorami, ową to linią giętką, pewną a treściwą zapełnia swe „*Mangwa*“ [1]), „*Shungwa*“ [2]), „*Kiboshi*“ [3]), „*sourimono*“ [4]), „*kakemono*“ [5]), „*makimono*“ [6]), — 30,000 rysunków i malowideł, małych, jak marka pocztowa, lub wielkich, jak placyk miejski [7]). Sprawność techniczna, umiejętność rzemieślnicza Hokousai'a była iście nadzwyczajną. Opowiadają biografowie jego (jak o Hiszpanie Goya [8]), że malował byle czem — paznogciem, szczotką, patykiem.

Rozmaite zresztą legendy krążą wokoło osoby mistrza... o kaprysach, o dumie, dziwactwie, niezależności. Raz go pokazują, jak na słońcu robactwo z opończy wybiera i brakiem się czasu wymawia, kiedy wysłaniec *shogun'a* odwiedzić go przychodzi i dla pana swojego o rysunek prosi; to znów w jednej z 93 pracowni [9]) otoczonym takim brudem, że aktor, najsławniejszy w owe czasy, Onoya Baiko, na pledzie usiąść musi, by się nie zapaskudzić; albo — w więzieniu za syna-nicponia,

---

[1]) *Mangwa* — wolne rysunki.

[2]) *Shungwa* — Albumy erotyków.

[3]) Małe, żółto oprawne książeczki.

[4]) *Sourimono* — ulotne listki, wraz z akwarelami: *makimono* i *kakemono* stanowią właściwe obrazy Japończyków. *Sourimono* dochodzą do 50 cent. szerokości na 18 wysokości.

[5]) *Kakemono* oznacza: rzecz, którą się zawiesza.

[6]) Zwój kilkometrowy w szerz malowany.

[7]) Według opowiadania i relacyi ilustrowanej Yenko-an'a — przed świątynią Nishigakhajo maluje Hokousai (w r. 1804) wyobrażenia bóstwa jakiegoś, mierzące 194 metrów. (Patrz Goncourt). Terminy, tłómaczenia, szczegóły biograficzne i daty wzięte z dział: Goncourt'a, L. Gonse'a, Tei-san'a i z „Histoire de l'Art du Japon“ 1900 in folio, wydawca de Brunoff.

[8]) Goya miał podobno namalować razu pewnego scenę batalii na murze posługując się ścierką, jako penzlem, a błotem, jako farbami.

[9]) Hokousai wciąż się przeprowadzał pono.

w ucieczce przed wierzycielami, w tułaczce po wrażenia, — a zawsze ostrym z ludźmi, nieprzystępnym, gminnym, zaś miłującym sztukę namiętnie, aż do tchu ostatniego, *„gwakiojin“* (szalonym z rysunku) [1]. W siedemdziesiątym trzecim roku życia swego powiada: „dopiero teraz zrozumiałem mniej więcej i jako tako budowę istotną natury, zwierząt, traw, drzew, ptaków, ryb, owadów“ (Przedmowa do „Stu Widoków Fouzi-Yama“ 1835 r.); a obiecuje sobie, gdy do stu dziesięciu lat dojdzie taką osiągnąć doskonałość, że „i kropka i linia — wszystko będzie żyjącem“ u niego. Osobliwa to postać ten stary wielki Hokousai: — Kaliban razem i Ariel. Duchowo jest poziomy a wyniosły, zewnętrznie brzydki strasznie a pociągający. Twarz kańciasta... na silnie sklepionej łysawej czaszce włos wątły i jedwabisty... czoło guzowate w tył mocno cofnięte, okapem zawisłe nad oczodołami, zmarszczkami poziomemi poryte... nos długi i suchy... duże i płaskie ucho, jak liść łopianu... „gęsia łapka“ na wydrążonej skroni... policzki zaklęsłe pod wystającemi skułami... oczy wąską kosą szparką patrzące zza powiek, skarbowanych w składki, niby mieszek... pod oczami workowate obrzęki... skóra zmiętoszona na szczękach i wzdłuż głęboko zradlona... górna warga zbruździona, ściągnięta, jak kaletka... zarost szczecinowaty i rzadki na szerokiej brodzie, rzekłbyś: badyle na wydmach... szyja żylasta, sflaczała, obwisła — oto podobizna [2] na parę lat przed śmiercią artysty, jednego z największych w historyi kunsztów, mistrza, od którego współczesna nasza sztuka tyle wskaźników wzięła, że każdy z dzisiejszych plastyków ma coś z Hokousai'a. On to w całej pełni zawiera w sobie geniusz swej rasy i on go nam odkrywa — w całej złożoności. Bo fizyognomia tego potężnego malarza i grafika jest tak wielostronna, jakby była sumą cech wielu organizacyi, a nie do pojedynczego należała twórcy.

I właśnie obszernością i różnostronnością swego magistralnego dzieła, ogarniającego wszystko, co tylko dusza Japończyka ogarnąć zdoła, Hokousai stoi o wiele wyżej od innego znacznego i pięknego artysty — Outamaro'a [3]).

Ten już nie z gminu pochodzi i nie z gminem żyje. Urodziwy, wytworny i bogato odziany spędza dni w pracowni przy księgarni swo-

---

[1]) Przydomek, który sobie dawał Hokousai w ostatnie swe lata.

[2]) Podaną na czele dzieła Goncourt'a o Hokousai'u i przez jego (Hokousai'a) córkę rysowana.

[3]) Ur. w 1574 r. w Kawagoye, prowincyi Mousashi. Nazwisko rodzinne Yousouke Kitagawa. Najpierw uczeń pracowni Nobou-Youshi, później Maurasakya. (Patrz „Outamaro“ E. de Goncourt, 1391 r. in 12. Tei-San „Notes sur l'Art japonais 1905. Mercure de France).

jego nakładcy Tzutaya Juzabro z aktorami najprzedniejszymi i z „fine-fleur'em" miasta, a noce spędza w Zielonych Domkach Yoshiwara [1]). Sztukę swą i życie kobiecie ofiaruje. Maluje ją przy czynnościach gospodarskich, zabawach i przy miłosnem zajęciu, w domu i poza domem, okazale ubraną w lamy, krepy, brokadje, lub gazy, w lundysze, aksamity, atłasy, bądź świetną nagością swą delikatną, smukłą i całkiem białą — kurtyzankę i matkę-karmicielkę z dzieckiem u łona, dziewczątka o krąglącej się ledwie piersi, albo rozkwitły już kwiat kobiecy. Zna każdy czar, każdą pozę, migi i umizgi, skinienia i zerkania — arsenał kokieteryi niewieściej. Zna opuszczenia wdzięczne małej główki o spiętrzonym gęstym koku kruczym, przeszytym długiemi szpilkami, przegięcia smukłej szyji i bioder gibkich, delikatne ujęcia rąk, kiedy dotyka się rzeczy, równie kruchych, jak ona: złotych lak, porcelany i roślin. Zna wabną i lekką posuwistość drobnych nóżek po matach, przykucnienia i przyklęknięcia, oparcia i przechylenia. A co jedna heroina Outamaro'a — to strojna, ponętna i gładka, czy kokardę z tyłu, czy z przodu nosi [2])..... co jedna — to cackowata, miluchna, wytworna, niepokojąca. I piękna *oiran* [3]), sławna na całe Yeddo, i zwykła *geisha,* i mieszczka, i dama — wszystkie mają ten sam owal regularny, w jajko wydłużony, te same usta, w dwa płatki róży wycięte, te same dwie niteczki brwi bławatnych, nos wąziutki i konchę uszną wywiniętą w „nawias", tak samo wykaligrafowane kształty, wątłe a pełne, kończyny pulchne, zgrabne, subtelne. Figurynki owe otulają przestronne szaty, z tkanin pieściwych i mieniących się, jak pióra synogarlicy o tłach, różowych zaledwie z przebijającem się z pod spodu fioletem, zielonkawych, niby woda bieżąca, spłowiałych blado-lazurowych, popielatych, niewypowiedzianie miękich, obłocznych, perłowych, mglistych. Zaś na tak zabarwionych podłożach haftem wypukłym, lub aplikacyą płaską rysują się ptaki na umajonych gałęziach, irysy, złocienie, piwonie krasne, czarne paluszki chrustu, kolące pęki choiny, żagliste żórawie i lwy heraldyczne.

Outamaro ma gamę barwną, przedziwnie zwiewną i zniuansowaną, zasobną w odcienia, na które trudno znaleść nazwy odpowiednie. Takimi kolorami śnieg, świeżo spadły, niebieszczy się przy księżycu, rumieni pod łuną zachodu; takie czernie szafirowe na niebie się rozpościerają w noc bezgwiaździstą; takie zabarwienia ma ogień gasnący, owoc jujuby,

[1]) Dzielnica prostytucyi w Yedo.

[2]) W Japonii, jak wiadomo, kurtyzanki związują szarfy swe węzłem z przodu, kobiety uczciwe — z tyłu.

[3]) Najwyższy stopień w hierarchii heter.

miód lipcowy, młode listki herbaty, płatek eglantyny więdnącej, brzuch rybi, wnętrza niektórych małży. — Kiedy niekiedy Outamaro szuka kombinacyi kolorowych wymyślnych i szczególnych: przesłania n. p. połowę twarzy kwefem różowym, upstrzonym białymi grochami, drugą połowę oświetlając sztucznie; albo rzuca refleksy na lica i szaty niespodzianie, nie wiedzieć skąd przybyłe. Zazwyczaj wszakże powierza piękno swego dzieła szlachetnemu i wykwintnemu zespołowi tonów, ozdobnej, delikatnej jak koronka arabesce. — Często bardzo w rycinach swych używa efektu, źle stosowanego u nas i tylko do niskich oleodrukowych robót — efektu poncyny, którą prążkuje na wypukło draperye, wytłacza ornament, wyciska rowkowato zewnętrzny kontur; robi zaś to nie plastyce gwoli, lecz dla zróżniczkowania, jeszcze subtelniejszego, barwy. Bo powierzchnia uwypuklona, skutkiem następującej gry światłocienia, zmienia odcień właściwego swego ukolorowania. I w ten sposób Outamaro otrzymuje ułamkowe, że tak powiem, niuanse. — Wytwarza on owe poncyny z równą kunsztownością, jak wszystkie arkany swej sztuki. A doprawdy nie wie się, jakiem je żelazkiem wybić tak sprawnie potrafi; nie rozumie się zarówno, co za narzędzie służyć mu może do tej cieniutkiej, wiotkiej linii, którą kształt wyprowadza, wywija flores zawiły, znaczy zarośnięcie włosów na skroni i czole.

Jak u Hokousai'a i u Outamaro'a nie masz także kreski, plamki, kleksu, zakolorowania, gdzieby czuć nie było intencyi zdobniczej, taktu malarskiego, zmysłu nadzwyczajnego harmonii. Ale kiedy u pierwszego „największą przyjaciółką prawda“, u drugiego — główną troską wabność wyszukana. W utworach Outamaro'a i całkowitość i poszczególne elementy obliczone są ku rozkoszy oczu naszych. Surową białość papieru w tłach pokrywa mistrz przejrzystą powłoką farby żółtej — słomkowej, bądź oranżowej; jednostajność marginesów, tudzież niezapełnionych płaszczyzn pudruje obłoczkiem sproszkowanej miki; powierzchnie puste przerywa wijącą się strugą fjoletu, albo jasnego bronzu; silniejszy akord barwny przytłumia srebrzystem pasmem po wierzchu; lub też metalizuje złotem i cyną tępe, suche kolory i zmusza je mienić się a wibrować cicho i spokojnie, przez jakiś, jemu jeno znany proceder. Każe im, rzekłbyś, zakraść się pod górną warstwę papieru, czy jedwabiu i przeglądać z poza takowej, niby przez szkło zapotniałe. Uwdzięczają się akwarele Outamaro'a odblaskiem perłowej macicy, urozmaicają żyłkowatością agatów, plamistością malachitu, a niektóre grają i migocą, jak to, co przyroda ma najbarwniejszego i najbardziej lśniącego w swym skarbcu: kwiaty, motyle i drogocenne kamienie.

Nic u Outamaro'a (i to samo o Hokousai'u powiedziałem) nie

bywa zbędnem, milczącem, martwem... ani kolor, ani kształt; a choć on idealizuje typ, stylizuje formę, osładza rysy, uwysmukla i piększy kibici, uszlachetnia rzeczy — nie odchodzi wszelako nigdy od natury, istoty, nie odrywa się od życia. Outamaro to tylko po japońsku i w stosunku do swego wielkiego rówiennika — idealista. My przez takie miano rozumiemy artystów, dla których materya jest signum idei, zaś rzeczywistość — wyrażeniem żywem tego, co ukazuje się jedynie szóstemu zmysłowi twórcy. — Outamaro'a idealizm spoczywa wyłącznie na pewnym optymizmie wzroku: upatruje on wszędzie piękno i ze wszystkiego je wyciągnąć zdolen. Cudnym robi pejzaż, cudną kobietę, rozkoszną roślinność swego kraju, klejnotem czyni każde łątko, fatałaszkę i fraszkę. Nikt czarowniej od niego nie oddawał widoków Japonii, zasnutych powietrzem kryształowem a zopalizowanem i niekiedy oparami tumannych. Arcydziełami istnemi są te krajobrazy, gdzie mistrz zwiał, cudem jakowemś, mleczne mgły ranne, wschodzące powoli z nad ziemi, zahaczające lotne muśliny o zręby skał, o rozkrzyżowane konary drzewin i pokrywające ich czubki „czapką-niewidimką" z bajki. Nikt lepiej od Outamaro'a nie wyobraził równowagi i ustosunkowania grup i kęp drzewia, zwiewności dalekich planów, oraz mocnej statyki pierwszych: a mało zrozumiało jaśniej zgodność i odpowiedniość trzech światów i trzech pierwiastków wizyi: człowieczego, zwierzęcego i roślinnego.

Błędem byłoby widzieć w Outamaro'u jedynie autora „Rocznika Domków Zielonych [1]), lub „Dużych Głów" (sto studyów kobiecych), li tylko historyografa ponęt i karesów, łaszeń się kocich i zalotności Japonki. Obejmuje on mniej od Hokousai'a, ale obejmuje wiele. W dziele Outamaro'a miejsce swe znalazła i groteskowość, którą obciąża zresztą męskie jeno postaci, oszczędzając urodzie niewieściej szarży wszelakiej, sytuacyi komicznych, wydrzeźniania, lub choćby ironii. Znalazł także miejsce swoje i erotyzm, wyuzdany, jak zawsze w japońskich *„Shungwa"*, ale wyższego bodaj gatunku, nie bagatelizujący faktu, nie zniżający gestu do zbereźnictw sprośnych, — erotyzm artysty i człowieka o imaginacyi i temperamencie gwałtownie zmysłowym, a równoważny w sile swej i ognistości Hokousai'owskiemu w najintensywniejszych, najprzedniejszych kartach. — To same, co na tamtych, mamy u Outamaro'a spięcia i skłębienia ciał topniejących w wspólnym uścisku, objęcia gruchoczące ramion, epileptyczne wyprężenia nóg, pocałunki, wyże-

---

[1]) Album, noszące także tytuł: „Książka Ilustrowana rzeczy, które się dzieją w ciągu roku w Domkach Zielonych *(„Sei-ro Ye-hon Nen-ju Ghio-ji")* 1804 r. 2 tomy. Tekst Yipensha Ikkou.

rające duszę, pijące usta z ust życie [1]). A obok tych wściekłości i szaleństw — skupienia jakieś, omdlenia błogie, opadnięcia głów na wiotkich szyjach, niby kwiatów, obumierających na bezsilnych łodygach, prosternacye mistyczne prawie, poddania się, nieledwie religijne.

I zastanawiające jest tu (jak i w całem dziele Outamaro'a; a szerzej biorąc, jak w całej sztuce japońskiej) współdziałanie stylizacyi, podnoszącej ton i „uzacniającej", z realizmem naśladowniczym. Gdyż artyści japońscy, wielcy i mali, bez względu na szkoły a tendencye, nietylko — zgodnie z ich współzawodnikami europejskimi — inwencyę swą wspomnieniami widzianych form żywią, ale, tworząc, wyobraźnię zastępują pamięcią, fantazyę — obserwowaniem,... co im nie przeszkadza zresztą (i to ich wydział osobny i własny ustanawia w plastyce świata) przekształcać prozy na poezyę, powszedniości na obraz kunsztowny. Dla tego to oni, a Hokousai i Outamaro na czele, mistrzami są takimi w podpatrywaniu i wykładzie flory i fauny swojskiej. Konie Shiokouado'a, małpy Mori Sozen'a, koguty Kiriusai'a, ryby Hokousai'a, rośliny i ptaki Outamaro'a są dziwami obserwarcyi, bystrej spostrzegawczości, dziwami także zdobności i smaku. W albumie jego „Sto Krzykaczy" artysta równa się ornitologowi; ze skrupulatnością bowiem przyrodnika wystudyował Outamaro detal każdy w konstrukcyi anatomicznej, w mechanice lotu i biegu, zwyczaje i upodobania ptactwa, zaś ze zdumiewającą umiejętnością syntetyzowania, z ową właściwą mu misternością w sztrychu i plamie, ze strojnością i zdobnie wyobrazić potrafił, jakby żywe: sowy i maszki, kurki wodne i żórawie, figojadki i wróble, gołębie, sójki, orły a krogulce i tyle, tyle innych. — Niemniejszą piękność i wartość rzeczową posiada zielnik jego i oranżerya. Kwiaty trzech pór roku: wiosenne narcyzy i konwalie, irysy i róże lata, astry i chryzantemy, żegnające płodność i żyzność na jesień, pozostawione takimi, jakimi są na swobodzie, lub zinaczone w ornament, w interpretacyi mistrza nic ze swej świeżości, zapachu i mowy nie utraciły, zyskały zaś inny jeszcze czar, tajemny a zmysłowy — że się ich ręce wielkiego artysty tknęły. Umiał on im życie osobiste pozostawić, ale obdarzył je ponadto liryzmem, swoim już własnym, okrasił umiłowaniem źdźbło każde trawy, baldaszki i słupki rośliny wszelakiej, byle płatki, pączki i listki. Bo Outamaro istotnie lubuje zmysłowo i czule dwa wykwity przyrody: kwiatokształtne ciało kobiece i inflorescencyę, wzeszłą pod złotem słońcem. — To też nie znam w sztuce nic słodszego dla oczu

---

[1]) Nie zna Japończyk ani w życiu, ani w sztuce pocałunku na modłę naszą; są wszakże zetknięcia i pieszczoty, które pozór jego mają. Trudno mi tu jaśniej rzecz wyłożyć.

od plansz Outamaro'a, gdzie obiedwie swe namiętności opiewa. Estampy te mistrza i malowidła — z dobrej epoki — są czemś niezmiernie nadobnem i miłem, pieszczą, jak strofa Verlaine'a, jak atłas, jak canzonetta neapolitańska, w noc zasłyszana majową.

Nie wszystkie wszelako prace Outamaro'a mają owo piękno i wabność. Pod koniec działalności swej przeżył się on był, zbanalizował: zjadły zdrowie i energię twórczą rozkosze *Yoshiwara'y*. W przeciwieństwie do Hokousai'a, który psychicznie nie starzał się, lecz doskonalił wciąż i dojrzewał, coraz jaśniej widział, coraz sprawniej tworzył — Outamaro wyczerpuje geniusz swój, gubi swoje niepospolite dary. Już jego postaci kobiece, ongi wysmukłe i gibkie, tyją, pospolicieją, tracą sylwetę treściwą iześrodkowaną, gdzie wszelki rys był skrótem i ściągiem, wynikiem całego szeregu spotrzeżeń. Mózg, wzrok, wola Outamaro'a gnuśnieją, a dłoń niezdolna już lapidarnie i lakonicznie, kilkoma pociągnięciami penzla określić widzenie i zamknąć w kilku kształtach.— I kolor mistrza traci swą brzoskwiniowość, barwę tę, jaką na świeżo-zerwanych owocach widać, rozstraja się, jaskrawieje. — Swoistość, duma artysty opuszczają mało-po-mału Outamaro'a. On, który nigdy nie chciał malować aktorów i kłamliwego, sztucznego światka rampy i kulis, zachęcony powodzeniem rywala swych dni ostatnich, Tokayakouni'ego, zaczyna produkować siużety teatralne, a robi je, jaknajwidoczniej, bez przekonania, bez ukontentowania i prawie — bez talentu. Lub też, żeby zadowolić gusta owej chwili — on, który kreślił był niegdyś karykatury w wysokim stylu [1]), zniża się do błazeństw, do wypaczeń i wynaturzeń niezręcznych, nie licujących zgoła z jego elegancyą poprzednią i zwykłą mu estetyczną miarą.

Więc też w dobę swej śmierci (r. 1806) Outamaro umarłym dla sztuki już był od lat paru [2]).

Szczuplejszy dorobek i mniejsza sława, niż po Hokousai'u, została po Outamaro'u. Dość wszakże sowite dzieło jego i dosyć rozgłośne imię, aby wliczyć tego pięknego artystę do najprzedniejszych plastyków swojej ojczyzny i epoki swojej, a postawić go tuż przy wielkim Hokousai'u. Obadwaj, bogaci pojęciem rzeczy, zmysłem malarskim pierwszorzędnym, swobodą penzla bajeczną, reprezentują wspólnie dwie cechy koncepcyi japońskiej: zmysłowość i nadzmysłowość. Obadwaj opisują, co widzą w około siebie, co przeczuwają poza i ponad sobą.

---

[1]) Skomponował między innemi planszę satyryczną, w której dostrzeżono przytyku do rządzącego wonczas *Shogun'a* Yonari, — za co uwięziony został. Klaustracya owa podkopała do reszty organizm Outamaro'a.

[2]) Po śmierci Outamaro'a uczeń jego Kiokawa-Shuntio wziął w spuściźnie żonę mistrza i nazwisko — i niem podcyfrowywał mierne swe utwory.

Braknie jeno przecudnej sztuce kraju Wschodzącego Słońca twórcy, któryby wypisał na licach swych bohaterów, co się w duszy człowieczej dzieje, — i okrom zmysłowości i nadzmysłowości, jeszcze i duchowość indywidualną objawił. *Jan Topass.*

NIEWIDOME SIOSTRY.

(Fragment z kończącej się obecnie powieści p. t. „Faunessy“).

Cecylii Walewskiej—na pamiątkę spacerów paru i rozmów — wrażeń ulotnych— katedr wspólnie zwiedzonych i wspólnie łykanego kurzu — — — dobrych dla mnie chwil, Stryjenko! *M. W.*

D'Espagnac utrzymywał, że pani de la Serre porusza głową, jak tancerze ze słynnego, paryskiego balu „*Ofiar*“ — z tych czasów terroru i szału, kiedy Paryż tańczył kankana w salach nowicyatu jezuickiego i w klasztorze karmelitek *du Marais*. Na balu „*Ofiar*“ pozdrawiano się ruchem głowy, kładzionej między te dwie fugi, co regulują nóż w gilotynie.

Pani de la Serre podobnym ruchem wznosiła i opuszczała głowę.

Po bokach jej owalnej twarzy, dzwoniły stare kolczyki z czasów rewolucyi francuskiej: malutkie dwie gilotyny ze szmaragdu. Na końcu jednej wisiała rubinowa, koronowana główka Maryi Antoinetty, na końcu drugiej główka Ludwika.

Dziwnie w tem drapieżnem obramowaniu wyglądał stanowczo niejakobiński owal jej twarzy, lustrzane odbicie księżnej Salm-Auersperg z miniatury Fügera, tego Cosway of Vienna, który cokolwiek kiedy wyraził w oczach modlitewnych, temu zaprzeczył w ustach, zmiażdżonych profanacyjnymi pocałunkami ladajakich nawet warg.

U pani de la Serre usta płonęły więcej, niż Fügerowskie, mokre, szczerze wyuzdane w stosunku do jej mistycznych oczu z terraverte — czyniąc plamę wprost denerwującą na jej cerze, o której pani El mówiła, że była z gatunku „ślepych“ jedwabi.

Dziecinne ręce składała dziecinnie na kolanach, a tylko na jej usta patrząc, można było nabrać pewności, że ręce te równie nabożnie potrafią przesuwać ziarnka różańcowe, jak kartki przewracać, zdobione rycinami Fragonarda.

Z bezwzględnym spokojem i jednaką adoracyą, przenosiły się jej modlitewne oczy z cudnej św. Agnes, rzeźbionej przez Claude St. Rosset w złoto-żółtym bukszpanie, na stary szyld jednej księgarni paryskiej z końca XVIII w. wiszący jako supraporte, o groteskowym napisie: *Librairie á Notre Dame de la Guillotine.*

Jednakowo patrzyły na projekt witrażu, na którym wiło się pokaleczone ciało Lidwiny de Schiedam — straszniejsze, niż opis Huysmansa — jak na illustracye Marille'go do bajek Fontaina, na sztychy Lavreinca, na *„Posirioni“* Caraccia...

Wszystko to gmatwało się w jej magnackich salonach. Bratały się sprośne estampy od Basseta, z rue St. Jacques, z ekstatyczną głową św. Teresy. Czarny od starości anachoreta patrzył z podełba na rozebraną Gimblettę Fragonarda, podrzucającą pieska bosemi nerwowemi nóżkami. Pośmiertna woskowa maska jakiejś jansenistki z Port Royal, o ustach nabrzmiałych, gorszyła się dzień i noc *„Grzechem“* Stucka, zdobnym w ramy niewidzianej piękności, wyrzynane napewno przez de Bry, Lavreincowską „La Comparaison“, w której pogodnie odsłaniały piersi dwie młode markizy, ważąc, która ma pierś pełniejszą...

Koronowany gryf z perugiańskiego Palazzo Comunale, pokrzywiał się wzgardliwie filigranowym bestyom Jany Poupelet. Żałosne i niewinne pamiętniki jedenastoletniej mniszeczki Heleny Taraboti, ocierały się o płomienne, miłosne listy Maryanny d'Alcoforado. Z mebli, potrącały się cacka Biedermajerowskie i Riesenery o okropne sprzęty w stylu Louis Philipe'a — o jeszcze okropniejsze modern-stile prof. Selcera, Fritschego, Niedermosera. Marmurowy model katedry z Reims opierał się o wazę Alfa Wallendera, na której duży, mleczny łabędź, obejmował skrzydłami perłową Ledę, i z którego wystrzelał pęk sztucznych kwiatów — bo tylko sztuczne, kościelne znajdowały miejsce u pani de la Serre, najrzadsze okazy kwiatów, od tych począwszy z parfumowanego papyrusu, jakie w XV w. robiono, aż do najpospolitszych, z satin antique, welwetu, angielskiej skóry, perkalu i kauczuku.

Nad relikwiarzami Bernharda, zwieszał się wspaniały baldachim, pod którym ponoś niesiono ongi zabalsamowane zwłoki królowej Izis-em-Kheb — wzdłuż Nilu. — Cały z kwadratów skór antylopich farbowanych i łączonych symbolicznie festonami i figurami, stykał się bezpośrednio z gobelinkiem Anny Boberg, z krzyczącą, zuchwałą kakofonią sukiennych pawi, mew i tulipanów.

Przedmioty u pani de la Serre były zawsze używane do in-

nych celów, niż je natura stworzyła. I tak w bajkowych kadzielnicach Windsheima, trzymała papierosy. Paznogcie polerowała o wyświechtane aksamity z czapraków średniowiecznych. Na zmodernizowanym, bizantyjskim ołtarzu Fassnachta, miała gotowalnię. Stały lustra, lusterka, puszki i pilniki — tak efronteryjnie, że człowiek i ich celowi nie dowierzał, posądzając, że i one służą do innych, pani de la Serre tylko wiadomych celów.

Autentyczne kandelabry Meissoniera stały puste, bez świec — biły zegary Delafossa — i w tym tic-tacu skupowanych na obu półkulach zegarów, miała nam mówić „o czemś mistycznem" pani de la Serre.

Trzy buldogi strażowały przy niej w pozach hieratycznych. Jeden z gorzką twarzą Verlaina, drugi z ponurą twarzą Beethowena, trzeci z twarzą Humperdincka, pogodną i zadowoloną ze siebie.

— Więc mów, Mormonko, która mordowałaś dzieci w Mountain Meadows i dziewczynkom gardła roztwierałaś od ucha do ucha bowie-knifem... — przerwała ciszę pani El, niewiadomo, dla jakich przyczyn pomawiając panią de la Serre o wyznawanie zasad Brighama Younga.

— Mano Poderosa!!! nigdy nie mordowałam dzieci w Mountain Meadows — odpowiedziała nieco urażona pani de la Serre — i żadnym dziewczynkom gardła bowie-knifem nie roztwierałam...

— ...acz radaby dusza do raju... — mruknął d'Espagnac.

Zamyśliły się oczy z dzikiej rezedy, z Wau (która żółtą farbę daje). Może doprawdy żałowała pani de la Serre, że razem z Johnem Lee, mężem 18 żon i ojcem 64 dzieci, nie mordowała Arkanzasów w ów sławny dzień mormońskiej rzezi, na świętej *Ziemi Pszczół* [1]). A może nigdy nie słyszała pani de la Serre ani o Brighamie Youngu, ani o Johnie Leem, ani wogóle o świętych Ostatniego Dnia.

Spokój i bezruch był w jej twarzy, mówiący zaiste lepiej, niż słowa Epikteta, że jeźli ci niewolnik stłucze twoje szkło, lub umrze ci dziecko, zachowuj się tak, jakgdyby stłukł cudze szkło i umarło cudze dziecko.

To też spokojnie rozpoczęła pani de la Serre opowiadanie:

---

[1]) Mormoni tak nazywali część ziemi, którą mieli w posiadaniu. Inaczej nazywali ją: Dezeret. Część ta należała do Mexyku. Siebie nazywali mormoni: Latter Day Saint, świętymi Ostatniego Dnia.

— Dowiedziałam się tam przypadkowo...
— Gdzie, Mormonko? — spytała pani El, zawsze ścisła.
— ...bo ja wiem? może w Bretanii?... Tak, pewnie w Bretanii. Otóż tam się dowiedziałam, że jest w pobliżu klasztor Niewidomych Panien. Chciałam zobaczyć ten dom dziwny — bez okien — bo pocóż okna dla duchów błądzących omackiem? Dom bez obrazów, bez ozdób, bez sprzętów prawie — cichy i zamarły — dyszący tylko modlitwą i zapatrzony oczyma duszy w abstrakt i nieskończoność. Nagi i pusty, kryje oderwany od ziemi garstkę istot dziwnych, kwintesencyę bezcielesności, prawdziwą negacyę życia ludzkiego, odskocznię tylko, z której runie się w przepaść świetlaną absolutu, ze snu czasowego, w sen wiekuisty [1]).

Poszłam doń tedy z bukietem pachnących silnie kwiatów, mających mi drogę torować poprzez szpaler ślepych zakonnic. Klasztor stary był, starszy pewnie od zgromadzenia, smutny, cały cynobrowy i szary. Kaplica była na oścież otwarta, więc wstąpiłam do kaplicy, przed progiem zamykając oczy jakimś ruchem bezwiednym, jakby ogarnięta już atmosferą tego dziwnego miejsca, gdzie wszyscy mają oczy zamknięte. Poprostu chciałam ją wyczuć moją skórą, chciałam wsać się duszą w to niepodobieństwo bezcielesności, skoczyć wprost z mego życia bujnego, dyonizyjskiego, w bezkres nicości. Z zamkniętemi oczyma posunęłam się parę kroków naprzód i — poczułam nagle chłodne, lepkie dotknięcie na twarzy. Cofnęłam głowę w szalonem jakiemś przerażeniu i otworzyłam oczy. Muskały mnie właśnie metalowe frendzle chorągwi. Łuna światła ogarnęła mnie, żarząca się w bocznym ołtarzu, oślepiła mnie świeża złoconość krzyżów, gzymsów, tabernakli; wiśniowa barwa tanich witraży; przykuły mi wzrok na chwilę oszalałe igrzyska much, bębniących w cynowe lichtarze. Uczucie zawodu otrzeźwiło mnie natychmiast. Zaczęłam rozglądać się w kaplicy, krytycznie już, i raczej źle usposobiona. Z głównego ołtarza, olbrzymia święta Łucya podawała parę własnych oczu, na srebrnym talerzyku, zaznaczając, że jesteśmy w przybytku ślepych. Jej puste oczodoły patrzyły bezlitośnie w próżnię, denerwujące i upiorowate.

— *T't'embetes, mon fils?* — zwróciła się niespodzianie pani de la Serre do jednego z psów, który właśnie ziewał. Buldog z twa-

---

[1]) Panna Bergunion założyła około r. 1851 we Francyi klasztor Niewidomych sióstr św. Pawła, do którego wstępują ciemne dziewczęta.

rżą Verlaina, podniósł znudzoną mordę, nieokreślonym grymasem dając coś do zrozumienia.

— On się nie nudzi nigdy — rzekł poważnie d'Espagnac — tylko inni go nudzą. Akurat, jak książę de Ligne...

— To dobrze — kiwnęła głową pani de la Serre, rzucając psu kawałek jabłka, bowiem karmiła zawsze owocami swoje buldogi, utrzymując, że to je czyni bystrymi i że dlatego Ewa karmiła jabłkami Adama, w raju, na czem się Bóg Ojciec nie poznał.

Potem rozpoczęła na nowo:

— W bocznej nawie wisiał duży Chrystus, nisko, prawie na ziemi, dobrotliwy i przystępny — wulgarna kopia cudnego, padwiańskiego Donatella. Cztery zakonnice klęczały przed nim, z welonami spływającymi, jak opar rzeczny, wzdłuż ramion. Wyglądały tajemniczo, spowite w tą mgłę—libelule, błyskające tylko od czasu do czasu białą plamą twarzy i rąk, błędne ogniki, znikome i zwodne. Oczy miały zawarte i milczały, nie złożywszy nawet rąk, podobne do ekswotów, lub do tych figur z prymitywnych płócien, które po bokach madonny klęcząc, przedstawiają „fundatorów“ obrazu.

Jedna z nich po długiej kontemplacyi, poruszyła się i wyciągnąwszy rękę przed siebie, jęła nią cicho i miłośnie przesuwać po twarzy Chrystusa. I musiały te szczupłe ręce wyczuć coś pięknego, mimo iż Chrystus był brzydki i wulgarny, bo usta zadrgały, palce zaś jęły się zniżać aż natrafiły na ranę Najśw. Boku. Wówczas nachyliła się biała twarz i usta wpiły się w drewnianą ranę prawie spazmatycznie.

— Rano Najświętszego Boku, wybaw ją!!! — zaczęły mówić chórem wszystkie, uparcie, tępo, z taką żałosną rozpaczą małych dzieci, które proszą o ciastko. Gdy przestały tłuc głowami o posadzkę, zapytałam pierwszą z brzegu:

— O co się tak modlicie, Siostro?

Nie zdziwiły się. Widocznie dawno wyczuły już moją obecność. Obróciły tylko twarze do mnie, małe, w opłatku kremowym rzeźbione, dziwnie przypominające pyszczki oswojonych łasiczek, węszących niechętnie zbliżanie się obcego i posunęły się naprzód, automatycznie, tak, że znowu odskoczyłam, ogarnięta dziecinnym strachem, że i po mojej twarzy zaczną się przesuwać te szczupłe, wilgotne ręce.

— O Siostrę Felicytę się modlimy — odparła najstarsza lakonicznie.

— Chora?

— Chora.

I zapadła cisza, lecz nagle jakby je znowu szał rozpaczy ogarnął, zaczęły mówić wszystkie, pospiesznie, trwożliwie, obłędnie.

Umiera Siostra Felicyta, ta jedna, która pośród nich widzi, ta jedna, która wśród wiecznej nocy prowadzi je i trzyma. Niema już widzących ani w nowicyacie, ani w wyższych chórach. Noc zostanie teraz bezkreśna.

— Ona jest przełożoną? — spytałam.

— Nie — odpowiedziała ta, która bok Chrystusowy całowała. — Ja jestem przełożoną.

Zrozumiałam teraz, dlaczego tamte całowały podłogę, a ona jedna bok Chrystusowy.

Tymczasem zbiły się one w gromadkę, jak owce. Oczy ich powoli otwierały się, mętne, blade, niewidzące, jakby próbowały, czy której z nich Bóg wzroku nie użyczył, aby mogła poprowadzić Siostry w bezdnie wiekuistej nocy. Dreszcze jakieś biegały po tych malutkich, kremowych twarzyczkach — mumijki żałosne, zeszłe z Bóg wie jakich sarkofagów — i raptem, z tych bladych, mętnych oczu, jęły płynąć łzy, duże, ciężkie, bezradne, nieskończenie smutne, że z próżni w próżnię się toczą. Uczucie dobrego, litosnego uniesienia porwało mnie nagle. Doszło mnie wprost plastycznie dotknięcie dziesiątka rąk chudych i wilgotnych, czepiających się mego płaszcza i moich dłoni, abym drogowskazem była w miejsce tej, która umiera. I odczułam całą znikomość światowości i wielkości — przyszedł mi na myśl ostatni z Borgiów, który właśnie umarł nędznym fotografem w Londynie i ostatni z Medicich, który jako kościelny dzwoni w brukselskiej katedrze i przyszła mi na myśl bezpożyteczność uniesień miłosnych — bezpłodność erotycznych ekstaz — bezjutrowość naszych ukochań — bo powiedzcie, czy Miłość nie jest bezpłodną w zasadzie, chociażby narodziny całych pokoleń były jej następstwem?!?

— Myśli pani?! — przerwał d'Espagnac. — Miłości bezpłodnej niema — jej wpływ na twórczość człowieka, na jego intellekt jest zbyt wielki. Niech uczą starzy mantykowie, że zbliżenie się dwojga ludzi jest aktem przemyślnej natury tylko, dążącej do multyplikacyi, a więc, że zbrodnią jest, gdy miłość zadania swego, reprodukcyjnego, nie spełni. Ja twierdzę, że miłość zawsze zadanie swoje spełni, że wszystkie szaleństwa miłosne bezpłodne, są płodne znowu w znaczeniu wyższem, pobudzając dynamikę twórczą, płodząc arcydzieła, kształtując historyę.

— Może. Ale wtedy myślałam inaczej, więc zwróciłam się do Sióstr i rzekłam:

— Mam oczy zdrowe i kto wie, czy nie zostałabym z wami...

Poruszyły się gwałtownie i wyciągnęły się do mnie cztery pary rąk szczupłych, jak z toni — białe macki łakome i trwożliwe, które chwilę drgały w powietrzu, szukając moich rąk, wreszcie spoczęły na łokciach moich i powiodły mnie w głąb coraz czarniejszych, coraz ciemniejszych, kurytarzy. Było coś niesamowitego w tem, że mnie, widzącą, prowadzą niewidome w jakieś krużganki zawiłe, gdzie doprawdy oczy już były zbyteczne, a na końcu których czekała Śmierć, przy łóżku Siostry Felicyty.

Zaraz w progu uderzyły mnie jej oczy — istotnie przedziwne oczy, duże, płonące, dumne, namiętne, gorzkie. Coś chciała powiedzieć, lecz nagle rzuciła się w tył i uparcie trzymając oczy otwarte, skończyła wśród ciszy, z której zakonnice może wyczytały co się stało, bo zwróciły się do mnie niespokojnie.

— Umarła — rzekłam, a głos mój odbił się tak twardo o ściany celi, że wrócił do mnie, jak z procy ciśnięty kamień.

Zaczęły się schodzić inne postacie, wizyjne, w welony spowite, o twarzach umarłych dzieci i zamkniętych powiekach, a wśród nich ja jedna patrzyłam w otwarte oczy Siostry Felicyty, przedziwne, duże, gorzkie, zniewalające mnie swoją natarczywością.

— Patrzy? — spytała cicho jakaś nowicyuszka o ekstatycznej głowie.

— Patrzy — odrzekłam takim głosem, jakim się mówi o cudzie.

— Patrzy, ale już jest jako i my, rzekła raptem przełożona. — Wieczne odpoczywanie...

— ...racz jej dać, Panie... — buchnęły zakonnice i twarze zwróciły się znowu do mnie, ale podwładne już, pokorne, takie, jakie się musiały zwracać w ślad za Siostrą Felicytą, dawniej. Czuło się w tej ciszy dzwoniącej, że pryska czar Siostry Felicyty, a wszystkie zamknięte usta i oczy pytają mnie:

— Wrócisz?!

— Oczy musisz mieć tak władne, tak cudne, kiedy ci je Bóg zachował... — mówiła mi ekstatyczna twarz młodej nowicyuszki.

A tamte oczy patrzyły coraz uporczywsze, coraz namiętniej się domagające, aby przez zastępstwo nie grzebano ich wspomnienia i ich mocy. Pycha rzeźbiła nieskończona jej drobne usta, taka zacietrzewiona zazdrość o stanowisko jedyne, o trzon tej pochodni,

którą wśród nocy niosła, aż sama utonęła w zmroku. Pojęłam, że dla niej przystrajano tu i złocono ołtarze, dla niej witraże wiśniowe wstawiano, dla niej obrazy rozrzucano i kwiaty. Dla jej oczu — jedynych...

Więc nie wróciłam, choć mnie Siostry Niewidome w rozpaczy czekały i choć mnie ciągnęło to życie wśród trumien.

— Dlaczego nie wróciłaś? — spytała Beatrix słodko, nie rozumiejąc tej zawikłanej filozofii.

Pani de la Serre uczyniła nieokreślony ruch ręką:

— Nie mogłam w drogę wchodzić tamtym oczom... Poszłam.

Długi moment trwało wśród nas milczenie i każde z nas z pewnością dziwiło się w duchu subtelności motywów u pani de la Serre, której fantazye znaliśmy dotychczas jako niezwalczone. Co mogło wpłynąć na nią wówczas, że nie poddała się fantazyi i uległa motywom tak „cienkim"?!

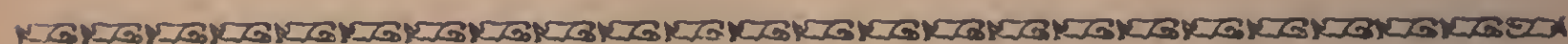
Nagle przerwała ciszę pani El, zapytując ni stąd ni zowąd:

— ...a on był blondynem i miał czarne oczy, ten z którym poszłaś wówczas, Mormonko?...

— Nie! — żachnęła się pani de la Serre — jaki blondyn?!?! — a po chwili dodała marząco i zgoła niespodzianie:

— Ten?... wówczas?... On miał oczy jasne, a włosy czarne, czarne, ach! jakie czarne...

Marya Jehanne Walewska
(Hrabina Wielopolska).



SALVADOR RUEDA

POEMAT GROT.

(w Els Hams na Majorce).
Z hiszpańskiego.

Niezwykłe to groty:
harda cierpliwość i męskie wytrwanie
stulecia zmogły, a stygmat stuleci
w boju i walce w świętość je obleka.

Z kruż swych przeźroczy krople połyskliwe
kapią w bursztyn złoty,
i w kryształ krzepną, co się ogniem świeci.
Od sklepień — dzwoniąc — suną przez otchłanie,

marzną w łodygi kamienne i — patrzą...
Te są jak ciche muśnięcie pieszczoty,
tamte jak ciężkie ludzkich łez padanie,
tę skargę tulą, te kołyszą pieśnią. —
Czyżby to były boskie krople owe
co tworzą duszę?...
A grota cała,
kuźnia olbrzymia nieskończonych trudów,
drżeń i kołysań,
gdzie w namaszczeniu wzniosłem boskie dłuta
kształt piękna toczą —

Kolumna niby z agatu wykuta
skargą wybucha, gdy z przeźroczej wnęki
kruż swoich kroplę uroni perlistą.
Słysząc jak jęczy słowem żałośliwem,
jak potem mdleje w ciszę pełną męki,
z trwożnym podziwem
pytam kamienia,
który rzeźbiąc płacze:
pniu ty wzdychający, o, pniu od łez lśniący,
jakież twe strapienia?

Inna kolumna drży śmiechu kaskadą,
śle deszcz tęczowy kropel rozigranych,
więc pytam łodygi odwiecznych chichotów:
śmiechu grot echowy, pniu ametystowy,
kto ci ton weselny tchnął w głaz rozśpiewany?

Od sklepień wyżyny spływa obłok łzawy,
mętne krople swoje w świat żegna — westchnieniem,
niby rannych skrzydeł ostatnim łopotem.
Mówię do iglicy śpiewnego kamienia,
do wilgotnych stropów, gdy mrąca przypada:
szafiru opono, kto w tęskne twe łono
wlał szloch, którym fletnia twa płacze?

W niszy łez kryształy wiotki woal utkały,
świt weń cedzą złoty
i pieśń anielską harfowej pieszczoty,
pytam się kolumny, co rozrzutną dłonią

gam trele roznieca, jak rosa skry tęczy:
śpiewie grot przeczysty, rubinie ognisty,
kto pieśń tę wyśpiewał, co z strun twych się wdzięczy?
A inną zagadnę jak lampa kolumnę,
co światłem zabija, co blaskiem wzrok mroczy:
ogniu piorunowy, pniu ty dyamentowy,
jakież słońce wzeszło w pierścień twych otoczy?

Tuż obok kolumna
blasków tak świętych, jak bożych słów głoski,
jakiś czarodziej, skryty w grot głębinie,
perłowym rylcem kształt jej toczył boski.
Wołam w zachwycie,
ku złotych iglic gronu prężąc dłonie:
klejnocie przestrzeni, topazie z promieni,
kiedyż Bóg cię roztlił świętą swą prawicą?

* * *

Poprzez mroczne wieki w czarnem ziemi łonie,
cichych kropel iskry łzawe i śmiejące
wzniosły życia męką dumny tum w pieczarze,
arkady, wieżyce,
tryumfalne łuki i deszcz strzał rzęsisty,
chóry i ołtarze,
organy rzeźbione w złocistym jaspisie,
archanielskie trąby dla odwiecznych pieśni.

Boskie nożyce w zastygłych skier ciele
wycięły walk dzieje,
krwawe puklerze, rycerskie turnieje,
i pokos tłumny życia, co się ściele,
trąby i fletnie, miecze i zbroice.
Leciały w bezdeń otręby kamienne,
skandując śpiewnie powietrzne swe loty.

I wstały z martwych tłumne echa groty:
obławy dzikie, wichrowe rumaki,
ścigane łanie, rogacze pierzchliwe,
szaraki w wirze opętańczych susów,
sfory psów dzikie i myśliwskie rogi.

Od wrzaw ich stroniąc, w przepastnym wąwozie
z mlecznemi brody dumają proroki,
groźny pustelnik w skamieniałej pozie
długi lat tysiąc mamrocze modlitwy,
Czarne mrowisko
skalnych pokoleń przez mury i sale
więzi wzrok widza i czaruje oczy,
w półsennym geście lub bachicznym szale.
I ledwie jednym wzrok nasycisz cudem,
ku innym, wyższym, źrenica poziera,
niknie wspaniałość w blaskach majestatu,
majestat blednie w cudowności świcie,
A ta ku Bogu wiedzie i — zamiera.

Na dnie mrocznego jaru, w łonie skał zuchwałych,
które jak drętwe majaczą kolosy,
jezioro rozlało płynną swoją ciszę,
tak pełne marzeń, tak kusząco lśniące,
że stopa bieży,
musnąć radośnie magiczne całuny,
a wzrok się mroczy przed boskiem widziadłem.
W złoty krąg wtedy zabuja się fala,
jak haft niebiański sennego marzenia,
lub woal miesiąca, gdy niwę okala,
Ton pieśni starej, zmilkłej od stuleci...
Szemrze jezioro —
tuli i zwija tajemne swe sploty,
i długo, długo mieni się i świeci,
nim nurt powróci do wiecznej martwoty
i swą upojną znów upieści ciszą
grota zaklęta. —

* * *

Twierdzo ogników, grodzie dusz pierzchliwych,
pałacu sylfów, gnomów, wiotkich wróżek
w twym labiryncie, dziele czarowników,
na moją duszę
padł lęk czerwony i blade wzruszenie,
jak wobec rzeczy podniosłych i świętych.

Patrzę, w załamie krętej katakumby
jakby rozdźwiękły stare, zgasłe runy,
widzę, zdumiały, głosku z alabastru,
nie! to zamarzłe dzikiej harfy struny.
Chwytam kolumnę dźwiękami nabrzmiałą,
i z pod jej serca wyrywam gam pęki,
jakgdyby anioł palcem świętej ręki
dotykał śmiejąc liry dusz człowieczych,
by je upiększyć...
Ten hymn nieziemski harfy skamieniałej
to mowa Boga, wczarowana w skały.

Wielki organie jaskinnej świątyni,
są-li te krople jękliwe twą mową?
co w chór szlochają i w chór śmiechem wioną,
co bratnio grają i pieją chorałem?
Z naw poły mrocznych zaklętej świątyni,
wiją się cielska potwornymi skręty.
To archanielskie trąby legendowe,
które zahuczą na dzień sądu święty —
Długo je kuły jaskinne oskardy...
A kropla drżąca, wysłaniec lękliwy,
z liry do liry niesie szept i łkania,
o tem, jak wieki trwają w doli twardej,
o tem, jak ostrzą lodowe swe groty,
i jak szlifują dwusieczne narzędzie,
jak miecze szkliste na bój, który będzie,
i jak przez wieki szamocą się, dumne,
nim stworzą jedną, królewską kolumnę.
Ich serca tkliwe, wkute w głazu ciemnie
szept skarg miłosnych chwytają wzajemnie,
marzą, jak kiedyś, w podziemnym kościele,
serc męką wieczne wymodlą wesele,
i kiedy legną stuleci tysiące,
w ślubnym uścisku stopią ciała drżące.

Bezcenna praca iglic i kamieni,
które nie znają, co słodki spoczynek,
które nie znają, co złota snu zjawa,
a tylko wiecznie toczą, żłobią, drążą,

i tylko gładzą, malują i kreślą,
i tylko kwiecą, haftują i — dążą.
z tajemnej tęczy lśniące przędą woale,
i przewiewają je przez świątyń nawy, niemi kolumn czoła,
i sieją przezeń żar iskier złotawy,
to rozdmuchują je, to tchem swym gaszą,
a nie ustanie wir krwawy roboty
aż się z dwóch jeden słup wyłoni złoty.

* * *

Pod ciosem losów, wśród myśli zawiei,
w odstępach głuchych, niemych ludzkiej duszy
podobnie wielki mistrz-snycerz nadziei
powoli toczy wzniosły filar życia,
O ideale dwóch głazów miłosnych! —
tych ulubieńców prawdy, co przez wieki
toczą swe perły jak miłosne dźwięki
nieodgadnionych misteryi podziemi,
Jakże głębokie wlewa zadumanie
ten szum tajemny jaskinnego drzewa,
kiedy meledyą wieków myśl owiewa!

Od ciebie dusza ludzka wzorem bierze,
wielki organie, — wieczne tobie dzięki! —
swą własną gęstwę kolumn, co się wzniosły
z kropel perlistych miłości i męki,
Tam błyszczy krwawo miłość do ojczyzny,
kryształem białym cześć sprawiedliwości,
łzawym brylantem miłość dla niedoli,
i dla dzieciństwa — perłą — przywiązanie,
Tam radość skrzy się, tęczuje nadzieja,
tam cześć i cnota, bohaterskie czyny,
w boju potęga a w ciszy kochanie,
skrzą się jak struny w podziemnym organie.

Palma de Mallorca 1911.

Tłumaczyła *Julia Dicksteinówna.*



LICIŃSKI[1].

Gdyby Liciński nie był pisywał śmiertelnie chory, gdyby go nie paliła gorączka, przeczucia śmierci nie wprawiały go w stan zdenerwowania, w którem wszystko wymykało mu się z rąk — gdyby nie musiał się spieszyć, spieszyć, spieszyć ze wszystkiem, co pisał, wiedząc, że inaczej zejdzie do grobu niewypowiedziany, nieznany — możeby to był jedyny w literaturze polskiej człowiek z gestem, wyobraźnią, głębią uczucia i szerokością wejrzenia na duszę człowieka — Balzaca.

Przyrównywano go już do Bóg wie kogo — do Gorkija na przykład. Nie z rzędu bosiackich filozofów był Liciński.

Jeżeli zakradły się do jego utworów nutki sentymentalizmu rosyjskiego, to przemijająco, chorobliwie, nie z głębi jego duszy — i trudnoby mi nawet wyraźnie wskazać miejsca, w których się je odczuwa. Może w tym pocałunku, który Janusz składa na policzku alfonsa, co zgwałcił piętnastoletnią dziewczynkę? Albo w tym okrzyku Janusza: wszyscyśmy podli i t. d....? Tak to wygląda — a jednak to nie to samo. Raczejby można w obydwu wypadkach upatrywać tej żądzy bohaterstwa *à outrance,* która stanowi jedną z cech duszy polskiej. „Pokaż Polakowi przepaść, a skoczy w nią natychmiast“, „Polacy naprawdę są odważni“ — mówi Balzac, znający, jak mało kto, nasze słabości i zalety. („Naród, w którym mężczyźni są słabi a kobiety mają energię.“) Umiemy ginąć — możnaby rzec: lubimy ginąć — dokonywać rzeczy nadzwyczajnych, nawet bywa w tem nietylko gest nieco na francuską modłę, ale też wiele romantycznego kabotynizmu. Jesteśmy narodem trochę aktorskim, „pawiem i papugą“. Jakiż zamaszysty w tem gest — w pysk rzucić burżujom, ludzkości całej taką scenę: wszyscyśmy podli, patrzcie, człowiek, którego uważam za ideał, świętość, ostatni wyraz kultury — pocałował sutenera, nożowca, ohydnego gwałciciela, zwierzę, gorzej niż zwierzę, śmieć ludzki, gangrenę, wrzód, plugawe ścierwo duszy ludzkiej — jadł z nim, pił (nie, jadł i pił z innym, podobnym do tamtego, jak dwie w błocie zwalane ścierki) — a uczynił to dlatego, żeby się krew nie polała z jego powodu — żeby przypadkowi ludzie, uprzywilejowani inteligenci, co się nudzą,

---

[1]) Ludwik Stanisław Liciński, ur. 17 kwietnia 1874 — zmarł 22 kwietnia 1908 w sanatoryum dla gruźliczych w Otwocku pod Warszawą. Drukiem ogłosił „Z pamiętnika włóczęgi“, Lwów, 1908; obecnie wydano tom pośmiertny „Halucynacye“, Kraków.

czy też ciekawi są nizin, czy też mają bezmiary współczucia dla wszelkiego człowieka — żeby ci ideowcy, zabłąkani „na dnie“ życia, nie stali się powodem jeszcze jednej z tysiąca bójek nocnych pomiędzy zbrodniarzami! — patrzcie, tak każe poczucie zbratania się przez godzinę w brudnej knajpie prostytutek, alfonsów i szulerów — tak każe poczucie honoru — boć ten jeden, co z nami tam przyszedł, gotów był życie za nas oddać, gdyby nas kto palcem ruszył w tej norze — no i tak każe olbrzymie odczucie, że t okropne mary upadku ludzkiego są naszym, uprzywilejowanych, własnym wytworem, że na nich ciąży bezmiar naszych grzechów codziennych i bezmiar naszych skarbów duchowych, wiekami nabywanych, rabowanych dzięki ich krwią spływającym plecom, zgiętym karkom i zatłuczonym na śmierć duszom. Ścierki to, wrzody ludzkie, mówicie? — Nie! Wszyscyśmy podli, wszyscyście podli! Patrzcie na naiwne oczy gwałciciela, gdym spieszył na pomoc gwałconej dziewczynie. aż śmierć zajrzała mi w oczy ostrzem nożów tych nocnych hyen wielkomiejskich — dziwił się — jakto, czy jest ktoś, czy coś, co może mu nakazać litość? Czy jest coś poza nakazem jego żądzy, nienawiści, potrzeby? Kto jest ten, co życie narażał za nieznajomą? Szpieg policyjny? Nie — więc kto to?—I któż to jest, kto powstrzymuje noże, gdy chcieli ich spróbować na sobie? Co mu zależy na nich? Naiwne, zdziwione oczy patrzą na dziwnych ludzi z innego świata, na ich łzy entuzyazmu jakiegoś względem nich, ściganych po kniei uliczek warszawskich dniem i nocą, na nich, co się czuli zwierzyną dla istot, których ohydę odczuwali pomimo, iż sami są ohydą — naiwne są te oczy, bo pierwszy raz widzą serca ludzkie. Jeden ma poryw dziecięcego uczucia do tych biednych, zabłąkanych ludzi, którzy mają serca — i sypią mu się z ust plugawe na nich obelgi — z wdzięczności, której inaczej nie umiał wyrazić, z zachwytu, którego się wstydził, który go doprowadzał do wściekłości. „I dla mnie jeszcze może być przebaczenie! — wołał Chilon Chilonides — jedyna w „Quo Vadis“ chwila prawdziwie chrześcijańska, ludzka. Nożowców Licińskiego nawet na to już nie stać. To twarda, zakamieniała ropa z żywej niegdyś, odrażającej materyi, która im oblepiła serca, jak potworne pancerze — a materya ta jest wynikiem ran tysiąca, zadawanych im przez społeczeństwo, ran nie leczonych, gnijących w suterenach i wylotach kanałów nad Wisłą. Tych ludzi nie chcecie uważać za braci waszych, panowie z salonów, uniwersytetów teatrów i ciepłych mieszkań? Macie, ja który z wami witam się

czasem, rozmawiam, kocham was może nawet chwilami, ja, którego który z was może nawet kochał — ja który z wami obcuję, boć przecież z kimś trzeba czasem rozmawiać — patrzcie, ja całuję w policzek sutenera! Wszyscyśmy podli, wszyscyście podli! Podłość wasza jest ukryta, jak jad w pięknym kwiecie, jak zgnilizna pod skórą rumianego owocu — podłość wasza jest marna, tchórzliwa i jezuicko-podstępna — dobroć wasza jest bojaźnią, nakazem towarzyskim, obłudą twardego egoizmu, praktycznych rozmyślań, groszowych zarobków — szlachetność zamienia się w histeryę lub marzy o karyerze — honor jest zlepkiem konwenansów i formułek, a życie wasze, wiara w cokolwiek — śmiejecie się, nie rozumiecie nawet tych wyrazów — a siła wasza? — teraz to ja się śmieję, na całe gardło cynicznie się śmieję — wasza siła pryska, jak uschnięta gałązka na pierwszym wietrze z szerokiego pola — a „etyka“ (ach, śliczny wyraz!), etyka wasza — tfu! — patrzcie, ja całuję na ogromnej scenie polskiej, wam w oczy, wam, coście zapłacili miejsca w teatrze z kradzionych od nędzarzy pieniędzy — całuję nagą, odważną, dziką ohydę, cynicznie nieświadomą zbrodnię! — bo od was więcej warta na szali sprawiedliwości, którą uczuwam z głębin duszy idącą, z nakazów wewnętrznych, tak jasnych dla serca mojego, jak Kantowi jasnemi były gwiazdy na niebie!

Nie bijecie oklasków? Ach, owszem — widzę nawet wzruszonych w teatrze. Dobre macie serca — wieczorem, gdy wypoczywacie po całodziennych użeraniach się ze sobą, szakale! wtenczas, gdy potrzebujecie wzruszenia tak, jak lubicie wszystko, co nieszkodliwie ożywia waszą krew zastygłą, rozwodnioną od urodzenia. A co najpaskudniejsze w was, żeście całkowicie, bez cienia wątpliwości uwierzyli, że mnie dobrze wśród ludzkich gnojówek! Litujecie się nade mną, żem tak nisko upadł — czujecie się tak wysoko na waszych szczudełkach, które złamałyby się pod każdym żywym człowiekiem, i tylko dla was, charlawych, anemicznych lalek, cudzemi rękami nakręcanych, że wydają się, iż żyją — tylko dla was te podpórki są dobre!

No i jak myślicie — jam tak istotnie, chrystusowo ucałował nożowca? — Ach pewno wydaje się wam, że pozuję na Chrystusa? — i to was cieszy, bawi, wzrusza — wy codzień pozujecie ze zmianami dekoracyi w tysiącach odmian. To właśnie wydaje się wam „naturalne“!

Ach, wiedzcież więc, żem cierpiał straszliwie, bezbrzeżnie,

gdym zbliżał usta do tego brata-gwałciciela! Dziś jeszcze czuję rozpacz, żem to musiał uczynić — tak — nie znacie mnie. Niema we mnie „umilenja“, niema „pokajanja“, nie potrafiłbym prowadzić na łono Chrystusa Murmatadowów, nie umiem się przejąć świętością występku — ale patrzcie: w pysk wam plunąłem tym pocałunkiem i to was będzie żarło po wszystkie dni życia, tak, jak mnie zeżre ta moja rozpacz, żem musiał chodzić po kanałach, pełnych śmierdzących wyziewów i szukać, jak wygląda ludzka istota, której nie dotknął żaden promień uczucia i żaden kopeć obłudy — chyba tej obłudy, co stawia zasadzki na drapieżną zdobycz, chwytaną z nożem w ręku.

Ale czemu tam chodzić musiałem — nie pytajcie — wypowiedziałbym tyle obelg w waszą stronę, że umrzećbym potem musiał z obrzydzenia, żem się babrał waszą duszą, z obrzydzenia, żem tak okropnie postąpił z wami, których kocham...

...Rosyanin, być może, w porywie olbrzymiego uczucia i w tej atawistycznej niewolniczej konieczności poniżania się uczułby rozkosz takiego pocałunku, czułby się wniebowziętym, szczerze, całą duszą by ucałował nożowca — och, wszystkich nas ogarnia światłość bezbrzeżna łaski Chrystusowej, korzmy się, bijmy czołem — duma jest frazesem, pyszniśmy wszyscy, Napoleonem każdy chce być! „W psach“ — przed cierpieniem! — i przed upadkiem — niezbadane są wyroki przeznaczenia — olbrzymią chmurą nawisła nad nami konieczność, a wy czemże wobec nich? — Czy istnieje wola? Czy człowiek winien, że jest taki? Czy życie nie tworzy zbrodniarzy? Czy każdy nie musiał być takim, jakim jest? Wina mówicie? miejcie litość dla winnych — to bracia wasi. Prostytutkę powinnibyście czcić za to, ile przecierpiała — czemże wobec niej wasze cierpienia? Szlachetność... nie drwijcie, to za bolesne. Wszyscyśmy podli! Wierzcie — tak jest — czasem rodzą się podobno róże pachnące na błotach — w „skazkach“. Czasem bohaterowie powstają na odrodzenie świata — zatłuką ich, zatłuką, zdradzą, sprzedadzą judasze...

Wielkość Dostojewskiego jest inna, niż wielkość Słowackich. Nie wiem już kto, zdaje się, że Nietsche, powiedział: Dostojewski jest jedynym człowiekiem, który miał prawo mówić o Chrystusie...

A może jednak Liciński miał też to prawo — ale był Polakiem, nie Rosyaninem... Liciński nie miał czasu tworzyć skończonych postaci, pokazywać ludzi pełnych, w stu przygodach, w tysiącu duszy odmianach. Palił się niszczącym ogniem konania. I to,

co Balzac rzucił w twarz światu postacią Vautrina, to on musiał pokazywać w skrótach rysunkowych, w halucynacyach, wizyach gorączkowych — i spieszył się, spieszył się — może i to, co pisze, jest za długie? Zwierał się, skupiał, ściągał nitkami nerwów drgających wszystkie krwawe zgrzyty w jeden obraz, w jedno zdanie, w jeden jęk, nieubłagane szyderstwo, aż cyniczne, tak mocne. Chcecie romansów, miłosnych, księżycowych scen? Dobrze. Posłuchajcie, jak marzy prostytutka o jakimś jednym, jedynym, mocnym... alfonsie. Chcecie dumnego gestu — zobaczcie, jak się (w „Pamiętniku włóczęgi“) rozprawia inteligentny pan z kelnerem — to wizya, halucynacya — trudno, nie mam czasu, jutro umrę — jakże inaczej wypowiem, czem jesteście? Literatem, poetą jestem? Pokażę wam, jakto się literatura rozpada na miałki proszek wobec życia. Chciałbym chamem być i walić pięścią tam, gdzie teraz uderzam żółcią, sercem, marzeniem chorej wyobraźni, co mi trupy stawia przed oczyma, ohydę wszelkich uczuć maluje z wyrafinowanem okrucieństwem zjaw szpitalnych, suchotniczych rozpaczy ucieleśnionych w postać kobiety o plugawie prostackich instynktach, maskowanych dobrocią kochanki. Chory jestem — a czuję za miliony. Widzę tę ludzkość całą, przenikam ją do dna. Balzac stworzył „Komedyę ludzką“ — ale nie mówmy o tem, to straszne... On miał czas...

....Wyobraźnia, fantazya Licińskiego, w jednej chwili przerabiała rzeczywistość na widzenia, w której tej rzeczywistości główna treść mieściła się, jak odbicie słońca w krysztale. Styl jego miał tę treściwość, bogactwo kolorytu, lekkość, pewność, jasność, którą miewały tylko wyjątkowe talenty. Pokrewną mu duszą w sztuce polskiej był Jan Wroczyński, 19-letni samobójca. Tylko że Wroczyńskiego fantazya, błyskająca genialnościami, chwytała się metafizycznych odczuć i obrazów, Liciński zaś cały pęd serca, duszy, myśli — kładł w sprawy międzyludzkie. I jeden i drugi mieli roentgenowskie oczy dla dusz, dla mowy polskiej, dla symboliczności obrazów. Wybierali z każdego zjawiska miód, jak pszczoły, i tym miodem pisali. Żadnych frazesów — każdy wyraz ich zdań jest potrzebny. Swoboda, lot twórczy — to ich charakterystyka, będąca charakterystyką orłów. Poezya ich nie jest robotą mozolną, ślęczeniem nad obrabianiem zdań, okresów — oni te rzeczy w sobie już urabiali, zanim pisali — i lot ich był wolny, a dumy „powstańcze“. Ich cyzelerska robota — jeżeli istniała, bo na to nie mieli czasu! — polegała na potęgowaniu mocy wyrazu — nie na

wygładzaniu zdań. Nie mieli w sobie ani cienia grafomanii, nie walili tysięcy wierszy tam, gdzie w dziesięciu... oni mogli się wypowiedzieć — bo fantazya przynosiła im natychmiast skróty, nieraz gorączkowe, potworne, ale nieomylne. Rzeczywistość, wyszedłszy z żarzących tyglów ich mózgów śmiercią zagrożonych, przypominała sny, koszmary, grozę budzące, pamiętne na całe życie — ale nie majaczenia niejasne — trzeźwych, w realiźmie beznadziejnie tonących pisarzów bez własnej formy, a z cudzą duszą. To były dwa może największe talenty Młodej Polski, dwa płomienie dusz, zanadto pożerające dla ich wątłych ciał, które przepaliły się do cna, zanim zdołały wypracować tych dusz widome znaki, poza iskrami, które zostały jako ich wspomnienie, jako drobna ich cząstka.

Ale jeszcze raz trzeba wspomnieć o Balzacu. Dlaczego ten właśnie olbrzym zdrowej, atletycznej potęgi wyobraźni nasunął mi się, gdym myślał o Licińskim, chorym suchotniku?

Balzac miał bezmierną miłość i wielkopańską pogardę dla ludzi. Lubił pokazywać, że najdziwaczniejsze parodoksy psychologiczne mogą być prawdą. Postacie swoje traktował, jak żywe organizmy, z którymi obcował od dziecka, które znał, kochał, sądził i karał, jak Stwórca, a wyrażał względem nich swoje uczucia, jak względem istot mu obcych, na które patrzy z wyżyn swej potęgi, jak Prospero w „Burzy“ Szekspira. Mścił się na nich za ich łotrostwa, umieszczał w niebie zachwyceń duszy za bohaterstwa, anielstwem napełniał czytelnika, gdy ginęli, lub grozą przejmował, gdy padali pod ciosami losu. Kazał na przykład plugawemu łotrzykowi, co okradł umierającego kuzynka Ponsa i jak szakal wyciem do jego skarbów innych naprowadził, i co truł ohydnie, podstępnie człowieka, z którego żoną się ożenił — kazał mu zapragnąć otruć tę żonę: postawił kieliszek z witryolejem na takiem miejscu, że mogła się omylić, wypić — tymczasem ona kieliszek przestawiła gdzieindziej, łotrzyk sam wypił. Koniec. Załatwił się Balzac z nim w sześciu wierszach, kopnął go, rozgniótł z obrzydzeniem.

Tak samo, podobnymi gestami Liciński traktuje tych, którym pogardę wyraża — ta sama pańskość, lekkość i siła uderzenia. Tylko czasu mu nie starczyło na wyprowadzenie swoich postaci na szeroki świat... Jak Balzac, nie kłamał nigdy, bo widział ludzi nawskróś, nie mógł kłamać. Jak on, miał kult bohaterów, jak on, miał czystą namiętność — i nie miał żadnych teoryj sztucznych pisząc. Jak on, nazywał zbrodnie po imieniu, wiedząc jednak, że poza nią się człowiek ukrywa. Dbał o prawdę duszy, nie zaś o to, czy wy-

padki, w jakie mu fantazya kazała te dusze ubierać, wydadzą się prawdopodobne. Nie pisał dla żadnych programów, oprócz programu swego serca. Był to człowiek wolny. *Jan Kleczyński.*

PRZEGLĄD.

Z Wystaw krakowskich.

(Wystawa kościelna. — Wystawa Powszechnego Związku artystów polskich).

Poprzedziły ją konkursy, amerykańska reklama. Otwarcie odbyło się jednakże po polsku, uroczyście, więc z nabożeństwem i bankietem. Szkoda, że twórcy Wystawy nie nazwali jej „Wystawą przemysłu kościelnego“, wówczas afisz określałby jej charakter należycie, nie wywoływałby rozczarowania wśród wierzących w odrodzenie sztuki kościelnej. Istnieje sztuka jedna, pozatem tylko przemysł, o ile zaś przyjmiemy pewne określenia, nazwy, w takim razie dotyczyć one muszą nie przeznaczenia dzieł, ale charakteru ich treści duchowej.

Był czas, gdy sztuka religijna była zarazem kościelną. Umarła wraz z Fra Angelikiem da Fiesole. (Na północy przetrwała dłużej. Należy jej szukać w świątyniach gotyckich).

Jedność ta znikła już w okresie wczesnego renesansu, powstała nowa sztuka religijna i przemysł kościelny.

Średniowiecze cechuje ogromna jednolitość życia duchowego, na którą składała się zgodność pomiędzy Kościołem a życiem, a raczej bezwzględne zapanowanie Kościoła nad wszystkiem.

Niezróżniczkowana dusza średniowieczna jedynie u stóp krzyża szukała źródeł twórczości. Doskonałym wyrazicielem pojęć tej epoki był artysta. Sztuka jest zawsze emanacyą najwyższych wartości duchowych epoki — a wówczas były niemi przeżywania religijne, w ramach dogmatów kościelnych zamknięte. Przeto sztuka była kościelną. Artysta był przez wszystkich zrozumiany — nie występował jako indywidualność, wnosił w sztukę przeżywania wszystkich, jednolite, stąd jednolitość tej sztuki, tworzonej przez całe społeczeństwa.

Prądy uczuciowe, przenikające Kościół w jego przełomie pomiędzy wiekiem XII a XIII, wniosły w sztukę kościelną świeży oddech, wartości nowe — nie zmieniły jednakże zasadniczego stanu rzeczy. Dopiero — kiedy na gruzach porządku średniowiecznego stanęło tryumfujące, przebogate, straszliwie piękne życie — w sztuce nastąpiła rewolucya. — Z dawnej pozostał tylko powszechny język: biblia, który w baroku zjednoczył się z językiem mitologii starożytnej. Kościelna, katolicka, w znaczeniu powszechności sztuka zamarła może raz na zawsze. Artysta zamyka w dziele teraz przeżywania wyłącznie osobiste.

Religijność sztuki tych czasów nabiera innego charakteru: kościelny ustępuje miejsca osobistemu, pewnemu uczuciowemu stanowisku względem świata.

Naturalnie nie wyklucza to zgodności z Kościołem, a wówczas powstają w dalszym ciągu dzieła religijne i kościelne zarazem. Wypadki tego rodzaju są jednakże najzupełniej sporadyczne i ogólnie w rachubę brane być nie mogą.

Napozór religijne dzieła tych czasów są rewolucyą przeciwko Kościołowi — czemś tragicznie z nim niezgodnem. Bo i co ma wspólnego z Kościołem powstanie olbrzymów, niebo zdających się rwać w strzępy, w dziele Michała Anioła nazwanem: „Sądem Ostatecznym". Może istnieje łącznik, ale w takim razie jest nim antyteza: bunt. Zmysłowy czar Madon Rafaela — również chyba nic nie ma wspólnego z ideą kościelną.

Religijne, a raczej biblijne tematy, stają się jedynie formą — w których artysta zamyka wszystko, co mu dyktuje konieczność twórcza, od tytanicznych porywów Michała Anioła do dusznej perwersywnej zmysłowości Correggia.

I nikt nie myśli wówczas o tworzeniu religijnem, stąd przekonywująca szczerość tej sztuki. Artysta daje tylko siebie.

I kiedykolwiek w biegu stuleci — rodziła się sztuka religijna — to zawsze była zwierzeniem, modlitwą jednostki — nie zawsze kościelną. Ewangelię miłości, przebaczenia — pocieszenia uciśnionych — w epoce sztuki kontr-reformacyjnej głosił protestant: Rembrandt.

Łączność pomiędzy sztuką a religią — nawet Kościołem, następowała najczęściej, co zresztą przetrwało do dziś dnia, i jest najwięcej żywotne — na punkcie przeżywań mistycznych, możliwych naturalnie tylko u jednostek, obdarzonych zupełnie specyalną organizacyą psychiczną. Ten kierunek wydał Burne-Jonesa, którego przeżycia religijne złączyły się z czarem legendy średniowiecza. Natomiast nie należy tutaj zaliczać Włocha o zmysłowem temperamencie — Rossettiego. W latach zaś ostatnich religijne uczucie wydało jedyną sztukę religijną u nas: Stanisława Wyspiańskiego.

Warunkiem powstania dzieła religijnego — nie jest jedynie religijność artysty; wchodzi tu w grę czynnik drugi zasadniczy, temperament twórczy. Wierzący, jak dziecko, Matejko nie stworzył ani jednego dzieła naprawdę religijnego. Zaciekły realista — wobec abstrakcyi uczuwał się bezsilnym.

Sztuka od Kościoła odeszła — jak i życie; rozwarły się przed nią światy nowe, niezgłębione. Dlaczegoż teraz postarano się o urządzenie u nas Wystawy kościelnej? Czyż mówiło coś o wzmożeniu się potęgi uczucia religijnego? o konieczności wypowiedzenia się w tym kierunku? Jeśliby tak było istotnie — toć przejawiłoby się to i na innych polach, bez specyalnej Wystawy. Wystawa kościelna obecnie jest wytworem najzupełniej sztucznym — spowodowanym przez pewne warstwy, czemś z potrzeb naszej kultury — zupełnie niewynikającem — a dowodem tego jest sama Wystawa.

Kto chce oglądać współczesną sztukę religijną, niech idzie w Krakowie do kościoła Franciszkanów.

Wystawa przyniosła parę dzieł kapitalnych, ale te powstały mimo Wystawy kościelnej, a pozatem nieco plagiatów z dzieł sztuki z końca XV w., kilka wniebowziętych pokojówek, kabaretowych aniołków i nieco

obrazków, mogących zaspokoić sentyment kucharek. Natomiast ducha religijnego — z małymi wyjątkami, niema — a jeźli jest, to niekoniecznie kościelny. — Z równem powodzeniem możnaby głosić dzisiaj krucyatę z powodu sprawy trypolitańskiej i urządzać Wystawę kościelną.

Jedną z przewodnich myśli Wystawy było zastąpienie tandety, szpecącej nasze kościoły dziełami naprawdę artystycznemi. Ale tandety nie można zastępować drugą: moralną, krzyczącą nieszczerością; kościół nie jest hotelem, który można urządzić tylko estetycznie i wygodnie; dla sztuki kościelnej potrzebny jest chyba także duch religijny; bez niego każde dzieło będzie przemysłem, poniżeniem godności twórczej artysty i poniżeniem wartości uczuć religijnych. — Hasłem drugiem Wystawy było szukanie nowych form: form dla treści, której nie ma. Ukrzyżowanie malowane w plenerze nie będzie jeszcze dziełem religijnem! O ile będzie duch religijny, znajdzie się wówczas i forma. Sztuka kościelna, zrobiona na zamówienie, bez przekonań — nic wspólnego nie ma ze sztuką, ani kulturą.

Przyniosła Wystawa dzieło jedno — religijne? niekoniecznie — czar dziewiczości odczuć można nietylko przez kościół — ale święte z pewnością: jest niem Immaculata Włodzimierza Koniecznego. Coś — jakby nad sztuką polską zeszedł nowy świt.

W absolutnem ujęciu idei w formie najodpowiedniejszej, bezpośrednio związanej z treścią, rzeźba Koniecznego jest dziełem skończonem, bezwzględnie przekonywującem. Jedyne dzieło, przed którem staje się z odkrytą głową: Ave, Przeczysta. —

Czystość we wszystkiem, w smukłości linii, kształtów, ruchu głowy, rąk. Rzeźba w pomyśle niesłychanie śmiała: Immaculata pomimo sukni ma nagość kształtów — niepokalaną, królewskość dziewiczości i prostoty.

Nie można absolutnie przeprowadzać analogii pomiędzy wartościami rzeźby, jako takiej, Koniecznego i Dunikowskiego. Forma każdego z nich jest bezpośrednim wynikiem charakteru twórczego. W Dunikowskim tkwi przedewszystkiem pierwiastek realistyczny, w znaczeniu czerpania z życia; nawet wizya jego będzie emanacyą życia; Konięczny natomiast zdolny jest do zupełnej abstrakcyi.

„Adoracya“ Dunikowskiego jest tragicznem ujawnieniem bezwzględnej rzeczywistości, druzgocącej przemocy życia, ukorzeniem się przed cierpieniem własnem.

W swej realistyczności Dunikowski stwarza dzieło monumentalne, uświęcone wyrazem przeogromnej męki życia, zamarłej skargi.

Malarzem słodkiej, cichej liryki religijnej jest Hofman. Sztuka jego jest ujawnieniem rzewnej modlitwy szarych pól, jasnych dusz dziecięcych. Z początku błąkał się wśród krzyżów przydrożnych, kamiennych mąk Pańskich, szukając bóstwa żywego, aż ujrzał wśród łąk Madonnę, i odtąd twórczość jego stała się adoracyą. Dopełnianie cichej liryki jego obrazów stanowi koloryt, prymitywny, a przytem niezmiernie żywy, świetlany. Najlepsze swe dzieła tworzy, kiedy na tle głębokiego krajobrazu umieszcza rozmodlonych cherubinów, zasłuchanych w ciszę i tony odlatujące skrzypiec. Żyje dla niego przyroda w bezpośredniej łączności

z duszą ludzką, wraz z nią pogrąża się w cichą zadumę, i rzewnie się skarży lub hołd oddaje pokorny a prosty królowej pól szarych, stokroci, dziewanny.

Duchowo pokrewnym Hofmanowi okazał się Młodzianowski w polichromii kaplicy; grają w niej również tony szczerej, cichej liryki od wsi, pól płynącej. Z Wystawą kościelną nic wspólnego nie ma obraz Gottlieba, uderzający jednak przedziwnym wyrazem głowy kobiecej, uśmiechem, przechodzącym w omdlałość, przenikającym postać całą.

Szyszko-Bohusz jest architektem, przeto artystą mało znanym. Architektura, prócz wszystkich wartości indywidualnych twórcy, jest zarazem oddźwiękiem szerszych pragnień i potrzeb, najwięcej zależną od środowiska, a jako stojąca w bezpośrednim związku z życiem, najsilniej na nie oddziaływującą. Koniecznością jej jest logika życia. Sztuka poza architekturą jest emanacyą kultury; architektura — kultury i cywilizacyi.

Pośród architektów polskich Szyszko-Bohusz jest najwięcej twórczy — a zarazem najjaśniej uświadamiający sobie drogi odrodzenia.

Tworzy na podstawie materyału zgromadzonego przez wieki, czerpiąc z niego umiejętność przystosowania się do warunków miejscowych, uzyskuje w ten sposób zgodność kształtów i linii dzieła z otoczeniem przyrody. Jego własną wartość stanowi zdolność podkreślania przez odpowiednie ukształtowanie linii dzieła, jego przeznaczenia. Uzyskują przez to jego budowle — jakiś intymny charakter, wyraz, zmuszający widza do poddawania się myśli twórcy. Widać to w projekcie jego kaplicy — wywierającej, a raczej zmuszającej do poddania się nastrojowi uroczystego skupienia i modlitewnej ciszy.

Narodziny nowych wartości życia ujawniały się zawsze w architekturze.

Przez swoje codzienne zetknięcie się z życiem była wzorem kształtowania się, urabiania pojęć artystycznych, a dalej wogóle kulturalnych. Być może, że chwilowy zastój w twórczości polskiej jest zgromadzaniem sił na nowe odrodzenie, które rozpocznie się w dziedzinach dotychczas prawie nietkniętych, a w takim razie początek odrodzenia estetycznego stanowiłoby pojawienie się Szyszko-Bohusza.

Konieczny, Dunikowski, Hofman, Bohusz i paru innych — wnieśli w Wystawę dzieła skończone, będące przejawem szczerej twórczości, bez jakiegokolwiek ustępstwa, gdyż w podobny sposób, dzieła o zupełnie identycznym charakterze, tworzą zawsze. Każdy z nich wniósł przeżycia własne, o charakterze najrozmaitszym; religijnym? tak! ale niekoniecznie kościelnym.

A cała reszta dzieł innych — jest mniej lub więcej umiejętnem poddaniem się programowi — a więc robotą, gdzie przejawia się zapewne wiele umiejętności technicznych, ale tylko robotą.

Nakoniec słów parę o Pierwszej Wystawie Powszechnego Związku Artystów Polskich.

Organizacya dzielna, energiczna, ale tylko ekonomiczna, nie ideowa. Bo też obecnie ze wszystkich Związków ideowych pozostały tylko nazwy — będące wspomnieniem. Straciły zupełnie znaczenie — wobec

wyrównania się całkowitego przekonań artystycznych. Istnieje dziś kilka kierunków, przejawiających się wszędzie, a więc temsamem nie stanowiących charakteru pełnego zgrupowania artystów. To też Wystawa Związku nie różni się niczem od szeregu Wystaw peryodycznych. Jedynie może w tem, że spotkać tu można rzeczy, którychby gdzieindziej, słusznie zresztą, nie przyjęto, co zresztą poziomu Wystawy nie obniża, gdyż wystąpiło kilku artystów Wystawę naprawdę stanowiących. — Nierówni talentami, Eugeniusz Kazimirowski i Stroynowski Leonard stanowią wśród pejzażystów polskich grupę całkowicie odrębną, pod względem obserwowania i odczuwania przyrody, nazwaćby można ten kierunek uczciwem patrzeniem na świat. Krańcowo sobie przeciwni Kazimirowski i Gwozdecki są konieczną reakcyą przeciwko nieznośnej nieszczerości, t. zw. „szlachetnego“ kolorytu, który epigonów Stanisławskiego doprowadził do całkowitego absurdu, i sprawił, że malarstwo pejzażowe, o ile ma się dalej rozwijać, trzeba rozpocząć na nowo poważną pracą, kierując się nie receptami, ale szczerością. Wzorem w tym kierunku może być właśnie p. Kazimirowski. Ma on odwagę patrzenia na świat bezpośrednio, własnemi oczyma. Wobec przyrody staje śmiało i bezwzględnie szczerze, z niej jedynie czerpiąc. Przemawia przyroda do niego wszechstronnie, wartościami barw, linii i kształtów. Rzadko niestety pojawiające się obrazy Kazimirowskiego wnoszą zawsze w Wystawę bogactwo szczerości, prawdy przeżycia i formy.

Jeśli krajobrazy Samlickiego są malowanemi w Paryżu wizyami ziemi polskiej, wtedy można się na nie zgodzić.

Pozatem dzieł skończonych zaledwie parę, zarówno pod względem technicznym — jak i wyczerpania całkowitego, dopowiedzenia treści.

Tu przedewszystkiem należy Hofmana „Homer“, głowa ślepca, o ogromnej sile patosu. Liryk, zasłuchany w dziecięcą melodyę skrzypiec, zdobył się tutaj na wyniosły ton rapsodu. Stanął przed nim nie Homer klasyczny — ale pieśniarz ludu — guślarz. Pokrewnie w sztuce polskiej — przedstawiał opowieść klasyczną jedynie Wyspiański.

Niesłychana żywotność, zainteresowanie się wszystkiem cechuje Weissa. Przedewszystkiem z temperamentu i odczuwań kolorysta, w swej „Głowie“ osiągnął barwą twardą wyrazistość głowy dziewczyny, o równie twardem, zmysłowem spojrzeniu.

Pronaszko Zbigniew niewątpliwie uległ wpływowi Hofmana, choć z drugiej strony w szukaniu własnych wartości jest to wśród młodych jeden z najruchliwszych talentów; przemawia za tem jego „Adoratio“ o bardzo śmiałych, silnych efektach świetlnych, zaczerpniętych jedynie z przyrody.

Szersze całości krajobrazu pojawiają się u naszych pejzażystów, z wyjątkiem Kamockiego, Czajkowskiego, Filipkiewicza, rzadko; obecnie fragmenty porzucił również Podgórski Stanisław w swym „Czarnym Stawie“. Podgórski zdobył znaczną umiejętność zaznaczenia rysunku plamą. Wspomniany jego obraz jest stanowczo jednym z najlepszych, zadziwiającym perspektywiczną głębią, a przedewszystkiem znakomitem oddaniem przejrzystego, górskiego powietrza i lekkich, niemateryalnych prawie obłoków.

Znakomitym akwarelistą, posiadającym niezmiernie bogatą i silną skalę barw, jest Grott. Ostatnia wystawa udowodniła, że umie nietylko odczuwać życie kwiatów — ale i nieba, szczególnie szarego, nieco tylko światłem ozłoconego. — Wiele uroku i wytwornej miękkości posiada „Paź“ Kowalskiego. Świadomość linii, kształtów cechuje obrazy Markowicza, wnoszącego w sztukę cichą tragedyę dusz, odsuniętych od świata.

Gdy się zsumuje rezultaty pracy twórczej lat ostatnich, raz jeszcze podkreślić trzeba ogólne przyciszenie, zamknięcie się w kole raz zdobytych wartości, zmniejszenie się szeregów bojowników. Raz, zda się, to być bajką o sennej królewnie. To znowu rozkładową melancholią nocy listopadowej, oddziaływaniem starego miasta, starych trumien. — Był człowiek, co gdy w nie spoglądał, widział kiełkujące kwiaty życia. W podjęciu spuścizny Wyspiańskiego leży odrodzenie życia i twórczości polskiej. Jesteśmy wciąż jeszcze zatruci wyziewami grobów. W Nim jedynie leżała niespożyta vis vitae, a twórczość Jego była zwalczeniem śmierci w sobie i w narodzie. Brakło tego mistrza energii, ale zostały słowa Jego, czyny i wiara w odrodzenie, co przyjdzie — kiedy hejnał z wież nie będzie przeciągłem konaniem, ale błyskawicą przed burzą; kiedy głos dzwonów nie będzie modlitwą pogrzebną, ale wołaniem na czyn; kiedy wspomnienia nie będą marami, ale słupami ognistymi, wspomnienia od Kazimierza W., Batorego — do tych ostatnich bohaterów bez imienia. *Mieczysław Skrudlik.*

Ze sztuki i z życia.

Dobre wróżki, które mają odczytywać życzenia i spełniać je, rozleciały się po wszystkich naszych ziemiach z nadstawionemi ciekawie uszkami. Czekają idei, które mogłyby złożyć u stóp pani Clio, życzeń pełnych treści i myśli.

Czekają — bo wiedzą, że serca przygniecione kamieniami troski.

Dawno te kamienie tak nie ciążyły, jak w chwili obecnej. Padają ze wszech stron, jak grad złowrogi.

I nadsłuchują wróżki: co też za myśli wyrwą się z dusz strapionych. Jakie plany roją się po głowach, jakie wytyczne ludzie ułożyli sobie na czas najbliższy, aby nie zbłądzić w chaosie — iść do jasnych, jaśniejszych niż dotąd celów.

Odpowiedzią — szereg dat historycznych.

To główna idea, która wita rok nowy.

Rok 1912 zapowiada się, jakby uroczystość żałobna Wszystkich Świętych narodowych. Cały szereg rocznic narodzin i śmierci. Żeby też wspomnieć najwybitniejsze: Skargi, Kołłątaja, Trembeckiego, Krasińskiego, Kraszewskiego. A ponad te echa z przeszłości wznosi się krzyk orłów, dławionych przez śniegi północy, tonących w nurtach Berezyny — orłów, które miały wieść ku chwale i zbawieniu.

Daty te wznoszą się ponad wszystkie wypadki życia żywego, stają się centrami, około których mają się skupić uroczystości, rozmyślania.

— Czy nie będzie zadużo bezpłodnego spoglądania wstecz? wżywania się w przeszłość, w trumny i próchno?

Z dwojakiego stanowiska wpatrują się u nas zwykle w wielkości minione: ze stanowiska poznawców i wyznawców.

Pierwsze jest z natury swojej dostępne małej tylko garstce umysłów krytycznych i badawczych. Odróżnia ono ludzi od dzieł, bada je i waży na szali sądów naukowych. Szersza publiczność dowiaduje się o tych rezultatach późno, gdy przejdą do podręczników naukowych, i przyjmuje je — jak wszystko, co wychodzi ze szkoły, jak owoce pedanteryi.

Szersza ta publiczność nadaje się więcej do roli wyznawców. Przynajmniej w dniach uroczystości, przy biciu dzwonów i patosie kazań obchodowych. Wówczas każdy mieszczanin staje się nagle miłośnikiem Słowackiego, bratem po duchu Mickiewicza; jednego dnia będzie wielbicielem Skargi, jego jezuityzmu, jego nietolerancyi, na drugi dzień będzie wielbicielem Kołłątaja, tego wroga jezuityzmu i wszelkiej ciasnoty umysłowej; jednego dnia będzie wyznawcą Krasińskiego, jego ideologii, kończącej się u stóp papieskich, drugiego dnia z tem samem rozczuleniem pójdzie na obchód Kraszewskiego, tego wroga ostatniego soboru rzymskiego, tego odważnego pisarza, co w „Rachunkach" około r. 1870 piętnował rozwadniaczy psalmodyj Krasińskiego. Bo to każdy z nich, panie dobrodzieju, patryota i mąż zasłużony.

Tacy to przeważnie nasi — wyznawcy.

Ile wart ich kult — łatwo się domyśleć. Dwa lata temu, w czasie obchodów ku czci Słowackiego, cała Polska, najgłośniej zaś cała Galicya brzmiała nabożeństwami, hymnami, sławiącymi wieszcza. Uczyniono go świętym narodowym; o szczątki cielesne walczyły z sobą obie stolice kraju; gdy opinia narodowa oświadczyła się za Krakowem — Lwów ducha poety dla siebie zaanektował, omal go obywatelem honorowym Łyczakowa nie zamianował. Wszyscy byli wyznawcami Słowackiego — i w co się to wszystko obróciło? Co zostało z tych obchodów — uchwał ówczesnych — aktów wiary? Dziś wygania się Słowackiego nietylko z Wawelu, ale i z teatru, bezcześci się go, urąga mu się, a miliony wyznawców... milczą.

Dojrzałe społeczeństwa zawsze uznają potrzebę poznawców; nie potrzeba specyalnej okazyi, by uczeni i profesorzy spełniali swoje zadanie: oddawali się studyom, zachęcali do nich młodzież, zaznajamiali ze swymi wynikami ogół; wyznawców znajdują wielcy ludzie tylko wśród dusz istotnie pokrewnych sobie, którym przyświecają, jako inkarnacye pewnych prawd, symbole pewnych wcieleń. Jeżeli w Niemczech jest jakaś „Goethe-Gemeinde", w Anglii jakiś „Ruskin-Club", widzimy tam nie frazesowiczów od święta, lecz ludzi przejętych gorąco ideami mistrza, badających je ściśle i miłośnie, idących w jego ślady myślą i czynem.

Kulturalny zaś ogół narodowy nie składa się ani z poznawców, ani z wyznawców. Żyje swojem życiem, życiem realnej pracy i obowiązków — mimo to nie pozostaje obcym wielkim swoim ludziom. P o z n a j e ich dzięki właśnie poznawcom i wyznawcom, bierze z ich myśli i twórczości to, co ma bezpośrednie znaczenie dla kultury, postę-

pującej naprzód: dla życia. Czemże są ostatecznie bohaterowie ducha? w innym zakresie tem, czem bohaterowie miecza. Mnożycielami i obrońcami ojczyzny; jedni bronią jej terytoryum i pomnażają jej bogactwa materyalne, inni bronią jej indywidualności i pomnażają skarby jej uczuć, form, piękna. Tworzą kulturę. Kultura ta wchłania coraz to nowe pierwiastki dzięki umysłom-twórcom, rośnie, staje się coraz bardziej sobą, potężnieje. *Kultura, jako proces, który ciągle się staje*, postępuje, rośnie, nie może nigdy oddać się w niewolę jednemu, choćby najpotężniejszemu duchowi, bodaj dlatego, że ten już *był*, był *sobą*, a kultura ciągle *postępuje* i jest *syntezą* twórców mnóstwa.

Nasz kult jest obchodowym, kasynowym — powiedziałbym; powierzchowny i nieszczery, wzbogaca próżność jednostek, odgrywających w danym momencie rolę; kultury nie wzbogaca, jak nie wzbogacił nas „Rok Słowackiego". Dlatego z nieufnością odnosimy się do wszelkich obchodów, uroczystości, szopek — szczególnie traktowanych generalnie, jako ogólno-narodowe. Zamiast w przeszłość — patrzmy lepiej w przyszłość, w siły, jakie możemy stworzyć, chociaż jeszcze nie były, we wzory, jakie z walk i trudów nadchodzących wyłonić się powinny. A jeżeli zwrócić wzrok w przeszłość, to dla podtrzymania nici, wiążącej kulturę narodową w jedno pasmo, więc nie bezkrytycznie, nie jako wyznawcy, lecz z uwzględnieniem praw doboru, rozwoju, konieczności walczącego o swe jutro życia. Dosyć jeszcze zostanie w Mickiewiczu, Słowackim, Wyspiańskim pierwiastków *bohaterstwa i piękna* żywych, byśmy ich mogli i musieli uważać za chorążych ducha... za heroldów *przyszłości*.

Zdrowia i przyszłości chcemy, nie morfinizowania się i spoglądania ciągłego w przeszłość minioną. A teraz...

Tyle dawek morfiny! tyle komend: wstecz!

A dawki to i komendy — nie przypadkowe.

Najgłośniej i najuroczyściej zapowiadają się obchody ku czci Skargi i Krasińskiego. Skarga, jeden z ojców jezuityzmu, zaćmi z pewnością Kołłątaja, ojca demokratycznej myśli państwowej polskiej. Obok kastowego *poety*, Krasińskiego, nie będzie już miejsca dla demokratycznego *literata* Kraszewskiego.

A obchody Skargi i Krasińskiego zapowiadają się jako obchody wyznawców dla werbowania wyznawców.

Że jezuici urządzają obchody ku czci Skargi — rzecz zrozumiała. Był największym jezuitą polskim. Był też gorącym miłośnikiem kraju ojczystego i mistrzem słowa polskiego, jakkolwiek w jego pismach i czynach znajdują się już pierwiastki wszystkich tych trucizn, które organizm polski miały zakazić i zgubić.

A przedewszystkiem pytamy: co z niego może wejść w życie? wzbogacić kulturę narodu dzisiejszą i jutrzejszą?

W toń przeszłości, która powinna być niepowrotną, z której tylko uwiąd nam grozi, ciągnie planowany kult Krasińskiego.

Poetą prawdziwym był Krasiński, ale doktryner tendencyj klerykalno-arystokratycznych poetę tego rychło w nim zabił. Ogromne to gmachy „Nieboska" i „Irydyon", ale boga życia naszego w nich niema.

Oryginalne, mistrzowskie słowo i obrazowanie kryje treść, z której jaśnieje jedno światło, szlachetne, piękne: pragnienie dobrej woli — ale większa część tych świateł w groby prowadzi, w groby bezczynu, bezpłodnego mesyanizmu, apoteozy pleśni i przeżytków.

A komitet „stulecia (!) Zygmunta Krasińskiego“ w odezwie swej woła: „Pracować na spełnienie jego obietnic, urzeczywistnić z czasem jego ideał, brać do serca jego naukę, to nasz obowiązek stały, na długo, na lata i pokolenia“. Więc — prozelityzm, tworzenie wyznawców!

Więc nie dosyć nam być czcicielami rozlanego w dziełach piękna poetyckiego, lecz brać do serca naukę. Jaką? czy tę, która w „Nieboskiej“ przedstawia demokracyę, jako motłoch bez czci i serca? czy tę, która z „Irydyonem“ stępia nasz miecz walki z caratem? czy tę, która w „Przedświcie“ zakazuje analizować przeszłość narodu, każe błogosławić ojców winie, Polskę kocha i wieszczy ją w nadziemskiej jakiejś, nieuchwytnej krainie?

Dyskutuje się u nas w ostatnich czasach dużo o romantyzmie, odwodzącym od ziemi, jej nowoczesnych trudów i obowiązków. Jest w Krasińskim znaczna cząstka szlachetnych pierwiastków romantyzmu: jest podniosłość, wznosząca nad błoto i podłość dnia; ale ujemne strony romantyzmu polskiego u nikogo nie występują, jak u tego właśnie poety, który haszyszowymi snami chciał upoić społeczeństwo, rozbroić je, i świadomie rzucić je do stóp Rzymu, nieświadomie zaś, wbrew najlepszym swym chęciom, byłby je rzucił do stóp tych, co dobrze są uzbrojeni we wszystkie nie-Chrystusowe środki eksterminacyi narodowej.

I jakiż to rozczulający widok: na odezwie, werbującej wyznawców Krasińskiego pod duchem opiekuńczym St. hr. Tarnowskiego — podpisy postępowców polskich (z wdzięczności za mowę Czarnieckiego?), demokratów (wdzięcznych za obrazy demokracyi z „Nieboskiej“?), a nawet wczorajszych czy może i dzisiejszych socyalistów!

Zadużo więc tego spoglądania wstecz! Więcej woli własnej, żywej, twórczej...

Jakież życzenie wróżki wyczytają w moich myślach?

Młodości!

Niech tryśnie, niech buchnie w tym roku zdrój twój świeży — nowego zdrowia, nowego życia. Niechby bodaj zmył z powierzchni nas wszystkich, o ile tą młodością nie jesteśmy: oby tylko wniósł istotnie świeże, tęgie wartości, zdolne stworzyć świat wyższy. „Krzyk z tego pokolenia“ niechby nareszcie zabrzmiał, dzwonny i potężny, wiodący do zmartwychwstania.

Bo dzisiaj — młodości właściwie nie mamy.

A sztuka, najczujniejsza i najgłębsza wyrazicielka życia, pierwsza tę młodość pochwyci, na skrzydłach swoich boskich przyniesie: zrobi się jasno na świecie. A choćby i nie na boskich, lecz na szatańskich: przybądź, przybądź młodości — wstań i czyń!

Tadeusz Bezimienny.

„Pochód wawelski“ Szymanowskiego — własnością narodową.

(x.) „W bujnem, artystycznem społeczeństwie Odrodzenia włoskiego świętem dla grodu, świętem dla ówczesnego narodu było pojawienie się wielkiego dzieła sztuki. Gdy znakomity poeta miał publicznie odczytać swoje sonety, kupcy florentyńscy zamykali sklepy: gdy po raz pierwszy miano odsłonić fresk — całe miasto gromadzi się, by najszybciej ujrzyć, wchłaniać dzieło Piękna.

„W Krakowie można żyć lata całe — i nie wiedzieć, że obok nas żyje artysta wielki, że oto w pracowni jego dojrzało i kształt ostatecznego wykończenia otrzymuje dzieło wielkie.“

Trzy lata temu pisaliśmy te słowa na tem miejscu („Krytyka“, zesz. I, 1909), zaznajamiając czytelników po raz pierwszy z powstającem wówczas w ciszy pracowni rzeźbiarskiej wielkiem dziełem Wacława Szymanowskiego: „Pochód wawelski“. Niedawno dzieło to opuściło pracownię mistrza i zajaśniało przed częścią Europy w pełni blasku i znaczenia. Wystawa Malczewskiego i Szymanowskiego, urządzona z końcem ubiegłego roku we Wiedniu, była dla artystyczniejszych umysłów tamtejszych prawdziwem objawieniem sztuki polskiej; po Grottgerze, Matejce, Wyspiańskim (wystawa pośmiertna!) żaden Polak tylu tryumfów tam nie święcił. Nasi czytelnicy nie potrzebują potwierdzenia z Wiednia, by poznać całą wielkość Malczewskiego; od dziesięciu lat cały szereg krytyków, począwszy od St. Witkiewicza w „Krytyce“ analizuje pojawiające się dzieła Malczewskiego, wprowadzając w wnętrzną ich treść, która dla widzów niemieckich przy całem ich uznaniu dla malarza pozostała niezrozumiałą, gdyż Malczewski to jedna z najgłębszych inkarnacyj duszy polskiej, i jak Witkiewicz i Makarewicz na tem miejscu zaznaczyli: tylko w związku z duchem Polski Malczewski może być pojęty.

„Nowym“ pod wieloma względami dla świata i Polski jest Szymanowski: pamiętny znawcom, jako wielki malarz, uważany w rzeźbie długo za dyletanta, nagle występujący przed światem z dziełem o potędze pomysłu i ekspresyi, która wstrząsnęła, podbiła.

Mamy nadzieję, że artysta wystawi swoje dzieło niebawem w Krakowie — oby też we Lwowie, Poznaniu, Warszawie. Miłośnicy sztuki w tych stolicach powinni poczynić starania w tym kierunku jak najszybciej. Niech wśród małości, panoszącej się w salach wystawowych Lwowa, Poznania, poniekąd i Warszawy, zajaśnieje duch Wielkości; przemówi do karłów, rozpali tlejące w sercach zarzewie. Dla wszystkich pragniemy, wszystkim życzymy olśnienia cudem sztuki.

Dziełem bowiem przedewszystkiem wielkiego natchnienia artystycznego jest „Pochód“ Szymanowskiego. Powstałe z marzeń poety, wżywającego się w byt narodu, jest kondenzacyą jednej z tych chwil, jakich wielcy artyści niewiele mają w swem życiu, gdy studya, prace, marzenia wielu lat, nagromadzane nakształt chaosu mgławicowego w duszy, skupiają się nagle w gwiazdę. Ten charakter poetyczny zachowało dzieło nawet w ograniczeniu twardych form bronzu. Już postać Losu, prowadzącego Polskę, ma w sobie czar zaklętego w życie marzenia; za

nią snują się grupy zbrojne i siermiężne, ekstatycznie wniebowzięte, to buchające nadmiarem życia — Polska prawdziwa, zmartwychwstała.

Przeszłość to, ale nie ta, którą mamy w poezyi Wincentego Pola i innych „antykwaryuszów“; nie przeszłość bałwochwalcza, ani też jałowa, zastygła w kamień, z którego życie już się rodzić nie może.

Pochód wawelski Szymanowskiego, to zarazem Sąd nad przeszłością, jak sądem jest każde wielkie dzieło sztuki, jak sądem są obrazy Matejki, ostatnie obrazy Malczewskiego (grupa „Chrystusów“), rzeźby Michała Anioła etc. Charakter ten noszą wszystkie postacie i grupy Pochodu. Przeciwstawieni sobie św. Stanisław, odrywający się od ziemi, i potężny, ziemski Bolesław — Jadwiga, Jagiełło i wspaniała grupa humanizmu, moc husaryi szumnej i zbrojnej i bigot Zygmunt III — każda figura, to studyum dla psychologa i badacza, każda wyraża sobą bezmiar zasługi i winy całego pokolenia, każda przemawia językiem artysty-myśliciela. Zamknięciem dziejów dawnych jest Pochód Szymanowskiego, sądem nad Polską przeszłości — i dobrze, że niema tu postaci Polski nowotnej: Kościuszko rozpoczyna inną kartę dziejów.

Nie ulega wątpliwości, że krytyka drobiazgowa wykryje w wielkiem dziele tu i ówdzie braki. Z cyrklem i metrem w ręku esteci wykazali mnóstwo niedoskonałości w arcydziełach Grecyi i Michała Anioła. I to też pewna, że Szymanowski przepojony jest kulturą więcej klasyczną, niż „modernistyczną“, że pierwiastek malarski występuje w kompozycyi silnie etc. Czego to jednak dowodzi? Że Szymanowski jest sobą i że — inni także mogą być sobą. W ostatnich czasach rzeźba polska rozwija się nadspodzianie i wydała kilka sił zgoła niepospolitych. Naród dwudziestokilkomilionowy może sobie jednak pozwolić na posiadanie kilku wielkich talentów rzeźbiarskich. Jeżeli one nie rozumieją się wzajemnie i uogólniając siebie, tworzą formuły artystyczne, któremi mierzą drugich — znaczy to tylko, że każdy jest sobą i ma słuszność, o ile w zgodzie z sobą tworzy wielkie dzieła. Twórca ma do jednostronności prawo, ale krytyk musi mieć rozleglejszą skalę odczuwania, a naród musi umieć wszystkich ocenić, wszystkim wyznaczyć odpowiednie miejsce. Niech tylko naród się nauczy prawdziwą sztukę kochać, potrzebować jej, a miejsce dla wszystkich znajdzie się z pewnością. Zwycięstwo jednego artysty jest przyszłem zwycięstwem wszystkich artystów.

Wzbogaciliśmy się tedy o wielkie dzieło, przeznaczone na Wawel. „Potężnie rozpłomieniającem — pisał w „Zeit“ prof. Strzygowski — wyobrażam sobie wrażenie na uczucie, przejęte wielkością starej Polski.“ Rozpłomienia to dzieło, jedyne w swoim rodzaju, i na Wawelu jego miejsce, jeśli my żywi czemś więcej, niż strażnikami grobów być mamy.

Miejmy nadzieję, że w kraju powstanie komitet, który postawi sobie za zadanie uwieńczenie Wawelu pomnikiem jego, przez Szymanowskiego stworzonym.



SPRAWOZDANIA.

Sienkiewicz — Sieroszewski.

H. Sienkiewicz: W pustyni i w puszczy. Kraków, Gebethner.

Wacław Sieroszewski: Bajka o żelaznym wilku. Z 14 rycinami i winietą okładkową Jana Rembowskiego. Kraków, Spółka nakładowa „Książka“.

Może jałowość i martwota doby obecnej, głuchy akompaniament reakcyi, opędzającej całe obszary życia społecznego, skłania piszących do odwracania się od rzeczywistości, a przynajmniej do stylizowania jej w świecie bajki dobrotliwym.

Od dłuższego już czasu Sieroszewski, ten pisarz najmocniej odczuwający niedolę człowieczą i u tajg syberyjskich i w kraju wiśni kwitnącej — troski swe serdeczne w pryzmacie bajki roztacza.

Także ostatnia dla młodzieży pisana książka Sienkiewicza: *W pustyni i puszczy* do fantastycznej właściwie należy dziedziny, pomimo, że tło akcyi: Egipt, odmalowane w niej wiernie i szeroko, a losy młodocianych bohaterów wplecione w moment dziejowy. Bunt Mahdiego w Egipcie, zamęt i anormalne stosunki, spowodowane długotrwałą walką sfanatyzowanych tłumów z rządem angielskim, nadają pewien odcień prawdopodobieństwa fabule, lecz nadmiar przygód iście sienkiewiczowskich wyciska na niej charakter lektury awanturniczo-bajecznej.

Mając na usługi bujną wyobraźnię, nieraz szczerze poetycką, język giętki i malowniczy, a równocześnie pełen klasycznej prostoty, autor Trylogii stworzył książkę, która niewątpliwie zdobędzie w lot serca młodociane i wywrze wpływ suggestywny. A wpływ ten będzie pod pewnym względem dodatni i skuteczniejszy od wielu rozpraw pedagogicznych, mających na celu usamodzielnianie młodzieży, rozbudzanie w niej hartu, energii i siły woli. Ruch skautowy, rozwijający tężyznę, samopomoc, zaradczość, znajdzie dobrą orędowniczkę w tej przykuwającej powieści, a Staś Tarkowski, czternastoletni bohater, wznieci w swych rówieśnikach ideały, których sam jest tak dzielnym przedstawicielem.

Szkoda tylko, że dając książkę o tendencyi pedagogicznej, Sienkiewicz nie zdołał wyjść poza magiczne koło swych dawnych rycerzy-pogromców. Parantela ta zbyt wyraźnie zaciężyła na postaci Stasia, tłómacząc nam, dlaczego wśród tylu okropności, jakie przedstawia kraj niszczony wojną, głodem i zarazą, w umyśle chłopca tak niezwykle rozwiniętego nie budzą się — poza odruchowem współczuciem dla torturowanego Kalego — uczucia czysto ludzkie. Być może, że Staś sam jest w opresyi zbyt ciężkiej, by przejmować się losem drugich; czy jednak autor, rozmiłowany w przygodach awanturniczo-bajecznych nie mógł ich nieco zredukować dla rozwinięcia idei humanitarnych, wprost się nasuwających pod pióro w danych warunkach? Chociażby tylko dla pogłębienia charakteru rycerza-chrześcijanina, jaki przedewszystkiem młodemu swemu bohaterowi nadać pragnie.

Bo też chrześciaństwo w interpretacyi Sienkiewicza, nakazujące Stasiowi trwać z narażeniem życia przy wierze ojców, chrzcić

umierających w puszczy Murzynów i Kalemu udzielać zasad katechizmu, jest raczej zeskrzepłym dogmatyzmem kościelnym.

Ideą miłości i braterstwa tchnie natomiast bajka Sieroszewskiego: *O żelaznym wilku.*

Tonem baśni rytmicznym, przyśpiewnym, odrazu wprowadzającym w nastrój właściwy, poczyna się opowieść:

„Polował król w głuchych borach swego państwa — polował król“...

Fabuła niezmiernie zajmująca, rozgrywając się w świecie bajki bezkresnym, może być przeniesiona do każdego kraju i społeczeństwa. Jesteśmy świadkami walk i porywów szlachetnego monarchy, który pragnąc dobra wszystkich napotyka przeszkody niezwalczone: antagonizm klas, uciskającej i uciskanej, egoizm, zawiść, próżne ambicye ludzi niedorosłych do jego idei. Wyczerpany walką bezowocną król ucieka się do gwiazd i z nich pragnie wyczytać drogowskazy dla siebie. Tymczasem zdrada przyziemna usuwa mu grunt z pod stóp, opasuje i dławi wpatrzonego w niebieskie koła biegi, a tylko królewna dzięki własnej sile i energii ratuje siebie i brata.

Z napiętą ciekawością śledzimy losy królewskich tułaczy, którzy po wielu przygodach, pozwalających im spojrzeć w życie, zasłonięte dla nich dotąd murami, odcinającemi zamek królewski od siedzib zwykłych śmiertelników, znajdują nareszcie azyl na wyspie Dnia wiecznego. I tu, co prawda, słońce zachodzi każdego wieczora, kłam zadając nazwie wyspy, i tu dochodzą odgłosy z dna nędzy ludzkiej płynące, lecz poeta, mając w duszy swej piękno i pogodę, z niezniszczalnej mocy życiowej i wiary w lepsze jutro płynące, umie wypromieniowywać je na zawołanie i płoszyć cienie natrętne, którym nie wolno wkraczać w krainę bajki beztroską.

Mamy więc i tu przygody bajeczne, cuda i grozę, królów i wilkołaków, lecz jakże odmiennym, jak zgoła innym niż u Sienkiewicza jest stosunek człowieka do człowieka. Gdy Staś przedstawia się biednym dzikim jako *Bwana Kubwa* (pan wielki), a małą Nel otacza nawet aureola *mrimu* (dobre bóstwo), to u Sieroszewskiego królewna i królewicz, przyszedłszy do prostaczków, pragną z nimi dzielić trud i pracę.

„Królewicz nie mógł patrzeć na tę mękę wiekowych ludzi i chciał od starego naszą odebrać; królewna prosiła o tosamo starej. — Jutro pójdziemy z wami, to wszystkiem będzie lżej“.

Sieroszewski dał książkę artystycznie piękną i mądrą. Nie zamącając ani na chwilę zwiewnej otęczy bajkowej, wypowiedział jednak swe credo: nie usuwaniem się od życia, dlatego, że ono często brzydkie jest i ciężkie, lecz właśnie czynnym swym współudziałem człowiek wartość swą określa. Co komu z doskonałości zagwiezdnej? „Mieszać się trzeba do życia. Naginać je po swojej myśli“.

Daleki wszakże od ciasnego doktrynerstwa, rozumie, że nie każdy zadaniu temu podoła — rozgrzesza też królewicza-marzyciela i pozwala mu zostać przy gęślikach i pieśni kojącej.

Sienkiewicz napisał powieść dla młodzieży, którą i dorośli z ogromnem zajęciem czytać mogą.

Sieroszewski napisał bajkę, którą z zachwytem czytać może młodzież, lecz którą dorośli czytać i rozumieć powinni. *Mar. K-a.*

Z literatury obcej.

Julius Bab: „Bernard Shaw", Berlin, J. Fischer Verlag.

Shaw reprezentuje religię ziemi, która chce czyny ludzkie usprawiedliwiać i poświęcać. Zadanie trudne, dyktowane przez chęć wydobycia się z pod jarzma niepełności, z pod zaprzęgu przypadkowości. Pokrewieństwa z wyboru dzisiaj są hasłem najgruntowniej współczesnem. Subjektywizm stał się nietylko hasłem, lecz także odpowiednio uzasadnioną metodą, klasyfikowaną nawet na poszczególne poddziały. Shaw jest tym człowiekiem, na którym można obserwować, jak wszystko nowe, niespotykane, pierworodne zmieścić się może w współczesnym człowieku bez reszty, jak pisarz może przeżyć cały kulturalny dorobek współczesny, ujmować go różnie z roku na rok a przez przeżycie uczynić go niczem innem, jak tylko heroldem samego siebie. Shaw doszukuje się w człowieku instynktu prawa posiadania intelektualnego i illuzyę tę czyni zasadą czynu i najpierwszą formacyą konkretnej myśli.

Książka Baba traktuje o człowieku, dla którego „wszystkie rzeczy, myśli i uczucia, wiedza i sztuka są niczem innem, jak bronią, którą wojuje o swoją wolę życiową, nadając jej jedność na wewnątrz a moc na zewnątrz"· Odwrotnie książkę o Shawie pisze człowiek, używający imienia Shawa, jako „broni i tarczy, pocisku w walce o swoją osobistą potęgę życiową". Takie słowa obowiązują tem bardziej, że pisarz Shaw jest jednostką dość wybitną, by go wszyscy spostrzedz musieli, jakkolwiek nie wszyscy należyty obraz jego wytworzyć sobie mogli. Niema i nie będzie portretu Shawa ogólnie obowiązującego, lecz zagadnienia, jakie przerabiał Shaw, każdy wedle wzorów przez Shawa podanych przepatrzyć musi. Nazwisko Shawa związane jest z pewnego rodzaju pojęciem sensacyi literackiej. Napoleońskie rewelacye, zuchwałe przeskoki polityczne, odkrycia na tle pałuby londyńskiej (p. Warren), przedmowa do „Brewiarza Ibsenowego" i wiele innych mniej znacznych wystąpień G. B. Shawa zadecydowały o treści feljetonów, jakie dzienniki środkowo-europejskie poczęły umieszczać. J. Bab naświetla przeciętną opinię o Shawie i stara się ją rozszerzyć przez znalezienie dla twórczości Shawa stałego ośrodka w religii ziemi. Poezyę niepewności naszej przemienia się na poczucie pozytywności i aktywności życia ludzkiego. Pokost twórczości może być rozmaity; (wogóle zastrzeżenia w tej krytyce wysuwają się na plan pierwszy).

A więc ironia, dowcip Shawa są formą, ujmującą treść potwierdzającą, treść żywotną. Jak bardzo treść parodoksu Shawa nie jest paradoksalną, że umie się rachować z wielkościami irracyonalnemi („skacze ponad cień swój własny") i czasami wypowiada komunał. Ktoby zaś wątpił, że Shaw czyni to naumyślnie, niech spróbuje przełożyć aforyzm Shawa na język swój własny. Przekona się, że parodoks Shawa mocno w swych konsekwencyach zbliżony jest do pastorskiego traktatu moralnego. Twórczość Shawa wywołała pewne złudzenia, które nie łatwo usunąć, a które doszczętnie zaciemniają tekst nauk (nie paradoksów) Shawa. J. Bab na podstawie różnych przyczynków biograficznych dochodzi do wniosków: Shaw jest protestanckim racyonalistą, uzdolnionym

niezwykle do codziennej agitacyi za wartością sztuki i pożytecznością czynu. Od święta pisuje on i inne rzeczy, ale te są paradoksami prawdziwymi. Znaczenie Shawa zamyka się w jego „nieprawdziwych“ paradoksach, wyświetlonych już nieraz na pożytek praktycznych działaczy, tęskniących do pojawienia się typu nowego Europejczyka z nową formą życia i działania.

Książka Baba ze względu na wnioski, jakie autor ze swoich rozumowań i książek Shawa (dopiero w drugim rzędzie) wyciągnął, należy do dzieł sztucznych. Autor anachronistycznie przepełnił swą książkę tendencyą. Dorobił Shawa do swoich wniosków, stawiając pozornie dwa postulaty: zupełnej objektywności i zupełnej subjektywności. Są książki, w których krytycy poniżają twórców o miarę swojej płytkości lub wywyższają ich o miarę swojej głębokości. Bab ominął (w swych wnioskach) Shawa i znalazł się na stanowisku pośredniem. W książce jego są ustępy wartości informacyjnej i krytycznej wielkiej. Zdala od publicystyki polemicznej, od wiru sprzecznych recenzyj, które napisał i napisze Shaw — pozostaje dla nas zagadnienie jego jako artysty. Illuzya Reginaldów, etyczny utrakwizm Warrenów, światoburstwo z amatorstwa w komedyi nadczłowieka — to wszystko jest do przezwyciężenia. Bab nie dopowiedział Shawa w tych chwilach, kiedy twórczość jego, takiego — jak to się mówi — kongenialnego sufiera wzmaga. Czytając „Niedobrany związek“, „Miłość artystowską“ Shawa poznajemy źródło prawdziwe hypertrofii temperamentu nieokiełzanego Irlandczyka. Sarkastyczne komentarze na temat pochodzenia i dostojeństwa moralnego pisał nie tylko dla zabawy swoich przodków.

Shaw ocenia należycie potęgę słowa śmieszącego. Nie omieszkał też z niej... zakpić. Podwójne szyderstwo, warstwowa ironia była polem, które bezspornie odzierżył Shaw. Nie da się zaprzeczyć, że stosy maksym i formuł, które wynosimy z książek Shawa, mogą być podprowadzone pod jedną linię. Uczynił to J. Bab. Nie powiodło mu się, gdyż drogowskazy Shawa są z reguły... kilkuramienie. Shaw, paradoksalny marksista, cyniczny protestant, egotyczny trybun ludowy, zmysłowy asceta, wielomowny stoik nie potrzebuje prób usystematyzowania. Celowość jego działalności może być równie dobrze potwierdzana, jak i zaprzeczana. Dni mijające przynoszą jego pisma jako nie mało ważne odczucia człowieka, który idzie na czele. Słowo jego w dramacie i powieści jest środkiem pośrednictwa, a nie formą kształtowania. Hebbel mówił o formie, która stała się treścią najwyższą. U Shawa najwyższa treść (klasyfikacya etyczna) przelała się w formę i tak została. Dramaty jego są pokazaniem braku reguł w wewnętrznem prawodawstwie ludzi. Bab wynalazł pokrewieństwo pomiędzy Szekspirem a Shawem. Mówi, „że tęsknota Shawa nie znalazła większego wyrazu nad dramat Szekspira“. Naturalnie chodziło tu o „tajemny rytm siły życiowej“, toczący się na przekór moralności wieku. Zestawienie Baba illustruje niedoskonałość i wymuszoność jego konstrukcyi. Niewymierność kategoryj życiowych jakichkolwiek dwóch pisarzy, dzielonych przestrzenią czasu rozstrzyga o illuzyjności wszelkich porównań, o ile nie są tylko artystyczną konfrontacyą.

W „Shawie“ Baba wyczytać można niejedną piękną analizę czy pierwszych powieści, czy głównych dramatów, a w końcu wyczerpujący komentarz do publicystycznej podbudowy Shawa w jego książkach o Ibsenie i Wagnerze. Po za tem jednak śmiało pisana książka Baba stała się jakąś metafizyką święta żywiołów, obchodzonego w pismach Shawa.

Mieczysław Rettinger.

NOWE KSIĄŻKI.

Nauki społeczne. Biblioteczka dzieł społeczno-ekonomicznych pod redakcyą dra Z. Daszyńskiej-Golińskiej. Henryk Kamieński: Filozofia ekonomii materyalnej ludzkiego społeczeństwa. Warszawa, nakł. M. Arcta. — David J. Hill: Völkerorganisation und der moderne Staat. Berlin, Egon Fleischl & Co. — W. Sombart: Die Juden und das Wirtschaftsleben. Lipsk, Dunker & Humblot. — Dr Józef Reinhold: W poszukiwaniu słusznego prawa. Przyczynek do metodologii polityki prawa. Kraków, odbitka z „Czasopisma prawniczego i ekonomicznego“. — K. Kautsky: Nauki ekonomiczne Marxa. Kraków. wydawnictwo „Życie“. — Dr L. Biegeleisen: Postępowanie spadkowe włościańskie. Studyum prawnoagrarne. Lwów, nakład „Przeglądu prawa i administracyi“. — G. Howell: Związki zawodowe robotników angielskich. Kraków, wydawnictwo „Życie“. — K. Marx: Rewolucya i kontrrewolucya w Niemczech. Kraków, wydawnictwo „Życie“.

Varia. Kalendarz robotniczy na rok 1912. Kraków, nakł. administracyi „Życia“. Cena 80 h. — Czesław Łukaszkiewicz: Zwięzła metoda języka węgierskiego. Lwów, Księg. Polska B. Połonieckiego. — Sprawozdanie Muzeum Narodowego w Krakowie za r. 1910. — Zbiór zadań i przykładów algebraicznych w zakresie szkoły średniej. Ułożył W. Steiman. Warszawa, Księg. Powszechna. — Jednodniówka z dni walki o 8 godzin pracy. Borysław, nakład P. P. S. D.

Powieść. Guy de Maupassant: Tajemnicza nieznajoma. Nowele. Kraków, Gebethner i Sp. — Kaz. Zdziechowski: Opoka. Powieść. Kraków, S. A. Krzyżanowski. — K. Przerwa-Tetmajer: Romans panny Opolskiej z panem Główniakiem. Anegdota. Warszawa, Gebethner i Wolff. — Crataegus: Miniatury humorystyczne. Kraków, Gebethner. — Karol Homolacs: Bajka o Kosturku, Azie i Burku. Kraków, Księg. S. A. Krzyżanowskiego. — W. Gomulicki: Grandmuszkieter. Powieść historyczna. Warszawa, Gebethner i Wolff. — Fr. Rehbein: Das Leben eines Landarbeiters. Jena, Eug. Diederichs. — Piotr Choynowski: Zdarzenie. Nowela. Kraków, Spółka nakładowa „Książka“. — Ludw. Romocki: Żołnierz W. ks. Konstantego. Historye z dawnych lat. Warszawa, E. Wende i Sp. — W. Sieroszewski: Bajka o żelaznym wilku. Z rycinami J. Rembowskiego. Kraków, Spółka nakładowa „Książka“.

Sprawy kultury. Dr August Wróblewski: Listopadówka. 29 listopada. Tenże: Porywy w dal kierunkową. Kraków. — Dr Fryd. Strauss: Stara i nowa wiara. Przetłóm. I. Moszczeńska. Kraków. wydawnictwo „Życie“. — Li A Tsi: Das wahre Buch vom quellenden Urgrund. Aus dem Chinesischen von Richard Wilhelm. Jena, Eug. Diederichs. — Voltaire: Refleksye. Przełożył Grzegorz Glass. Lwów. wydawnictwo „Symposion“. Księg. Polska B. Połonieckiego.

Errata. Z powodu spóźnionej pory korekta artykułu Bolesława Rozmuskiego w grudniowym artykule „Krytyki“: „Rosya a my“ nie została dopilnowaną przez autora, skutkiem czego pozostało w tekście kilka przykrych omyłek. I tak na str. 254, wiersz 22 i 23 z góry, mylnie drukowano:

„Nie chciałbym chwalić tych wysiłków, ani zniechęcać, ani niedoceniać“;

czytać zaś należy:

„Nie chciałbym tych wysiłków ani zniechęcać, ani niedoceniać“.

Na tejże stronnicy, wiersz 10 od dołu, zamiast

„kierowana przez dostateczną ilość nietylko karabinów, ale i armat“

czytać należy:

„kierowana przez dostateczną ilość fachowo wykształconych oficerów, uzbrojoną w dostateczną ilość nietylko karabinów, ale i armat“.

Wreszcie na str. 256, wiersz 1 z góry zamiast 1886 czytać należy 1866;
„ „ 256 „ 9 od dołu „ Urainie „ Ukrainie.

Druk ukończono 30 grudnia 1911 roku.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca Wilhelm Feldman. Drukarnia Literacka w Krakowie.